



ALEKSANDRA  
RUDA

# WYBOR



*Aleksandra Ruda*

*Wybór*

*Tłumaczenie: Kuszumai*

*Poprawił: Nekromanta Irga Irronto*

## *Rozdział 1*

### *Cichy Mistrz Artefaktów*

— W ramach polepszenia współpracy.... Reklamy naszej pracy... —  
moje oczy się zamykały i głos Rektora dochodził jakby zza waty. —  
Specjalny kierunek w opracowaniu artefaktów...

Męczył mnie kac. I najbardziej na świecie chciałam być nie na nudnym zebraniu dla studentów artefaktników, a w swoim łóżku. Nie, w swoim, ukochanym łóżku. Nawet krzesło ujdzie, ale Otto stał na straży. Wystarczyło, że opuściłam głowę na rękę, a walił mnie w bok. Na pewno razem z Rektorem stał nachmurzony Bef, który będzie mnie wyczytywał.

Siedziałam razem z Ottonem i wytrzeszczałam oczy w każdą stronę. Mag, który opracuje leczenie wszystkich symptomów kaca zostanie ozłocony, a jego potomkowie jeszcze przez długie lata będą szczęśliwie żyć za tę kasę. Haczyk w alkoholu był taki, że wessany do organizmu bardzo niechętnie go opuszcza, zostawiając następnego dnia właścicielowi całą gamę nieprzyjemnych uczuć.

Jak mi źle!

Próbowałam uwolnić się szybko od mdłości, ale w nagrodę dostałam takiego bólu głowy, że bolało mnie nawet otwieranie ust. Niech mnie ktoś dobije! Będę leżeć w cieplej, przytulnej trumnie i spać, spać, spać...

— Ochotnicy?

— Otto der Szwart i Olgierda Lacha — powiedział mój najlepszy przyjaciel.

Co? Od kiedy my ochotnicy? Co się dzieje?

Ręka Otta pociągnęła mnie do góry. Wstałam i zaczęłam się kiwać, starając się nie upaść pod biurko.

— Eeee... — zaczął Rektor. Zaraz nam odmówi, hura!

— Najlepsza para mistrzów artefaktów na fakultecie — powiedział profesor Swingdar der Kirchehast, który od tego roku był opiekunem naszej pracy dyplomowej. Kto go prosił by się wtrynił?

Rektor obrzucił wzrokiem audytorium. Dobrze wiem, że wszyscy siedzący tutaj symulują różne stopnie głupoty. I ja też bym udawała, gdyby nie niektórzy.

— Dobrze! — powiedział rektor, odwracając się do profesorów. — Poinstruuje studentów, potem ja z nimi porozmawiam. Wszyscy jesteście wolni.

W mgnieniu oka audytorium opustoszało. Ostrożnie usiadłam, próbując nie kiwać głową i znowu nie mrugać.

— Olgierda — rozległ się nad moim uchem głos Befy. — Uczyła was mama, że pić dużo - to wrednie?

— Ona myśli, że Ola nie pije alkoholu, bo jest dobrą dziewczynką — z ochotą oświecił naszego drugiego opiekuna pracy Otto.

Profesor Swingdar zaśmiał się. Bef przyłożył swoje przyjemnie chłodne dłonie do moich skroni i — o, cudo! — ból głowy minął. Ale

zaczęły nieznośnie boleć stawy. Tak – uwolnić się kaca nigdy się w pełni nie udało.

— Teraz możesz słuchać? — zainteresował się Bef.

Radośnie pokiwałam. Moja głowo, znowu jesteś ze mną!

— I tak za dwa dni jedziecie do Rorritora.

Wytrzeszczyłam oczy na Ottona. Oto na co się pisaliśmy — taszczyć się przez jesienną pluchę i błoto przez całe królestwo w uniwersyteckiej karecie!

— W magicznym Uniwersytecie Rorritora nie ma specjalizacji Mistrza Artefaktów — ciągnął profesor. — Nasz Rektor zdecydował, że możemy zaoferować tamtejszym studentom naukę u nas. Dlatego Uniwersytet wysłała was do poprowadzenia kilku zapoznawczych zajęć o przygotowaniach artefaktów. Najważniejsze — zainteresować publiczność i przywieźć ze sobą z powrotem umowę o wymianie studenckiej.

— A my kogo tam wyślemy?

— Naszych praktyków. Letnie spotkanie z księżycowymi martwiakami pokazało, że jakość naszych bojowych magów pozostawia wiele do życzenia.

— Zawsze to wiedziałem — nie wytrzymał Otto.

— Dzieciaki mają mało praktyki — stwierdził Bef. — A blisko Rorritora znajdują się Zmierzchowe Góry, umarlaków jest tam pod dostatkiem, będą się uczyć. Więc przygotujecie kilka lekcji dla studentów, wystąpicie przed nauczycielami, gdyż oni powinni zrozumieć naszą ofertę.

W Uniwersytecie na pewno są studenci, którzy są za słabi dla praktyków, a pójdą na artefaktniów. Już przygotowaliśmy wam materiały, zorientujcie się w nich, proszę. I jeśli coś pójdzie nie tak...

— Profesorze — obraziłam się — dlaczego wiecznie podejrzewacie, że wszystko zawalimy?

— Ja nie podejrzewam — powiedział Bef. — Ja zawczasu przygotowuję się do najgorszego. Z wami dwoma nigdy nie wiadomo, co wy jeszcze nawyrabiacie.

— Po prostu jesteśmy twórczymi osobowościami z lotną fantazją i przytłaczają nas ramki codzienności — wyjaśnił półkrasnolud.

— Nie zamierzamy łamać skrzydeł waszej fantazji — rzekł Swingard. — My kierujemy jej lotem w dobrą stronę.

— I nie zapomnijcie wziąć oficjalnych tog Uniwersytetu, musicie wyglądać dostojnie.

Oficjalna toga? O, nie! Wyglądam w niej przerażająco, bo jest niedopasowana, a fason nie zmienił się od trzystu lat. W Rorritorze będziemy pośmiewiskiem.

— Sprawdzę — zagroził Bef, wychodząc z audytorium.

Smutno popatrzyłam na paczkę materiałów i zapytałam:

— No i po coś ty nas w to wpakował?

— Ola, ej! — pokiwał głową Otto. — Kto z naszych uczy się w Rorritorze?

Kto? Kto?

Irga!

— Ty stary zwodnico — oburzyłam się. — Nie chcę nic słyszeć o Irdze! Nigdzie nie pojedę! To moje ostatnie słowo, jasne?!

— Przecież nie napisał ci ani jednego listu — współczuł półkrasnolud. — Nie wiem jak to przeżyłaś. Ja bym marzył, żeby dać komuś po mordzie! Mocno, z uczuciem! A potem jeszcze raz! Ile razy dziennie sprawdzasz u Dyżurnej pocztę?

— Już od dawna nie liczę! — stwierdziłam głucho, czując gulę w gardle.

Irga obiecał pisać. Oczywiście, nie oczekiwałam jednego listu na dzień. Ale no choć jeden list na tydzień! Jeden! Zamiast tego muszę słuchać po pięć razy dziennie od Dyżurnej: „Nie, dziecko, nie mam nic dla ciebie”. Poczulałam jak płoną mi uszy. Oczywiście, wszyscy w akademiku wiedzieli, że czekam na list od Irgi, i, zapewniona, zabierałam listy z biurka Dyżurnej, szukając swojego nazwiska na kopercie. Cztery tygodnia upokorzenia! Płacz w poduszkę!

— I ja muszę wyjechać z miasta — wyjął zamyślony Otto.

— Ktoś zamierza ci obić mordę? — ożywiłam się.

— Nie, ale lepiej żebyś na razie się tu nie pokazywał.

— Zawsze możesz na mnie liczyć — powiedziałam, łamiąc głowę nad tym, co się stało Ottonowi. Jasne, że to mnie nie dotyczy, inaczej najlepszy przyjaciel by uprzedził. A jeśli półkrasnolud się zakochał? Ech, tak i tak nie

powie!

W dniu odjazdu Otto przyszedł razem ze mną do akademika.

— Togę wzięłaś?

Pokręciłam głową, próbując zapiąć pełną torbę.

— Tam przy karecie Bef stoi, myślę, że sprawdza stan oficjalnej odzieży — stwierdził półkrasnowłód, ryjąc w mojej szafie. — Młot i kowadło! To jest twoja toga?

— Troszkę pomięta, — przyznałam.

— "Troszkę"?! Ona jest w przerażającym stanie! — Otto powąchał materiał. — Prałaś ją w ogóle?

— Nakładałam ją kilka razy w życiu, — odgryzłam się.

— Jeśli mniemać, że nosiłaś ją w czasie księżycowych martwiaków... Tak, złotko... Niektórzy ludzie mają zwyczaj często prać swoją odzież — zauważył najlepszy przyjaciel.

— Nie odnoszę się ku takim niedostatkom — jeszcze bardziej zmięłam togę i spróbowałam wcisnąć ją do torby.

Otto wzruszył ramionami i zabrał mój bagaż.

Bef rzeczywiście był ciekawy, czy wzięliśmy odświętne stroje.

— Oczywiście — burknęłam.

— Pokażcie. Co to?

— Toga. Po prostu trochę się pomięta — powiedziałam płonąc ze



wstydu.

Bef przemilczał, a ja nie ryzykowałam spojrzeć mu w twarz.

Droga była przerażająca. Rzucało mną, nie jadłam nic od paru dni i nienawidziłam wszystkich, a najbardziej siebie, za to, że zgodziłam się pojechać.

Powitalna delegacja pod zwykłą szarą parasolką nie wyglądała przyjaźnie.

— Witamy w Rorritorze — leniwie powiedział przywódca „powitalnych”. — Radzi jesteśmy podtrzymywaniu przyjacielskich kontaktów między Uniwersytetami...

Kapał mi za kołnierz deszcz, nogi od razu przemokły, dlatego, że postanowiłam wejść w wielką kałużę. Chciałam leżeć na łóżku i pić mleko z miodem, ale status oficjalnej delegacji nie pozwalał na chwilę słabości. Za moimi plecami stał winowajcę całego tego koszmaru i cicho pociągał nosem. Co on czuł, nie wiedziałam, dlatego, że całą drogę uważałam się za stronę poszkodowaną i nieustannie bolejącą.

— Mamy nadzieję, że zostaną wam same miłe wspomnienia o Uniwersytecie w Rorritorze! — na tej pretensjonalnej nucie główny witający zakończył swoją mowę i wysmarkał się w ogromną chustkę.

Chciałam zrobić to samo, lecz nie miałam chusteczki do nosa. Zostawała nadzieja, że z nosa nie pocieknie samowolnie, czarna, raczej zielona, chiecz, mój image oficjalnej delegacji.

— Zaprowadzą was do gospody — obwieścił główny witający,

uścisnął nam ręce i zręcznie poskakał po ostatnich suchych miejscach w kierunku Uniwersytetu.

— Agib — przedstawił się przewodnik, obejrzał swoje kalosze i westchnął. — Przeciekać zaczęły, co za bieda!

— Powiedźcie — zaciekałam się — w Rorritorze bywa dobra pogoda?

Agib zamyślił się. Odwróciłam się do Ottona, ale niczego nie powiedziałam. Twarz najlepszego kumpla wyrażała taki żal, że to jemu zachciało się być ochotnikiem, że nie mogłam się na niego gniewać.

— Bywa — stwierdził w końcu przewodnik, przystawiając do nosa coś, co przypominało kartki z bardzo parszywej przydrożnej gospody. — To martwaki w Górach aktywowały i nasłały na nas taką pogodę. Postanowiliśmy na razie jej nie zmieniać, bo mogą śniegiem sypnąć, a po mijającej porze roku jest jeszcze za wcześnie.

Rorritorianin wysmarkał się w kartkę i powiódł nas do gospody.

— Tak — powiedziałam, chowając się pod pościel w naszym wspólnym pokoju. — Ot jełopy, ci Rorritorianie, mogli by choć dwa pokoje dać. Teraz rozumiem, czemu Irdze zachciało się uczyć u nas. Ja bym od takiej pogody i chciwości autochtonów zeszła z umysłu.

— Miejscowi przywykli — Otto przewracał w swojej torbie. — Podejrzewam, że wspólne ulokowanie było specjalnie zrobione, żeby nas kontrolować. Wydaje mi się, że tutejszego kataru po prostu się nie leczy. Masz chustkę do nosa?

— Nigdy jej nie miałam — powiedziałam. — Teraz żałuję.

— Wybaczasz mi? — szybko spytał Otto.

Westchnęłam.

— Chciałeś jak najlepiej, współniku!

Półkrasnolud odetchnął.

— Ale za karę — ciągnęłam — będziesz prasował moją odświętną togę.

Otto skrzywił się.

— Lepiej ze mną nie rozmawiaj — zaproponował. — Będziesz się wkurzać, oburzać i obrażać się, co? Przeklinać?

— Nie doczekanie — powiedziałam, wytargując nieszczęsną szmatkę z balii. — Trzymaj!

W drzwi zastukano.

— Oddam prasowanie twojej togi pokojówce! — zapalił się Otto. — Wejść!

Wcześniej niż zdążyłam pomyśleć, okazało się, że wiszę na szyi samego najdroższego, najbliższego, czulego... Wstrętnego, wrednego, złośliwego kłamcy!!! Irga mocno przytulał mnie do siebie i coś szeptał w przerwach między pocałunkami. Rześko odepchnęłam zniewolonego nekromantę.

— Masz dwie sekundy, żeby wymyślić przyzwoity argument, dlaczego nie pisałeś do mnie! — ostrzegłam, oddalając się od grzechu.

— Romantyczna chwila stracona... — burknął Otto.

— Pisałem do ciebie! — oburzył się nekromanta. — Za dobrze cię znam, żeby pozwolić sobie na taki zaniedbanie!

— Otto!

— Ola nie dostała żadnego listu od ciebie — powiedział półkrasnolud. — Ja jestem świadkiem i nie tylko ja. Cały akademik wie...

— Wykorzystałeś mnie i rzuciłeś! — gorzko stwierdziłam, walcząc ze łzami.

Twarz Irgi wyrażała najwyższe zdziwienie.

— Jak mogłem to zrobić, jeśli ci się oświadczyłem?! Dałem ci najwyższą miarę wierności i położenia, jaka tylko może dać mężczyzna kobiecie!

Zkrzyżowałam ręce na piersi i postarałam dać swojej twarzy wyraz "Wszyscy mężczyźni — swołócze". Irga nachmurzył się.

— A może ty wyprasujesz togę swojej przyszłej żony? — przerwał Otto.

— Co? — zdziwił się Irga, obejrzał ubranie i powiedział:

— Na ile wiem, te honorowe zadanie dostało się tobie, więc mnie nic do tego!

— A mi się wydawało, — burknął półkrasnolud — że to było samym najważniejszym dowodem wielkiej miłości...

— Ola, pisałem do ciebie — cicho rzekł Irga. — Możesz zapytać na

poczcie.

Odwróciłam się.

— Dla ciebie to naprawdę takie ważne? — nekromanta podszedł do mnie bliżej.

Chlipnęłam.

— Przysięgam na pamięć mojej matki — wyszeptał mi na ucho Irga.

Oho, to już poważne! Na ile pamiętam, nekromanta odnosi się do swojej matki z miłością. Co prawda, to jedyne co wiedziałam — zginęła, gdy Irga był jeszcze malutki.

— I o czym tam pisałeś? — zapytałam.

— O tym jak tęsknie za tobą, o tym, jaka jesteś niezwykła, o tym, jak ja...

Otto głośno kichnął i powiedział:

— Wybaczcie, że wam przeszkadzam, ale Irga, nie masz przypadkiem zwykłej chusteczki do nosa?

Nekromanta westchnął.

— Wszystko wam przyniosłem — chusteczki, kalosze, parasolki. Przeczuwałem, że przyjdziecie nieprzygotowani.

— Od kiedy wiedziałeś, że przyjedziemy?

— Od razu domyśliłem się, że oficjalna delegacja przysłana z czystiakowskiego Uniwersytetu będzie złożona z was — powiedział Irga. —

Dlatego, że nie wiem, kto jeszcze z Uniwersytetu bardziej pod to podpada: specjaliści w dziedzinie Artefaktów i awanturnicy, zgadzający się na włóczęgę przez całe królestwo w błocie i deszczu...

— Bardzo śmieszne — stwierdziłam.

— Ja się nie śmieje — poważnie odpowiedział Irga. — Bałam się myśleć, że to będzie ktoś inny. Chciałam zobaczyć tylko was.

— Jak wzruszająco! — "chlipnął" Otto.

Usiadłam na łóżko i owinęłam się w jeszcze jedną kołdrę.

— Nie — stwierdził znowu Irga. — Nie chciałem zobaczyć was. Chciałem zobaczyć tylko ciebie, Olu. Marzyłem, że cię w końcu zobaczę. Przytulę do siebie i pocałuję... Powiem, jak bardzo za tobą tęskniłem i jak brakowało mi ciebie w moim życiu. A, mimo wszystko, ciebie bez Ottona ciężko sobie wyobrazić, więc cieszę się widząc was oboje.

— Tylko nie trzeba mnie całować — odrzekł mój najlepszy przyjaciel.

Irga usiadł na łóżku i pogłaskał mnie po głowie.

— Musicie odetchnąć przed jutrzejszym dniem.

Położyłam się tak, żeby jeszcze bardziej przytulić się do jego gorącego ciała.

— Będzie ciężko?

— U nas niezbyt dobrze odnoszą się do teoretyków — przyznał Irga. — Po prostu mag-absolwent Uniwersytetu Rorritorskiego powinien

przede wszystkim wyżyć.

— Potrafię wyżyć — sennie mamrotałam. — Potrafię wyżyć tak, jak waszym absolwentom się nie śniło!

— Wiem — Irga czule mnie przytulał. — Ale nie uczyłaś się unicestwiać martwiaków, prawda?

Zamiast odpowiedzi jeszcze bardziej przytuliłam się do nekromanty i zasnęłam.

Jutrzejszy dzień nie był ciężki. Był koszmary. Zebrani w audytorium studenci w ogóle nie chcieli nas słuchać. Dobrze by było, jeśli oni by po prostu szumieli! Ale nie! Oni szumieli pogardliwie, nie zwracając na nas żadnej uwagi. Śmiali się z każdej naszej wypowiedzi. Odwracali się od zademonstrowanych artefaktów. Zadawali głupie pytania typu: „Można z wami pospacerować wieczorem, dziewczyno?”

Nie było mi żal zerwanej lekcji, tak ciężko przygotowanej jeszcze w domu. Żał mi było pracy Ottona — jego ciężko wyprasowanej togi i świetnie zaplecionej brody.

Ogólnie pierwsza lekcja z trzaskiem padła.

— Oni nie uważają nas za równych sobie! — powiedziałam oburzona w puste audytorium.

— Czego ty chcesz? — zapytał półkrasnolud. — Dla nich jesteśmy niższymi istotami, które żyją cichym i powolnym żywotem. A oni są ratownikami ojczyzny, bohaterami, stojącymi na straży.

— Bohaterami... Potrafią tylko mieczami machać i zaklęciami

rozwalać.

— Pokazując swoją efektywność w pojedynku z martwiakami... — zauważył najlepszy przyjaciel.

Źle było mi czuć się drugorzędnym towarem.

— Kiedyś marzyłam, że zostanę wielką magiczką i wszyscy będą mnie szanować.

— Wszyscy — parsknął Otto. — Do tego trzeba na początku uzyskać szacunek u najbliższych. U nas w górach jak...

— Nie wytrzymam jeszcze półtorej godziny tego koszmaru! — przebiłam Ottona. — Masz coś do picia?

— Mam — powiedział zapobiegawczy półkrasnolud, wyciągając flaszkę. — Ale to jest jajeczny bimber, tylko po łyżku.

Przełknęłam bimber, wytarłam łzy i westchnęłam.

— Dobrze — syknął krasnolud. — Brałem po speczamówieniu.

— Daj jeszcze.

— Nie mamy zakąsek. Poczują.

— Kto tam zauważy! Oni i tak nas nie słuchają.

Otto wzruszył ramionami, podając mi bimber.

— Pilnuj się tylko, nie wal głupa potem. Odpowiadam za ciebie!

— Przed kim jeszcze? Jestem pełnoletnia!



— Przed Befem — niepewnie powiedział półkrasnolud. —  
Powiedział mi tak: "Patrz, Otto, żeby bez głupot! Jesteś poważnym  
krasnoludem, odpowiedzialnym!".

— A ja jestem, znaczy, niepoważna i nieodpowiedzialna?! —  
obrazilam się na wiarołomnego profesora.

Szybkim ruchem odebrałam od przyjaciela flaszkę i łyknęłam  
samogonu. Ach, tak! Profesor mi nie wierzy! Nikt mnie nie poważa! Ik!

Nową partię studentów zauważyliśmy wszędzie — krasnolud padł  
ofiara melancholii, ja wycierałam łzy i myślałam o swoim nieszczęsnym  
gardziołku, płonącym ogniem, nieudacznym życiu i złym wyborze zawodu.

— Żle wam? — zapytał mnie jeden ze studentów.

Kiwnęłam i zachrypiałam:

— Wody...

Chciwość — moja słabość. Nie trzeba było żłopać samogonu jak  
soku, a ograniczyć się do jednego łyeczka.

Student podał mi dzbanek wody, patrząc jak na zdziczałą zabawkę.  
Audytorium ucichło w oczekiwaniu na cyrk. Wypiłam wodę, wytarłam łzy i  
odkaszlnęłam. Przed oczami przestały latać gwiazdki, głos powrócił.

— A więc — zaczęłam — przyjechaliśmy opowiedzieć wam o tym,  
jak ważna jest dla niektórych z was nauka na Mistrza Artefaktów.

Studenci się roześmiali. Słyszałam ohydne okrzyki i czułam, jak  
przyjemne ciepło samogonu rozlewa się po moim ciele. Życie ożywa.

— Bardzo uratują nas te wasze artefakty, jak martwiaki zaatakują.

— Po co obwieszać się błyskotkami, jeśli od kolczugi i miecza i tak jest ciężko?

— Machać młotem w kuźni? I co jeszcze?!

— Są krasnoludy, niech one pracują.

Popatrzyłam na Ottona. Siedział ze spokojnym uśmiechem na ustach, śladem po działalności alkoholowej. Zrozumiałam, że mi nie pomoże.

— Zamknijcie się wszyscy! — krzyknęłam. — Kiedy ja mówię, wszyscy inni milczą!

— Tere-fere — powiedział czarnowłosy student w pierwszej ławce.

— A no sza — podeszłam do jego stolika. — Bo taką klątwę rzucę, że będziesz całe życie z oślimi uszami chodził!

— No co ty! — uśmiechnął się. — Ty, słabowity teoretyk mnie, bojowego maga, chcesz zaczarować? Ha!

— Ha. Ha. Ha! — powiedziałam. — Wstań! Wyzywasz mnie na pojedynek?

— A co? — odpowiedział leniwie, wyjmując zza pasa długi kinżał. — Mogę.

— Nie, mój drogi, — rzekłam. — Oczywiście, że pokonasz mnie siłą. Jestem dziewczyną, i na dodatek teoretykiem. Nie mam fizycznego przygotowania. Dawaj naprzeciw takiego samego przeciwnika. Na przykład tobie i mnie po zombie. Moja teoretyczno-artefaktowa praca przeciwko

twojej bojowej.

— Ty choć raz zombie widziałaś? — leniwie zapytał czarnowłosa.

— Widziałam — dumnie odpowiedziałam. — I nie raz się z takim biłam. Jak widzisz, jestem żywa.

— Więc przeciwko infernie!

— Wielkie mi co!

Oszołomiona ludność w audytorium milczała. Odwróciłam się. Otto siedział z wytrzeszczonymi oczami, ale, chwała Niebiańskim Silom, nic nie mówił.

Cofnąć się nie miałam gdzie.

— Dawaj ni mnie, ni ciebie — powiedziałam. — Wybieramy bezstronnego sędziego, każdy w audytorium napisze gatunek martwiaka albo kogo chce. Jaką kartkę wyciągniemy, z tym będziemy się bić.

Czarnowłosa kiwnął.

Od razu kilku studentów zerwało się z miejsc i pobiegło na korytarz. Ci co zostali zaczęli poszeptywać między sobą.

"Szczęście!" — podnosiłam się na duchu. — "Pomóż! Ofiaruje ci dziesięć złotych! Podtrzymaj i nie zostaw, inaczej przyjdzie mój koniec!".

Drzwi audytorium otworzyły się i w mgnieniu oka zostało ono wypełnione. Tłum szumiał, wymieniając się nazwami najbardziej przerażających martwiaków i wydzierając z zeszytów kartki. Została mi tylko modlitwa. Otto przekształcił się w pomnik samego siebie, ale ja

zobaczyłam, co czeka mnie po zorganizowaniu tego cyrku. Jeśli będzie komu go organizować.

— Ot, kapłan ze Świątyni Szczęścia — wyjaśnił ktoś, wciągając do audytorium starca. — Mam nadzieję, że nie ma nikt nic przeciwko? Nie chciało mi się dalej biec, a to cudo przechodziło obok.

Kapłana szybko wciągnięto w sprawę. Zdjął z głowy czapkę i kazał tutaj wrzucać karteczki.

"No, szczęście! Pokaz żeńską solidarność!". Ścisnęłam na szczęście w torbie przedmiot i przestałam oddychać.

— Dziesięć zombie! — wyjął kapłan.

— Uuuuuuu!!! — zawyło rozczarowane audytorium.

Odetchnęłam. Mogło być gorzej. Z zombie mam choć jakąś szansę.

— Jak szybko możecie znaleźć zombie? — zapytałam czarnowłosego.

— Na wieczór będą — odpowiedział.

W obecności kapłana ustaliliśmy zasady: walczymy z zombie dowolnymi metodami. Nie opuszczamy kręgu. Wygrywa ten, kto unicestwi martwaki najszybciej.

— Jeśli będzie ci potrzebna pomoc — uśmiechając się, odpowiedział mi uklonem Rorritanin. — Krzycz „stop”.

— Będę mieć to na względzie — odpowiedziałam.

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim studentem, Otto zapytał:

— Gdzie cię pochować?

— Pod brzozą, zawsze o tym marzyłam. Ale ci się to nie uda.

— Tak jesteś pewna swoich sił? — rzekł porażony półkrasnolud.

— Nie, Irga obiecał ożywić, jeśli umrę do naszego ślubu.

— Aaa... — burknął Otto. — pocieszająca wiadomość.

Zamilkliśmy.

— Jeśli zaczniesz teraz wyć „Co ja zrobiłam?!”, „Dlaczego to zrobiłam?!” i „Co mam teraz zrobić?!”, to sam cię zabiję, nie doczekasz do wieczora — uprzedził przyjaciel.

Tak ogółem to właśnie to miałam zrobić, po zrozumieniu tego, w jaką kaszę wpadłam, ale straciłam dar mowy.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Irga wleciał do audytorium.

— Ja ją pierwszy zabiję — zdążył powiedzieć krasnolud, zanim nekromanta złapał mnie za ramiona i potrząsał jak kukłą.

— Ostrożniej — nawet nie próbowałam się wyrywać. — Resztki mózgu wylecą przez uszy.

— A one były tam w ogóle kiedyś? — z rozpaczą zapytał Irga i usiadł na krzesło.

— Kto? Uszy czy resztki mózgu?

— Resztki mózgu w twojej dużej głowie!

— Nie wiem — przyznałam uczciwie.

— Czemu ją upiłeś? — gorzko wyrzucił Irga mojemu przyjacielowi. — Nie mogliście do wieczora wytrzymać, alkoholicy?!

— Skąd miałem wiedzieć, że coś takiego wycudaczy?! — oburzył się Otto.

— A ty ja pierwszy dzień znasz?!

— Ej! — krzyknęłam. — Przestańcie mówić o mnie, jakby mnie już zombie zęzały! Jeszcze żyję! I nie zamierzam umierać!

— Bardzo ciekawe jak ci się to uda! — powiedział Irga. — Całkiem niedawno widok jednego zombie napawał cię przerażeniem!

— Myślałam, że mi pomożesz.

— W jaki sposób? Na ile dobrze znam zasady, sama musisz sobie poradzić.

— A skąd ty to wiesz?

— O waszej walce gada teraz cały Uniwersytet — oświecił mnie Irga. — Niesłychany przypadek — jakiś parszywy teoretyk rzucił wyzwanie samemu Riderowi!

— A w ogóle kto to jest Rider?

— Najlepszy student, drugorocznik, ulubieniec profesorów.

— Aha, drugorocznik!

— Nie cieszyłbym się tak na twoim miejscu — uprzedził Irga. — Oni przerobili zombie na pierwszym roku, a on uważa siebie za bardzo świetnego maga bojowego. W takim wieku nie ma się jeszcze świadomości

nietrwałości bycia i swojej niedoskonałości. To bardzo niebezpieczny przeciwnik.

— A do ciebie, znaczy, już przyszła świadomość nietrwałości niedoskonałości? — zapytałam, ostro mecząc się z kompleksem niższości. Do mnie świadomość nietrwałości mojej niedoskonałości przyszła jeszcze wtedy, kiedy w młodym wieku chciałam wleźć na drzewo sąsiada nazrywać śliwek i upadłam, rozrywając gałęziami nową sukienkę.

— Odnoszę się do kategorii wyjątkowych ludzi, którzy są praktycznie doskonali — odpowiedział Irga. — Co zamierzasz zrobić z zombie?

— Nie wiem — przyznałam się. — Mamy kupę bojowych artefaktów. Obwieszę się nimi wszystkimi i będę po kolei aktywować.

— A przez ten czas rozerwą cię na części — obwieścił Irga.

— Całkiem we mnie nie wierzysz? — zapytałam.

— Wierzę — powiedział półkrasnolud — w to, że to mnie przyjdzie zbierać twoje kiszki, żeby rodzice mieli co do grobu włożyć.

— Kiszki zaśmiardnął w drodze — z autorytetem powiedział nekromanta. — Lepiej wziąć inne części ciała.

— Nie — nalegałam. — Powiedz, że wierzysz w to, że pokonam zombie albo nie?

— Boję się o ciebie — uchylił się Irga od odpowiedzi.

— Rozumiem — odwróciłam się do Ottona. — A ty?

— A ja wierzę — powiedział. — Dlatego, że inaczej będę musiał

odpowiadać przed twoją mamą i Befem. Nie masz innego wyboru jak przeżyć.

— Nie mówię o wyzywaniu. Mówię o tym, że pokonam zombie.

Otto sceptycznie chrząknął.

Poczułam się strasznie samotna i jedna.

— No i dobrze — chlapiąc, podeszłam do stołu i zaczęłam przebierać w przywiezionych artefaktach. Oni mają obowiązek mi pomóc! Ja im wszystkim pokażę!

— Wierzę w ciebie — nagle powiedział Irga. Objął mnie za ramiona i pocałował w szyję. — Dawaj pomyślimy jak ci pomóc.

— Gdzie to będzie się odbywać?

— Na placu treningowym, imitującym cmentarz. Myślę, że zombie będą trochę powolne, dlatego, że pojedynek będzie odbywać się wcześniej.

— Jeszcze czego! — rzekł półkrasnolud. — Żeby jasno było! Oni chcą zobaczyć, jak martwiak będzie rozrywał Olę na części.

Irga zgodnie kiwnął.

— Trzeba pójść zobaczyć ten plac — powiedziałam, wrzucając wszystkie przywiezione artefakty do torebki. — A gdzie twoi koledzy znajdą tylu zombie do wieczora?

— Po co ich szukać? — zdziwił się Irga. — One są u nas w każdym miejscu, jako materiał naukowy. Poszczeniło ci się, że popadłaś na zombie. Wiesz ile u nas w piwnicy siedzi martwiaków? Każdego gatunku!



— Pewnie są jeszcze łowcy, którzy to łapią i przynoszą tutaj? — zainteresował się półkrasnolud.

— A jakże! Bardzo emerytalna robota, większość starszaków się tym trudzi.

Szliśmy po ulicy, ale nawet aktywne chlapanie kaloszami przez Ottona w kałuży nie mogło zagłuszyć szeptu za naszymi plecami. Widocznie, całe uniwersyteckie miasteczko omawia nadchodzące starcie.

„Tak — pomyślałam. — Takiego czegoś w moim życiu jeszcze nie było. Będę bronić części Teoretycznego Fakultetu w walce z zombie. I co ja chciałam im udowodnić? Fakultetu to nie wzruszy, a mnie będzie źle”.

Potem zobaczyłam na wystawie sklepowej wstrząsające skórzane spodnie ze srebrnymi zapięciami.

— Poczekajcie, chcę kupić spodnie!

— Baby — wycedził Otto. — Pochować cię w nich?

— Durny jesteś. Mam ze sobą tylko spódnice. Pomyślałeś, jak na poligonie będę uciekać od zombie w spódnicy?

— Jeszcze nigdy nie widziałem cię w spodniach — powiedział Irga.

— Za przyjemność oglądania moich nóżek ty te spodnie mi jeszcze kupisz — obwieściłam, wychodząc z przymierzalni. Spodnie leżały idealnie, podobałam się sama sobie.

— Też bym chciał być taki spokojny przed śmiercią — zazdrościł półkrasnolud.

— A dlaczego mam umrzeć? — zapytałam. Opanowała mnie euforia. Nie zamierzałam umierać, a uciec z magicznego kręgu, od zombie, zawsze zdążę.

Kiedy wyszliśmy ze sklepu, oczekiwała już na nas delegacja.

— Hmm... Irga... — ostrożnie zaczął najśmielszy. — A wy wiecie, że nie można pomagać tej dziewczynie?

— Nazywa się Ola — powiedział Irga. — I czy ona teraz znajduje się w magicznym kręgu z zombie?

Delegat zawstydział się i powiedział:

— Nie, ale...

— Co? — zapytał Irga. — Zasady ustalono przy kapłanie. Wy myślicie, że mogę je jakoś naruszyć?

— Kto was tam wie — ostrożnie rzekł delegat. — Wy dużo możecie...

— To wszystko? — zapytał nekromanta. — Zatrzymujecie mnie.

— My tak, na wszelki wypadek... — zawstydziała się delegacja. — Wybaczcie, jeśli co...

— No, ty srogi jesteś! — powiedział półkrasnolud.

Ja nie powiedziałam nic — zazdrościłam. Chciałabym dojść do takiego czegoś! Żeby lud trząsał się przede mną i bał! Poważał! I żeby wszyscy z okolicy znali moje imię i zwracali się do mnie na „wy”.

Oglądaliśmy plac treningowy. Wbrew moim obawom wyglądał na makietę zwykłego cmentarza bez dużych zarośli i dziur na drogach.

Jedynym problemem były same dróżki — żółtawa glina od nieustannie padającego deszczu zrobiła się bardzo śliska.

— Coś wymyślimy — wyburczał półkrasnolud, ruszając butem glinę. Złapał katar i był przez cały czas pochmurny.

W pokoju Otto przejrzał wszystkie nasze artefakty.

— Nie licząc twojej szpilki, która na pewno zlikwiduje jednego zombie, z pomocą pozostałych artefaktów możesz zlikwidować jeszcze trzech.

— Czyli czterech. Mało.

— Przywieźliśmy próbki, a nie uzbrojenie armii — powiedział półkrasnolud.

— Co mamy jeszcze przeciwko martwiakom?

— To dla spowolnienia, a to dla unieruchomienia.

— To też dobre.

— I co ty będziesz robić z unieruchomionym zombie? — zapytał Irga.

— Ja... Potrzebny mi miecz!

— Potrafisz go chociaż trzymać w rękach?

— W rękach trzymać potrafię — odpowiedziałam, pomyślawszy. — Tylko mi potrzebny jest lekki miecz, bo ciężkiego nie utrzymam. A jak w ogóle zabija się zombie?

Irga chwycił się za głowę:

— Nie wiesz tego??!!!

— Wiem, oczywiście, ale ogólnie — szybko poczułam pod nogami podłogę.

— Nieee, ja cię po prostu zabiję i uwolnię się od wiecznej męki — powiedział Irga.

— Obiecałeś się ze mną ożenić — przypomniałam.

— Nie bardzo się do tego palisz — rzekł Irga. — Samobójcze rzeczy bardziej przyciągają twoją uwagę.

— Ja jeszcze cię przeżyję — obiecałam. — Was obu razem wziętych. I będę każdego dnia przychodzić na wasze groby i tańczyć.

— Mnie skremują — uprzedził krasnolud.

— To nic, coś wymyślę.

— Ciekawe jak masz zamiar nas przeżyć? Nie będziesz pić alkoholu i zaczniesz przestrzegać trybu dnia? I codziennie robić zapasy? — zainteresował się nekromanta.

Wzdrygnęłam się od takiej perspektywy.

— Lepiej mi opowiedz o zombie.

— Najpierw unieruchamia się zombie — powiedział Irga. — Następnie pozbawia się go siły, która sprawia, że stworzenie porusza się. I likwiduje się ciało, żeby uniknąć wszelkich ekscesów.

— Zombie działają na magicznej sile, prawda?

— Tak.

— Wystarczy, że pozbawię przeciwników magicznej siły i wygram!

— Bardzo mnie ciekawi, jak to zrobisz?

— Mieczem — stwierdziłam pewnie. — Zrobię mieczem na glinie ryt, zagonię tam zombie i już!

— Nedorzeczny plan — powiedział Irga. — Jak głupie stworzenie można zagonić w ryt?

— Kaszy nasypie i powie: „cip cip!”, — zazartował Otto.

Zjadliwie popatrzyłam na przyjaciela.

— Dziękuję za wsparcie, Otto!

— Ale co ja?! — zawstydził się. — Jest jeszcze artefakt od zabijania. Pomoże?

— Nie wiem — wzruszył ramionami Irga. — Nigdy nie próbowałem.

— Ja spróbuję — zaproponowałam. — Co jeszcze jest?

— Przeciw wampirom, ale on na pewno nie będzie dobry. Nabiję ci gwoździ w podeszwę buta, żebyś się nie poślizgnęła.

— Przemokną moje buciki.

— W kaloszach się od razu zabijesz. Cierp. Lepiej odetchnij, a ja pójdę do sklepów po potrzebne przedmioty.

— A ja po miecz — powiedział Irga. — Naprawdę odetchnij.

Jak tylko chłopaki poszli, wpadłam w panikę. Odetchnij! Jak mogę odetchnąć, jeśli za kilka godzin mogę zginąć? No dobra, nikt nie da mi umrzeć. Ale bardzo możliwe, że się poranię. I nie będę mogła potem spojrzeć w oczy rorritorskim studentom, Irdze, Befowi... Koszmar! Zwinęłam się w kłębuszek i zaczęłam gorąco się modlić do wszystkich znanych mi bogów, obiecując zachowywać się dobrze, codziennie ofiarowywać na świątynie dużą sumę pieniędzy i pójść do klasztoru.

— Płaczesz? — zapytał bezgłośnie podchodzący Irga.

— Nie.

— Nie bój się, będę blisko. Nie pozwolę, żeby coś ci się stało, obiecuję.

Położył się na łóżku i objął mnie.

— Nie drżysz, wszystko będzie dobrze.

— Nie przeszkadzam wam? — Otto usiadł na sąsiednie łóżko i zastukał młotkiem. — Całujcie się, całujcie, nie będę podglądać.

— Nie całujemy się — powiedziałam.

— A szkoda — dopowiedział Irga.

— Wiecznie wszystko komplikujecie! — westchnął półkrasnolud.

Nasza procesja na miejsce pojedynku bardziej przypominała żałobę. Irga milczał, był bledszy niż zazwyczaj. Niósł ze sobą wąski długi nóż, lekki i w sam raz. Otto metodycznie wydierał z brody całe kłaki. Ja byłam

spokojna. Napoiwszy się ukradkiem koniakiem z przypasanej do pasa flaszki od razu zaczęłam patrzeć na wszystko prościej. Na szyi rękach wisiały artefakty, a główny zapas schowany był we wszystkich kieszeniach kurtki. Byłam całkiem uzbrojona.

Plac treningowy powitał nas wypełnionymi na szybkiego trybunami i ogromną ilością ludu.

— Szybko pracują — z szacunkiem powiedział Otto.

Magiczne kręgi różnych rozmiarów lekko świeciły na niebiesko.

— A więc — powiedział mag, w którym z trudem rozpoznałam głównego witającego. Był ubrany w odświętną togę i ciągał nosem po każdym wypowiedzianym słowie.

— Prorektor nauki, profesor Dymitr — wyszeptał Irga.

— Po moim sygnale przeciwnicy wchodzą w krąg. Jak tylko ostatni zombie zostanie unicestwiony linia zgaśnie. Sygnałem do przerwania pojedynku będzie słowo „stop” powiedziane przez któregoś z przeciwników. Wszystko jasne?

Ja i Rider zgodnie kiwnęliśmy. Z radością zauważyłam, że zbladł.

— Na trzy.

Raz!

Dwa!

Trzy!

„Siły niebieskie” — pomyślałam i wstąpiłam w krąg.

Było cicho. Magiczna zasłona odgrodziła mnie od wszystkich okolicznych odgłosów, a zombie nie dawały o sobie znać.

Wsadziłam miecz ostrzem w ziemię, mrużąc zaklinanie i pobiegłam. Buty się nie ślizgały, choć doczyścić je z tej gliny będzie bardzo ciężko.

Usłyszałam ciche warczenie. Bezpośrednio na mojej drodze stał duży egzemplarz nekromanckiego tworu. Nie przestając wymawiać zaklęcia rzuciłam się zombie pod nogi — dla równowagi rozstawił je szerzej. Ślizgając się brzuchem po glinie, szybko podniosłam się i pobiegłam dalej. Zombie charknął zdziwiony i podreptał za mną. Miecz czepiał się jakiś korzeni i z każdym krokiem stawał się coraz cięższy.

Ups! Stoi parka, tylko się nie uśmiecha. Między ich nogami się nie prześlizgnę... Wyciągnęłam z torby pierwszy lepszy artefakt i aktywowałam go siłą woli. Zombie rozproszyły się, a ja nie zatrzymując się, pobiegłam dalej.

Dalej wszystko działo się jak we śnie po pijatyce. Czwórkę zombie unicestwiłam z pomocą artefaktów jeszcze przed skończeniem rytów. Trójka spotkanych na samym początku jeszcze za mną dreptała i, sądząc po odgłosach, coraz to potykały się i upadały.

Kiedy skończyłam ryt, stałam w jego centrum. Nawet pod groźbą śmierci nie mogłabym zrobić ani kroku. Jak tylko trójka goniących mnie zombie minęła linię, wykrzyczałam na ostatnim wydechu zaklęcie. Zombie wpadły na siebie jak worki z ziemniakami.

Została jeszcze trójka. Wycierając mokre czoło oglądałam artefakty. W czasie szalonej gonitwy z rytym zużyłam kilka artefaktów. Z



najważniejszych został tylko artefakt unieruchomienia i artefakt przeciw śmierci z nieznanym mi działaniem. Gdzie jest ta słodka trójca? I co z nimi zrobić? Na wszelki wypadek była jeszcze na głowie szpilka, ale będę ją trzymać do ostatniego momentu!

Podniosłam się z trudem, popatrzyłam na miecz, ale nie ryzykowałam go wyrzucać. Zombie, oczywiście, są głupie, ale w niedawno aktywowany ryt nie poleżą. Trzeba poszukać ich samemu.

— Cip, cip, cip! — niepewnie zawołałam, wspominając Ottona.

Nikt się nie odezwał, nawet krzaki nie zaszeleściły. Ostrożnie szłam po dróżce, czując, jak w butach chlupie woda.

— Kis, kis, kis! Chodźcie tutaj, moi drodzy! Kuć, kuć, kuć! Guli, guli, guli!

Co dziwne, na „guli guli” odpowiedziały szelestem krzaki z prawej strony i na drogę wylazł zombie. Wyglądał bardzo dziwnie — z ust kapiała slina, a oczy świeciły się na zielono. Przystojniak wyciągnął do mnie ręce z żółtymi, długimi paznokciami. W odróżnieniu od ostatnich, zombie poruszał się bardzo szybko.

— Sukin kot! — wizgnęłam, cofając się i aktywując artefakt przeciwko śmierci.

Powstało niewielkie tornado i porwało zombie w powietrze by rzucić nim w końcu o płytę nagrobną. Płyta pękła na dwie części, przeciwnik nie przejawiał żadnych oznak życia, mało tego, zaczął rozkładać się szybko. Żeby tego nie oglądać, rzuciłam się w krzaki, z których dopiero co wypadło zombie — tornado nie bardzo się zastanawiało, gdzie kogo rzucać.

Mdliło mnie i przed oczami latały mi gwiazdki. Oczywiście, znalazłam się prawie w przyjacielskich objęciach dziewiątego zombie. Radośnie rycząc pociągnął mnie za lewą rękę tak, że straciłam przytomność i ocknęłam się od razu z bólu. Wierna szpilka spełniła swój obowiązek i został mi tylko jeden przeciwnik. Ręka bezwładnie wisiała. Rycząc od żalu dla samej siebie, polazłam gdzieś, wpadając na nagrobne płyty i krzaki.

— Grr? — spytał mnie zaskoczony zombie.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam dziesiątego. Zombie był roztrzepany, najwidoczniej wpadł pod działanie jednego ze szczodrze aktywowanych artefaktów. Chlipiąc aktywowałam ostatni i zombie zmarł. Ale nie mogłam przypomnieć sobie zaklęcia odbierające magiczną siłę! Po głowie latała tylko fraza: „odciąć mu głowę”. Zamachnęłam się mieczem, ale w tym samym momencie krzyknęłam od bólu w ramieniu. Trzeba było powalić zombie na ziemię i odrąbać mu głowę, jak kawałek kiełbasy. Co dziwne, te zajęcia działało uspokajająco. Dalej odpiłowywałam martwy kawałek, siedząc na nim. Zombie zaczął się szamotać i w tym samym momencie do głowy wrócił tekst zaklęcia. Nieustannie patrząc w martwą twarz, z radością go wykończyłam, wyobrażając sobie na jego miejscu wszystkich studentów z ich Uniwersytetem, deszczem i katarem. I kontynuowałam dalsze odcinanie głowy.

— Ola! Ola! Moja miła! — Irga padł przede mną na kolana i zaglądał w twarz. — Jak się czujesz?

— Jestem zajęta — powiedziałam.

— Ola, byłaś pierwsza! Zrobiliśmy to! Zrobiliśmy! — wrzeszczał Otto. — Irga, co ona robi...?

— Nie wiem — powiedział Irga. — Może jest w szoku?

Irga spróbował oderwać mnie od martwiaka i straciłam przytomność od bólu w ramieniu.

Źle zapamiętałam chwilę triumfu. Stałam przed profesorem Dymitrem i zgrzytałam zębami od bólu, marząc o lekarzu. Podtrzymywał mnie Otto, pęczniąc z dumy.

— Chcecie coś powiedzieć? — zapytał mnie prorektor.

— Tak, jutro oczekuję chętnych na lekcji o robieniu artefaktów — powiedziałam. — Wszystkim dziękuję.

— Lekarz już tutaj jest — Irga delikatnie posadził mnie na ławę. Podniosłam wzrok. Otaczał nas chciwy tłum kandydatów do pogawędki.

— Irga — sprzeciwiłam się.

— Kto — zapytał nekromanta, zwracając się do widowni, — Kto podsunął Oli umarłego jako zombie?

Tłum cofnął się. Irga w gniewie był straszny.

— Dowiem się, kto to zrobił i sam uspokoję tego... spryciarza. Raz na zawsze uspokoję, tylko wcześniej pożałuje, że na świat przyszedł!

— Irronto, uspokój się! Sam rozprawię się z tym incydentem! — przedzierał się przez tłum profesor Dymitr. — Bardzo was przepraszam, Olgierdo!

— Nic się nie stało — uśmiechnęłam się miło. Uzdrowiciel czarował nad moją ręką i dlatego poczułam się lepiej. — Opowiem o waszej

gościnności w swoim Uniwersytecie.

Prorektor się zatrząsł.

— Olgierdo...

— Jutro porozmawiamy, profesorze — powiedziałam. — Zmęczyłam się, a jeszcze muszę napisać list do Uniwersytetu.

— Przyjdziecie do mnie jutro? — błagalnie rzekł prorektor.

— Oczywiście, będziecie się podpisywać jako świadek.

Dymitr kiwnął i przegnał tłum.

— Artefakcik się przydał — powiedział Otto, kiedy brnęliśmy do naszej kwatery. — Ten przeciwko umarlakowi.

— Prawda — kiwnął Irga. — Umarlaka nie da się tak po prostu uspokoić, długo byś się z nim męczyła, póki by cię nie zżarł. Dobrze, że od razu zrozumiałaś, co trzeba zrobić.

Pokiwałam głową ze zrozumiałym wyrazem twarzy i zapytałam:

— A które z nich było umarlakiem?

Irga rześko się zatrzymał i popatrzył na mnie, mrugając w oszołomieniu. A potem zaczął się śmiać. Jego śmiech bardziej przypominał histerię, dlatego walnęłam nekromantę w plecy i powiedziałam:

— Co w tym śmiesznego?

— Oni wszystko przemyśleli — wyjawiał Irga, wycierając łzy. — Znaleźli umarlaka i zaciągnęli go na poligon. Ominęli sędziego. Ożywili i

rozłócili potwora. Ale jednego nie uwzględnili — że nie rozpoznasz umarlaka! Jak zdałaś nekromancję?

— Jak?! Jak?! Przypomnieć ci? Kopałam ci grób, a ty pisałeś mi praktykę.

— Nie kopałaś mi grobu — dławiąc się od śmiechu, zauważył Irga. — Ale to nie ważne.

Kichnęłam. Strasznie zmarzły mi nogi i bolało całe ciało.

— Zachorujesz — uprzedził Otto.

— Co jeszcze — rzekłam uparcie.

— Nie zachoruje — powiedział Irga. — Ja ją poleczę.

— Tylko w czasie leczenia za bardzo nie skrzypcie łóżkiem — odpowiedział Otto. — Chcę spać, bo dzień ciężki był.

— Oczywiście — współczułam. — Zabił dziewięciu zombie i jednego umarlaka. Zameczył się, biedaczek!

— Przeżywałem za ciebie! — oburzył się półkrasnolud. — To bardzo ciężkie zajęcie.

Oczywiście, nie skrzypieliśmy łóżkiem. Długo uwalniałam się od mułu, kawałków zombie i gliny w wannie, potem Irga napił mnie jakąś specjalną herbatką, natarł całe ciało szorstką gąbką i owinął kołdrą. W połowie tej procedury już spałam, jak zabita.

Wszystkie zaplanowane lekcje były świetne. Studenci, porażeni moją wczorajszą szybkością, zachowywali się zajedwabiście. Nikt nie wątpił, że

mogę kogoś przekląć. Otto grzał się w promieniach mojej sławy i był zadowolony jak kot.

— Ot zobaczysz — powiedział mi w czasie drogi do gabinetu prorektora. — Jeszcze dla ciebie wyciągniemy pieniądze. Za szkodę moralną.

— Pieniądze są dobre — powiedziałam, miłościwie głaszcząc kartki listu, opisującego przebieg incydentu.

To sprawozdanie pisał w natchnieniu Otto, kiedy ja opowiadałam studentom o nowoczesnych wyrobach artefaktów. Trud warty był chodzenia do biblioteki. Wyglądałam na niewinną owieczkę, niosącą światło wiedzy złym, kłamliwym i niegodziwym demonom. Kiedy czytałam twórcę Ottona, zachciało mi się płakać — tak zaczęłam sobie współczuć. Przedstawieni studenci wyzwalali pradawny gniew.

— Jestem pewny — powiedział półkrasnolud. — Że to sprawozdanie wywrze na naszym koledze Dymitrze pożądany efekt.

— Nie rozumiem gdzie nauczyłeś się tak ładnie pisać — wyznałam.

— Jak to "gdzie"? — oburzył się Otto. — A kto przez pięć lat pisał wyjaśnienia na Uniwersytecie? Sprawozdania z praktyki? Tak każdy stanie się pisarzem.

— Ja się nie stałam.

— Dlatego, że podchodziłaś do wyjaśnień bez duszy, jak do dokumentów — wyjaśnił przyjaciel. — Uniwersytet daje nam dużo możliwości do rozwinięcia swej twórczości, tylko chodzi o to, żeby je

zauważyć.

Przypomniałam sobie, że naprawdę przepisywałam od Otta wszystkie wyjaśnienia, pilnując zwłaszcza, żeby przyczyny, naruszające zasady Uniwersytetu, znaczyły w moim wyjaśnieniu to samo, co u półkrasnoluda.

— Nie chcecie się przejść do naszej galerii? — prorektor oczekiwał nas przy gabinecie. — To bardzo spokojne miejsce. Wiszą tutaj portrety ludzi i innych ras, które dużo zrobiły dla Uniwersytetu, lub zrobili coś opuszczając mury — Dymitr się uśmiechnął. — Bardzo możliwe, że powiesimy tutaj i wasz portret, Olgierdo.

— Jeszcze mi pomnik za życia postawcie — zaproponowałam sarkastycznie. — Czym zasłużyłam na taką cześć?

— Pokazaliście nam, że można wojować nie tylko praktyczną magią. Przyznaję się, że mało zwracamy uwagę na magię praktyczną podczas nauki studentów. Spróbujemy te niedociągnięcia naprawić jak najszybciej.

— Cieszę się — moją uwagę przyciągnął jeden portret. Żeby lepiej się przyjrzeć podeszłam bliżej.

Na portrecie widniała młoda dziewczyna z gęstymi czarnymi włosami. Na przyjaznym licu świeciły, jak dwa jeziora, ogromne niebieskie oczy. Pulchne wargi aż prosiły się o pocałunki, a zadarty nosek zadziornie się marszczył. Kogoś mi przypominała, ale kogo?

— Podziwiacie? — zapytał Dimitr, zdążywszy szybko przeczytać nasze sprawozdanie. Najwidoczniej, na profesora podziałały pisemne męki krasnoluda, robiąc piorunujące wrażenie.

— Kto to?

— Iriada Iskalska. Kiedyś ją uczyłem, była moją ulubioną studentką. Utalentowana magiczka.

— Wiem — powiedziałam.

Przechodziliśmy przez Iriadę Iskalską na lekcjach historii magii. Bardzo silna magiczka, która ceną życia uratowała całą Rorritorię od umarlaków. Wtedy, osiemnaście lat temu, w Zmierzchowych Górach powstało coś podobnego do państwa umarlaków, które przygotowywało napaść na najbliższych sąsiadów. Na ich nieszczęście, miejsce otworzenia portalu, który przerzucał armię umarlaków, znajdowało się blisko miasteczka Iskal. W miejscu portalu Iriada zebrała potrzebne zioła i szybko przejęła nad tym kontrolę. Co zrobiła magiczka - było zagadką dla magów, którzy przybyli na miejsce ogromnego wyrzutu energii. Ale najważniejsze — portal był nie tylko zamknięty, ale i zlikwidowany praktycznie z całą armią umarlaków. Iriadę rozniosło na strzępy.

— Po prostu na oficjalnych portretach wygląda inaczej — powiedziałam.

— Tak — potaknął prorektor. — Tutaj jest studentką, a na oficjalnych portretach — zameżną damą, szacowną matką rodziny. A czy wiecie, że po ślubie Iriada nosiła nazwisko Irronto?

Opadła mi szczęka. Potrząsnęłam głową, żeby poukładać myśli w porządku. Matka Irgi? Ale to niemożliwe! On nigdy...

— Wydaje mi się, — powiedział chytrze prorektor — że jesteście w przyjacielskich stosunkach z jej jedynym synem?



— Moje osobiste życie was nie dotyczy — odpowiedziałam.

Otto podszedł do portretu i zakrył dłońmi twarz dziewczyny, zostawiając tylko oczy. Takie same jak Irgi... A raczej Irga miał takie same oczy jak jego matka.

— Syn szlachetnie poszedł w matkę — powiedział prorektor. — Nigdy nie napisałby skargi przez jakieś wydarzenie, a załatwiłby sprawę sam.

Więc po to był zrobiony ten spektakl!

— Irga naprawdę jest szlachetny — zgodziłam się. — Jaka szkoda, że nim nie jestem! Strasznie lubię się skarżyć, szczególnie, jeśli cierpi na tym moja duma. Wy, na pewno, słyszeliście o moim nauczycielu Befie?

Dymitr nerwowo przełknął ślinę. Oczywiście, że słyszał o Befie! A kto by nie słyszał o jednym z najsilniejszych magów bojowych, który przekwalifikował się na nauczyciela magii teoretycznej?

— Miał taką wielką nadzieję, że pobyt przebiegnie bez incydentów — westchnęłam. — Co nic, ukochana studentka!

Otto mrugnął do mnie wesoło za plecami profesora.

— I naniesiono mi taki moralny uszczerbek! — westchnęłam. — Nie mówiąc już o tym, że moje ubrania zmieniły się w łachmany. Ta, myślę, że nauczyciel tego nie zrozumie. W końcu chciał ze mnie zrobić specjalistę nadawania magicznej energii, a nie unicestwiania umarłaków...

— Pokazaliście się z dobrej strony — przymilnie powiedział prorektor.

Żałośnie ściągnęłam wargi.

— Powiedzcie mi, czy suma dziesięciu złotych zrekompensuje wasz moralnych uszczerbek?

— A materialny? A wizyty u uzdrowiciela?

— Dwadzieścia złotych.

Suma była bardzo duża, ale w tym czasie przypomniałam sobie, że dziesięć złotych muszę oddać Świątyni Szczęścia. A i Otto musi dostać swoją część za sprawozdanie.

— Podpiszecie się nad sprawozdaniem?

— Dwadzieścia pięć złotych — powiedział Dymitr takim tonem, że było wiadomo, że to ostateczna suma.

— Dobrze.

— I obiecujecie zapomnieć o tym maleńkim incydencie w ścianach naszej naukowej instytucji?

— Wy o tym, że nie przygotowaliście studentów do spotkania z Mistrzami Artefaktów? Czy o tym, że na lekcje powinni przychodzić tylko ci, którzy byli wcześniej zorientowani w wymianie? Albo czy profesorzy Uniwersytetu także nie pofatygowali się obejrzeć przywiezionych artefaktów? Ale chyba na pewno o tym, że za zgodą wysoko postawionych uniwersyteckich profesorów zostały naruszone zasady magicznego pojedynku?

Otto gestami pokazał, że już wystarczy.

— A tak w ogóle to mam kobiecą pamięć — uśmiechnęłam się do bladego prorektora.

Kiwnął i wyciągnął z torby sakiewkę.

— Pozwolicie, że sprawozdanie zostawię sobie?

— Zostawcie — wielkodusznie machnęłam ręką.

— A kopia jest?

— Nie.

Prorektor westchnął z ulgą.

— Wyjeżdżacie jutro rano, tak? Dzisiaj damy wam spis tych, którzy chcieliby pojechać na zapoznawczą wycieczkę do waszych mistrzowni i, być może, zostaną na zasadzie wymiany.

Rozstaliśmy się wszyscy zadowoleni. Dowiedziałam się, gdzie mogę znaleźć Irgę, ponieważ musiałam z nim niezwłocznie porozmawiać.

— Zrób to tylko taktycznie — poradził Otto. — W końcu to była jego matka.

— Ale dlaczego mi o tym nie powiedział?! —

— Pewnie dlatego, że miał ku temu powody... — mądrze zauważył półkrasnolud.

Irga męczył się w gabinecie nad świstkami.

— Oto ona – nekromancja robota! — wyzalił się nam, przypatrzył się dobrze i zapytał:

— Co się stało?

— Byliśmy w galerii...

Irga zepochmurniał.

— Prorektor zaczął się przechwalać? To jego konik...

— Widzieliśmy tam portret twojej matki. O, Irga, dlaczego mi o niej nigdy nie mówiłeś?

— Mówiłem. Nawet śpiewałem ci kołysankę, którą ona śpiewała mi.

— Ale ty nigdy...

— Dlatego że! — od razu krzyknął Irga — Dlatego, że ona jest dla was Iriadą Iskalską! A dla mnie po prostu matką! Zrozumiano? Po prostu moją matką!

— Uspokój się — spróbowałem objąć nekromantę, ale się wyrwał i przyłożył głowę do szyby. — Rozumiem, że była dla ciebie najlepszą matką.

— Byłem tam — powiedział głucho Irga. — Byłem tam kiedy to się stało. Ona kazała mi uciekać, a sama... Wiele lat zastanawiałem się, dlaczego to zrobiła? Dlaczego nie uciekła ze mną? Czy to naprawdę było ważniejsze ode mnie? Od nas?

— Ile miałaś wtedy lat?

— Sześć — wyszeptał Irga. — Obiecała dać mi brata! Obiecała, że nigdy mnie nie porzuci i zawsze będzie kochać...

Objęłam go i szepnęłam:

— Ona cię bardzo kochała.

Irga milczał, a potem się przyznał:

— Ojciec zachowywał się po jej śmierci jakby postradał zmysły. Szukał sposobów, aby ją wskrzesić, przywrócić ją, choć na trochę. Wiele odkryć w dziedzinie nekromancji zostało dokonanych właśnie przez to. A potem namówiłem go do żeniaczki, dlatego, że przez cały czas chciałem jeść, a sąsiadka piekła takie dobre pierożki!

Irga odwrócił się do nas i błysnął oczami:

— Tylko nie śmiejcie litować się nade mną! To sprawa minionych dni.

— Dlatego wstąpiłeś do naszego Uniwersytetu?

— Tak, dlatego, że dla wszystkich tutaj byłem synem tej samej. A w Czystiakowie Irga Irronto nie miał nic wspólnego z Iriadą Iskalską.

— A ja myślałem, że przyjechałeś do nas przez tą waszą złośliwą pogodę — rozładował sytuację Otto.

Nekromanta się uśmiechnął. Z jego oczu zniknął ból i znowu przypominał Irgę, którego znałam.

— To też. Chodźcie, odprowadzę was.

Półkrasnolud dreptał przed nami, smarkając i burcząc. Irga zmusił mnie do zwolnienia i zapytał:

— Można zaprosić cię w gości?

— Oczywiście, a gdzie?

— Do mojego pokoju. Mieszkam sam, tam jest przytulnie. Herbata jest, a twoje ulubione ciasteczka kupimy.

— A potem będę wracać w tej złośliwej pogodzie do pokoju? Bee.

— A czemu wracać? Jestem pewny, że spodoba ci się moje łóżko...

— Tak? No dobra, zgadzam się!

Zadowolony Irga przyciągnął mnie do siebie.

— Ola — przerwał nam ochryply głos Ottona. — Popatrz!

— No co tam jeszcze — zapytałam i przetarłam oczy. Po ulicy, nie zwracając uwagi na deszcz i kałuże, szybko szedł do nas Bef.

— Ty też to widzisz? — zapytał półkrasnolud.

— Tak — powiedział Bef. — Wszyscy razem. Co się tu u was stało?

Nie wytrzymałam i uszczypnęłam jego togę.

— Olgierdo, przestań żartować. Jestem żywy i w ciele.

— Co profesor tu robi?

— Doszły do mnie słuchy, że dzieje się tu coś ciekawego.

Teleportowałam się.

— Teleport... — teleportacyjne punkty były w każdym większym mieście, ale cena usługi była taka, że magowie woleli jeździć końmi albo kareta. Samo zaklęcie teleportacji odbierało magowi tyle sił, że używali go tylko w wypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa. A i tak mieli małą gwarancję, że dotrą do celu, a nikt nie chciał zostać wyrzuconym z portalu

nie wiadomo gdzie.

— Co się u was dzieje? — zapytał Bef, wyrażając całą swoją sylwetką: "Wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem, że w coś wdepniecie!".

Poczułam w kieszeni sakiewkę z pieniędzmi i powiedziałam:

— Nic specjalnego. Po prostu pokazywałam miejscowym, jak pracują nasze artefakty w prawdziwych sytuacjach. Naprawdę, profesorze! Spójrzcie, że jesteśmy nadal w oficjalnych rzeczach! A dzisiaj będzie gotowy spis chętnych na wymianę.

— "Pokazywałaś miejscowym, jak pracują nasze artefakty w prawdziwych sytuacjach"?! A jak?! I coś ty narobiła?!

Rozejrzałam się za pomocą, ale pomoc tchórzliwie tarłosiła brodę, chowając się za plecami Irgi.

— Unicestwiłam na treningowym placu dziesięciu zombie na zakład. I wygrałam — szybko oświadczyłam.

— Tak — powiedział Bef. — Tak.

Naprawdę od pozbawia daru mowy.

— Co prawda to nie było trudne — przymilnie patrzyłam mu w oczy. — Jestem cała i zdrowa. Spójrzcie, że mam nawet wyprasowaną togę!

Odciągający uwagę manewr nie podziałał. Znałam ten wyraz twarzy profesora. Oznaczało, że teraz dostanę po pełnym programie.

— Odnosicie się do mnie jak do dziecka! — nie wytrzymałam. — Muszę szybko dostać dyplom! I, nawiasem mówiąc, przeszłam kurs bojowej

magii!

— A kto łąził za mną, błagając, żebym pogadał z profesorem i postawił „byle co”? — powiedział złowieszczo Bef.

— No i co?! — broniłam się. — I tak mi się ten kurs nie podobał! Nic z niego nie pamiętam... Oj! To znaczy chciałam powiedzieć...

— Pójdę teraz odwiedzić mojego kolegę Dymitra i zabrać listę! — krzyknął Bef. — A wy marsz po rzeczy i czekacie na mnie przy teleportacyjnej wieży! Zajmę się wami w domu! Samowolka!

— Profesorze... — zawylałam.

— Nie jęcz! — odparował i poszedł w stronę Uniwersytetu.

— Nakryję talerzykiem naszą herbatę... — westchnął Irga.

Ale mnie interesowała inna rzecz.

— Dziękuję za pomoc, przyjacielu! — jadowicie zwróciłam się do Ottona.

— Ale co ja?! — usprawiedliwiał się. — Nawet słowa nie zdążyłem wymówić.

— Będziesz wyjaśnienia pisał!

— Będę, oczywiście. Za kogo ty mnie masz?

— Może pójdziemy teraz do mnie? — bez nadziei zaproponował Irga.

— Jeśli Bef nie znajdzie mnie przy wieży, to oderwie mi łeb.

— Stwierdzam, że nie potrudziło by się poleżeć w łóżku pod



pościelą — powiedział Otto.

— A ty lepiej milcz.

— Myślisz, że ja chcę tak szybko wracać?! — odgryzł się półkrasnolud. — Może ja także mam przyczyny, żeby nie być teraz w mieście!

— Bardzo ciekawe, jakie?

— Uważaj, bo ci powiem!

— No to nie mów!

— No to nie powiem!

— Nie trzeba!

— Ja nie jestem inicjatorem, a wy się nie podrzecie! — zawył Irga protestując.

— A żeby was wszystkich! Mężczyźni!

Otto dumnie się odwrócił.

Siedzieliśmy na ławce przy wieży i czekaliśmy na Befa. Irga siedział między mną a Ottonem. Nie zamierzaliśmy się godzić. Półkrasnolud wyglądał na obrażonego, a ja demonstracyjnie nie patrzyłam w jego stronę.

— Załatw sprawę z moimi znikającymi listami — przypomniał mi Irga, zauważywszy nadchodzącego Befa. — Nikt nie może ich przeczytać oprócz ciebie. Więc szukaj poparzonych palców. Nawet z pomocą uzdrowicieli będą się źle leczyć. Staralem się chronić prywatność...

Kiwnęłam. Nawet nie musiałam szukać, od kiedy dowiedziałam się o zaklęciu nałożonym na list. Moja dawna „przyjaciółka” Marta już miesiąc chodziła z zabandażowanymi rękami, unikając wszelakich pytań.

— Ciekawe — powiedziałam. — Kogo przekupiła, żeby przechwycić listy? Listonosza czy dyżurnych?

— Listonosza — odpowiedział Otto. — Samotnego łatwej przekupić. Ot uparta dziewczyna, dobrze wie, że nie może odczytać listów, ale i tak je kradnie!

— Nigdy bym tak nie zrobiła.

— Pieniądzy żałujesz? — zainteresował się Irga.

— Tego też. Po co tracić pieniądze, jeśli jest mnóstwo sposobów, żeby dowiedzieć się o zawartości bezpłatnie?

Nekromanta spojrział mi w oczy i uśmiechnął się:

— Kiedy pójdziesz odebrać listy, to proszę, uniknij mordobicia.

— Dlaczegoooo? — przeciągnęłam. — Bez mordobicia będzie tak jakoś nieciekawie... Co to za scena z rywalką bez mordobicia?!!

— Ona nie jest twoją rywalką.

— Wszystko jedno. Wezmę Ottona jako podporę w postaci fizycznej siły.

— Mnie nie wciągaj — pospiesznie wtrącił Otto. — Nie uczestniczę w babskich bójkach!

— Czego nie rozumiesz w miłości?

— Rozumiem miłość. Nie rozumiem jak można z zimną krwią rozwiązać problem za pomocą obicia mordercy. Wszystko trzeba rozwiązywać pokojowo.

— Nic nie rozumiesz — machnęłam na niego ręką.

— Niedawno wyznałem miłość... — rzekł nagle Otto.

— Komu? — zdziwiłam się.

— Adeli.

— Twojej nauczycielce elfickiego?

— Ona już nie jest moją nauczycielką! Zdałem egzamin!

— Co ona na to?

— Roześmiała się i pogłaskała mnie po twarzy jak małolata. Wstydzę się jej pokazać na oczy.

— Dlatego tu uciekłeś?

Przyjaciół potaknął nieszczęśliwie.

— Zrozum, Otto — powiedział poważnie Irga. — Póki uczysz się w Uniwersytecie jesteś dla niej studentem, nawet jeśli ona cię już nie uczy. A miłość między studentami a nauczycielami jest zakazana, przecież wiesz. Pocierp z rok jeszcze i spróbuj znowu.

— Tak myślisz? — ożywił się Otto.

— Jestem pewny.

Półkrasnolud popatrzał na mnie. Wzruszyłam ramionami.

— Spróbować zawsze można.

Bef delikatnie odkaszlnął, zmierzając do nas po stopniach.

— Żegnacie się? Irronto, nie róbcie takiej nieszczęśliwej miny, nie zabiję waszej ukochanej!

— Dziękuję — powiedział Irga. — Bardzo się z tego cieszę.

— Ale i tak dostanie za swoje — obiecał profesor. — W celach edukacyjnych.

Skrzywiłam się. Lepiej spotkać się z dziesiątką zombie, niż z tym, co czekało na mnie na Uniwersytecie.

„Zaniosę pieniądze do świątyni, kupię nową spódnicę, upiję się i wypoleruję Marcie rogi” — zrobiłam plan roboczy, który zaliczę po tym, jak przejdę przez to co przygotował dla mnie Bef. Rozweseliwszy się, pocałowałam Irgę i śmiało wkroczyłam do portalu.

## ***Rozdział 2***

### ***Zęby, pazury i wizgi***

Wróciłam z Rorritora przepelniona bogobojnym oburzeniem. Jeszcze do czego doszło, żeby któraś zabierała się za coś, co należy do mnie! Która

chciała mnie zabić! Ale sprawiedliwy porachunek trzeba było odłożyć — profesor najwyraźniej wymyślił mi kazań.

Wyszłam z jego gabinetu, jeszcze bardziej utwierdzona w tym, że trzeba w końcu przerwać nerwowe napięcie, kumulujące się przez ostatni tydzień.

— Ola — powiedział ostrożnie Otto. — Zanim pójdziesz na rozprawę, dowiedz się czy to naprawdę Marta kradła listy Irgi...

— Oczywiście, że Marta! — oburzyłam się. — Po pierwsze chodzi z zabandażowanymi rękami, a nekromanta napomknął, że na listach jest zakłęcie ognia. Po drugie, dawno się oblizuję na widok Irgi, nawet powiedziała mi, że jest jej przeznaczony na podstawie jakiegoś horoskopu. Po trzecie, jej po prostu nie lubię.

Półkrasnolud westchnął.

— Najpierw porozmawiaj z listonoszem, a dopiero potem idź załatwiać sprawę z Martą. Przynajmniej będziesz wiedziała dlaczego dajesz jej po mordzie — ot tak czy za coś konkretnego.

— A co, jest różnica? — zdziwiłam się.

— Oczywiście! Najważniejsza! Kiedy urządzasz sobie skandal ot tak, to, po pierwsze, musisz coś wymyślić. A po drugie możesz nie mieć racji, więc musisz mieć coś na swoją obronę. A jeśli rozprawiasz się za pomocą siły fizycznej, to trzeba także skrzyknąć kogoś do pomocy. I do moralnej podpórki.

— Nie potrzebuję pomocy — machnęłam ręką. — Sama się rozprawię

z tą bladą niemocą.

— Coś za bardzo się napaliłaś — zauważył przyjaciel. — Zobaczysz, jeszcze trafi kosa na kamień.

— Nie kracz! — krzyknęłam i poszłam szukać listonosza.

Chłopak znalazł się od razu. Z wysiłkiem taszczył torbę z korespondencją, gubiąc przy tym listy na drodze. Najwidoczniej dostawa listów go nie uszczęśliwiała.

— Interesują mnie pisma z Rorritora, adresowana do Olgierdy Lachy — od razu wzięłam byka za rogi.

Oczy listonosza się zaszklily i monotennie rzekł:

— Nic nie wiem, o takich listach.

Zamyśliłam się. Widać było, że zahipnotyzowali chłopaka. Nie byłam silna w magii mentalnej, więc nie wiedziałam co robić. Dlaczego od razu się nie domyśliłam, że listy mogą być przechwytywane, a ja ciągle czekam i czekam, że dostarczą mi świstki w same ręce? Jak rozumu nie ma, to bierz za kalekę!

— Listy! — powiedziałam wyraźnie. — Gdzie są moje listy?

— Przynoszę wszystkie listy pod wskazany adres — znowu wydusił monotennie listonosz.

Dobra! Przecież jestem studentką piątego roku! Wkurzyłam się i wypowiedziałam zaklęcie, które według mnie miało zerwać mentalną więź z obiektem. Rezultat był wielce nieoczekiwany.

— Aaaaa! — wrzasnął listonosz, łapiąc się za głowę. — Jak ja nienawidzę magów!

Z tymi słowami pomknął do wyjścia z miasteczka z taką szybkością, jakby gnało za nim stado głodnych wilków.

— Czego się przyczepiasz do mężczyzn? — zapytano mnie. — Jeśli chcesz miłości, to się lecz!

— Cześć, Trochim! — odpowiedziałam znajomemu. — Ot, chciałam się dowiedzieć, gdzie się podziewają moje listy.

— I co, udało się? — ze śmiechem zapytał przyszedły mag praktyk.

Ściągnęłam wargi. Jeszcze się gadzina znęca!

— Zawsze ci mówiłem, że nie można tak do mężczyzn bezpośrednio — powiedział Trochim. — Trzeba ich uwieść, pieścić, uszczęśliwiać... A ty od razu jak cegłą po głowie i myślisz, że komuś to się podoba?

— Komu trzeba, temu się podoba! — odgryzłam się. — Lepiej byś doradził co robić.

— Miłość upłynnia mózg — smutno stwierdził Trochim. — Poszedłbym na pocztę i urządził awanturę. A tam by się już rozprawili. Sprawiedliwie i gniewnie.

— Dzięki! — ucieszyłam się i popędziłam do miasta.

— Znowu terytorium magów! — wywróciła oczami naczelniczka poczty, przeczytawszy moją skargę. — Nikt nie chce u was pracować! To w żaby zamieniacie, to deszcz nasyłacie, a teraz paracie się hipnozą? I tak już

płacę im podwójne stawki za tą robotę!

— Więc chrońcie waszych ochotników! — oburzyłam się. — Dajcie im choć zwykły prościutki artefakcik! Ja też jestem poszkodowaną stroną!

— Na artefakty w budżecie nie ma środków! — odcięła się naczelniczka. — Załatwajcie to między sobą!

— Dobrze — poczułam się jak detektyw. — Idę pisać skargę do władz miasta.

Naczelniczka się skrzywiła.

— Jeśli poczekać na mnie na korytarzu, to spróbuję załatwić waszą sprawę.

— Bardzo możliwe, że będziecie potrzebować specjalisty od magii mentalnej... — zaryzykowałam dać jej poradę.

— Mamy — wyniośle odpowiedziała naczelniczka. — Czy naprawdę myślicie, że to pierwszy przypadek kiedy są w ten sposób zabierane listonoszowi listy?

Szybko dostałam opis magiczki, która zaczarowała listonosza. Stary mag, zdejmując mentalny blok z chłopaka, wydał mi świstek z poświadczeniem i westchnął:

— Co, chłopakiem się nie podzieliliście?

— Aha — potaknęłam, wpatrując się w świstek.

— Młodość, młodość... — westchnął mag. — Żeby dobić swego idą nawet na przestępstwo, nawet nie ruszywszy głową.



— No właśnie. Rzucają się na cudzych mężczyzn, zaczarowują niewinnych listonoszów...

— Siłowe metody nie zawsze są wskazane — powiedział staruszek. — Ale pamiętaj...

— Dziękuję, ale mnie to niepotrzebne — bezczelnie przerwałam magowi.

On zaś westchnął i zapytał mnie:

— Uprzedźcie waszych, żeby się lepiej z listonoszami obchodzili. Jak mają pisać skargi to są szczęśliwi, ale jak mają iść tu pracować, to twierdzą, że płaca maleńka!

Kiwnęłam, chowając w kieszeń dowód winy.

— Marta! — syczałam od złości, wracając do studenckiego miasteczka. — A więc to ty! Dostaniesz ode mnie! Ja ci dam za zamierzanie się na cudzych mężczyzn! Znajdź sobie swojego i czytaj jego listy!

— Co, wchodzisz już w bojowy nastrój?

Przy budynku, gdzie mieszkała Marta czekali na mnie Otto i Trochim.

— Co tu robicie?

— Ciekawi mnie, czym się to zakończy — mrugnął Trochim. — Już porobiliśmy stawki kto kogo pobije.

— Mam nadzieję, że prowadzę?

— Nie — powiedział półkrasnolud. — Postawiłem na Martę.

— Zdrajca!

— Oceniam szansy realnie.

— Zobaczymy! — sprawdziłam chroniące artefakty i szybko poszłam do pokoju Marty.

Na dźwięk pukania w drzwi nikt nie zareagował. Dziwne, że nie przyszło mi do głowy, że może jej nie być w pokoju.

— Marta! — zawołałam. — Marta!!!

— Jest teraz na zajęciach — odpowiedziała mijająca mnie studentka. — Wróci za godzinę.

Żaden ze mnie strateg, a generałem na pewno nie zostanę! Ale za to koleżkom może się znudzi czekanie pod akademikiem na spektakl. Podłożyłam pod tyłek kurtkę i usiadłam na korytarzu w oczekiwaniu na rywalkę, starając nie zwracać uwagi na apetyczne zapachy z kuchni. Dobrze uczyć się na fakultecie Sędziów i Jasnowidzów! Narodu jak zazwyczaj zebrało się tu więcej niż u nas, dlatego, że na naszym piętrze rzadko pachnie, a raczej śmierci. Czasami nie bez mojej ręki...

Pojawienie się Marty uratowało mnie od udławienia się śliną. Zobaczywszy moją personę, podpierającą ścianę, dziewczyna z nieoczekiwaną szybkością rzuciła w stronę swoich drzwi i otworzyła je w mgnieniu oka. Spróbowałam zareagować jak bojowi magowie — skoczyć na nogi za jednym ruchem, ale brak wf-u dał o sobie znać. Gdzieś w kręgosłupie strzyknął nerw, a ja na czworakach wpadłam na zamykające się drzwi. Przy czym obecne położenie dawało mi znaczną przewagę, gdyż przeciwniczka zapierała się dwiema nogami, a ja parlałam czterema

kończynami, powoli robiąc coraz większą szparę.

— Marta! — zawylałam na jednym wydechu, przypominając sobie obraz „Baran i nowe drzwi”. — Musimy porozmawiać!

— Nie mamy o czym gadać! — z chrypką powiedziała dziewczucha. — Zabieraj się stąd!

— Zaraz! — drzwi powoli się otwierały. A Otto jeszcze gadał, co powinnam zrobić! Czasami lepiej być bardziej masywną!

— Będę krzyczeć!

— Krzycz, krzycz! — poradziłam. — Mam coś do powiedzenia tłumowi, który przybiegnie tu na twój krzyk. Obiecująca aspirantka i cudze listy kradnie!

Marta wycedziła przez zęby przekleństwo. To dodało mi sił i wpadłam do pokoju.

Dziewucha rzuciła się w stronę okna gdzie stało biurko.

— Nie podchodź! — krzyknęła, wyciągając ręce przed siebie w ochronnym geście, ale akurat nie obchodziły mnie niebieskie płomienie buchające z jej palców.

Podpełzłam do biurka i spróbowałam rozciągnąć ręce i nogi.

— Co z tobą? — zdziwiła się rywalka.

— Nie rozumiem — powiedziałam. — Dlaczego jesteś tak agresywnie nastawiona do nieszczęśliwej inwalidki?

— Jesteś inwalidką?

— A co, nie widać? — odgryzłam się, próbując zrozumieć, dlaczego mam takie odczucie, jakby prawa noga wypadła ze stawu i dynda, jak rozgotowany makaron.

— Trzeba mniej pić! — stwierdziła Marta opuszczając ręce.

— Tak, wiem o tym — burknęłam. — I robić rano ćwiczenia. Tylko mi się nie chce!

— I tej idiotce Irga pisze listy! — zasłoniła oczy rywalka.

Podniosłam się, usiadłam na krzesło i przypomniałam sobie po co tu przyszłam.

— Tak, pisze! I chciałabym je dostać z powrotem!

— Nie jesteś ich godna!

— To coś nowego! — oburzyłam się. — Nie wydaje ci się, że takie rzeczy dotyczą tylko mnie i Irgi?

— Nie jesteś godna Irgi!

— Niczego sobie nowość! A to dlaczego?

— Dlatego, że powinien mieć wszystko co najlepsze, a szczególnie dziewczynę!

— Wskazujesz na siebie? — zapytałam.

Marta skrzyżowała ręce na piersi, ze srogim wyrazem twarzy.

— Skąd kiedy wiesz, że nie jestem od ciebie lepsza? — wkurzyłam się. — Też mi się znalazła przepiękna mądralińska!

— Na pewno mądrzejsza od ciebie!

— Prawdziwemu mężczyźnie nie są potrzebne mądrale!

— Są potrzebne!

— A ja widzę, że nie grzeszysz popularnością! — zauważyłam jadowicie.

Marta poczerwieniała.

— Oszczędzam się dla jedyne...

— Który jest już dawno zajęty!

— Ty potrzebujesz go tylko dla zabawy, a dla mnie jest życiowym przeznaczeniem!

— W następnym życiu! — stwierdziłam.

— Posłuchaj, Ola — pokojowo powiedziała Marta. — Obie doskonale wiemy, że taki mężczyzna jak Irga, jest wart najlepszej kobiety, która by nie przeszkadzała mu w robieniu szybkiej kariery i nie wstydziłaby się go.

— Znaczy? — zdziwiłam się. W takim aspekcie o sobie i Irdze nie myślałam.

— Jego żoną powinna stać się dokładna, gospodarcza, obyta, mądra kobieta! Która także robi karierę, podkreślając wielkość męża.

— I przydzieliłaś tę rolę sobie?

— Tak — dostojnie odpowiedziała przeciwniczka. — Uczę się na aspiranturze, jestem ze znanej rodziny, wierna, dobrze obyta w

towarzystwie... Mam masę zalet! Zawsze wiedziałam, że razem z Irgą pasujemy do siebie.

— On chce być ze mną — powiedziałam i ostrożnie poruszyłam kończynami, oglądając pokój.

W czymś Marta miała rację. Naprawdę była lepsza ode mnie, nawet zasłonki były ażurowe, czyste, wyprasowane. Nigdzie nie stały filiżanki z pleśnią, wszystko pachniało porządkiem i czystością. Ale nekromanta nigdy nie zwracał uwagi na burdel, który robiłam w swoim pokoju! Przynajmniej mi się tak wydawało...

— Dziecko — powiedziała Marta, poprawiając gładko ułożone włosy. — Małżeństwo to nie tylko chęci. To zgoda dwóch równych osobowości. A ty nie równasz się Irdze.

— Tylko on może o tym decydować! — sprzeciwiłam się, czując jak podłoga ucieka mi spod nóg.

— Kiedy przyszłaś po listy? — zapytała mnie Marta. — No widzisz, jeszcze jeden dowód twojego niepoważnego podejścia do sprawy.

Rozłościłam się.

— Czemu się przyczepiłaś do Irgi? Wokół jest jeszcze mnóstwo dostojnych, młodych ludzi, a ty ciągle: „Irga, Irga”. Irga jest mój!

— Ty naprawdę nic nie rozumiesz — od protekcyjnego tonu rywalki zrobiło mi się niedobrze.

— Też mi ideał znalazła! — rzuciłam. — Po prostu Irga jest jedynym chłopakiem, który kiedyś na ciebie patrzył, no i wyobraziłaś sobie

niewiadomo co! Dokładna i gospodarcza! Niebieskie giry i nic więcej!

— A ty jesteś cholera! Thustą, niedorobioną, głupią alkoholiczką - cholera!

— Co??? — wrzasnęłam. — To już koniec!

Zerwałam się z krzesła i rzuciłam na dziewczuchę.

Ciągnąc się za włosy, upadłyśmy na podłogę. Wyrrywając jasne kosmyki, starałam się złapać głupolkę za nos, ale ona wyjąc od bólu rąk dotkniętych zaklęciem Irgi, próbowała przygrzmocić mi łbem o podłogę. Szybko się wywinęłam, usiadłam na babsztylu, oderwałam jej ręce od swojej fryzury i przygwoździłam je do podłogi.

— Słuchaj, idiotko — zaczęłam, ale poczułam jak aktywują się ochronne artefakty. Nie głupia dziewczyna! Próbuje uwolnić się za pomocą magii.

Puściłam jej rękę i z całej siły zdzieliłam ją po mordzie. Ta, wyjąc, spróbowała wsadzić mi łokieć w oczy, ale szybko chwyciłam jej dłoń zębami.

— Puść, suko! — wrzasnęła. — Nie gryź!

Od jej zrywu prawie wyleciały mi wszystkie zęby, ale bałam się puścić jej ręce. Póki Martę boli, to nie będzie czarować. Chwyciłam ją za włosy i spróbowałam uderzyć łbem o podłogę. Przeciwniczka, przejawiając nieoczekiwaną siłę drzemiacą w jej ciele, brykała pode mną nie gorzej od kobyły, rzucając pod moim adresem takie epitety, których nawet w karczmach nie słyszałam. Zrobiłam się bardziej agresywna. Wyplułam jej

rękę i powiedziałam:

— Oddaj listy, bo...

— Bo co mi zrobisz? — Marta przestała wierzgać, regulując oddech.

— Ja... ja... ja... — Sukin kocie, co wymyślić?

— Dostaniesz w oczy, a nie listy! — rzekła zadowolona przeciwniczka.

— No i dobrze! — powiedziałam. — Marzysz o nekromancie? Więc rozpuszczę o tobie takie plotki, że Irga będzie się bał na ciebie patrzeć!

— On nie uwierzy!

— Moja droga, tyle lat szlajam się po złych miejscach, że mogę wymyślić coś wielce prawdopodobnego i strasznego!

— Głupoty! Irga zawsze ci popuszcza i ciekawe, czym go przestraszysz.

Zamknęłam oczy. Marta miała rację, ale nie wiedziałam czym ją przestraszyć.

— Za to, co należy do mnie, — powiedziałam — zniszczę ci całe życie! Mam dużo czasu, nawet jak będę starsza to będę się wałęsać i wykorzystywać cały wolny czas. Jeszcze zobaczysz na co mnie stać!

Przeciwniczka szybkim zrywem wyrwała się spode mnie i wczepiła się pazurami w moją twarz. Od bólu pociekły mi łzy, więc pociągnęłam ją za włosy, próbując oskalpować. Wiszczałyśmy i kopałyśmy, miotając się po podłodze i przewracając rzeczy.



— Przestańcie! Przestańcie! — Otto i Trochim z wielkim trudem rozerwali nasz kłębek. Przez otwarte drzwi zaglądali ciekawscy.

— Dziewczyny! Zachowujecie się jak baby na bazarze! — stwierdził karcąco Trochim. — Przecież jesteście magami! Urządziłybyście pojedynek i wszystko byłoby cywilizowanie i pięknie!

Obrzuciłam kumpla złym spojrzeniem. On co? Znęca się? W pojedyнку nie wytrzymałabym przeciw mentalnej magii Marty.

— Oddaj jej listy — rozkazał Otto mojej rywalce. — Inaczej o twojej napaści na listonosza dowie się rada Uniwersytetu i wylecisz z aspirantury.

Dziewczyna ucichła. No to tak trzeba było ją straszyć! A ja nic wymyślić nie mogłam!

— Udław się! — rzuciła mi paczkę listów.

Nawet nie spróbowałam ich złapać — tylko mi klątwy do pełni szczęścia brakowało!

Listy rozleciały się po podłodze w śnieżnobiałe kupki. „Do Oli Lachy” — widniało na każdym liście Irgi. Schyliłam się i zaczęłam ostrożnie zbierać listy, oczekując jakiegoś wrednego pomysłu. Marta nagle zawyła, obejmując się rekami.

— Ja go kocham! Kocham! Powinien być tylko mój! Dlatego, że go kocham!

— Wybierz sobie drugi obiekt i kochaj go — poradziłam.

— Irga powinien być mój! Tak przepowiedziano! Nienawidzę cię! Nienawidzę! Dlaczego ty, a nie ja?! Dlaczego?!!!!!

Ciekawscy wyparowali, a Otto i Trochim stali zmieszani. Podniosłam ostatni list i powiedziałam:

— Też cię nie lubię, Marto. I proszę cię, żebyś nie włąziła do mojego życia, a żyła swoim. I wybrała sobie inny obiekt westchnień. Irga jest mój!

— Nie jest ci potrzebny — znowu zawyła. — Nie mogę bez niego żyć!

— Przestań robić sceny! — poradziłam, wychodząc na korytarz.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka szorstka — powiedział ostrożnie Trochim.

Wzruszyłam ramionami.

— Wszystko powinno być w swoim porządku. A manię trzeba leczyć.

Otto nagle parsknął.

— Ale się za Irgę biłaś! Szkoda, że tego nie widział!

— Nie zrozumiesz tego — obwieściłam. — Teraz jest deficyt na dobrych mężczyzn, dlatego trzeba się o nich bić.

— Też jestem dobrym mężczyzną — powiedział Otto. — Ale nikt się za mnie nie bije!

— Skąd wiesz?

Półkrasnolud otworzył usta, zamknął, znowu otworzył, zamknął i milczał zamyślony całą drogę do akademika.

### *Rozdział 3*

#### *Obudzić się sławną*

— Kto tam? — pochmurnie odpowiedziałam na dźwięk pukania.

— Ilissa.

— Jaka znowu Ilissa?

— Siostra Irgi.

Dziwne. Uczy się na Uniwersytecie już trzy miesiące, ale nigdy nie dała o sobie znać. Przy czym sama nie chciałam nawiązać z nią kontaktów, bo nie w smak mi było przypominać sobie okoliczności, przy których się spotkałyśmy.

— Wejź — ostrożnie odpowiedziałam.

— Cześć! — ciemnowłosa dziewczyna uśmiechnęła się do mnie na progu. — Przyniosłam ci ciastka do herbaty. Irga mówił, że uwielbiasz właśnie takie.

— A co jeszcze Irga mówił? — zapytałam.

— W ogóle dużo mówił — rzekła Ilissa. — A co?

— Nic.

W swoich listach Irga zawsze omijał temat siostry. Najwyraźniej miał nadzieję, że same załatwimy tę sprawę i nie będzie musiał zmuszać nas do

konwersacji. Co by tam nie było, to trzeba dobrze odnosić się do przyszłej szwagierki. Cieszyłam się po cichu, że nekromanta ma tylko dwie siostry, a ja aż cztery. "Czyli będzie miał ciężki orzech do zgryzienia", pomyślałam i poszłam do kuchni nastawić herbatę.

Kiedy wróciłam, Lissa bezceremonialnie oglądała moje dokumenty leżące na stole.

— Nie uczyli cię rodzice, że nieładnie jest zaglądać w cudze dokumenty? — zapytałam, kryjąc rozdrażnienie.

— A co, zdenerwowałaś się? — zdziwiła się. — Nie wiedziałam, że masz jakieś sekrety!

W mig pojęłam, że starsza siostra jest na całe życie. I gdzie bym nie uciekała od tego tradycyjnego obowiązku, on mnie zawsze znajdzie i da po łbie, żebym nie słabła.

— Powiedz mi, Ilissa, tylko naprawdę, po coś przyszła? Uczymy się na tym samym Uniwersytecie już od dawna, ale ty jakoś nie starałaś się odnowić naszą znajomość.

— Byłam zajęta — odpowiedziała dziewczyna, nieprzyzwoicie podjadając ciastka. — Zawierałam znajomości ze wszystkimi i ze wszystkim. A teraz przyszła kolej na ciebie.

— Pochlebia mi to — powiedziałam. — Ale dlaczego akurat teraz?

Siostra nekromanty się zmieszała i odpowiedziała:

— Ludzie pytają się o ciebie, a ja nie mam co powiedzieć.

Kiwnęłam. Mniej więcej wiedziałam o co chodzi, ale i tak mnie to nie

uszcześliwiło. Nigdy nie myślałam, że tak ciężko jest nosić brzemień sławy!

O moim mordobiciu zombie w Rorritorze razem z Ottonem zgodziliśmy się nie opowiadać, żeby nie napytać sobie większej sławy w kręgach obrzydliwych bojowych magów i durnych nauczycieli. Przy czym ostatnie przerażało nas bardziej, niż prawdopodobne wyzwania „Ze mną nie chcesz się zmierzyć?”. Bef był małomówny i mało powiedział Dziekanowi. Ale szydła w worku nie powstrzymasz. Wczoraj przyjechali pierwsi studenci z Uniwersytetu w Rorritorze. Przebywając w otoczeniu praktyków, studenci od razu zainteresowali się moją skromną personą.

Dowiedziałam się o tym dzisiaj rano, kiedy zastałam w wspólnej kuchni Riaka, ze smakiem pożerającego z czyjegoś saganek barszcz.

— O! — powiedział, szybko przetykając i chowając za plecami łyżkę. — To nie jest twój saganek?

— Nie — odpowiedziałam z zazdrością. Nigdy nie starczyło mi mojej kuchennej siły na barszcz.

— To dobrze, — ucieszył się Riak, kontynuując śniadanie. — Co narobiłaś w Rorritorze?

Zrobiło mi się zimno w kiszkach.

— A co?

— Tamtejsi przyjechali wczoraj i taaakie rzeczy gadali! Że niby rozerwałaś na strzępy gołymi rękami dziesiątkę zombie. Nasi, oczywiście, zwątpili w to, ale Rorritorianie nie przestawali pokazywać świadectw.

— Riak, a ty nie dawno nie odsiedziałeś w miejskiej straży swojej

działki?

— Skąd wiesz?

— A, nieważne — uśmiechnęłam się. — I co na to praktycy?

— Dzieciarnia uzgodniła, że się dzisiaj ciebie zapytają. Sama rozumiesz, że przecież mówili to Rorritorianie! Z jednej strony kłamać nie będą, ale z drugiej...

Wszystko rozumiałam. Studenci z Rorritora byli dla naszych praktyków niedościgłymi idolami. Przecież nawet parszywy pierwszorzecznik miał za sobą już pierwszą bójkę! A nasi zaznajamiali się z umarlakami na zajęciach laboratoryjnych.

Kiedy pojawiłam się w mistrzowni, od razu zauważyłam pierwszych ciekawskich. Grzecznie się przywitali, nie spuszczając mnie z oczu i zaczęli szeptać między sobą. Otto lekko objął mnie za talię i wyszeptał:

— Co się dzieje?

— Wczoraj przyjechali Rorritorianie i opowiedzieli jak unicestwiłam zombie. No i praktycy chcą się wszystkiego dowiedzieć.

— Aha — ucieszył się półkrasnolud. — Męczy ich zazdrość! Sami prawdopodobnie... He he... Nic im nie mów.

— Co wymyśliłeś?

Otto podniósł do góry jeden palec:

— Każda informacja kosztuje!

— Dobre sobie! Nie będą płacić za takie głupoty.

Półkrasnolud uśmiechnął się chytrze i zabrał do roboty.

Praktycy przez jakiś czas przyglądali się naszej robocie, ale w końcu nie wytrzymali:

— Eeee, Olgierda!

— Co, dzieciaczki, artefaktów chcecie? — zapytał Otto. — Zrobimy szybko, tylko zamówcie.

— Nie trzeba. Chcieliśmy się tylko zapytać Olgierdy czy to prawda, że unicestwiła dziesięć zombie jednym machnięciem?

— Nie jednym machnięciem.... – zaczęłam, ale Otto mi przerwał:

— Wiecie, że kiedy Ola jest zła to jest małomówna?! Wy tu zasypujecie ją pytaniami, a ona jeszcze obiadu nie jadła!

— Jakiego obiadu? — zdziwili się praktycy. — To rano, nie?

— A to znaczy, że nie jadła śniadania!

Studenci popatrzyli na mnie ze zdziwieniem. Ja, która niedawno zjadła dwie miski gorącej kaszy z kielbaską, spróbowałam przebudzić pradawny głód. Widocznie wypadłam przekonująco, bo jeden z praktyków, poszperawszy w kieszeni, wyciągnął jednego miedziaka i podał Ottonowi.

— Co? — oburzyłam się. — Nawet piwa sobie nie kupię za te pieniądze! A o jedzeniu mowy nie ma.

— Nie wyglądasz na mocną głowę — wyjaśnił student.

— Jestem w ostatnim stadium śmierci głodowej — wygrała moja chciwość. — Mam pokazać wam swoje zębra, żebyście mi uwierzyli?

Praktycy radośnie pokiwali.

— O nie! Tak nie będzie! — zabił ich nadzieję półkrasnolud. — Za striptiz trzeba dopłacać!

— Jaki striptiz? Sama nam to zaproponowała.

— No właśnie! Z głodu nie myśli racjonalnie! Jaka dobra dziewczyna może zaproponować coś takiego bezpłatnie?

— A tym razem dobra dziewczyna proponuje bezpłatnie — stwierdził rudowłosy student.

Otto parsknął z takim wyrazem twarzy, jakby był matką przełożoną w klasztorze dziewic.

— Nie mamy o czym z wami gadać!

— Ej — oburzył się poprzedni właściciel miedziaka. — Oddaj monetkę!

Krasnolud udawał głuchoniemego i wyciągnął kowadło.

Praktycy zgodnie wypowiedzieli niecenzuralną opinię o Ottonie i poszli.

— No i widzisz — powiedziałam. — Teraz to nic nie dostaniemy! Nie potrzebnie chciałeś więcej.

— Nic! — machnął ręką półkrasnolud. — Podgrzaliśmy właśnie interes.

Miał rację. W czasie naszej pracy w mistrzowni co rusz zaglądała kolejna delegacja coraz bardziej żądna informacji. Zsypując do kieszeni



rzeczy, przyniesione przez studentów, Otto poważnie odpowiedział:

— Tak.

— Co „tak”?

— Pytaliście się, czy to prawda, że Ola sama unicestwiła dziesiątkę zombie. Odpowiedziałem: tak, prawda.

Praktykom zaświeciły oczy.

— Jak?

— Coś mi w gardle zaschło — stwierdziłam.

Praktycy ze złością na nas spojrzeli i spróbowali nas przechytryć:

— No to nie mów! Sami spytamy Rorritorian.

— Pytajcie — wzruszył ramionami Otto. — Ale z zombie walczyła tylko Ola i tylko ona zna szczegóły.

Praktycy długo się naradzali, ale poszli, niczego nam nie dając.

— Otto — powiedziałam. — Co ty gadasz? Jakie szczegóły? Nie pamiętam nic oprócz przerażenia i tego, że trzeba uciekać, żeby zdążyć narysować ryt, a potem skręcili mi rękę, a potem zapomniałam zaklęcia...

— Widzisz, ile pamiętasz! A resztę można wymyślić!

Kiedy zjawiliśmy się na Uniwersytecie, wszyscy patrzyli na nas i szeptali za plecami. Jak na złość natknęliśmy się na mojego nauczyciela nekromancji.

— Olgierdo! — ucieszył się. — Słyszałem, że wyróżniliście się w

Rorritorze! Dlaczego nic nie mówiliście? Wiedziałem, zawsze wiedziałem, że macie wielki nekromancki potencjał. Wiedziałem to od chwili, kiedy tak błyskotliwie zdaliście nekromancką praktykę! Do tej pory leży na katedrze jako przykład dla studentów. Nie chcielibyście zmienić specjalizacji?

— Nie, profesorze! — powiedziałam. — Proszę wybaczyć, ale musimy iść.

— Dobry jest ten twój nekromancki potencjał — nie wytrzymał Otto. — W Rorritorze teraz dysertację pisze. Jak będziesz pisać lisy, to nie zapomnij wspomnieć, że praktyka, którą napisał, jest popularna do tej pory. Będzie mu przyjemnie.

— Dużo prac Irgi służy jako przykład dla studentów — odgryzłam się. — I nic nie jest złego w tym, że jedna jest podpisana moim nazwiskiem. Nawiasem mówiąc, wykopałam grób za tę praktykę.

— Naprawdę nie chcesz zmienić specjalizacji? — dalej znęcał się nade mną krasnolud. — Wyobraź sobie! Rodzina nekromantów! Można organizować romantyczne wieczory, nie zaniedbując pracy. Cichy cmentarz, piękne nagrobki, wygodnie położyliście się w jakimś grobie z winem i przekąskami...

— Nie próbowałeś pisać miłosnych opowieści? — rozzłościłam się. — Czeka cię oszałamiająca kariera!

— Dobrze, dobrze, — uspokajająco powiedział Otto. — Lepiej chodźmy do Befa, dowiemy się co robić. A jeśli twój pojedynek z zombie jest międzynarodową tajemnicą?

— Całkiem niedawno chciałeś sprzedać tę międzynarodową

tajemnicę.

— A po co są międzynarodowe tajemnice, jak nie dla sprzedaży? —  
zdziwił się półkrasrólud. — Na czym więc mają zarabiać cywile?

— Naprawdę powinieneś pracować w państwowych kręgach —  
poradziłam mu, pukając w drzwi.

— Możecie nie mówić, czego chcecie — powiedział Bef,  
wysłuchawszy naszych pytań dotyczących ostatnich wydarzeń. — Dziekan i  
Rektor od dawna o wszystkim wiedzą, a program wymiany zaczął szybko  
działać. To wszystko czego potrzebujemy. A twoje działania, Olgierdo, są  
twoimi działaniami.

Spojrzałam, jak świecą się oczy Ottona i zrozumiałam, że lepiej bym  
na tym wyszła, gdyby Bef kazał nam milczeć.

Po zajęciach przedsiębiorczy krasrólud pobiegł zbierać pieniądze od  
tych, którzy chcieli się czegoś dowiedzieć o drace w Rorritorze, a ja  
poszłam do pokoju. Nawet nie zauważyłam, że mam jakiś powód do dumy,  
choćby dlatego, że za nic w świecie nie powtórzyłabym tego, a sukces był  
spowodowany bardziej szczęśliwym zbiegiem okoliczności, niż moimi  
umiejętnościami bojowymi w dziedzinie umarlaków. Do tej pory budzę się  
w nocy przerażona, kiedy śnią mi się zombie. Taaa... Być bojowym magiem  
to nie zawód dla ludzi o słabych nerwach.

Na korytarzu akademika wpadłam na Riaka.

— Ostatnimi czasy coś cię za często widzę — burknęłam jako  
odpowiedź na powitanie.

— Chciałem cię tylko zapytać czy to prawda, że odgryzłaś głowę zombie i powiedziałaś, że tak będzie z każdym praktykiem, który ośmieli ci się podpaść?

— Co??? — poraziła mnie wiadomość. — Odgryzłam głowę zombie?

— Tak, też nie uwierzyłem — potaknął Riak.

Znowu zaczęłam być agresywna:

— Dlaczego nie uwierzyłeś?

— Dlatego, że ciężko podejrzewać cię o takie gastronomiczne przyzwyczajenia. Zombie są na pewno nie smaczne. Mimo wszystko to martwe ciało jest. Chociaż, jeśli przypomnieć sobie to, co pływa czasami w twoich sagankach...

— Zapuszczałeś żurawia do moich saganków! — oburzyłam się. — A uprzedzałam cię!

— Tylko zaglądałem — usprawiedliwiał się Riak. — Miałem wątpliwości, czy to są twoje, ale jak tylko zobaczyłem zawartość...

— Też mi wielki smakosz! — zamyśliłam się, jak dać mu nauczkę na przyszłość. — A tak w ogóle, to nie czas już abyś zakończył naukę? Odstajesz od nas.

— A mi się podoba nauka — nie obraził się Riak. — Dlaczego by nie? Tu jest ciekawie i zabawnie. A na swoim kursie jestem najmądrzejszy!

— Za pewne dlatego, że przechodziłeś ten kurs już trzy razy! — stwierdziłam.

— Dlaczego trzy? Cztery! — zachichotał praktyk. — Teraz piąty raz uczę się na czwartym kursie!

— Co nie cieszy dzieciaków — burknęłam, zamykając drzwi przed nosem wiecznego studenta.

Jednak nie dali mi odpocząć. Do samego wieczoru Otto przyprowadzał wycieczki do mojego pokoju.

— Tutaj żyje gwiazda magii teoretycznej — wyjaśniał naiwnym pierwszorocznikom. — Nie sprawia dla niej kłopotu rozerwać kilku zombie w mgnieniu oka! W tej kruchej nieporadnej figurce kryje się prawdziwy bojowy mag, nie mający wyrzutów sumienia i miłosierdzia!

Naiwniacy wytrzeszczali oczy ze zdziwienia, a tymczasem „krucha figurka” dostawała pierdolca.

— Otto — chwyciłam półkrasnoluda za poły fraka, kiedy odeszła kolejna grupa interesantów.— Jestem dla ciebie dzikim zwierzęciem w ZOO?!

— Prawie — radośnie odpowiedział przyjaciel. — Jeszcze nikt z naszych teoretyków, a co dopiero kobiet, nie był zamieszany w podobną sprawę. Opowiadam im szczegóły twojej sławnej bitwy, a oni chcą cię poznać!

— A dlaczego chcą mnie poznać tylko młodszy studenci — złagodniałam, zabierając od niego swoją część załpaty.

— Dlatego, że starsi cię znają, albo przynajmniej słyszeli o tobie. Nawiasem mówiąc, nie bardzo wierzą w tę historię.

— Chwała Niebieskim Siłom! A ja zaczynałam się bać, że mnie wyzwą na pojedynek.

Otto zakrył oczy. Zrobiło mi się zimno od złego przeczucia.

— Co?

— No, bo chcieli cię wyzwąć na pojedynek...

— Co?! Co?! Mówiłam ci, że jeśli przyjmiesz wyzwanie, to będziesz się sam bił!

— Za kogo ty mnie masz! — oburzył się półkrasnolud. — Jakbym mógł decydować za ciebie o takich rzeczach! Ja tylko organizowałem loterię!

— Możesz nie przyjmować stawek — rozzłościłam się. — Z nikim nie będę się bić!

— Dlaczego? Weźmiesz parę artefaktów...

— Dlatego, że się boję! Jarzysz, dumny łbie? Boję się! Nie jestem bojowym magiem i teoretykiem! Moja praca to ukierunkowanie magicznej energii w odpowiednie miejsce, a nie odrąbywanie głów umarłakom!

— Odgryzanie — poprawił Otto. — Odgryzanie zębami. Chodzi taka bajka...

— Słyszałam! I żadnych więcej wycieczek! Bo nie odpowiadam za siebie!

Zamknęłam się w pokoju i zaczęłam pisać list do Irgi, skarżąc się na wszystkich i na wszystko. Zazwyczaj wena opuszczała mnie już po trzech

stronach, ale to kompletnie nie dotyczyło skarg! Pisać o swoim biednym życiu mogłam godzinami i stronami. Przy tym zajęciu znalazła mnie Ilissa.

— Co mam naszym opowiadać? — podgryzając ostatnie ciastko, przerwała niezręczne milczenie.

— Jesteś bardzo podobna do swojego brata — powiedziałam. — Jak przychodził do mojego pokoju, to zjadał wszystko, co źle wyglądało. A jak znajdował to, co wyglądało jadalnie, to też zjadał.

— A co masz jeszcze do zjedzenia? — zainteresowała się Ilissa.

— Nic — odpowiedziałam, ciesząc się w duchu, że dziewczyna nie jest taka wysoka jak jej brat i nie może zajrzeć na górną szafkę.

— Dobrze, — zrezygnowała siostra nekromanty. Zamyśliła się i powiedziała:

— Myślałam... Jeśli naprawdę unicestwiłaś te wszystkie zombie, to jesteś godna mojego brata.

— A były jakieś wątpliwości?

Kiwnęła głową, czerwieniąc się.

— Zrozum, po tym, jak wpadłaś do mieszkania Irgi, rozniosłaś jego kuchnię i wpadłaś w histerię, pomyślałam: „Ale durna”! A teraz widzę, że pierwsze wrażenie było trochę mylące.

Choć wkurzyło mnie to „trochę mylące”, to nie mogłam nie poczuć sympatii do Ilissy.

— Dziękuję za szczerość — powiedziałam. — Nie pomyślałabym tak,

jeśli z samego rana nie obudziłoby mnie wycie jakiejś wariatki.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— No to co? Pokój? Będziemy rozmawiać?

— Będziemy. Tylko żadnych pytań o zombie.

— Dobra, i tak mogę się od Irgi dowiedzieć szczegółów.

Wzruszyłam ramionami.

— To wasza sprawa, a mi się po prostu znudziło być żywym eksponatem.

— Wiem — powiedziała poważnie Ilissa, głaskając mnie po rękę. — Przez Irgę i tatę. Do tej pory prześladowuje ich śmierć Iriady.

Ze zdumieniem popatrzyłam na dziewczynę. Nie pomyślałam o tym! Nagle moje skargi wydały się płytkie w stosunku do doświadczeń nekromanty! To jego trzeba żałować, a nie mnie!

Ciepło pożegnałam się z dziewczyną i porwałam list do Irgi. Trzeba napisać drugi, ale później jakoś.

Następnego dnia gdy szłam do mistrzowni, spotkałam znajomego praktyka z mojego roku — pewny siebie przystojniak, wyróżniający się na polu bitwy z księżycowymi martwiakami.

— Witaj, Zagłado Zombie, jak leci?

— Wybacz, Toron, spieszę się.

Praktyk poszedł ze mną.



— Omówiliśmy sprawę z dzieciarnią i postanowiliśmy, że lepiej będzie, jak popatrzymy na ciebie w pracy.

— Patrzcie, proszę bardzo — odpowiedziałam. — Każdego ranka jestem w mistrzowni.

— Nie, nie chodzi nam o mistrzownię. Chcemy zobaczyć jak radzisz sobie z martwiakami.

Myślałam nad odpowiedziami całą noc, dlatego teraz szybko odpowiedziałam:

— Toron, zajmowanie się martwiakami to wasza robota. A ja jestem Mistrzem Artefaktów.

— A co z opowiadaniem Rorritorian? Nie chcesz podtrzymać swojej reputacji? Ludyna może pomyśleć, że tchórzysz.

Zawahałam się. Dobrze być gwiazdą, uwielbianą przez wszystkich. Ale przypominając sobie, jak zombie wykręcały mi rękę, jak śmierdziały moje nowe spodnie, kiedy przykleiły się do nich kawałki unicestwionego martwiaka, szybko otrzeźwiło moje zapędy.

— Moja reputacja — wyjaśniłam Toronowi. — To reputacja Mistrza Artefaktów. Chciałam tylko pokazać Rorritorianom, że nie tylko siłą można rozprawić się z martwiakami. I koniec. Udało mi się to. Ale nie zamierzam znowu tego powtórzyć.

— Tchórzysz — perorował Toron.

Zebrawszy całą siłę woli, potaknęłam.

— Jesteś jak bańka mydlana — stwierdził pogardliwie praktyk. —

Piękna od zewnątrz, a jak dotkniesz od razu pęka i nie zostaje po niej śladu.

— Uważaj jak chcesz — powiedziałam i poszłam do mistrzowni.

Tam czekał na mnie wkurzony półkrasnolud.

— Wczoraj mnie skompromitowałaś — rzekł oburzony. — Dla ciebie się starałem! Kto mi tyle lat nawijał, że chce być wielką, poważaną, popularną magiczką?! Że chcesz, aby ludzie patrzyli ci się na usta i spijali z nich każde twoje słowo? A wczoraj pierwszorocznicy byli gotowi cię na rękach nosić. Więc nie trzeba było krzyczeć i drzwiami trzaskać.

— Otto — powiedziałam, ledwie powstrzymując łzy. — Nie myślałam, że będzie tak... Zrozum, ja nie chciałam takiej sławy... No jaki ze mnie zabójca zombie jest?

— Nie gorszy od innych — odciął się kumpel.

— Boję się ich. Zrozumiałam, że sława żąda stałego dokazywania, że jest się jej wartym. Oszczędźcie mi kolejnego spotkania z nimi! Pragnę cichego i spokojnego życia, w którym nie będę ryzykować swoją skórą.

Otto popatrzył w moje wypełnione łzami oczy i zmiękł.

— Po prostu tak tego chciałaś, że ja nie pomyślałem...

— Ja też nie pomyślałam. Oczywiście, że czuję się mile połączona, kiedy dzieciarnia chce mnie wystawić na piedestał, ale starszaków to wkurza! Dla nich szybko to się stanie codziennością i nie będą mnie wynosić na piedestał. Nawet nie podziękują. "Hej, jesteś praktykiem i masz obowiązek uwolnić naszą wioskę od tego cudaka! I tylko spróbuj coś sknocić to cię nadziejemy na widły!"...

Krasnolud potargał się za brodę i rzekł zamyślony:

— To zależy kto na kogo się uczy. Zachwyciłbym się bojowym magiem, który robi lepiej artefakty ode mnie.

— Naprawdę? — zapytałam z powątpiewaniem.

Otto zamyślił się.

— Nie — powiedział powoli. — Byłbym oburzony. Zły. No bo jak to tak – parszywemu praktykowi udało się to, nad czym pracowałem od kilku lat?!

— O właśnie.

— Dobrze — półkrasnolud przyznał mi rację. — Jeśli wkurza cię ta sytuacja, to co zamierzasz zrobić?

Nie wiedziałam, ale miałam czas do namysłu. Parę dni później historia o mojej bitwie doczekała się takich szczegółów, że sama nie nadążałam.

Doszła do mnie jedna wredna wypowiedź, rzucona przez mijającego mnie praktyka:

— Nigdy nie myślałem, że umarlaka można pokonać jednym pstryknięciem palców i miłym uśmiechem. Spróbujesz tego na mnie, Olgierdo?

Rozwiązanie przyszło na nudnej lekcji. Obudziwszy słodko śpiącego krasnoluda, nakazałam mu pisać mamrotanie Profesora, a sama znęcałam się nad zeszytem pisząc wyjaśnienia. Po zajęciach rozwiesiliśmy je po całym Uniwersytecie i akademikach.

— Napisałbym lepsze — warknął półkrasnolud.

— Wierzę — powiedziała, podziwiając swój trud. — Ale pisać notatki jest nudniej, niż wyjaśnienia.

— Zawsze dostaje mi się czarna robota — burknął Otto, czytając mój twór.

„Ja, Ola Lacha, przebywając w Rorritorze, tak naprawdę w ramach zakładu z tamtejszym praktykiem unicestwiłam dziewięć martwaków i jednego umarłego. Zostało to wykonane w celu pokazania mocy i działań artefaktów, przygotowywanych na naszym Uniwersytecie. Nie chciałam pokazać, że jestem świetnym praktykiem albo wypindrzyć się przed kolegami. Boję się zombie. Ogólnie boję się martwaków i siły nieczystej, włączając w to te udomowione. Jestem teoretykiem. Chcecie poznać moje stanowisko w dziedzinie artefaktów lub rytów, to spytajcie. Chcecie wyzwać mnie na pojedynek twierdząc, że jestem słabeuszem, żebym pokazała mój bojowy potencjał – proszę bardzo, boję się! Z trudem zdałam magię bojową, nie potrafię trzymać miecza w rękach, ale za to mogę postrzelić z arbaletu każdego, kto będzie zadawał głupie pytania. Dziękuję za uwagę”.

— Głupi tekst — stwierdził Otto. — Jeszcze tym sobie nagrabisz.

— Przeciwnie — powiedziała. — Okryłam się sławą prawdomównego człowieka! W naszych czasach jest to większą rzadkością, niż teoretycy, odgryzający własną, wstawioną szczęką szyję ożywionego martwiaka.

— Nie wiedziałem, że masz sztuczne zęby — zdziwił się półkrasnolud.

— Tak uważają ludzie. Po prostu naturalne nie wytrzymałyby takich ekscesów.

Półkrasnolud się zamyślił.

— Tylko nie przyprowadzaj do mnie żadnych wycieczek! — powiedziała podejrzliwie.

— Nie myślę o wycieczkach — odrzekł roztargniony Otto, coś licząc na palcach. — Idę, praca wzywa.

Wieczorem znowu przysła do mnie Ilissa. Wesóło trajkotała o wyprzedazy w sklepie w miasteczku studenckim, ale kiedy straciłam czujność i poszłam po herbatę, siostra Irgi pokazała swoje prawdziwe oblicze. Wróciwszy zastałam Ilissę stojącą na taborecie i z pasją szperającą na górnej szafce.

— Co ty robisz? — oburzyłam się.

— Irga napisał, że chowasz tam najsmaczniejsze rzeczy — zaczerwieniła się.

Ucieszyłam się, że może się czerwienić w przeciwieństwie do żarłocznego nekromanty, który nigdy nie wstydził się pożerając moje zapasy.

— Irga ma — powiedziała słodkim głosem — stare wiadomości!

— Aaa — rozczarowała się Ilissa. — Po prostu on pisał, że masz tak dobre rzeczy, że nawet takich w sklepie nie kupisz. Tęskni za nimi.

— Ślę mu pozdrowienia! — powiedziała. — Jak tylko zaczniesz tęsknić za mną, a nie za moimi zapasami, to wyślę mu trochę moich łakoci.

Kiedy parę minut później wpadł do mojego pokoju Otto, Ilissa już od jakiegoś czasu robiła z siebie dystygowaną damę, dławiąc się twardymi jak kamień sucharami, których nie pożałowałam dać jej z półki z napisem „NZ”.

— Oto — z entuzjazmem rzekł krasnolud. — Produkcja limitowana! Zarobimy dużo kasy.

Otto trzymał groźnie wyglądającą szczękę z napisem: „Ola poleca. Najlepszy środek przeciw zombie. Instrukcja obsługi: podejść do zombie i przegryźć jego szyję danym przedmiotem.

— Zaraz wypróbuję to na twojej szyi! — oburzyłam się.

— Dobra, dopiszę przeciwwskazania — zaśmiał się Otto. — „Zabronione jest używanie na krasnoludach”. Za to popatrz, jaka to rzecz!

Zmiażdżył szczęką najtwardszy sucharek i bezceremonialnie wsadził sobie okruszki do ust.

— Otto! — zaprotestowałam. — Po moim trupie.

— To bardzo łatwo zorganizować, ale przyznaj, że pomysł jest pierwsza klasa! — odpowiedział półkrasnolud, entuzjastycznie niszcząc moje NZ.

## ***Rozdział 4***

### ***Sprawy zawodowe***

Otto zastał mnie przy wążaniu saganków.

— Co ty robisz? — zdziwił się.

— Próbuję rozpoznać czy zupa skisła czy nie. Tylko co wyżłopałam pół saganka i zaczęłam podejrzewać, że... — odpowiedziałam.

— Nie przezywaj — powiedział ze współczuciem Otto. — Posiedzisz trochę tam, gdzie król piechotą chodzi... Ale za to kiszki przeczyścisz.

— Dobrze ci tak mówić! A jeśli mi się na ulicy zachce? Zima jest, za chłodno, żeby chodzić w krzaki!

— Nie potrzebnie odnosić się tak delikatnie do swojego miękkiego miejsca — mentorskim tonem zauważył krasnolud. — Mróz nie jest aż tak duży, a jakby co, to zakryję cię od ciekawskich spojrzeń.

Wyobraziłam sobie taki obrazek i mimowolnie wzdrygnęłam się.

— Nie trzeba, lepiej wezmę jakiś proszek od Liry.

— Samodzielne leczenie...

— Co nadepnęło na twoją moralność? — zapytałam, robiąc burdel w zapasach sąsiadki.

— Po prostu — westchnął półkrasnolud — się martwię. Blondyn przysłał list. Zaprasza na spotkanie zawodowe.

Zakaszlałam, dlatego proszek nie poleciał w „tę” dziurkę.

— "Spotkanie"?

— Zaproponował, żebyśmy przyszli i obgadali jak rozwinąć alkoholowy interes — przyjaciel podał mi list.

— Wiedziałam, że prędzej czy później tak się skończy — spochmurniałam. — Jeszcze na Letnim Balu uprzedzał nas o swoim interesie. Co zrobimy?

— Pójdziemy na spotkanie — zdecydował półkrasnolud. — Ale nie będziemy zdradzać swojej pozycji. Przecież sama wiesz, co nas obowiązuje.

Kiwnęłam, czytając nienagannie uprzejmy list Blondyna. Byliśmy pośrednikami między właścicielami karczm i małymi roznosicielami różnych alkoholowych napitków. Krasnoludcy dostawcy nie będą chcieli mieć do czynienia z Limem. Po pierwsze Blondyn ma własne interesy i powiązania z arystokratycznymi kręgami, po drugie jego ojciec jest dobrze znany z sądów typu: „Krasnoludy do rezerwatu i młotki im do rąk”, „Uwięzić elfy w Zmierzchowych Górach, niech strzelają za ludzi”. Po trzecie apetyt Lima jest nieokiełznany, więc interes upadnie, a naszym konkurentom będzie to bardzo na rękę!

— Dlaczego przyczepił się akurat do nas? — zapytałam, walcząc z nadchodzącym kichnięciem. Przeklęty proszek! Otto miał rację, że samoleczenie jest głupie. — Nie my jedni zajmujemy się dostawą alkoholu. Tym bardziej, że nasi klienci są kroplą w morzu!

— Mylisz się, co do tej kropli — oburzył się półkrasnolud. — A o pozostałym myślałem. Jesteśmy słabi – to po pierwsze. Nie mamy bandy, która by nas obroniła własną piersią, a wszyscy nasi dostawcy znajdują się daleko stąd. Po drugie zajmujemy się maleńkimi partiami rzadkiego spirytusu. Jestem pewny, że Blondyn kupił sobie jakąś piwiarnię i chce teraz



gwizdnąć nasz biznes. Albo ktoś z jego kumpli wie, gdzie opchnąć towar.

— No to niech idzie gadać z właścicielami karczm! Zdrowa konkurencja wyjdzie im tylko na dobre.

— Oczywiście, że nie ma o tym mowy – to nie jest arystokratyczna sprawa. Lepiej przyjść na gotowe. I na dodatek, co może równać się z krasnoludzkim alkoholem? Czy ludzie mogą pędzić TAKI bimber?

— Ludzie nie tylko to mogą — rzuciłam, wspominając sąsiadkę z ulicy. Potrafiła zamienić w mocny bimber wszystko, co jej się podobało: od produktów jadalnych do zawartości kosza na śmieci. Nie zbiła na tym kokosów, dlatego, że w trakcie picia produktu ten się momentalnie rozpływał. Tym nie mniej, fakt wytwarzania takim oryginalnym sposobem samogonu zostanie cudem.

— I trzy — powiedział poważnie Otto. — On cię nie lubi...

— To nie nowość — odrzekłam. — Ciebie też nie lubi.

— To prawda — powiedział krasnolud i zaczerwienił się, wyraźnie wspominając, jak Lim próbował postawić pod znakiem zapytania jego męską reputację. — Ale ciebie nie lubi tak po prostu. Wywołujesz u niego złość i zgrzyty zębami.

— Skąd pojawiły się u niego tak burzliwe emocje? — zapytałam.

— Nie dałaś mu — prosto z mostu rzekł Otto. — Ile znasz dziewczyn który odmówiłyby Blondynowi? Jeszcze tak grubiańsko? Uderzyć w nas jest jego punktem honoru!

Złapałam się za głowę rozumiejąc, w co wdepnęliśmy.

— Może — zaproponowałam, dziwiąc się wypowiedzianym słowom — dać Blondynowi? Wtedy się od nas odczepi, co nie?

Przyjaciół wytrzeszczył na mnie oczy jak na cudo przyrody.

— Już takiego poświęcenia nie oczekiwałem... — wydusił.

— Co? Nie chcę spać z Blondynem! — rozzłościłam się. — Po prostu próbuję uratować nasz biznes wszelkimi sposobami!

— Nawet o tym nie myśl — odciął półkrasnolud. — Ten sposób jest dla ciebie zakazany!

— Tym bardziej — ciągnął, po chwili milczenia. — że jeśli Blondyn cię... eee... zaliczy, to i tak, na sto procent, nasz biznes czeka ten sam los.

Zrozumiałam, że Otto już przemyślał to, że prześpię się z Blondynem, żeby nas zostawił w spokoju. No tak... Na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

— Mężczyźni... — powiedziałam. — Dlaczego macie mózgi na bakier?

— Po prostu nasze mózgi są nie z tej strony na bakier co u was — wyjaśnił mi półkrasnolud i mrugnął. — Posiedź tu na razie, a ja z kimś porozmawiam. Na spotkanie pójdziemy przygotowani...

Siedziałam jakiś czas w pokoju przysłuchując się burczeniu mojego żołądka. Po jakimś czasie zrobiło mi się niedobrze i było jasne, że w moim przypadku samoleczenie jest nie tylko wredne...

— Proszki i inne lekarstwa — powiedziałam do swojej bladej twarzy w lustrze — to głupota! Najlepszym środkiem na wszystkie choroby jest

stanka wódki z normalną zakąską. Dezynfekcja gwarantowana!

Zdusiwszy dziwne uczucie w żołądku, poszłam do pierwszej lepszej karczmy, gdzie zamówiłam sobie najlepsze lekarstwo, jakie tylko wymyśliły istoty z rozwiniętym intelektem.

Żołądek umilkł przy trzecim łyku palącej wódki pieprzowej. Westchnęłam i zagryzłam ogórkiem. Jak dobrze!

Ale w tym momencie otworzyły się drzwi karczmy i wszedł do niej okazale Blondyn we własnej osobie. Razem ze swoją świtą.

— Będą przechodzić tą drogą, dlatego śledź przez te okna, a ty tutaj — rozkazywał. — Będę czekał na nich w „Węźle”, i żebyś wiedział, ile przywłoką za sobą szumowin!

— Blondyn — powiedział Riak. — Na ile dobrze znam Olę i Ottona, oni przyjdą razem...

— Zamknij się — warknął Lim, oglądając się. I wtedy jego oczy prawie wypadły z orbit. – Ola?!

Wylazłam spod stołu, gdzie nieudolnie chciałam się schować i spróbowałam uśmiechnąć się do Blondyna. Ot, wpadłam!

Świta arystokraty wygoniła z karczmy innych świadków i zamknęła drzwi.

— Musimy porozmawiać — powiedział Blondyn, siadając naprzeciw mnie.

Wzruszyłam ramionami i dopiłam wódkę. Jeśli umierać to z muzyką!

— Nie patrz tak na mnie — poprosił chłopak. — Chciałem porozmawiać z tobą o różnych rzeczach.

Ostrożnie kiwnęłam. Wydaje mi się, że wódka i proszek Liry zapoczątkowały jakąś podejrzaną reakcję.

— Na pewno już jakiś czas zauważyłaś, że mi się podobasz — rzekł Blondyn z takim uśmiechem, jakby nażarł się sucharów z narkotykami. — Więc, żeby nie przedłużać, proponuję ci stosunki!

Zmarszczyłam się. Wojna w żołądku rozgrywała się w najlepsze.

— Źle mnie zrozumiałaś — zinterpretował po swojemu mój grymas Lim. — Dobrze wiem, że jesteś poważną dziewczyną, i nie zgadzasz się iść na wszelkie intrygi. Dlatego proponuję ci poważne stosunki.

Tak się zdziwiłam, że od razu przestało mnie mdlić.

— Lim, jeśli zapomniałeś to ci przypominam: jestem narzeczoną Irgi.

Arystokrata skrzywił się.

— Nie proponuję ci małżeństwa. Sama powinnaś wiedzieć, że byłby z tego niezły skandal. Proponuję ci stosunki miłosne i zawodowe. Oczywiście, głównie miłosne.

— Miłooooosne — przeciągnęłam. — Jarzę.

Blondyn triumfalnie się uśmiechnął.

— Mogę dać ci wszystko: drogocенności, poważanie i kontakty w arystokratycznych kręgach... I, oczywiście, miłość. Ja, dziecinko, nie jestem ostatnim mężczyzną w tym mieście. Potrafię takie rzeczy, które twojemu

chudziutkiemu nekromancie nawet się nie śniły!

— Mdlі mnie — przerwałam Limowi, szybko wyskakując z za stołu.

Złapał mnie za rękę, ale jak zobaczył moją twarz, to od razu puścił. Dobiegłam do kibla i zamknęłam za sobą drzwi.

— Dobra — obiecałam sobie ciut później— Nigdy więcej nie będę mieszać dwóch różnych metod samoleczenia...

Płuczając usta, ostrożnie przyłgnęłam uchem do drzwi. W karczmie było głośno i wesoło.

— Klnę się na Siły Niebieskie — usłyszałam głos Riaka. — Jej naprawdę było niedobrze! Oto Blondyn! Oto przystojniak! Ale nigdy nie myślałam, że tak reagują na ciebie kobiety!!

— Zamknij się! — zaryczał Blondyn. — Wszyscy się zamknijcie! Inaczej nie wiem co z wami zrobię!

Jego kumple spróbowali przestać się śmiać, ale wychodziło im to z trudem.

— Od wódki ją zemdliło! — próbował ratować swój autorytet Lim.

— Ołę? — zapytał ktoś. — Od setki wódki? Nie rozśmieszaj mnie, Blondyn! Przecież sam wiesz, ile ona może wypić!

Sądząc po odgłosie przewracającego się stołu, Blondyn w szale podskoczył. Zrozumiałam, że teraz jest najlepszy moment do ucieczki. Obejrzałam się za siebie i skłęłam właściciela lokalu na czym świat stoi. Okienko w kiblu było takie, że mogła przejść przez nie tylko moja ręka. Ostrożnie wyglądając z za drzwi, wytyczyłam sobie najkrótszą drogę od

drzwi. Zebrałam spódnicę i na czworaka popęzłam pod stołami do drzwi, zastanawiając się nad wariantami ratunkowymi. Siły wystarczyłoby mi na znokautowanie dwóch arystokratów i ucieczkę. O reszcie nie myślałam.

— Ja wam pokażę! — pienił się Lim, dotknięty do żywego. — Ja wam pokażę! Ja ją teraz tu, na tym stole... I jej się spodoba! Zobaczycie!

— Blondyn — powiedział ostrożnie Riak — Irga za to po głowie cię nie pogłaszcze...

— Pluję na tego przeklętego nekromantę! Nikt mi nie przeszkodzi! Już za długo ta dziewczucha się pindrzy!

— Wiesz, Blondyn, ja z tobą już nie trzymam. Chcę żyć, a i po śmierci chcę spoczywać w spokoju... — stwierdził Riak, a w tyłu zgodziło się z nim kilku mężczyzn.

— Ach wy... — z trudem rozpoznawszy głos Blondyna, tak zmieniony od złości, szybciej zaczęłam przebierać rękami i nogami, zbliżając się do wyjścia i próbując nie hałasować.

— Przeprowadzić mi tu tę cholere! — rozkazał Lim.

Drzwi od kibla trzasnęły.

— Lim, jej tu nie ma.

— Jak nie ma?

— Tu jest!

Zrozumiałam, że mnie zauważyli, więc wyprostowałam się i rzuciłam się do drzwi szepcząc zaklęcie. Szpilka we włosach nagrzała się, a to

oznaczało, że zaraz polecą w moją stronę zaklęcia. Parę bariera wytrzyma, a potem... „Potem” będzie później.

Ktoś chwycił mnie za spódnicę, ale zamachnęłam się stopą uzbrojoną w but krasnoludzkiej roboty i uderzyłam w coś miękkiego. Nie miałam czasu ani siły, żeby przebić się do drzwi za pomocą magii, dlatego po prostu wyjęłam szpilkę z włosów i z premedytacją zabójcy rzuciłam się na ochroniarzy drzwi.

— Aaaa!!! — wrzasnęłam na tyle, na ile pozwalały mi płuca. — Zabiję!

Młody ciemnowłosy chłopiec odskoczył przerażony przepuszczając mnie. Ale jak tylko chwyciłam za klamkę, drzwi się szybko otworzyły prawie wrywając mi rękę ze stawu. W odpowiedzi odskoczyłam do tyłu, wpadając w objęcia jakiegoś typka.

— Stój kukuleczko — wyszeptali do ucha. — Wpadłaś!

— Ola! — krzyknął Otto z siekierą. — Gdzie jesteś?

— Sukin kot! — Zaklął trzymający mnie chłopak, zakrywając moje usta. — Krasnoludzkie nasienie!

Niewiele myśląc ugryzłam go w łapę i wrzasnęłam:

— Otto!

Chłopak rzucił mnie i ruszył na Ottona.

— A no zamknij się — zasyczał Blondyn i uderzył mi głową o stół. I tu świadomość się skończyła...

Ocknęłam się na świeżym powietrzu. Blondyn taszczył mnie gdzieś przerzuciwszy przez ramię. Mocno bryknęłam w skutek czego wpadliśmy na mętną chlapę pokrywająca śliską drogę.

— Co to takiego? — Prawie spokojnie zapytał Lim, wycierając twarz.

— Błoto — poinformowałam go. Nie byłam taką wielką pedantką, więc zdążyłam podnieść się i przyłgnąć do najbliższego domu, przygotowując się do obrony.

Błoto, które przy łaskawej pogodzie powinno być śniegiem, ściekało po mojej niegdyś czystej kamizelce. Mdlilo mnie i trzęsło mną, ale nie zamierzałam się zdradzać.

— Tylko zacznij się do mnie dobierać — uprzedziłam, podnosząc rękę. — A rozerwę cię na kawałeczki! Mówię poważnie...

Lim stanął na nogach i popatrzył na mnie ponuro.

— Tylko nie gadaj, że możesz mnie zabić.

— Nie mogę — zgodziłam się. — Ale mogę ci mocno przetrzepać skórę.

— Nasłuchałem się już o twoich poczynaniach — uśmiechnął się krzywo arystokrata.

— Blondyn, chodź, porozmawiamy — zaproponowałam. — Normalnie porozmawiamy. O sprawach zawodowych.

Lim kiwnął w zamyśleniu.

— Rozumiem — ciągnęłam — że też chcesz mieć swój biznes.



Chciałeś rozkręcić swój interes na naszym. To też rozumiem. Ale po co ci jestem potrzebna? Czemu się do mnie przyczepiłeś? Mało bab ci?!

Blondyn zamilkł, a potem nieszczęśliwie zapytał:

— Naprawdę aż tak ci się nie podobam, że cię zemdliło na moja propozycję?

— Wybacz — kajałam się szczerze. — Zjadłam nieświeżą zupę.

— Komu to teraz udowodnisz? — machnął ręką Blondyn.

— Ale ja naprawdę cię nie chcę. Odnosisz się do mnie jak do człowieka niższego gatunku.

— A jak powinienem się do ciebie odnosić? — zdziwił się Lim. — Przecież jesteś nikim. Dorosłą dziewczyną z zadziornym charakterem.

— I dlatego chciałeś mnie zgwałcić dzisiaj na stole w karczmie?

— Proponowałem ci po dobroci. Moi kumple nie rozumieją, czemu się z tobą cackam.

— Twój kumple nie zroumieją, jeśli przejdiesz drogę Irdze — opowiedziałam i poczułam, jak język znowu napytał mi kłopotów.

— Pluję na Irgę! — wkurzył się Blondyn. — Ciągle tylko: Irga, Irga, Irga! Zawsze Irga! Ma wszystko, co najlepsze! Nawet mój ojciec chciał zaproponować mu robotę! Jemu, a nie mnie!

Nie spuszczać oczu z Blondyna, po cichutku posuwałam się w stronę, skąd dobiegały głośne dźwięki. Arystokrata wyciągnął z kieszeni chustkę, wytarł nią twarz i niespodziewanie rzucił się na mnie.

Nie zdążyłam zareagować inaczej niż wyciągnąć przed siebie ręce i odepchnąć go od siebie. Chwyciwszy mnie za włosy, Blondyn wpił się pocałunkiem w moje wargi. Gorzko żałując, że straciłam szpilkę w karczmie, jednocześnie ugryzłam natręta w usta i kopnęłam w pachwinę. Lim zachłysnął się i tak mocno pociągnął za włosy, że zrozumiałam siłę swojego „skalpela”.

— Nie ruszaj peruki, bo była droga! — krzyknęłam i, uderzywszy Blondyna w zębra butem, zaczęłam uciekać.

— Cholera — zasyczał Lim chwytając mnie za spódnicę. Szarpnęłam się z taką siłą, że cienka tkanina się rozerwała.

„Dziękuję ci za chciwość — pomyślałam, łomocząc w niewielkie, niewidoczne drzwi. — Gdybym nie kupiła spódnicy na pchlim targu, to bym pływała teraz w błocie pod Blondynem.

Drzwi otworzył przerażony i trzęsący się... Gospodarz karczmy, z której mnie ostatnio tak bezceremonialnie wynieśli. Gdybym wcześniej wiedziała, że jest tu jeszcze jedno wyjście!

— Tylne wyjście może stać się wejściem — powiedziałam właścicielowi i weszłam do sali. Tam, po środku połamanych na drzazgi stołów i krzeseł, spokojnie siedziała banda Lima i kilku krasnoludów.

— Ola! — Przyjaciół zerwał się z krzesła i mocno mnie przytulił. — Cała jesteś? Chciałem iść cię szukać, ale mnie powstrzymali. Miałam nadzieję, że nic ci się nie stało!

Półkrasnolud wytarł mi swoim rękawem twarz.

— Jesteś cała czy nie?

— Praktycznie tak — chwyciłam przyjaciela za rękę i postanowiłam, że nie puszczę go nawet pod groźbą śmierci. — Co tu się stało?

Otto podał mi szpilkę i powiedział:

— Wyjaśnialiśmy, kto jest tu przywódcą. Dlatego nie puścili mnie na poszukiwania. Beze mnie była by to po prostu draka, a tak była draka z powodu.

Przypatrzyłam się jego twarzy i zauważyłam limo pod okiem i spuchnięte wargi.

— I kto wygrał?

— Czekamy na Blondyna. Wtedy porozmawiamy — powiedział Otto.

Lim nie kazał ma siebie długo czekać. Wpadł do karczmy trzymając w dłoni skrawek mojej spódnicy.

— Blondyn! — wrzasnął Riak. — Co ci się stało?!

— Nie wstał mi na taką brzydulę — wyjaśnił arystokrata, rzucając mi złowrogie spojrzenie.

Otto chciał wyjść na przód, ale go przytrzymałam.

— Nikt nie obiecywał, że będzie pięknie i erotycznie — złośliwie wyjaśniłam Limowi. — Nie jesteśmy arystokratami i nie jesteśmy nauczeni nieustannie się wdzięczyc.

Otto znowu chciał wmieszać się do rozmowy, ale nadepnęłam mu na nogę.

Pozostali w karczmie zamilkli w oszołomieniu. Blondyn rzucił tkaninę na podłogę i chłodno powiedział:

— Zrozumiałem, że ci do kobiety...

— Wiem o tym — przebiłam go, pokazując całą swoją osobą, żeby nie zarywał.

Blondyn posłuchał zapobiegawczo i szybko zmienił temat:

— Co robią tutaj te... Krasnoludy?

— O! — ożywił się Otto i przestał szarpać mnie za spódnicę. — Lim, pozwól, że przedstawię ci rodzinę Honkdarów. Są właścicielami wszystkich dostaw do miasta, które rozprawdzają maleńcy pośrednicy.

— Wszystkich? — jednym chórem zapytałam z Blondynem.

— Wszystkich! — twardo powiedział półkrasnolud. — Włączając również te, którymi zajmujemy się Ola i ja. Widzisz, musimy się uczyć. To nasz ostatni rok. Więc postanowiliśmy sprzedać nasz biznes.

Blondyn ściągnął usta i popatrzył na mnie. Ja, wewnątrz kipiąc od oburzenia i jednocześnie od ciekawości, spokojnie potaknęłam.

— Wiedziałaś o tym? — wycedził arystokrata.

— Oczywiście! — Zatrzepotałam rękami i powiedziałam z naciskiem: — Otto nic nie robi w naszym interesie bez konsultacji ze mną.

Przyjaciół wzdrygnął się i dobił Lima:

— Dlatego wszystkie pytania dotyczące interesów możesz zadawać dziesięciu braciom Honkdarów. Albo pięćdziesięciu najbliższych kuzynom.

Lim zbladł.

— A teraz wybacz nam, ale musimy iść — powiedział Otto, zabierając swój topór. — Mamy dużo pracy domowej.

W milczeniu wyszliśmy na dwór.

— Ale wyglądasz — zauważył przyjaciel. — Dobrze, że jest ciemno...

— Nie zmieniaj tematu — groźnie powiedziałam. — Co za bracia? Co z naszym interesem?

— Mówiłem ci, żebyś siedziała w domu?! — od razu oburzył się półkrasnolud. — Po kiego demona poniosło cię prosto w ramiona Blondyna? I co za historia z tym „wstał – nie wstał”?

— A czy ja wiedziałam, że na niego wpadnę? — odgryzłam się. — Chciałam się napić, a w domu nic nie było. Powiedzieć, kto zżarł moje zapasy?

— Trzeba lepiej się zaopatrzać na przyszłość, — odburknął krasnolud. — Dobrze, że usłyszeliśmy twoje krzyki i przyszlismy.

— Wwaliliście się — uściśliłam. — Prawie się uratowałam.

— Prawie się nie liczy. Tym bardziej, że nieźleśmy się namęczyli. Zdzieliliśmy tych pacanów! To znaczy - krasnoludy!

Otto pomilczał trochę i zapytał mnie oburzonym tonem:

— To ty nie zmieniaj tematu. Co było między tobą a Blondynem?

— Póki wy rozdawaliście kułaki na prawo i lewo, — powiedziałam

jadowicie — ja broniłam swojej cnoty wszelkimi sposobami.

Otto groźnie zasyczał.

— Nic nie było. Po prostu chciałam się odegrać na Blondynie w karczmie. Teraz jego autorytet jest uratowany. Mam nadzieję, że na tym poprzestanie.

— A, — rzekł przyjaciel. — Rozumiem. Bystra jesteś.

— Ej, — powiedziała milutkim głosikiem — krasnolud! O co chodzi z naszym interesem?

— Sprzedałem go.

— Jak to sprzedałeś? — zawylałam. — Za co ja będę żyć?! Za co kupować nowe szmatki?! Jeść?! Za stypendium?

— Oto on, twój egoizm! — odpowiedział Otto. — A o mnie ani słowa! Też chcę czasami cos zjeść... No, dobra, dobra. Nie możemy sami tego ciągnąć. Powiedz jeszcze, że nie miałem racji, mówiąc o tym, że musimy się uczyć?

— Jak ja będę żyć?! — jęczałam. — Tyle roboty na marne! I po co godzinami gadałam z właścicielami lokali, nawiązywałam kontakty, namawiałam, prosiłam, schlebiałam...?

— Nie niepotrzebnie — sprzeciwił się półkrasnolud. — Kontakty na zawsze zostaną z tobą. Umiejętność zawierania umów także. Honkdarowie dobrze zapłacili, a twoja połówkę wpłaciłem na twoje konto bankowe. Tym bardziej, że zawsze możemy wrócić do sprzedaży koktajli, jeśli będzie ci grozić śmierć głodowa.

Zamyśliłam się.

— Za to — dobił mnie kumpel. — Blondyn nie będzie się nas czepiał, a krasnoludów będzie się bał. A co, on naprawdę...

— Ty znowu o tym?! Niczego, o czym ty myślisz, nie było — odgryzłam się. — Ugryzłam go i kopnęłam. A ten cham porwał mi spódnicę. Z-zwierzę.

— Aaaa — uspokoił się krasnolud. — No nic, dostanie za swoje. A ja tyle zastanawiałem się, jakim sposobem chroniłaś swoją cnotę. Od dawna wiadomo, że nie jesteś czułą i delikatną dziewczyną! Kogoś innego by sumienie ruszyło, a ty kułakiem.

W odpowiedzi zamknęłam oczy i machnęłam ręką.

— Nie daje mu żyć wielkość Irgi. A ja, ot tak, wpadłam mu pod rękę.

— Wielkość Irgi — parsknął półkrasnolud. — Dobrze się przyczepiłaś do wielkiego!

Otto poprawił mankiet.

— A ty co? — obraził się.

— Dobrze ci tak ścierać zęby na rozmowie, a ja muszę wyprać kamizelkę i kupić nową spódnicę.

Kiedy szliśmy do akademika, przyjaciel myślał w napięciu.

— Powiedz mi — zapytał przy samych drzwiach mojego pokoju. — Po co ci nowa spódnica? Przecież masz całą szafę szmat?

„A to co się nie zmieściło wepchnęłam pod szafę, pod łóżko, jak

również pod łóżko Liry" — dopowiedziałam w myślach.

— Nic nie rozumiesz, Otto! — zaczęłam. — Szafa może i jest pełna, ale nie ma w niej nic nowego...

Krasnolud zaskoczony podrapał się po karku i powiedział:

— Nigdy tego nie rozumiałem. Dobra, jak tylko Irga przyśle list, to mi powiedz. Chcę się pośmiać.

Westchnęłam. Nie miałam wątpliwości, że ta historia dotrze do nekromanty. Ale byłam zbyt leniwa, żeby mu napisać...

*Moja miła!*

*Ze zdziwieniem dowiedziałem się, że moja przyszła żona jest nie tylko nie pociągająca jako kobieta, ale także niezbyt ładna w intymnych miejscach. Nie mogę powiedzieć, że ten fakt mnie zasmucił — to znaczy, że nikt, oprócz mnie, się na ciebie nie połasi. Ale nie zbyt mi się spodobało, że twoje „osobiste atrakcje“ obgaduje całe miasto...*

*Irga*

*PS Mam nadzieję, że Blondynowi dostało się za to, że się na ciebie połasił? Cześć Otto!*

**Drogi Irgo!**

Ola przesyła ci swoją radość z tego, że wciąż masz ochotę się na nią połasić, gdyż ona nie chce spędzić reszty życia w samotności. I



jeszcze mówi, że lepszy jest wredny nekromanta, niż nudna starość. Jako świadek mogę powiedzieć, że nie masz się co denerwować, bo Blondyn dostał za swoje. „Osobistych atrakcji“ Oli nikt nie obgaduje, dlatego, że obiecała, że naślesz klątwę na wszystkich tych, którzy o tym wspomną.

Twoja narzeczona nie może ci odpisać, bo wala się na łóżku i wyje, ponieważ zwichnęła rękę, próbując upchać do szafy nowe szmatki. Szafa ucierpiała bardziej – rozwalila się.

Otto

## *Rozdział 5*

### *Haliawa\**

— Mówiłem wam, — zapytał Bef — że cieszę się, że w końcu wzięliście się za swoje mózgi?

Otto uśmiechnął się zadowolony, a ja obraziłam się:

— Profesorze! Już dawno wzięliśmy się za rozum, a nie tylko ostatnio.

Bef westchnął.

— Czasami wydaje mi się, Olgierdo, że masz dwie osobowości. Jedna, która mnie wkurza i stawia w obowiązku wyjaśniać radzie Uniwersytetu szaleństwa „tej dwójki”, a druga stwarza z Ottonem udaną parę Mistrzów Artefaktów. Szkoda tylko, że swojemu profesorowi dostarczasz więcej kłopotów, niż dumy...

"Dumy"? To coś nowego! Nadstawiłam uszy. Bef tak rzadko mnie chwalił, że przez chwilę podejrzewałam się o słuchowe halucynacje. Ale patrząc na pęczniejącego od dumy Ottona, zrozumiałam, że się nie przesłyszałam... O rany!

— Chcę jeszcze powiedzieć, że wasza poprawa wciągu ostatnich kilku miesięcy wywołuje u mnie podejrzenia. Czy o czymś nie wiem? Planujecie coś strasznego?

Ostatnia fraza utwierdziła mnie w tym, że z Befem jest wszystko porządku, więc odpowiedziałam wesoło:

— Co może być bardziej przeraźliwego od tego, że grozi nam praca dyplomowa?!

— Profesor Swingard mówił, że nie jest wcale u was tak źle, jak można było oczekiwać. Jak powiedziałem, wasza poprawa w nauce mnie raduje. Ale i niepokoi jednocześnie...

— Nie mamy się czym innym zająć... — powiedział Otto.

Potaknęłam. Kiedy nasz dochodowy interes, zajmujący szmat czasu, został sprzedany, „drugie życie” pisze dysertację na drugim końcu kraju, a plotki w mieście przycichły, dlatego, że król przeżywa żałobę po swojej faworytce, która została otruta przez rywalkę, nie pozostało nam nic innego

jak nauka. Tym bardziej, że nasza robota jest naprawdę wciągająca — nie robimy nic podobnego do pracy dyplomowej, którą trzeba corocznie powtarzać. Dobry i zapobiegliwy profesor postarał się, więc teraz trudziliśmy się nad uniwersalnymi artefaktami od siły nieczystej. Oczywiście takie artefakty nie miały zbyt wielkiej mocy, ale za to były dobre dla zwykłych obywateli, którym „poszcęściło się” spotkać na swojej drodze martwiaka. Najważniejsze w tym wszystkim było to, żeby go ogłuszyć (żeby zdążyć samemu uciec), a nie unicestwić martwiaka. Tym odróżniał się nasz artefakt od innych.

Krasnolud parał się robotą. A że nudno mu było siedzieć samemu w mistrzowi, to i mnie w to wciągnął. Nie sprzeciwiałam się długo, gdyż to wydawało się lepszą perspektywą niż szlajanie się po karczmach w poszukiwaniu rozrywki i tracenie pieniędzy. Na dodatek Irga ciągle pytał mnie jak idzie moja praca dyplomowa i co teraz robię.

— Czym się zajmujecie? — zapytał profesor i zmarszczył czoło.

— My? — szybko odpowiedziałam. — Każdy dzień spędzamy w mistrzowi. A jeszcze proszę zauważyć, że nie opuszczamy zajęć!

— Jestem gotowy wypisać Ottonowi premię — powiedział Bef. — Jestem pewny, że bez niego tu się nie obeszło.

Otworzyłam usta. Profesor żartuje? Profesor chwali? Co czeka nas w przyszłości?

— Zamierzamy przetestować parę artefaktów naszych przyszłych Mistrzów Artefaktów —ciągnął Bef. — Pod względem Międzynarodowego Certyfikatu.

— I...? — zapytałam, podejrzewając, że za tym coś się kryje.

— I tylko wy będziecie mieć Certyfikat, żebyśmy my mogli nasze wytwory eksportować.

— Komu?

— Temu, kto to kupi. Na przykład elfom.

— Elfy będą kupować nasze artefakty? — zdziwił się Otto. — Z jakiej racji?

— Elfie rzemiosło odróżnia się od naszego — wyjaśnił Bef. — Nasze szybciej załatwiają umarlaki. A elfy ostatnimi czasy mają z nimi duże kłopoty.

Bef przeszedł się po gabinecie w tę i z powrotem. Milcząc obserwowaliśmy profesora, próbując zrozumieć, o co tu chodzi.

— To przykładowy spis wiedzy i umiejętności, które będziecie musieli pokazać na prezentacji — Bef podał Ottonowi plik kartek. — Nie zawiedźcie nas.

— A jeśli... — zająknęłam się.

— Nie będzie „jeśli” — spokojnie zauważył Bef.

— Mamy sesję za pasem — zaprotestowałam.

— Postarajcie się zdążyć na to i na to — poradził Bef i wypchnął nas z gabinetu.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytałam przyjaciela.

— To, że Uniwersytet zamierza na nas zarabiać— w roztargnieniu stwierdził Otto, przeglądając świstki. — Tu uczy się i uczy. Podzielimy się po połowie. Ty będziesz szukać odpowiedzi na te pytania, a ja na te. Nad umiejętnościami będziemy pracować razem.

---

Skrzywiłam się, zabierając od półkrasnoluda swoją część.

— Może odmówimy, co?

— Nie, złotko, przyda nam się to w przyszłości.

— A jeśli się nie przyda? A może zamierzam się wyjść za mąż i stać się dobrą i stateczną gospodynią? Po co mi Międzynarodowy Certyfikat Mistrza Artefaktów?

— Dobrze — zgodził się Otto zabierając ode mnie kartki. — Jeżeli możesz utrzymać swój pokój w czystości przez tydzień, to ja przygotuję odpowiedzi na wszystkie pytania. Tylko pamiętaj, że odnosi się to również do szafy.

— Ha, ha, ha! — kwaśno podsumowałam z powrotem zabierając kartki. — Spotkamy się w bibliotece.

— A co z marzeniem o idealnej gospodyni?

Przemilczałam to. Łatwiej zdać międzynarodowy egzamin, niż zrobić porządek w mojej szafie, którego nie robiłam już prawie pięć lat.

— Oła, to nasza szansa! — powiedział Otto. — Szansa, żeby pokazać wszystkim, że jesteśmy dobrymi Mistrzami Artefaktów. Naprawdę nie chcesz utrzić nosa naszym rywalom? Nie wierzę! I czy pochwała Befa nic dla ciebie nie znaczy?

— Jemu wszystko, co ja zrobię, się nie podoba — burknęłam.

— To nieprawda i ty dobrze o tym wiesz.

Westchnęłam. Półkrasnolud umiał znaleźć motywację! Chciałam tak bardzo zobaczyć w oczach Befy dumę i radość, niż zjeść słodką bułkę po drastycznej diecie.

Biorąc się za naukę, zrozumiałam, że opuszczone zajęcia mocno dały mi się we znaki. Przy czym nie było czasu na żal i kolejne zaniedbania. Naprawdę chciałam zdać międzynarodowy egzamin i jednocześnie nie zawalić sesji. O, jak tego chciałam!

Chciałam w końcu zdjąć z siebie przydomek wagarowiczki i hulaki, nie dorastającej Wielkiego Mądrego i Utalentowanego Irdze do pięt. Chciałam, żeby Bef popatrzył na mnie tak... No, tak... Z poważaniem! Uważnie! Jak na obiecujący okaz, a nie jak zwykle — z westchnieniem wielkiego męczennika. A co będzie jeśli nie zdam?! To będzie koszmar i katastrofa. Zawiodę Ottona, zawiodę Befę, zawiodę samą siebie... I najstraszniejsze – Irga się zdenerwuje!

Te myśli nieustannie krążyły w mojej głowie, nieustannie każąc mi się uczyć.

Któregoś dnia, po tygodniu intensywnych zajęć, nie dałam rady wstać. Cały dzień leżałam w łóżku, to trzęsąc się z chłodu, to zalewając się potem. Nie miałam siły nawet na to, żeby wstać i nalać sobie wody. Wieczorem do mojego pokoju wpadł półkrasnolud i, zobaczywszy taki krajobraz, zaczął od serca wyć do wszystkich bogów. Zasnęłam gdzieś tak w środku jego przemowy, opisującej niesprawiedliwość świata.

Obudził mnie dotyk chłodnych dłoni Liry. Przy niej stał półkrasnolud i nerwowo szarpał się za brodę.

— Grypa — zawyrokowała przyjaciółka i ciężko westchnęła. — Jest teraz epidemia. Mamy cały przepełniony Dom.

— Skąd grypa? Skąd ona ją wzięła?

Lira wzruszyła ramionami.

— Gdzie się podobało! Kichnął ktoś na nią w drodze do biblioteki i koniec.

— Dlaczego właśnie na nią? Dlaczego właśnie teraz? — zawył Otto, wrywając z brody cały kłak włosów. — Wylecz ją!

— Jeśli byłby to takie proste! — odgryzła się Lira. — Nie możemy wyleczyć grypy jednym pstryknięciem palcami! Możemy tylko złagodzić symptomy i pomóc organizmowi zmierzyć się z chorobą.

— Też mi uzdrowiciele!

— Powiedz dziękuję Zmierzchowym Góróm! Wirus to ich sprawka — obraziła się przyjaciółka. — I tak robimy co w naszej mocy. Spokój, areszt domowy i mikstury. Będę się o ciebie troszczyć. Wybacz, ale dla mnie jest niebezpieczne mieszkać w tym pokoju przez pewien czas...

— Zabierz mnie do Domu Uzdrowicieli — wychrypiałam.

— Jest przepełniony — machnęła ręką Lira. — Nowe przypadki leczymy w domu.

— A może się uczyć? — z nadzieją w głosie zapytał przyjaciel.

— Może — odpowiedziała uzdrowicielka i dopowiedziała: — Jeśli chcesz, żeby oślepla. Grypa to ciężka sztuka. Mały błąd i wielkie komplikacje.

— Będę jej na głos czytać książki — nie dawał za wygraną półkrasnolud.

— Tak, tak — Lira wlała do filiżanki wstrętnie śmierdzącą ciecz. — I ty też zachorujesz. Choroba przechodzi u krasnoludów ciężiej. No, mioja droga, pij maleńkimi łyżkami. Zaraz wrócę.

Dławiąc się ohydny m lekarstwem, słuchałam dochodzących z korytarza jęków Ottona:

— Przepadliśmy! Przepadliśmy!

— Ja przepadłam — powiedziałam, kiedy pozbyłam się grypy, i dowiedziałam się, że do egzaminu i sesji zostało tyle dni, że można je policzyć na palcach jednej ręki.

— Tylko się nie wieszaj! — uprzedził krasnolud, wyciągając swoje konspekty. — Ucz się!

— Nie mogę się tyle nauczyć naraz! Nie mogę!

— Wcześniej nie mogłaś — odgryzł się Otto. — Tylko nie zachoruj, bo ci głowę oderwe i powiem, że tak było. Zakonserwowana nie będzie cię boleć.

Usiadłam do nauki, przeklinając grypę, swój organizm, egzaminy i cały świat przy okazji. Wszystko przepadło... Może poszczęści mi się z pytaniami na egzaminie... Ale nawet Bogini Szczęścia nie mogłaby mi w



tym pomóc, bo było to zadanie niewykonalne.

Wieczorem przyszła mnie odwiedzić Ilissa.

— Dlaczego płaczesz?

— Nie płaczę. Mózg mi wycieka. Od wysiłku...

Ilissa usłyszała moją opowieść o nieszczęściach i powiedziała:

— W zasadzie, twojemu organizmowi można pomóc. Jeśli to dla ciebie bardzo ważne.

— Żeby było coś ważniejszego — zauważyłam pochmurnie.

— Można wezwać Haliawę — wyjaśniła Ilissa. — Ale tylko w przypadku, jeśli jest to bardzo ważne. To czarna magia.

— Ważne! Pluje na to, nawet jeśli będę musiała ją przyzwać z pomocą Sukin Kota! Muszę śpiewająco zdać międzynarodowy egzamin. No i sesję dobrze. Ale czy taka magia nie jest zakazana na egzaminach takiego poziomu?

— To nie takie proste! To zaklęcie nie ujawni się, nawet, gdy będziesz bronić pracy przed wszystkimi arcymagami królestwa! Wymyślił je jeden utalentowany mag specjalnie, żeby zdawać egzaminy.

— I dlaczego do tej pory nie słyszałam o tym zaklęciu?

— Dlatego, że jest zakazane i wyrzucone ze wszystkich podręczników.

— Skąd je wzięłaś?

— Przypomnij sobie z jakiej ja jestem rodziny! — roześmiała się dziewczyna. — Znalazłam je w jakiejś starej książce ojca i przepisałam na wszelki wypadek. Teraz widzisz, że się przydało.

— Jak myślisz — zapytałam, gdy szliśmy do akademika Ilissy po zaklęcie. — Irga używał tego zaklęcia?

— Wątpię — pokręciła głową Ilissa. — Jest za porządny na takie zaklęcia...

— A ty, znaczy się, nie?

— A ty? — Roześmiała się siostra nekromanty.

Popatrzyłyśmy się na siebie ze zrozumieniem.

Zaklęcie było nawet bardzo złożone. Dwa dni zbierałam potrzebne materiały i oszczędzałam siły. Północ przed egzaminem zastała mnie w Gaju Zakochanych, gdzie na dużej polanie rozłożyłam dary dla Haliawy— kilka butelek najlepszego elfiego piwa, kawałek chudorskiej czekolady, nowe pozłacane ołówki i opasłe tomiszczce — zbiór niecenzuralnych anegdot. Co dziwne, ostatnie dało się najszybciej załatwić. Westchnęłam głęboko i krzyknęłam, próbując razem z krzykiem wyrzucić z siebie magiczną energię:

— Przyjdź Haliawo! Przyjdź Haliawo! Przyjdź Haliawo!

Uderzyło we mnie chłodem i z ciemności wyszła rumiana dziewczyna, w ciemnej sukience.

— Eeeee... — wydusiłam zaskoczona.

— Wzywałaś? Jestem Haliawa — dziewczyna popatrzyła na

rozłożone przedmioty, uśmiechnęła się i podarki zniknęły. — Numery biletów? Pytania pożądane?

Naprawdę rzuciłam w stronę Haliawy świstek z wypisanymi informacjami. Kartka rozplynęła się w powietrzu. A w mgnieniu oka zniknęła i Haliawa.

...Międzynarodowy Certyfikat wypadł śpiewająco. Bilety na które popadłam na sesji także wskazywały, że Haliawa pracuje...

No i zdałam ostatni egzamin. Po wieczorku na cześć pomyślnego ukończenia sesji rozwaliłam się na łóżku. Jutro mieliśmy umówione spotkanie z Befem, który – byłam pewna – nas pochwali. Oddając się słodkim marzeniom, leżałam tak długo, że nie od razu zauważyłam, że wciąż nie śpię.

Zwaliwszy to na nerwy, popełzłam do naszego małego bufetu. Starając się nie obudzić spokojnie śpiącej Liry poszukałam mleka. Gorące mleko z miodem — tradycyjny lek od bezsenności — tym razem jednak nie podziałało. Do ranka przetestowałam już wszystko — liczyłam owce, owce skaczące przez płot, owce kopulujące w różnych pozach. Jednak nic nie pomagało.

Nie wiedziałam co robić, bo nigdy nie cierpiałam na bezsenność. Zawsze zasypiałam, co by to nie było. Otto twierdził, że to dlatego, że moje sumienie jeszcze śpi mocnym snem, z którego nie można go wybudzić.

Na spotkanie z Befem przyszłam z czerwonymi oczami od niewyspania i z łupającą głową.

— Dobrze poahulaliście? — zapytał Bef.

— Nie spałam — przyznałam się.

Otto wytrzeszczył na mnie oczy ze zdziwienia, ale nic nie powiedział.

— Spróbuj na noc przeczytać podręcznik — uśmiechnął się profesor.

— Po co? Przecież sesja się skończyła!

— Cieszę się, że masz lenia — powiedział Bef. — Bo bez niego nie masz pełnej osobowości. Myślę, że czytając podręcznik, a jeszcze na dodatek bez przyczyny, szybko zaśniesz.

— Profesorze — zawstydziałam się, rozumiejąc, że Bef ma rację. — Jak mi to do głowy nie przyszło...?

— Jestem z was zadowolony — powiedział profesor, obdarowując nas łaskawym spojrzeniem i zachęcającym uśmiechem. — Co tam, jestem z was BARDZO zadowolony. Pokazaliście, na co was stać!

Poczułam ukłucie sumienia, które się właśnie przebudziło i nie dało mi nacieszyć się pochwałami.

— Ale! — ciągnął Bef. — Jestem pewny, że mogliście to zrobić lepiej! Troszkę lepiej! Dlatego dam wam zadanie. Opracowałem je razem z profesorem Swingardem.

— Jakie zadanie? — zawołałam. — Wakacje są!

— Zapłacą nam za to? — zapytał praktyczny Otto, przeczytawszy zadanie. — Rozumiem, że te artefakty pójdą na sprzedaż.

— Nie zapłacą — odpowiedział Bef, ignorując moje oburzone sapanie. — To w ramach waszej praktyki. To wszystko, koniec audiencji.

— Wiedziałem! — smucił się półkrasnolud. — Naszymi rączkami pieniążki zarabiają. Przecież te artefakty zrobione są przez Mistrzów Artefaktów z Certyfikatem. Można je drogo upchnąć. „W ramach praktyki, w ramach praktyki” — przedrzeźniał Befa.

— Nie mamy jeszcze dyplomów — przypomniałam mu. — Oficjalnie nie mamy prawa przygotowywać artefaktów na sprzedaż.

— Oczywiście! Jestem pewny, że dyplom dostaniemy bardzo późno! — burknął półkrasnolud.

Zgadzałam się z nim, ale nie chciałam go wspierać, bo sama czułam się rozbita.

— Otto, ja pójdę się położyć, dobrze?

— Dlaczego się nie wyspałaś? — zainteresował się przyjaciel. — O czymś nie wiem?

— Po prostu nie mogłam spać — przyznałam się. — Najszybciej przez nerwy.

— Wypij coś na uspokojenie — poradził Otto.

„Coś na uspokojenie” nie podziałało. Poleżałam na łóżku, pomyślałam i wypilałam jeszcze pół butelki. Oczy się zamykały, w głowie szumiało, ale sen nie nadchodził.

Próbowałam czytać podręcznik. Przed zamykającymi się oczami wszystkie literki zlewały się w jedną plamę, ale nie udało mi się zasnąć!

Cierpiałam aż do powrotu Liry i, jak tylko ją zobaczyłam, wybiegłam jej naprzeciw.

— Nie mogę zasnąć!

— Wypij coś na uspokojenie — poradziła uzdrowicielka.

— Wypiłam pół butelki!

— Przeholowałaś. Weź ciepły prysznic, wypij mleka z miodem, odpręż się i wtedy przyjdzie sen — odpędziła się ode mnie przyjaciółka i poszła spać.

Nic nie pomogło. Ranek powitał mnie na korytarzu gdzie łąziłam, żeby nie przeleżeć kończyn po drugiej bezsennej nocy.

— Nie zasnęłam — poskarżyłam się Lirze.

— Tak? — popatrzyła na mnie zaniepokojona. — Jeśli nie uśniesz przez dzień, to wieczorem pomyślimy.

Cały dzień poruszałam się jak we mgle. W porze kolacji przyszedł do mnie Otto i coś mówił, ale na nic nie reagowałam, mając siły tylko na cichy płacz. Przerażony krasnolud zawłókł mnie do Domu Uzdrowicieli.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie może spać — przyznała się Lira po dokładnym badaniu mnie, mojej aury, wiszących na mnie artefaktów i nawet mojej odzieży.

— Po pięciu – sześciu dniach bez snu człowiek umiera — nagle wyjawiał półkrasnolud.

Ze strachem spojrzałam na przyjaciela, nie wiedząc, co jest lepsze — umrzeć właśnie teraz czy męczyć się jeszcze trzy dni.

Lira przyprowadziła starą uzdrowicielkę. Po kilku długich ruchach

rękami powiedziała:

— Ciągnie się za wami ślad jakiegoś czarnego zaklęcia. To jedyna logiczna przyczyna bezsenności.

— Znowu Marta zaszalała? — oburzył się Otto.

— Jest bardzo silnym magiem? — uściśliła uzdrowicielka.

— Medium.

— Nie, nikt ze studentów tamtego fakultetu nie jest zdolny do czegoś takiego... Tylko silny praktyk.

Lira z Ottonem popatrzyli na mnie zaskoczeni. Milczałam. Wiedziałam, co za ślad ciągnie się za moją aurą! Ale przyznanie się do tego na oczach przyjaciół podkopało by mi autorytet. Teraz już na własnej skórze wiem, co oznacza powiedzenie: „darmowy ser w pułapce na myszy”.

— Radziłabym wam zwrócić się do dobrego maga praktyka, żeby odczepił ogon zaklęcia. A potem od razu do nas. A tak nic nie możemy zrobić. Nie starczy nam sił, nawet jeśli pójdziemy do najlepszego uzdrowiciela w mieście.

— Pójdziemy do Befy — pociągnął mnie za rękę Otto.

— Nie — krzyknęłam, wyszarpując ją z uścisku. — Nie muszę iść do Befy!

— Ty!!! — wrzasnął kumpel, przyszpilając mnie do ściany i stukając mnie palcem w klatkę piersiową. — W co znowu wlałaś? Gdzie cię tym razem poniosło?

— Otto! — przestraszona Lira próbowała odciągnąć oszalałego krasnoluda, ale w porównaniu z nim, szybciej można by to było zrobić ze skałą. — Bo ją zabijesz!

— Co za różnica? Czy teraz kopnie w kalendarz czy za trzy dni?

— No — powiedziała Lira niepewnie. — Mogłabym przedłużyć jej życie...

— Czy to jest życie? — rozplakałam się. — Przeklinacie zamiast podtrzymywać mnie na duchu...

— Bef cię podtrzyma — odgryzł się Otto.

— Chciałam jak najlepiej!

— W. Co. Ty. Wlazłaś? — groźnie zapytał półkrasnolud. — Od czego trzeba cię ratować?

— Nie powiem! — zawyłam. — Moja głupota! A w ogóle, to nie proszę o pomoc!

— Dobrze! — twardo rzekła Lira. — Wyjaśniać szczegóły będziemy potem, teraz musimy zdecydować co robić. Ola, uspokój się, Otto po prostu się o ciebie bardzo martwi!

— Nie trzeba się o mnie martwić, sama wszystko załatwię.

— No i dobrze — odburknął półkrasnolud i odszedł kawałek, ale nie za daleko.

— Stop! — powiedziała Lira. — Do kogo z naszych praktyków możesz pójść?



Do kogoś, kto jest dostatecznie silny, żeby uwolnić mnie od zaklęcia czarnej magii i nie doniesie „gdzie powinien”? Nie przypominam sobie kogoś takiego. Zawylałam na głos. Umierać teraz, nim zdążyłam przymierzyć suknię ślubną... Nie wjechałam uroczyście na białym koniu na swoje podwórko... Nie dostałam wymarzonego dyplomu wyższego stopnia... Nie przespałam się z Irgą, koniec końców!

— Przestań histeryzować! — krzyknęła Lira.

Na pewno uzdrowiciele ćwiczyli tę frazę i ton, jakim powinna być wypowiedziana, dlatego, że się od razu zamknęłam.

— Nie masz się do nikogo zwrócić — skonsternowała uzdrowicielka. — Źle. Ale zmienimy to. Jedź do Irgi.

— Jeśli tak będzie się przeciągać, to umrze wcześniej niż się do niego dorwie — stwierdził Otto, wyraziście demonstrując pełną obojętność w stosunku do mojego losu.

— Nie umrze, biorę to na siebie. A ty masz teraz kupić jej bilet na ekspres do Rorritora.

Półkrasnolud wyparował. Lira gdzieś związała, a ja siedziałam na ławce w korytarzu i przeklinałam samą siebie. No to masz łatwe zdanie egzaminów! No to masz łaskawe spojrzenie Befi! Wpadłaś. Teraz rozumiem, dlaczego to zaklęcie odnosi się nie tylko do czarnej magii, ale również i do zakazanej.

— To — powiedziała zadyszana Lira. — Stymulator. Zrobimy iluzję dla twojego organizmu, żeby myślał, że sam spać nie chce, a nie, że mu nie dają.

Powąchałam zawartość szklanki.

— Przecież to zakazany napój.

Uzdrowicielka uśmiechnęła się.

— A parać się czarną magią nie jest zakazane? Pijemy to, kiedy mamy ciężki przypadek i nie możemy opuścić pacjenta. Tylko nikomu nie mów, że ci go dałam!

— Jak go dawkować? — zapytałam.

— Pij po łyżku, kiedy zrobi ci się niedobrze. Wytrzymasz do Rorritora. Tylko uprzedzam — potem reakcja będzie taka, że będzie ci się chciało umrzeć.

— A czy mam wybór? — burknęłam. — Tak umrzesz, a tak — będziesz chciała umrzeć. Obydwa warianty mi się nie podobają.

Lira przygotowała mnie do drogi. Razem z Ottonem wsadziła mnie do karety i pojechałam po ratunek od swojej głupoty.

Rorritor powitał mnie pluchą i mokrym śniegiem. Z karety wylazłam z uczuciem skrajnego wyczerpania: zaczynałam mieć słuchowe halucynacje, trzęsły mi się ręce, dolna warga drżała, a lewe oko drgało. Podkasawszy ciężką mokrą spódnicę i zauważając, jak zwiewają ode mnie ludzie na ulicy, dobrnęłam do miasteczka Rorritorskiego Uniwersytetu Magii. Złapawszy za rękę pierwszego lepszego studenta, wychrypiałam:

— Gdzie mieszka Irga Irronto?

— Wątpię, że mu się spodobaś... — zaczął student.

Wbiłam mu paznokcie w rękę i nadepnęłam swoim ciężkim buciorem na jego cienkie buciki.

— Gdzie?

— Ej, ja cię znam — powiedział student przerażonym głosem. — Ty jesteś tą wariatką z Czystiakowa, która pokonała Ridera!

Zaryczałam.

— Zaraz zaprowadzę — dobrze domyślił się student.

Całą drogę czepiłam się chłopaczka, ale nie dlatego, że myślałam, że ucieknie, a dlatego, że słaniały mi się nogi.

— Drugie piętro, pokój piąty — wybełkotał student.

Tłumiąc w sobie chęć wdrapania się po schodach na czworakach, powoli dowlokłam się do pokoju Irgi. „Jeśli nie będzie go w domu, - pomyślałam - to po prostu umrę na jego progu”.

Pchnąwszy drzwi, które nie były zamknięte, wwałam się do pokoju nekromanty. Siedzący za stołem Irga oderwał się od czytania wielkiego tomiszcza i popatrzył na mnie tak, jakby zobaczył przywidzenie.

— Irga — powiedziałam, osuwając się na podłogę. — Ja umieram.

W mgnieniu oka poczułam, jak podnoszą mnie silne ręce, a znajomy do bólu głos, jak zwykle rozciągając głoski, zdecydowanie mówi:

— Nie umrzesz, dopóki sam ci nie pozwolę. A ja mnie pozwolę. Przynajmniej do tej pory, kiedy doczekamy się dziesięciu prawników!

Nekromanta ostrożnie zdjął ze mnie płaszcz, usiadł na łóżko i, tuląc,

czule zapytał:

— Coś ty narobiła?

— Wezwałam Haliawę — powiedziałam, bojąc się otworzyć oczy.

Irga wzdrygnął się.

— Możesz z tym sobie poradzić? — ze strachem zapytałam, nie oczekując na odpowiedzi.

Chłopak milczał. Otworzyłam oczy i zobaczywszy jego smutny wyraz twarzy, zrozumiałam, że nie miałam na co liczyć. Musiałam przyznać, że moje spokojne życie dobiega końca.

Przysługuję mi ostatnie słowo, czyż nie? Niezwykle ważne było powiedzieć Irdze o swoich uczuciach. Jaka ja byłam durna, że nie zrobiłam tego wcześniej! I szkoda, że nic z tego nie będzie. Oczywiście, Irga zawsze może zrobić ze mnie ślicznego zombie... Ale mam wrażenie, że zrobiony przez niego zombie nie będzie mu się podobać tak, jak ja za życia.

— Irga, ja...

— Oczywiście, że poradzę sobie — przerwał mi nekromanta. — Jak mogłaś we mnie wątpić? Po prostu potrzebuję czasu, żeby się przygotować.

Udławiłam się czułymi słowami.

— Nie mam czasu — wyjąwiłam narzeczonemu. — Już sześć dni nie śpię! Trzymam się tylko na stymulatorze.

— Skąd wzięłaś to zaklęcie? — zapytał Irga, kładąc mnie na łóżko.

Musiałam się przyznać:

— Dała mi je Ilissa.

— Rozumiem — powiedział nekromanta, zaczynając przewracać w wielkiej szafie na książki.

— Przepisała je z książki twojego ojca — uściśliłam.

— Wiem — dobiegł mnie zduszony głos Irgi. — O, to ta książka. A teraz milcz.

Zagłębił się w treść książki, co jakiś czas poruszając głową, żeby mu nie przeszkadzała grzywka. Ja leżałam na łóżku i myślałam, że przez jeden durny egzamin mogłam stracić wszystko— objęcia silnych rąk, uśmiech cienkich warg, szydercze i kochające spojrzenie niebieskich oczu. Jeden pocałunek Irgi wart jest dziesięciu certyfikatów!

„Jeśli przeżyję, — obiecałam sobie. — to nigdy więcej...” Obiecanki trzeba było przerwać, dlatego, że przypomniałam sobie, ile takich „nigdy” było w moim życiu. Raczej było życzenie, żeby „nigdy” się nie powtórzyło. No tak...

— Trzymaj się — powiedział w końcu nekromanta. — Zaraz wrócę.

— Umrę? — krzyknęłam mu.

— Nie! — twardo odpowiedział Irga. — Nie dałem ci na to pozwolenia.

Leżałam na łóżku ukochanego mężczyzny i nie czułam nic, oprócz chęci szybkiej śmierci. Było mi bardzo niedobrze. Nie zdążyłam pograżyć się w świecie głupich halucynacji, jak bezceremonialnie staszczono mnie z przytulnego łóżka, okutano w płaszcz i wywleczono na dwór. Potknęłam się

i prawie upadłam, ale Irga podtrzymywał półmartwe ciało w jako tako pionowym położeniu. Kolejna kałuża, zalewająca moje buty, doprowadziła mnie do prawie zwyczajnego stanu świadomości, ale popatrzysz na twarz Irgi ze ściągniętymi uparcie ustami, znowu popadłam w obłąd.

Kiedy się w końcu zatrzymaliśmy i nekromanta mnie puścił, bezsilnie upadłam na ziemię i zwinęłam w kłębek. Śmierć była teraz najbardziej pożądaną rzeczą.

Nie wiem ile czasu tak przeleżałam. Przez różne głosy, szumiące w mojej głowie, słyszałam z rzadka, jak Irga coś krzyczy, jak wokół wyje wiatr i rozlegają się dziwne jęki... Przy czym najwyraźniej moje.

Ocknęłam się, kiedy Irga cicho przeklinając, próbował ściągnąć ze mnie mokre ubranie.

— Co?..

— Cicho, spij.

— Już można?

— Trzeba!

Obudziłam się od uczucia ciasnoty. Przy próbie wyciągnięcia rąk napotykałam coś ciepłego i twardego. Otworzywszy oczy, ze zdziwieniem zobaczyłam przed oczami bladą skórę. Dalsze oględziny pokazały, że leżę, wtulając się w pachę Irgi.

— Obudziłaś się? — zapytał nekromanta, skądś znad mojej głowy.

— Yhy — burknęłam.

— Szkoda, bo ja dopiero co się położyłem.

— Jeszcze jest dzisiaj? — zdziwiłam się.

— Nie, ranek pojutrze.

— Niczego sobie pospałam.

— Tak — zgodził się napiętym głosem.

— Co się stało? Udało ci się mnie uratować?

— Oczywiście, że mi się udało. Wątpiłaś we mnie?

— A dlaczego mówisz takim głosem?

— Nie zrozumiesz.

— No powieedz!

— Byłaś kiedyś w sytuacji, kiedy dyszy ci w pachę półnaga i bardzo ponętna dziewczyna?

— Nie — powiedziałam, pomyślawszy. — W ogóle nigdy mi nie dyszli w pachę. Dlaczego półnaga?

— Zabrudziłaś mi już jeden komplet pościeli swoim brudnym i mokrym ubraniem. Zanim położyłem cię spać, przyszło mi zatroszczyć się o czystą pościel i czystą ciebie.

— Rozbierałeś mnie?! — oburzyłam się, coś sobie mglście przypominając.

— A jak sobie wyobrażasz przebudzenie się w wyschniętej kałuży? — odgryzł się Irga. —Klnę się, że nie naruszyłem twojej dziewiczej

czci.

— Dlaczego? — wypaliłam szybciej niż zdążyłam pomyśleć.

— Jestem nekromantą, a nie nekrofilem. Chociaż niektórzy te pojęcia mylą. Ale uwierz mi, na wpół zdechła dziewczica mnie nie pobudza.

— A całkiem zdechła? — zapytałam, przeklinając się za długi język.

— Proponujesz się zabić i wypróbować?

— Miałeś szansę — obwieściłam, podpierając się na łokciu i patrząc Irdze w twarz.

Jeśli choć trochę rozumiałam mężczyzn, to w oczach nekromanty można było przeczytać to, co w powieściach miłosnych poetycko nazywa się „płonącym ogniem pożądania”. Moje wargi napuchły od przedsmaku pocałunków. Pokręciwszy się, nachyliłam się nad męskim ciałem. Chłopak przestał oddychać.

— Irga — zapytałam szeptem. — Gdzie jest toaleta?

Nekromanta zmarszczył nos i wydawało mi się, że zaraz zapłacze.

— Na końcu korytarza z prawej strony — powiedział z żalem. Cierpiał w milczeniu, póki przejdę przez niego, i dopiero potem uściślił:

— Zamierzasz wyjść na korytarz w tym?

Obejrzałam siebie.

— Sądzisz, że źle wyglądam w twojej koszuli? Naprawdę czarny kolor mi nie pasuje?



— Sądzę, że w samej koszuli świetnie wyglądasz. Twoja spódnica wisi na poręczy krzesła.

— Uprałeś moją spódnicę? — poraziło mnie przy oglądaniu szmatki. Tak czysta spódnica była tylko w dniu zakupu. — Jak ci się to udało?

— Mam dwie młodsze siostry — przypomniał Irga. — Kiedy były maleńkie pomagałem z praniem. Ale pamiętaj – to pierwszy i ostatni raz!

Uśmiechnęłam się promiennie i pobiegłam załatwić swoje sprawy. Wróciwszy, zastałam nekromantę w tej samej pozycji na łóżku.

— Jest coś do zjedzenia? — zapytałam żałośnie.

— W szafce na górnej półce — odpowiedział Irga. — Czy tylko mi się wydaje, że w naszych kontaktach jest coś nie tak?

Postanowiłam nie odwlekać się od jedzenia odpowiadając na prowokacyjne pytania.

— Lepiej opowiedz, dlaczego nie mogłam zasnąć.

— Dlatego, że połączyły się dwie głupie wartości równania. Jedna głupia dziewczyna przepisała zaklęcie z czarnej księgi, a druga głupia dziewczyna je aktywowała, nie próbując wcześniej sprawdzić bezpieczeństwa zaklęcia.

Nie obraziłam się za złą charakterystykę postaci. Irga miał rację.

— Haliawa zabierała twoje noce. Przecież ty, przygotowując się do egzaminów, powinnaś nie spać nocami, ślęcząc nad podręcznikami, a ty spokojnie spałaś. Zapamiętaj – czarna magia zawsze zedrze z ciebie zapłatę! Zawsze!

— Ale ja zapłaciłam...

— Zapłaciłaś tylko za wezwanie, a nie za usługę.

— A Ilissa nie wiedziała?

— Myślę, że nie. Macie taki sam zwyczaj — nigdy nie czytacie uważnie do ostatniej strony! A na dodatek przepisała tylko zaklęcie, nie zadając sobie trudu spojrzeć na kolejną stronę. Ilissę rozumiem, bo jest w ogóle głupią magiczką, ale o czym ty myślałaś?

— O zdaniu egzaminu każdą ceną — powiedziałam. I przyznałam się niepewnie: — Tak bardzo chciałam, żebyś mnie považał za to, że także dostałam Międzynarodowy Certyfikat.

Irga czule się uśmiechnął. Gdzieś w okolicy żołądka zrobiło się ciepło, coś się roztopiło i spłynęło do końca kręgosłupa. Spróbowałam ugryźć jak najwięcej kotleta, żeby romantyczny nastrój nie przeszkadzał mi w posilaniu się.

— Moja miła, ja cię považam i bez Międzynarodowego Certyfikatu.

Uśmiechnęłam się, starając się nie otwierać ust, pod pretekstem opychania się kotлетem.

— Źle aktywowane zaklęcie i związało cię z Haliawą — dalej opowiadał Irga, dobrze interpretując moje ciekawskie spojrzenie. — Rozerwałem tę więź. To było bardzo trudne, dlatego uprzedzam — następnym razem, zanim coś takiego zrobisz, to poradź się mnie

Potaknęłam, starając się wyrazić „psie oddanie”.

— A teraz pewnie zachce ci się spać — z westchnieniem stwierdził

nekromanta obserwując, jak wylizuję talerz.

— Aha...

Irga podniósł kołdrę, a ja szybko zdjęłam z siebie spódnicę i zanurzyłam się w przyjemne ciepło, przytulając się do boku chłopaka. On coś powiedział, ale ja już nie słyszałam, pogrążywszy się w śnie.

Pobudka była mniej przyjemna. Okazało się, że we śnie praktycznie wlażłam na Irgę i wypróbowałam na jego kościach wszystkie figury akrobatyczne. Nekromanta od razu się obudził od moich ruchów.

— Irga — powiedziałam w zamyśleniu. — Leżymy tutaj, taka dobra z nas para. Pocałuj...

— No... — rzekł nekromanta.

— Pewnie mi z ust jedzie — przyznałam się wstydliwie.

— Wybacz — jadowicie powiedział Irga. — Nie przyniosłem ci szczoteczki do zębów. Chcesz miętowego cukierka?

— Chcę.

— Weź z szafy.

Podniosłam się lekko i poczułam, że nie chce mi się wstawać. Ale pocałunków się chciało, dlatego zdobyłam się na podstęp.

— Irga, chcesz mnie pocałować?

— I nie tylko pocałować! — z gotowością krzyknął nekromanta.

— No to przynieś mi cukierka. I nie patrz tak na mnie!

— Lepiej by było gdybym cię zabił — stwierdził Irga. - Leżałaby teraz cichutka, spokojna...

— ...Chłodna, lepka i nie musiałaby walczyć cukierkiem z zapachem z ust — ciągnęłam.

— Potrafisz znaleźć przekonujące słowa — westchnął chłopak i poszedł do szafki.

Zachwyciłam się jego figurą w promieniach zachodzącego słońca i pomyślałam, że Marta by teraz umarła z zazdrości, gdyby dowiedziała się, czym my się tu zajmujemy. Przy czym zawsze mogę ją uszczęśliwić tą informacją. Uśmiechnęłam się do swoich myśli.

— Cieszę się, że się uśmiechasz — czule rzekł Irga, przysiadając na łóżko.

Wstyd było mi się przyznać o czym myślałam. Dlatego jeszcze raz się uśmiechnęłam i wsunęłam cukierka do ust.

Nekromanta położył się obok i zaczął mnie wolno głaskać.

— A co ja mam robić? — zapytałam i zaczęłam kaszleć.

Irga postukał mnie po plecach, poczekał aż mi przejdzie i powiedział poważnie:

— Milczeć.

— A... — znowu zaczęłam.

Przyłożył palec do moich warg.

— Po prostu milcz. Zaufaj mi.

— Irga...

— Milcz kobieto!

— Nie jestem kobietą!

— Zaraz się nią staniesz!

Mimiką pokazałam wszystko, co myślę o tej propozycji. Irga roześmiał się i powalił mnie na poduszki.

„Tak — rozmyślałam jakiś czas później. — Jak Lira mnie zapyta: jak to było? To co mam jej odpowiedzieć? Że to było jak miłosny huragan, który doszczętnie zniósł dach? A istnieją takie miłosne huragany? Nigdy nie myślałam, że można tak połączyć dusze. Takie uczucie, jakbyś należała do drugiego człowieka, a on tak samo całkowicie należy do ciebie. Że jest tak przyjemnie. Że jest tak czule. Że jest tak dobrze”. Potem moje myśli obrały drugi kierunek.

— Irga?! — zapytałam gniewnie.

— Mmmm? — zapytał leżący na mnie nekromanta.

— Nogę mi przeleżałeś i teraz jej nie czuję. Potem będzie boleć. I w ogóle, zleż za mnie, bo jesteś ciężki i twardy.

Ukochany milcząc spełził na skraj łóżka.

— Irga!

— M?

— Jeść chcę! — na tę wieść nie zareagował. — Chcę jeść!!!

— No tak — burknęłam, upewniwszy się, że nekromanta bezczelnie ignoruje moje prośby. — Standardowa męska reakcja: zaspokoił swoje potrzeby — i na stronę. A ty, moja droga, jak chcesz.

Przelazłam przez bezwładne ciało, spróbowałam wyciągnąć spod niego koszulę, ale usłyszałam trzaski i stwierdziłam, że zjeść można i nago. Okazuje się, że miłość jest taką energiczną sztuką!

Irga zaczął dawać oznaki życia, kiedy kończyłam jeść jego zapasy.

— Zawsze marzyłem obudzić się i zobaczyć cię w swoim pokoju naga... — podszedł do szafki i obejrzał pobjowisko. — Ale twoja żarłoczność nie bywała w moich marzeniach. Wszystko zjadłaś?

— Wszystko co mogłam znaleźć — uściśliłam, starając nie gapić się tak bezczelnie na nagie, męskie ciało.

Irga pochwycił moje spojrzenie i zdziwił się:

— Co ty?

— Nic — zaczerwieniłam się.

— Wstydzisz się? — jeszcze bardziej się zdziwił.

— Taa, a czego? — oburzyłam się. — Czy nie tak zachowują się porządne, skromne dziewczyny, po kochaniu się?

— Kto z nas jest porządną skromną dziewczyną? — zainteresował się Irga.

— Dobrze wiesz! — zasyczałam oburzona i demonstracyjnie się odwróciłam.

Tak naprawdę nie wiedziałam jak się zachowywać. We wszystkich przeczytanych miłosnych powieściach opuszczano ten moment. Albo czasami nieustraszeni bohaterowie zrywali się z łoża i gdzieś lecieli, ratując świat od złoczyńców. Na pewno nie ma nic do wstydu.

Nekromanta szeleścił w szafkach za moimi plecami i smutno stwierdził:

— Trzeba iść po jedzenie, dlatego, że nawet kanapki z tego nie zrobisz. Czemu zżarłaś moje suchary?

— Można pomyśleć, że się nimi żywisz na robocie — odgryzłam się. Coraz bardziej obrażałam się na niego. Mógłby podejść, objąć, powiedzieć jak mu się to podobało, pocałować, popieścić... A nie martwić się o suchary!

— Zamierzałem oddać je biedakom — powiedział nekromanta, ubierając się. — Kupić ci coś konkretnego?

— Nie — burknęłam.

— Nie dąsaj się — Irga pogłaskał mnie po głowie i spróbował spojrzeć w oczy, ale zmrużyłam je. — Jak przyjdę to porozmawiamy, dobrze?

Chlipnęłam i potaknęłam.

Jak tylko zamknęły się za chłopakiem drzwi, zapłakałam. Czy to powinno tak wyglądać? Gdzie podział się czuły, uważny i ostrożny Irga? Suchary go martwią!

Płacząc i czując się bardzo nieszczęśliwie, zaczęłam się ubierać.

Nigdy nie czułam się tak... wykorzystaną i porzuconą.

— Do domu, do domu, do Ottona. Może choć mi wyjaśni o co chodzi, — powiedziałam na głos.

Zbierając rozsypane na łóżku szpilki do włosów, starałam się nie wdychać zapachu, świadczącego o tym, jak niedawno było nam razem dobrze. Dobrze...

Nie chciałam już płakać — chciałam ryczeć na głos. Mój nastrój potrzebował wyjścia, dlatego szybko napisałam list i wysłałam.

Na swoje szczęście zdążyłam na karetę odjeżdżającą do Loll. Choć to jest kawałek drogi od Czystiakowa, to nie namyślałam się długo i kupiłam bilet.

Przez całą drogę do domu ponuro wpatrywałam się w okno, czując się najbardziej nieszczęśliwym stworzeniem na świecie.

Po przybyciu na miejsce, nie patrząc na ranną porę, pobiegłam do Ottona. Głośno chrapiący Otto obudził się dopiero wtedy, kiedy wlałam mu pod kołdrę.

— Na Młot i Kowadło! Ola! Co ty tu robisz? Jak się czujesz?

Od prawdziwego szczęścia przyjaciela zachciało mi się płakać.

— Co się stało? — zapytał Otto, wycierając moje łzy. — Dostałem od Irgi list, ale niczego nie zrozumiałem. Kto z was zwariował? Co tu się w ogóle dzieje?

Używając brody półkrasnoluda w charakterze chustki do nosa i dławiąc się łzami, opowiedziałam o pobycie w Rorritorze.



— I on poszedł do sklepu po suchary, a mnie porzucił — skończyłam, dostając czkawki od płaczu.

— Teraz dobrze wiem, że pasujecie do siebie — stwierdził Otto, ze smutkiem oglądając to, w co zamieniła się jego broda. — Dlatego, że oboje zachowujecie się jak idioci!

— Mi jest źle, a jemu...

— Jemu też jest źle! — przerwał mi Otto. — Co mu napisałaś liściku, że biedny chłopak zamierza się powiesić?

— Nie pamiętam — przyznałam się.

— Zaraz przeczytam — półkrasnolud wyciągnął z szuflady list. — „Nienawidzę cię. Żegnaj.”...

— Hmm... Tak? — wydusiłam zaskoczona. Wydaje mi się, że przesadziłam. — A on co? I w ogóle to ty jesteś moi przyjacielem, a nie jego! Że on ci takie rzeczy pisze!

— Jestem i jego przyjacielem — powiedział Otto ziewając. — I w ogóle wkurzyliście mnie tą swoją miłością. No, czytaj, wydaje mi się, że ten list jest bardziej do ciebie, niż do mnie. I nie przeszkadzaj mi spać. I rano mi zrobisz śniaaaadaaaanieeeee...

Światła z okna nie starczyło do czytania, ale tak mi się trzęsły ręce, że dopiero za trzecim razem udało mi się otworzyć kartkę.

Czytałam linijka po linijce i nie poznawałam Irgi. Gdzie równe, lekko skośne pismo? Gdzie przejrzystości i lakoniczność zwrotów?

Otto, stary przyjacielu!

Wydaje mi się, że popełniłem największy błąd w swoim życiu.  
Nie wiem co mam robić, jak odzyskać Olę?

Byłem przestraszony, zakłopotany. Nie wiedziałem co robić i jak się zachowywać, co mówić i jak patrzeć jej w oczy, żeby nie pomyślała, że ją wykorzystałem...

Nawet nie wiem czy jej się to spodobało!!!

Dla mnie to było fantastyczne, dosłownie przepiękne, tak długo o tym marzyłem. A potem wszystko runęło. Zachowałem się jak dureń! Ale nie wiedziałem, czego ona ode mnie oczekuje i przeraziłem się. Musiałem pozbierać się ze swoimi myślami, a ona odeszła i napisała: „Nienawidzę cię. Żegnaj.“. Nie wiem, jak powiedzieć, że kocham ją najbardziej na świecie! I że nikt nie jest mi potrzebny oprócz niej!

Nigdy nie czułem czegoś takiego do kogoś. I nigdy nie było mi z nikim tak dobrze. Nie wiem jak ją o tym przekonać... Że jest mi potrzebna taka, jaka jest, co by ona tam o sobie nie myślała... A to, co się stało między nami — było najlepszym, co mnie spotkało w moim życiu...

Nie chcę bez niej żyć, ale sam to zepsułem...

Przyjacielu, co mam robić?

Irga

— Otto! Otto! — Śmiejąc się i płacząc jednocześnie, potrząsałam półkrasnoludem.

— Co jeszcze się stało?

— On mnie kocha!

— A co to za nowość? Nawet o tym profesor Patryk wie, od kiedy przeczytał twoja praktykę z nekromancji.

— To nie nowość! Jemu jest dobrze ze mną!!! Cały czas dobrze, w jakim ja stanie bym nie była! Dlaczego mi o tym nie mówił?

— A mało ci jeszcze, że ci regularnie tyłek ratował?

— No, ja myślałam...

— Czysty altruizm nie jest teraz w modzie — rzekł Otto i ziewnął tak, że chrupnęło coś w jego szczęce. — Ej, ty gdzie?

— Do Rorritora!

— Stój!!! Szlajasz się gdzieś tyle czasu, a Irga już trzeci dzień siedzi pod twymi drzwiami. Czeka. Blady, nieszczęśliwy...

Ostatnie co usłyszałam, wybiegając na korytarz, to oburzone wycie:  
— A gdzie moje śniadanie?!

\*Haliawa – coś co, w języku rosyjskim oznacza: szczęście, darmochę, łatwiznę... [przyp. Kuszumai]

## *Rozdział 6*

### *Żeńskie szczęście*

Święto Wiosennej Równonocy według tradycji spędziłam w domu, w otoczeniu najbliższej rodziny. Za świątecznym stołem rozmowa, jak zwykle, szybko przeszła w dyskusję o moim życiu towarzyskim.

— Kiedy będziesz miała męża? — zapytała mama, niedwuznacznie patrząc na kóleczo, którego nie ściągałam z serdecznego palca.

— Szybko — obiecałam.

— Kiedy zapoznasz nas ze swoim wybrankiem?

— Szybko — przyprowadzenie Irgi do domu było równoznaczne z odwiedzeniem ołtarza Bogini Rodu — bez ślubnych obrączek nie wypuścili by nas z miasta. Oczywiście, że chciałam wyjść za mąż, ale jakoś tak potem.

— Co znaczy „szybko”? — oburzyła się mama. — Wstyd mi patrzeć ludziom w oczy! Starsza córka i w ogóle ślubu nie planuje! Twoje rówieśniczki już dawno wyszły za mąż!

— Już wszystkie? — uściśliłam.

— Prawie wszystkie! — matka nie dała zbić się z pantałyku. — Nawet Stefa niedawno znalazła sobie męża.

— Co? — poraziło mnie.

Stefa była wojującą feministką. Wszystkie zdrowe na umyśle osobniki męskiej populacji starały się do niej nie zbliżać. Przy czym, nie zdrowi na umyśle osobnicy znikali z pola widzenia mojej licealnej koleżanki kilka minut po zapoznaniu. Zmywali się z oklapniętymi uszami (skutki stefowej magii) i bezrozumnym wyrażeniem oczu (rezultat jej lekcji o równouprawnieniu).

— Tak — włączyła się do rozmowy babcia i podzieliła się ostatnią plotką:

— Tylko co wyjechali od rodziców, osiedli na skraju miasta i nie zapraszają gości. Matka Stefy jest bardzo oburzona takim zachowaniem.

— A za kogo wyszła za męża?

— Jakiś przejezdny, nic o nim nie wiem — rzekła rozstrojona babcia.

Dziwiłam się coraz bardziej i bardziej. Sam fakt, że najlepsze plotkarki w mieście nic nie wiedziały o mężu Stefy, był porażający.

— To wszystko związane jest z jej robotą. Sprawa jest delikatna — powiedziała Zaria, trzecia według wieku siostra.

— Jaką?

— Stefa zajmuje się powiększaniem piersi. Za pomocą magii,

bezboleśnie i z rezultatami!

Wypadła mi łyżka z rąk. Powiększeniem piersi trudziło się już kilka pokoleń magiczek, ale nikt nie zaszedł dalej niż iluzja. Koniec końców, ta procedura dawała efekty tylko z pomocą chirurga.

— Z rezultatami za pomocą magii? — zapytałam.

— Tak! — odpowiedziała Zaria. — A ty co, nie zauważyłaś?

Powiększyłam piersi!

Uważniej przypatrzyłam się siostrze.

— A prawda. Ale po co?

— Za mąż chcę!

— Wielkie piersi nie gwarantują zamążpójścia! Przecież Daria wyszła za mąż latem bez ingerencji w swój wygląd.

— Daria ma większe piersi o pół rozmiaru ode mnie — nadęła się Zaria, ale szybko się rozjaśniła. — Miała większe ode mnie!

— Zaria marzy o wyjściu za mąż za elfa — złym głosem obwieściła mama.

— Wszystkie elfy to zbrodniecy — z przekonaniem stwierdziła babcia.

Spojrzałam na matriarchat naszego rodu, ale nie chciałam przejawiać zaciekawienia. Kto wie, jak bardzo burzliwa była jej młodość?

— Babuniu! — oburzyła się siostra. — Tyle razy już o tym mówiłyśmy! Chcę wyjść za elfa! Elfy są takie seksowne!

Spojrzałam na młodsze siostry. Patrzyły na mnie uważnie.

— Wszystkie elfy to zbrojeńcy — także podzieliłam się doświadczeniem.

Babka spojrzała na mnie przychylnie.

— A mama nie pozwala mi powiększyć piersi! — pożałowała się Laria.

— Mała jeszcze jesteś — odgryzła się matka. — I nie próbuj płakać, siostra i tak ci nie da pieniędzy! I tobie także! — uprzedziła najmłodszą siostrę.

— Nie dam — potwierdziłam.

Laria i Taria posmutniały.

— A od kiedy wiesz, że elfy są zbrojeńcami? — zapytała Zaria.

— Dziewczyny! — nie wytrzymał ojciec. — Może swoje żeńskie tematy będziecie omawiać w sypialni?

Wieczorem powędrowałam do pokoju Zarii. Niecierpliwiłam się, aby poznać tajemnicę powiększania piersi.

— Stefa daje zioła, które przygotowała specjalnie dla mnie. Trzeba je pić starannie odmierzonymi łyżkami każdego dnia, a kiedy się skończy, przyjść po kolejną porcję. Pierś powiększa się po pierwszym łyżku, a potem trzeba tylko podtrzymywać efekt i wsjo! Tylko popatrz, uszczypnij, jaka ona jędrna!

— Obejdzie się — powstrzymałam się od tej niewątpliwej przyjemności i zapoznałam się z zawartością buteleczki.

Wystarczyło nawet mojej nikłej wiedzy o ziołarstwie, żeby stwierdzić, że w butelce nie ma ani kropli magii! Zwykła nalewka z ziół— można było być od niej zdrowszym, ale w żaden sposób nie powiększyć piersi!

— Dziwne... — powiedziałam głośno. — Trzeba by było spotkać się ze starą znajomą.

— Też chcesz powiększyć piersi?

— Nie całkiem — powiedziałam, próbując językiem substancję.

— Co ty robisz?! — krzyknęła Zaria. — Każda kropla jest na wagę złota, a ty wypijasz! Będę musiała znowu iść po zioła! A nie mam pieniędzy!

— Też nie mam — powiedziałam, uciekając do swego pokoju.

Jednak tego wieczoru przyszło mi się pokajać, inaczej droga siostra w ogóle nie chciała mnie zaprowadzić do Stefy, a nie chciało mi się błądzić po zaułkach miasteczka.

— Ogólnie dzisiaj ma wolne — burknęła Zaria, przechodząc przez kałużę. — Ale może cię przyjmie. Po znajomości.

— Wolne dlatego, że jest święto?

— Nie, bierze sobie kilka dni wolnych w miesiącu i prosi, żeby nikt do niej nie przychodził. Przygotowuje się do czarów.

Przygotowuje się do czarów? Co to za magia, która potrzebuje kilka dni na przygotowania? Chęć pogadania ze Stefą paliła mnie od środka.

— No, już prawej jesteśmy na miejscu — powiedziała siostra i



wydała z siebie jakieś dziwne chrypięcie.

Odwróciłam głowę od drogi, na której wybierałam miejscówkę, gdzie można bezpiecznie stanąć, żeby nie zalać bucików i zamarłam. Przed nami stał na łapach zmiennokształtny. Ogromny, z burą sierścią, a z kłów kapiała ślina.

— Zrób coś — wyszeptała siostra, patrząc na cudaka.

— Uciekamy! — wrzasnęłam, podnosząc spódnicę i ciągnąc Zarię za rękę.

„I na co też mi przyszło? — myślałam w biegu. — Muszę biegać i na dodatek w tak niewygodnej odzieży!”

Za naszymi plecami rozległ się ryk, co dodało nam wigoru. W końcu dobiegłyśmy do oświetlonych ulic patrolowanych przez strażników miejskich i bezwładnie oparłyśmy się o jakiś płot. Ku mojemu zadowoleniu, nie wyglądałam na aż tak zadyszaną i bezsilną, jak siostra, która jest ode mnie młodsza. Widocznie właściwy stosunek do życia ostatnimi czasy właśnie dał o sobie znać.

— Prosiłam, żebyś coś zrobiła — dysząc oburzyła się Zaria. — Przecież jesteś magiem! No!

— Kto? Ja?— przyszedł czas ratować swój magiczny autorytet jako mag i starsza siostra. — Uratowałam nas!

— Niby jak?

— Pociągnęłam cię i szybko krzyknęłam. Bo byś stała dopóty, dopóki zmiennokształtny by cię zżarł!

— To... był... zmiennokształtny...? — z przerwami wyszeptała siostra.

— Zmiennokształtny, jestem o tym przekonana — tego wykładu nie przehulałam, dlatego, że obiecali pokazać nam prawdziwego zmiennokształtnego. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania — na wykład przysłała cała grupa, ale co się tyczy punktu programu, to nas oszukali. Przez obrazę do nauczycieli jakimś sposobem zapamiętałam opis zmiennokształtnego.

— I co mamy teraz robić?

— Ty masz iść do domu. A ja pójdę dowiedzieć się czegoś o zmiennokształtnym, który tak bezprawnie spaceruje sobie po okolicy.

— Zmniejszyły mi się piersi! — chlipnęła Zaria. — Dlatego, że wypiałś łyk moich ziółek!

— Wsadź złożone chusteczki do bielizny — poradziłam.

— Robisz tak? — zdziwiła się siostra.

— Widziałam jak inne robią — uchyliłam się od odpowiedzi. — Idź do domu.

— Boję się!

— Zmiennokształtny nie polezie w zaludnione miejsce, nie jest durniem. Więc jesteś bezpieczna.

Drzemiący w Magicznym Punkcie dyżurny mag mnie wyśmiał. O żadnym zmiennokształtnym, łąącym po obrzeżach miasta, nikt nie słyszał.

— Wydawało ci się, moja droga.

— Na wzrokowe halucynacje jeszcze nie cierpię — odpowiedziałam chłodno.

— Niech najpierw kogoś zeżre, albo chociaż ukąsi — ziewnął mag. — Wtedy będziemy myśleć. A ty, nawiasem mówiąc, nie jesteś praktykiem!

— Uważacie, że tylko praktycy mogą zobaczyć zmiennokształtnego?

— Uważam, że tylko praktycy mogą odróżnić zmiennokształtnego od, powiedzmy, dużego psa.

— Bardzo śmieszne — stwierdziłam, ale nic więcej zrobić nie mogłam. Gdybym miała ze sobą dowody działalności zmiennokształtnego...

Plując na wszystko poszłam do domu. Już podchodząc do bramy zrozumiałam, że nie mogę zostawić tego tak, jak jest. Koniec końców, tę część odwiedza moja siostra, a albo i dwie, żeby choć popatrzeć jak powiększa się piersi. I łązące po ciemnych zaułkach marzące o dużych piersiach! Oczywiście, rozumiem Stefę, która swoje klientki przyjmuje wieczorem— sprawa jest rzeczywiście delikatna. Wątpię, żeby klientki chciały, żeby wszyscy wiedzieli, że ich piersi są trochę... hmm... nierzeczywiste.

Popatrzyłam na niebo i westchnęłam— dzisiaj jest pełnia. O Siły Niebiańskie, nawet nie mogę stwierdzić czy to zmiennokształtny z urodzenia, zmieniający się według swego życzenia czy ukąszony, który zmienia formę w czasie pełni. Co za napaść!

Przygotowawszy na wszelki wypadek kilka pulsarów, polazłam przez

kałuże na obrzeża. Podbudowałam się stwierdzeniem, że jestem prawie dyplomowaną magiczką, i dalej lazałam podpierając się o płoty i starając się nie myśleć o tym, jak będę wyglądać po ingerencji zmiennokształtnego.

Dom Stefy stał na samym końcu ulicy, widocznym na słabym magicznym tle. Otaczał go nowy, mocny płot z równych, jak na płot, desek. Przypomniałam sobie chwiejące się ogrodzenie moich rodziców i pozazdrościłam: kobiece wdzięki naprawdę zapewniały dobry dochód. Stukając w kutą bramę, wsłuchałam się. Za płotem raziała uszy cisza. Zastukałam jeszcze raz. Potem jeszcze raz, ale tym razem nogą.

— Nikogo nie ma w domu! — rozpoznałam głos Stefy.

— Mało oryginalne! — krzyknęłam. — Stefa, otwieraj, tu Olgierda!

— Olgierda jest w Czystiakowie!

— Tak — zgodziłam się. — To jest mój fantom. Tylko przez płot przeleźć nie może, bo twój jest gładki i wysoki

Rozległ się szum nieznanego pochodzenia i furtka się otworzyła. Stefa stała na ganku naprzeciw mnie i trzymała w rękach arbalet.

— Eeeeeee... Stefa, klnę się na wszystko, że nie przyszłam po tajemnice firmy. Muszę porozmawiać.

— Rozmawiaj!

— Nic nie wiesz o zmiennokształtnym, który się tu włóczy?

— Zmiennokształtny? — arbalet w rękach drgnął. — Nie ma tu żadnych zmiennokształtnych!

— Widziałam na własne oczy!

— Wydawało ci się!

Z zachowania Stefy wywnioskowałam, że coś jest tu nie tak.

— No dobra! — powiedziałam odwracając się. — Było bardzo przyjemnie się sportkać.

— I co teraz zamierasz robić? — zapytała była klasowa koleżanka.

— Szukać zmiennokształtnego. Nie mogę dopuścić, żeby były u mnie halucynacje.

— Olgierda, poczekaj! — krzyknęła Stefa. — Czy to prawda, że jednym machnięciem zabiłaś dziesiątkę zombie?

— Tak — przytaknęłam nie odwracając się. Sprawa przybierała ciekawy obrót.

— A twoim narzeczonym jest wybitny nekromanta?

— Nie wybitny, a najlepszy! — ciekawe kto na ojcowiznie rozpowiada o mnie takie nowości?

— Wchodź.

— Co?

— Wejdz w gości.

— Wybacz mi, ale już sobie pójdę... — spróbowałam przekroczyć z powrotem próg, ale dźwięk podnoszonego arbaletu kazał mi zmienić kierunek. — Dawno nie byłam w gościach!

Iść w gości do Stefy, tak dziwnie się zachowującej, nie chciałam, ale dostać beltem w plecy nie chciałam jeszcze bardziej.

Pod rażeniem oręża byłam eskortowana aż do kuchni i posadzona na krzesło.

— Herbaty? — nieoczekiwanie spokojnie zaproponowała Stefa, kładąc arbalet na stół.

— Z trucizną? — uściśliłam.

— Dlaczego z trucizną? To tylko ziołowa herbata.

— Po takim miłym zaproszeniu w gości, mogę zaproponować, co ci pasuje...

Stefa uśmiechnęła się zawstydzona.

— Sytuacja wymaga.

— Stefa, — zapytałam dosadnie — jesteś zmiennokształtna?

— Co ty! — całkiem szczerze roześmiała się wiedźma. — Oczywiście, że nie!

— Więc co tu się dzieje?

— Po prostu... Chcesz wypić?

Przystając w ogóle coś rozumieć, kiwnęłam.

Stefa otworzyła butelkę taniego wina i nalała do kieliszków. Jednym łykiem wypiwszy swoją porcję, nalała sobie jeszcze. Potem jeszcze. Patrzyłam, milcząco. Nie chciałam pić tego świństwa, a i głowę trzeba było

zostawić z trzeźwą świadomością. Póki Stefa piła trzecią porcję wina, ostrożnie odsunęłam od niej arbalet, a potem w ogóle położyłam go sobie na kolanach. Gościnną gospodyni, pogrążona w swoich myślach, niczego nie zauważyła.

— Wyszłam za mąż — przerwała milczenie Stefa.

— Gratuluję.

— Nie dziwi cię to?!

— A dlaczego powinno mnie to dziwić?

— Przecież wiesz, że mnie inaczej, niż „postrach mężczyzn” nie nazywali!

Dyplomatycznie wzruszyłam ramionami.

— Oczywiście, sama jestem sobie winna! Myślałam, że faceci wolą silne i wierzące w siebie dziewczyny! A te tchórze! Nie rozumiem, kto jest im w ogóle potrzebny! A twój nekromanta, co w tobie znalazł?

— Nie wiem — owe pytanie interesowało nie tylko mnie, ale też i armię wielbicielek Irgi, dziewczyn wyglądających jak obrazki z ksiązek z podpisami „piękność”.

— Czemu do tej pory nie wyszłaś za mąż?

— A po co? — zdziwiłam się. — I tak mi się nieźle powodzi.

— Dlatego, że każda przyzwoita dziewczyna w twoim wieku powinna być już zamężna!

— Kto tak powiedział?

— Ludzie tak mówią.

— Aaaaaa.... No to niech mówią.

— I nie przytłacza cię to?

— "Pies szczeka, wiatr niesie" — błysnęłam wiedzą o narodowej twórczości.

— A mnie to przytłaczało, bo byłam sama! Nie-kobieta jakaś — Stefa walnęła filiżanką w stół. Powiodłam wzrokiem za turlającymi się odłamkami i postanowiłam pójść sobie.

— Poczekaj! Chcesz dowiedzieć się o zmiennokształtnym?

Potaknęłam.

— No to, zmiennokształtny jest moim mężem!

Jak stałam tak usiadłam i, porażona, odwróciłam się do Stefy. Trzeba tak mężczyzny chcieć!

— A co? — z wyzwaniem w głosie zapytała wiedźma. — Tylko trzy dni w miesiącu jest taki... Kudłaty. A przez resztę czasu jest normalnym mężem. W gospodarzeniu pomaga.

— Dlatego osiedliłaś się na takim odludziu — domyśliłam się. — Jeszcze z takim mężem!

— Niczego nie rozumiesz! Nie bije, nie ma wrednych przyzwyczajień.

— No tak — chrząknęłam. — Każdego miesiąca staje się... Kudłaty. To nie wredne przyzwyczajenie... To obraz życia.



— Jakby człowiek nocami wykopujący trupy był lepszy! — obraziła się Stefa.

— Po pierwsze, nie każdej nocy. Po drugie, za to płacą. Lepiej opowiedz jak się poznaliście. Nie każdego dnia spotkasz na ulicy zmiennokształtnego.

— Skusiłam go! — dumnie rzekła rówieśniczka. — Specjalnie pojechałam do sąsiedniego miasta, wzięłam z sobą miłosne zioło. Patrząc, siedzi w karczmie taki sobie sympatyczny mężczyzna, całkiem sam, więc nasypałam mu ziela do piwa. Potem okazało się, że jest zmiennokształtny i nie ma nic przeciwko żeniaczce. I ja też! Choć jest nie najlepszy, ale swój.

— I co, teraz każdego miesiąca lata po okolicy?

— Nie jest niebezpieczny — machnęła ręką Stefa. — Tak go mięsem zapycham, że jemu się długo żreć nie chce.

Zamyśliłam się. Rzeczywiście, kiedy spotkaliśmy zmiennokształtnego, szpilka w moich włosach nie wysyłała żadnych sygnałów. Ale to nic nie znaczy! W TYM momencie zwierzak był niegroźny, ale w innym?

— I na dodatek — ciągnęła wiedźma. — W te dni specjalnie robię sobie wolne. Żeby nikogo nie narazić na niebezpieczeństwo.

— Posłuchaj — powiedziałam najdelikatniej, jak można. — Rozumiem cię. Ale nie mogę dopuścić, żeby zmiennokształtny latał po ulicach mojego rodzinnego miasta. Nawet, gdy jak teraz jest spokojny i syty. Ale to zwierz! Tak i tak zwierz, co byś z nim nie robiła!

— Otworzyłam się przed tobą! — zapłakała Stefa — A ty chcesz zabić mojego męża?!

— Nie zabić. I nie doniosę na niego w Magicznym Punkcie, jeśli obiecasz zamknąć go w piwnicy i przywiązać łańcuchem.

— Swojego męża nie będę wiązać łańcuchem! Za nic! Przecież są jakieś zioła, wstrzymujące agresywność? — powiedziała Stefa.

— Są — zgodziłam się, ryjąc w pamięci. — Ale znacznie skracają życie.

— Lepiej być wdową, niż samą!

Westchnęłam. Żelazna logika.

— Stefa! Żeby zwarzyć takie zioła, trzeba być nie tylko specjalistą pierwszej klasy, ale mieć też rzadkie i potwornie drogie składniki. Uwierz mi, że nie ma na to sposobu!

Koleżanka zaryczała, rozmazując łzy rękami po twarzy. Poczekalam troszeczkę, póki pijana histeria nie poszła na straty, i oblałam kobitkę letnią wodą.

— Dziękuję — czknęła wiedźma.

— Więc co robimy?

— Wsadzimy w łańcuch, ale kiedy się zmieni to ty z nim będziesz rozmawiać!

— Witaj rodzinie! Czyim on jest mężem?

— A czyj to jest pomysł?!

— Stefa, ja po prostu nie chcę, żeby ta miła kudłata istota zagryzła którąś z moich sióstr! Niech to zabrzmi grubiańsko, ale nie mam nic do waszych rodzinnych kontaktów.

— Łańcuch musi być srebrny?

— Przejdzie i zwykły, ale mocny. Od srebrnego może go boleć.

Stefa gdzieś wyszła i wróciła z mocnym łańcuchem, zakończonym porządną żelazną obręczą.

— Wcześniejsi gospodarze trzymali uroczego wilczura.

Wilczury, które prowadzali stepowe orki, widziałam tylko na obrazkach. Mało kto ryzykował trzymać w domowym zaciszu wilczury, które przywieźli orkowie, a które ja widziałam tylko na obrazkach.

— Dobrzy gospodarze.

— Krasnoludy. Co z nimi zrobisz? Gotowi są powiesić się za każdego miedziaka. Zapewne gromadzili tu swoje oszczędności.

Obraziłam się za krasnoludy, lecz milczałam. Jak podpowiadał mi wąż, to w tym domu krasnoludy pędziły bimber — spirytusową mieszanką przesiąkły wszystkie ściany, a ten zapach poznam wszędzie. Pędzenie na pewno było nielegalne i piesek na pewno odganiał nieoczekiwanych gości.

Kilka razy głęboko westchnęłam. Sprawa wyglądała na skomplikowaną, potrzebującą mojej śmiałości i działania.

— Będę go wabić kawałkiem mięsa w dłoni — uprzedziła Stefa. — A ty, kiedy odwrócę jego uwagę, nałożysz na niego obręcz. Wystarczy trafić w szyję, a sama się dostosuje. Krasnoludka magia!

Zjeżyłam się.

— Dawaj odwrotnie? Ja wabię, ty rzucasz.

— Myślisz, że mój mąż weźmie mięso z cudzych rąk?

Wydawało mi się, że zwykły mężczyzna weźmie jedzenie z pierwszych lepszych rąk, ale swoje domysły zostawiłam dla siebie.

Stefa wyszła na ganek i, machając kawałkiem mięsa rozmiarami dwóch ćwiartek świni, zawołała:

— Rupert! Rupert! Choć na jedzonko, mój koteczku!

Zadławiłam się. "Koteczku"?

Nowy znajomy „koteczek” z zaułka szybko się pojawił, lekko przeskakując przez płot. Przygotowałam się do rzutu obręczą, mając nadzieję na łaskawość Pani Szczęścia. W to, że trafię obręczą tak, że nadzieje się na to cudo, nie chciało mi się wierzyć, no ale...?

— Rupert! Rupert! — spokojnym głosem wołała Stefa.

Pomodliłam się, zamachnęłam i rzuciłam obręcz. Nie tylko nie nadziała się na szyję zmiennokształtnego, ale nawet do niego nie doleciała.

— Sukin Kot!

Następna próba okazała się szczęśliwa. Widocznie Sukin Kot nie lubił przedstawicieli rodziny psowatych. Machający mięsem zwierz porzucił mięso i zataczał kółka w miejscu. I wtedy zrozumiałam, gdzie jest najsłabsze miejsce naszego planu! Nie pomyślałyśmy, żeby przyczepić łańcuch do czegoś i teraz trzymałam łańcuch w rękach, nie wiedząc, co z nim zrobić.

Od gwałtownego zrywu Rupert zerwało mnie z miejsca. Ale gdy zmiennokształtny, skojarzył obręcz z sobą i zaczął uciekać, zrozumiałam, że przyszedł czas mojej śmierci — włókł mnie na płot. Najgorsze było to, że nie mogłam wypuścić z rąk przeklętego łańcucha— ze strachu moje palce wszczepiły się w żelazo na amen.

— Maaaaamaaaa! — zawylałam, patrząc, jak szybko zbliża się równy rząd desek. Mogłam zrozumieć, że zmiennokształtnemu starczyło sił by przebić moim ciałem płot i zawlec dalej, ale co wtedy będzie ze mną?

Trzask! W oczach mi pociemniało...

— Olgierda! Olgierda!

Otworzyłam oczy, w głowie szumiało, a całe ciało bolało. Bolało wszystko i wszędzie, przy czym bardzo mocno. Mokre ubrania przyklepiły się do ciała. Leżałam koło płotu, a Stefa zgodnie z zasadami kanonu lała na mnie zimną wodę.

— Żywa jesteś?

Miałam kilka zastrzeżeń co do tego stwierdzenia, a po próbie poruszania kończynami zastrzeżenia przeistoczyły się w pewność.

— Umieram!

Dzbanek wypadł z rąk Stefy, która chwyciła się za głowę. Poleżałam jeszcze trochę i zapytałam:

— Co to za hałas?

— Łańcuch się zaczepił za płot — powiedziała. —I Rupert próbuje się uwolnić.

— Uda mu się?

— Nie wiem! Ten płot jeszcze krasnoludy robiły.

— Znaczy, nie uda mu się.

— Olgierda, przecież ty mówisz!

— Tak. I...?

— To znaczy, że nie umierasz!

— Nie — wychrypiałam. — To moje ostatnie słowa przed śmiercią, które będziesz pamiętać do końca życia!

Stefa zakryła twarz rękami.

— Tak się kajam przed tobą!

— Tak. A jak powiększasz dziewczynom piersi? — nie mogłam umrzeć nie poznawszy tej tajemnicy!

Wiedźma zawahała się, ale jedno spojrzenie na moje ciało leżące pod płotem w nieprzyzwoitej pozie przesądziło sprawę.

— To zakęcie powiększenia, mające promień działania i termin.

— A zioło?

— Zwykły napar z ziół. Odmierzam tyle łyżeków, ile dni działa zakęcie. I kiedy przychodzi czas klientki wracają, a ja odnawiam efekt. Haczyk w indywidualnym podejściu— na każdą dziewczynę zakęcie ma inny termin, bo wszystko zależy od odporności na magię.

— Aaha... — zaciągnęłam. To tak! — I jak ci się udało z tym

zakłęciem?

— Długo eksperymentowałam na sobie — przyznała się Stefa. — To umierasz?

Wysłuchałam się w czucie.

— Aż tak chcesz, żebym szybko umarła? Lepiej pomóż mi się podnieść, zrezygnowałam z umierania. Dostałam wstrząsu mózgu i mam złamaną rękę na dodatek. Jak boli!

— Wyciągnęłaś ze mnie profesjonalny sekret!

— Stefa! Naprawdę myślałam, że umrę, tak mi było źle! Tym bardziej nie wiem, jakim zakłęciem się posługujesz jak dorobiłaś się takich efektów. A zajmować się próbami nie mam chęci, jestem specjalistą w innej dziedzinie. Pomóż mi się podnieść, jeszcze zamarznię!

W kuchni wyjaśniło się, że moje rzeczy są nie tylko w błocie, ale i we krwi. Kiedy pozbyłyśmy się resztek palta, ukazało się nam sztywnie złamanie otwarte. Stefa w milczeniu zemdląła, a ja dopiłam resztę paskudnego wina i spróbowałam przypomnieć sobie zakłęcie znieczulenia. Rupert nadal żałośnie wył za płotem — życie nie tylko mi wydawało się wredne i to choć troszeczkę ogrzało mi duszę.

Czekając, kiedy koleżanka dojdzie do siebie, zapytałam:

— Sąsiedzi nie interesują się, co tu się wyprawia?

— Tu są mało zainteresowani sąsiedzi — odpowiedziała wiedźma, próbując warzyć mi uśmierzający ból napar. — A połowa domów w ogóle nie ma gospodarzy.

Wypiłam napar, z jękami i łzami przebrałam się w spódnicę Stefy (moja nadawała się tylko na śmietnisko), narzuciłam na siebie żakiecik i polazłam do uzdrowicieli, zostawiając koleżankę samą ze swoim mężem. Wychodząc, kazałam jej przysiąc, że więcej „koteczek” nie będzie łąził po ulicach. Co prawda, na wszelki wypadek uprzedziłam, że doniosę „tam”. Mogli zabrać wiedźmie magiczną licencję i obłożyć astronomiczną grzywną, nie mówiąc już o tym, że Ruperta czekał by los, nie godny pozazdroszczenia.

Gdy dotarłam do domu nad rankiem czekała na mnie już cała rodzina.

— Zaria powiedziała, że poszłaś walczyć ze zmiennokształtnym — rzekła mama, wyciągając do mnie drżące dłonie.

— Tak — stwierdziłam, obdarzając siostrę wiele obiecującym spojrzeniem. Ona co? Nie mogła zełgać, że poszłam odwiedzić koleżankę? — Mamo, uspokój się, wszystko dobrze! Tylko rękę złamałam.

— Tylko! — chlipnęła mama, oglądając moją podrapaną twarz i guza na łbie, cudzy żakiecik, sterczący krzywo zza zabukowanej w szynie ręki i krótkawą spódnicę mało skromną jak dla mnie biorąc pod uwagę paletę barw.

— Byłam już u uzdrowicieli. Wszystko dobrze, nie martw się o mnie.

Po tym, jak mama przekonała się, że ze mną wszystko w porządku, zaczęła się oburzać.

— A kto się o mnie martwił? Kto? Prawie kopnęłam w kalendarz czekając na ciebie! Niewdzięczna córka! Czy nikt inny nie mógł zająć się zmiennokształtnym?



Wycie mamy podziałały jak balsam na moją duszę. Jeśli mama się oburza to znaczy, że z nią wszystko dobrze. Pokazałam Zarii pięść i poszłam do swojego pokoju.

Rano przyszła do mnie babcia.

— Związałaś się kiedyś z elfem? — zainteresowała się.

— Nie całkiem. A ty?

— Było coś w młodości — przyznała się babka. — Myślę, że zapalczywość masz po elfach.

— Mam elfią krew? — poraziło mnie.

— Nie — z żalem stwierdziła staruszka. — Szybciej skutki działalności elfiej magii. Obiecał mi, że pokolenie później pojawią się oni, jego pożegnalny dar... Przecież jesteś jedyna w rodzinie, która włada magią. A sam był taki...

Oczy staruszki marzycielsko się zamglily.

— Babciu — zaczęłam delikatnie. — Magia nie przenosi się taką drogą. Szybciej twój elf był jasnowidzem i po prostu przepowiedział moje narodziny.

— Wszystko jedno, nie wiąż się z elfami! — uprzedziła babcia. — Takie rzeczy nawyprawiają, że ci wyobraźni nie starczy żeby to sobie wyobrazić.

Może nie starczy mi fantazji, ale nie bez przyczyny są na świecie elfie powieści miłosne.

— Już dokonałam swojego wyboru — odpowiedziałam. I w myślach pochwaliłam samą siebie. Mój ukochany, przy wszystkich swoich niedostatkach, mimo wszystko nigdy nie będzie kudłaty!

## *Rozdział 7*

### *Wiosenna gonitwa*

Jak tylko zrosła się moja ręka, złamana w nielekkim boju ze zmiennokształtnym, postanowiłam zająć się sportem.

Chociaż tak dziwna potrzeba pojawiła się już dawno temu, (pewnie od momentu gdy pierwszy raz stanęłam na nogach), końcowy zamiar sformułował się w jeden zimny wiosenny dzień, kiedy patrzyłam na magów bojowych, zajętych swą poranną przebieżką.

Błyszczące od potu i porannej mgły mocne torsy, nogi w obcisłych skórzanych spodniach, kształtne kontury skąpane w czułych promieniach porannego słońka, figury... Czy jest coś przyjemniejszego niż patrzenie rankiem na przystojnych mężczyzn?

I mam powód do zajęcia się sportem! Pojawiłam się w mistrzowni cała pogodna.

— Co się stało? — zdziwił się Otto, już przygotowując obudowę

najnowsze artefaktu.— Myślałem, że ranna pobudka nie bardzo cię uszczęśliwi, a ty się uśmiechasz. Mam się zacząć bać?

Oczywiście miał rację. Obudziłam się dzisiaj z jękami i biadoleniem o znenawidzonym przyjacielu. Dlaczego dzisiaj zachciało mu się popracować o świcie? Przecież sam lubi spać nie mniej ode mnie!

— Widziałam jak bojowi magowie robią poranne biegi — marzycielsko odpowiedziałam.

— I co? — zdziwił się półkrasnołud, ale potem zrozumiał. — Zasiedziała się dziewczyna bez mężczyzny. Wiosna!

— No właśnie się zasiedziałam. Teraz będę rano z nimi biegać.

— No, no — rzucił Otto, ale powstrzymał się od dalszych komentarzy.

Po zajęciach na Uniwersytecie polazłam do odmetów mojej szafy. Poranne biegi potrzebowały specjalnych ubrań, jakżeby inaczej! Chęć kupienia nowych spodni była bardzo kusząca, ale postanowiłam trzymać wolę w ryzach wszelkimi sposobami! Wstawać codziennie rano, biegać, jeść owsiankę, nie kupować niepotrzebnych szmat, nie zreć czekolady kilogramami... Stop! Wydaje mi się, że przedobrzyłam z obietnicami.

— Ty co? — zdziwiła się Lira, która wróciła z Domu Uzdrawicieli, przedzierając się przez porozrzucaną po pokoju odzież.

— Szukam porządnych spodni. Będę rano biegać! — pochwaliłam się.

— Będę cię budzić — od razu zaoferowała się przyjaciółka.

— Nie trzeba! Sama będę wstawać!

— Jesteś aż tak drastycznie na to nastawiona?

— Oczywiście! Wf jest dobry dla zdrowia. Kiedy trzeba się nim zająć, jak nie wiosną?

— Racja — stwierdziła Lira, oglądając rozwalone na podłodze rzeczy.  
— A dlaczego masz trzy takie same spódnice?

— Eeee... Pewnie dlatego, że strasznie spodobała mi się ta spódnica.  
Więc postanowiłam obłowić się od razu trzema.

— Ale jakoś ani razu nie widziałam żadnej na tobie... — zdziwiła się przyjaciółka. — A co to za bluzeczka? Przecież jest na ciebie za mała!

— Zamierzałam dać ją siostrze na urodziny — powiedziałam. — No i zapomniałam. Dam potem. Tak, wiem, że jestem straszna szmaciarą – kajałam się.

— Z drugiej strony spacer między straganami i sklepami także można zaliczyć jako formę przygotowań do wychowania fizycznego — pocieszyła mnie wierna przyjaciółka.

Lira pomogła mi wybrać dobre spodnie do zajęć i z powrotem napchać rzeczy do szafy. Przepelniona postanowieniem porannej przebieżki

poszłam spać.

Rano padał delikatny chłodny deszczyk. Porywisty wiatr rzucał krople prosto w twarz. Postąpiłam w klatce akademika i postanowiłam wrócić do ciepłutkiego pokoiku — zaczynać coś tak wielkiego trzeba przy dobrej pogodzie.

— I jak? — na wykładzie zainteresował się Otto.

— Przecież widzisz, jaka jest dzisiaj pogoda.

— A praktycy biegali, specjalnie patrzyłem.

— Nie porównywaj! Oni biegają tak od pierwszego dnia pierwszego roku. A ja nie.

Otton sceptycznie parsknął.

Deszczowa pogoda trzymała się przez cały tydzień. Chęć do porannych biegów topniała z każdym dniem. W końcu zrozumiałam, że jak jutro nie pobiegnę, to nigdy więcej nie zdobędę się na taką obietnicę.

Następnego szarego poranka wyszłam na dwór i poszłam na stadion. Minęłam się tam z praktykami. Naśladując ich, pomachałam rękami i nogami, przyłączyłam się do niedużej grupy dziewcząt i pobiegłam razem z

nimi. Szybko dostałam zadyszki. Z ostatnich sił podtrzymywałam tempo biegu, dziwiąc się, że studentki jeszcze prowadzą między sobą umoralniającą pogawędkę. Zaczęło kłuć mnie w boku. Odstąpiłam od grupy i zginając się w pół popęzłam do najbliższego drzewa, żeby odetchnąć oraz przyłożyć łeb do zimnego, mokrego pnia. Musiałam przyznać, że nie mogę biegać z praktykami. Lekkim truchtem pobiegłam z powrotem do akademika, rozmyślając nad perspektywą dalszych zajęć fizycznych.

W korytarzu złapał mnie Trochim.

— Przeszła fama, że dzisiaj zaczęłaś zajmować się bieganiem.

— Kto ci powiedział? — najeżyłam się.

— Koledzy z grupy powiedzieli, że zaczęłaś z nimi biegać, a potem gdzieś przepadłaś.

— Oczywiście, że przepadłam. Gdzie mi do nich.

— Nie prawda — zmiłował się kolega. – Będiesz robiła to codziennie i szybko ich dogonisz, ba, nawet przegonisz.

— "Szybko", to znaczy kiedy?

Trochim niedbale machnął ręką.

— Najważniejsze to zajmować się tym regularnie. Ja, na przykład, już dziesięć lat biegam codziennie, nie patrząc na pogodę, na swoje poczucie, na swój nastrój.

— W każdy dzień... — uściśliłam, wspominając pijackie rundki.

— Trafiłaś — roześmiał się Trochim. — każdego dnia oprócz Wielkiego Chmielu, po Burzliwej Nocy. W takie dni organizmowi i tak jest ciężko.

Otto nie zadawał żadnych pytań, ale byłam przekonana, że przyjaciele omówili już między sobą moje sportowe aspiracje.

Następnego ranka okazało się, że studentki z wczoraj czekały na mnie na stadionie.

— Będiesz z nami biegać, tak?

— Nie, nie, sama.

— Samej będzie ci nudno, biegnij z nami. Dla ciebie nawet zmniejszyłyśmy tempo, bo rozumiemy, że trzeba najpierw przywyknąć.

Oferty, składane tak wiarygodnie, zawsze skłaniały mnie do szukania w nich haczyka, ale teraz nie mogłam odmówić i, przeklinając zimny poranek oraz swą całą edukację, przyłączyłam się do grupy. Dzisiaj nie było wcale łatwiej biegać, niż wczoraj. Nawet ciężiej — mięśnie bardziej bolały. Dziewczyny zaczęły rzucać sobie figlarne spojrzenia i zwiększyły tempo biegu. Zrozumiałam, że urządziły mi test — na naszej drodze pojawili się praktycy męskiego rodzaju, śledzący nas wzrokiem. Oczywiście, na tle mojego mokrego, roztrzepanego i dyszącego ciała dziewczyny wyglądały bardzo korzystnie. Zacisnąwszy zęby z całych sił próbowałam nie odstawać. Najważniejszy jest miarowy oddech, miarowy oddech, miarowy... hyh... hyh... hyh... Ja mogę, mogę, mogę! Dziwiąc się własnej sile woli, zakończyłam bieg razem z wrednymi praktykami prawie nie odstając od nich. Starczyło mi jej nawet na to, żeby się grzecznie uśmiechnąć i

pomachać ręką na pożegnanie. Ale nie otwierałam ust — bałam się, że wypadną mi przez nie płuca. Długo szłam przez akademik, słaniając się i jęcząc, i starając się nie wpaść na jakiegoś znajomego, a tym bardziej nieznanego, szczególnie jeśli był by to ktoś ze studentów praktyków.

Nie rozbierając się runęłam na łóżko. Jeśli do tej pory nie lubiłam wychowania fizycznego, to teraz go po prostu nienawidziłam. Jeśli nie bolałyby mnie tak wszystkie mięśnie, to bym pożałowała siebie. A tak mojej siły starczyło tylko na uczucie nienawiści do sportu i wrednych studentek.

Postukano w drzwi, zza których ostrożnie wyjrzał najlepszy przyjaciel.

— Ty no... Idziesz do mistrzowni?

Milcząc, spojrzałam na Ottona, starając się włożyć w to wszystkie ogarniające mnie uczucia.

— Nie? Tak myślałem — powiedział półkrasnołud i zrejterował.

Na wykłady przyszedłam mimo wszystko, starając trzymać fason jak królowa i miło uśmiechać się do wszystkich napotkanych. Po zobaczeniu znajomych studentek – praktyków, czekających na mnie przy wejściu do kampusu przyszło mi wydobyć wszystkie zapasowe siły, żeby uśmiech nie zmienił się w grymas. Mam nadzieję, że rozczarowałam je swoim pogodnym nastrojem.

— Przyjdę do ciebie wieczorem — wyszeptał Otto, jednocześnie przerysowując z tablicy do zeszytu bardzo złożony schemat.



Pytająco spojrzałam się na przyjaciela.

— Masz zamiar jutro biegać? Nie musisz na mnie patrzeć z takim przerażeniem! Powinnaś! Inaczej stwierdzą, że jesteś słaba.

— Kto tak stwierdzi?

— Dziewczyny z praktycznego fakultetu. I wszyscy inni. Mają zakłady czy wytrzymasz, czy nie.

— Skąd wiesz?

— Trochim mi doniósł.

— Ciekawi mnie, czemu się do mnie przyczepiły.

— Po prostu jesteś pierwszym teoretykiem, który postanowił biegać rankami, na dodatek z praktykami.

— Nie chciałam biegać z praktykami! To samo wyszło — wysyczałam. — I nie jestem jedynym teoretykiem zajmującym się sportem!

— Jesteś jedyną, która biega rankami — stwierdził Otto. — Jeśli nie zdecydujesz się, to przyjdę i zrobię ci masaż. Inaczej jutro nie wstaniesz.

— Masaż zrobi mi Lira — powiedziałam, pogrążając się w odmętach myśli.

Wieczorem leżałam na łóżku i kontynuowałam rozmyślenia na temat: „Dlaczego mi to nie wychodzi i co z tym zrobić?!”

— I dlaczego staję się zawsze obiektem dla podbudowania pewności siebie takich... takich... ogólnie takich!" — pomyślałam na głos.

— Zapłata za popularność. Nikt nie lubi konkurencji — powiedziała Lira. — A już tym bardziej paniusie z praktycznego fakultetu. Jest ich tam mało i chcą, żeby cała męska uwaga była przeznaczona tylko dla nich.

— A czym ja przeszkadzam?

— No jak "czym"? „Ola, wyobraź sobie, tak, to ta sama Ola, postanowiła rano biegać”.

— Sądziś, że właśnie „ta sama”? — zapytałam, schlebiając sobie.

— Oczywiście. Jesteś sławna. I przyznaj się dlaczego postanowiłaś biegać?

— No... dlatego, że... sport ogólnie jest... no i najwyższa pora...

— Wydaje mi się, że w waszym kampusie jest sala sportowa dla teoretyków?

Straciłam rezon. W myślach przemknęły mi figury półobnażonych przyszłych magów.

— No właśnie — powiedziała Lira, obserwując mnie. — W przyczynach twoich postępów trzeba szukać męskiego składnika.

— I co w tym złego?

— Nic. Po prostu żyjesz wiedziona przez instynkty.

— To bardzo dobrze! — ucieszyłam się z diagnozy. — Mam bardzo przyzwoite życie, które jest maksymalnie zbliżone do przyrody.

— Mogę mieć nadzieję, że nie będziesz wyśpiewywać tego na ganku? — zapytała przyjaciółka.

— Po co? — nie zrozumiałam.

— Koty także żyją bardzo blisko przyrody. I teraz każdej nocy drą się na ganku. Powinnam także powiedzieć, że śpiewają ładniej od ciebie — jadowicie stwierdziła Lira.

— Dlatego, że gdy śpiewam, jestem troszkę pijana. A wtedy się pluje na jakość pieśni, najważniejsze jest to, czego dusza pragnie! — wyjaśniłam.

— Więc — powróciła do tematu Lira. — Studentki boją się, że poszłaś na przebieżki z jednym celem — wyhaczyć sobie jakiegoś chłopaka. A dobre chłopaki są teraz w deficycie, a ty jeszcze wybierasz najlepszego.

— Mam oficjalnego narzeczonego. Także praktyka.

— Oła, nikt nie wie, gdzie jest twój oficjalny naręczony i z kim się tam zadaje. Nasze towarzystwo już dawno nie widziało Irgi, a ty codziennie kręcisz się pod nosami praktyków. A teraz nie tylko się kręcisz, a na dodatek w obcisłych spodniach.

— Lepiej w nich biegać.

— I kusić mężczyzn.

— Głupstwa. Oni naprawdę tak myślą? Skąd wiesz?

— Przecież w lato dostanę dyplom Uzdrowiciela — uśmiechnęła się przyjaciółka. — Jaki ze mnie Uzdrowiciel, jeśli nie mogę poradzić sobie z duszami, cierpiących od bólów do nerwicy. Postaw się na ich miejscu: sławna przeciwniczka sportu postanawia biegać. Dlaczego?

Zamyśliłam się. Wreszcie do mnie doszło:

— Dlatego, że dziewczyna, tak pilnie biegająca i tak wzruszająco zmęczona wywoła u bojowych magów chęć utulenia, ochrony, obrony. Oni są stuknięci na punkcie cierpienia.

— No właśnie — potwierdziła Lira. — Dlatego zmienili twój bieg w konkurencje. Zdecydowana połowa mężczyzn interesuje się nie ochranianiem i pomaganiem, a raczej „kto padnie” i „ja stawiam na tę kobyłę”. Wybacz.

— Ot, kozły! Znaczą kozule! — wkurzyłam się. — Takie coś zrobić! Nie mam być pedantką i silną fizycznie.

— Co ci przeszkadza chodzić do sali sportowej?

— Zasada — pochmurnie odrzekłam i poszłam po swój zapas czekolady. Przeżuwając kostkę postanowiłam:

— Będę biegać. A te pięknotki jeszcze ode mnie dostaną.

Następnego ranka nie poszłam na stadion, a do mistrzowni, gdzie staranie udawałam pochłonięciem pracą aż do przyjścia przyjaciela.

— A to co za nowość? — zdziwił się, wchodząc do pomieszczenia. — Przypomnij mi, kiedy ostatni raz przyszłaś wcześniej ode mnie?

— Ani razu — powiedziałam. — Ale trzeba kiedyś zacząć.

— A co z twoim bieganiem?

— Przeniosłam je na wieczór. I powiesz wszystkim ciekawskim, że jesteśmy rankami bardzo zajęci.

— Dobrze wymyślone — stwierdził półkrasnolud. — A co, jeśli twoje

ukochane studentki też przeniosą bieg na wieczór?

— Ha! Sprawdziłam, że mają wtedy trening z fechtunku.

— I każdego ranka będziesz przychodzić tak wcześnie?

Wzdrygnęłam się od tego pytania. Ciągłe wstawać tak wcześnie rano?  
Koszmar!

— Nie, tylko przez ten tydzień — odpowiedziałam. — Żeby dowieść im, że jesteśmy bardzo zajęci.

— I wieczorami nie będziesz siedziała z nami w karczmie?

— Dlaczego nie będę? Kto mi zabroni po bieganiu wypić kufel piwa?

— Wątpię w korzyści po takiej przebieżce — powiedział półkrasnolud.

— Bez piwa mój organizm przestanie dostawać niezbędne mu witaminy i zginie w strasznych mękach — zakończyłam dyskusję.

W kampusie otoczyli mnie niedawni towarzysze od biegów.

— Co, przestraszyłaś się? — zapytali kpiąco.

— Czego? — zapytałam z udawanym zdziwieniem. — Po prostu mam rano dużo pracy w mistrzowni. Nie zdążamy zrobić wszystkiego do wykładu, więc trzeba wcześniej wstać i przyjść. Nie jesteśmy jakimiś tam praktykami— machnąć mieczem raz dwa i koniec. Do naszej roboty potrzeba rozumu i staranności.

— Spróbowałabyś mieczem machnąć — skrzywiła się ciemnowłosa studentka, którą uważałam za liderkę grupy.

— Machałam — powiedziałam od serca. — Nic trudnego.

Tak, nic trudnego, jeśli nie licząc tego, że przy patrzeniu na moje bojowe zapędy nauczyciele tego rzemiosła łapali się za głowę. Dlatego się bardzo nie wkurzałam, kiedy nie przychodziłam zajęcia, usprawiedliwiając się boleściami, które były coraz bardziej przerażające od innych. Przecież do machania mieczem potrzebne są bardzo dobrze rozwinięte mięśnie i duże doświadczenie w treningach. Żadnych z tych rzeczy nie posiadałam.

Ciemnowłosa otworzyła usta, próbując coś powiedzieć, ale jej bezceremonialnie przerwałam:

— Wybacz, moja droga, spieszę się. Życzę udanych rannych przebieżek.

Biegać wieczorami było o wiele bardziej przyjemniej, niż rano. Nikt mi nie przeszkadzał — ludyna albo się uczyła, albo siedziała w karczmach albo siedziała w ukrytych zakamarkach lubując się pierwszymi jesiennymi wieczorami. Po przebieżce przysiadłam się do przyjaciół w karczmie, przywracając utracone kalorie za pomocą piwa.

— Wiem, dlaczego Ola biega wieczorami — powiedział pewnego razu zadumany Trochim.

— Dlaczego? — zainteresowałam się.

— Dlatego, że nikt nie przeszkadza jej podglądać całujące się w krzakach parki.

— Wcale nie! — oburzyłam się. — Biegam koło Gaju Zakochanych tylko dlatego, że są tam wydeptane dróżki.

— I młode listowie nic nie skrywa... — dopowiedział kumpel. — Bieganie staje się interesujące.

— Nie musicie robić ze mnie przykładu swych seksualnych fantazji! — powiedziałam. — Nie mam nic innego do roboty, jak podglądać znajomych! Tym bardziej, że i tak niczego nie widać.

— Kulą sobie poświeć.

— Aha, żeby potem ktoś mi zaświecił w oczy. Nie, będę zajmować się sportem dla zdrowia, a nie dla świńskich rzeczy.

— Dlaczego świńskich? — zdziwił się Trochim. — To jest dla ludzi najważniejsze – podglądać innych. Ciekawe!

— Zauważ, — wtrącił się Otto — że to zdarza się tylko u ludzi.

— No oczywiście! Widziałem wasze płaskorzeźby na erotyczne tematy!

— To pociąg do piękna!

— No to właśnie u ludzi jest taki pociąg, tylko nie aż tak wyrazisty.

Półuchem słuchałam ich kłótni, rozmyślając nad tym, czy warto pójść za radą Trochim i zacząć podglądać pary w Gaju Zakochanych. Mnie nie interesowało za bardzo co i jak oni robią, ale za to kto z kim już tak. Informacja takiego gatunku mogła się bardzo przydać. Z drugiej strony, tylko łatki dewiantki brakowało mi do i tak gnuśnego obrazu mojej osoby w oczach znajomych.

Bój moralności i ciekawstwa trwał również następnego wieczoru kiedy zaczęłam przebieżkę. Dzisiaj biegałam wyłącznie między budynkami

akademika— byle dalej od grzechu. Jednakże słysząc dźwięki z otwartych okien dowiedziałam się sporo nowych rzeczy. Łatwiej podglądać, niż na rysować obrazek na podstawie tego, co się słyszało.

— Olgierda — dobiegł mnie krzyk z tyłu i zrównał się ze mną sympatyczny chłopak. Obrzuciłam go spojrzeniem i uśmiechnęłam się.

— Czy możesz dochować tajemnicy? — zainteresował się chłopak.

— Za przyzwoitą sumę mogę zrobić wszystko, co ci się podoba.

— Jesteś mi potrzebna... — zaczął chłopak i zawahał się.

— Jako kobieta? — radośnie zaciekałam się.

— Nie, jako Mistrz Artefaktów.

Ach tak! Jaki nachalny! Teraz, co by nie zrobił cena będzie dwa... Nie trzy razy wyższa!

— Słucham.

— Jest mi potrzebny taki amulet... Taki... No, dla mężczyzn... Rozumiesz... Żeby... Rozumiesz...

Nawet w nastającym zachodzie słońca było widać jak chłopak pokraśniał. Zatrzymałam się i ze współczuciem na niego spojrzałam. Mimo wszystko to przyszły bojowy mag – ot jak drgają mięśnie. Szkoda, że młody i już impotent. Oto do czego prowadzą ciężkie treningi. Może nie muszę biegać każdego dnia? Oczywiście nie stanę się impotentem, chociaż kto wie, do czego prowadzi wychowanie fizyczne?

— Wybacz koleżko — powiedziałam. — Ale z tym problemem



musisz zwrócić się do Uzdrowicieli. Jesteś jeszcze młody, oni coś na pewno wymyślą.

— Już się zwracałem. Powiedzieli, że może pomóc mi tylko amulet!

— Więc pójdz do sklepu z artefaktami i kup sobie amulet z korzeniem mandragory.

— Po co mi korzeń mandragory? Powiedzieli mi, że w tym przypadku pomoże mi tylko indywidualne podejście do sprawy.

— Tylko przez ten indywidualny podchód wezmę więcej kasy. Tak i tak amulet będzie bazował na korzeniu mandragory.

— Po co mi amulet na bazie mandragory?

— No jak po co? Pomaga, jeśli ma się słabą męską siłę — odpowiedziałam delikatnie.

— To znaczy?

— Jeśli jesteś impotentem, to musisz albo iść do uzdrowicieli albo powiesić gdzieś sobie mandragorę! — rzekłam prosto z mostu.

— Kto impotent? Ja impotentem? Oto jak ci się język płacze! — wkurzył się chłopak. — Ja do niej po pomoc, a ona mnie od impotentów!

Z przerażeniem odsunęłam się od praktyka machającego pięściami.

— Naprawdę nie przyszedłeś do mnie z tym problemem? — uściśliłam.

— Czy ja wyglądam na impotentą? — krzyknął chłopak.

— Wyglądasz! — stwierdził ktoś ze stojącego obok akademika.

— No! Teraz wszyscy będą gadać! Przez ciebie! — ta góra mięśni zamachnęła się na mnie ręką, a ja ze strachu kucnęłam zasłaniając głowę rękami. No to sobie pobiegałam, no to sobie poprawiłam kondycję zdrowotną!

Uderzenia nie było. Otworzyłam oczy i popatrzyłam z dołu na chłopaka. Patrzył się na mnie zdziwiony.

— Myślałaś, że cię uderzę?

— Nie — wróciłam do normy. — Po prostu to są moje ćwiczenia dla poprawienia figury. Przysiad i jednoczesne machanie rękami.

Leniwie pomachałam rękami i zrobiłam kilka przysiadów, a potem lekkim truchtem pobiegłam dalej.

Chłopak mnie dognał i w biegu zaczął wyjaśniać:

— Moim problemem jest to, że jestem strasznie nieśmiały. Dziewczyny mnie nie lubią.

„Trzeba mniej machać rękami” — pomyślałam i postarałam się przybrać jak najbardziej współczujący wyraz twarzy.

— I uzdrowiciele mi powiedzieli, że pomoże mi specjalny amulet, który będzie przyciągał płęć przeciwną.

— Mmmmm... I kontrolować wolę?

— Nie — przeraził się chłopak. — Po co kontrolować wolę? Po prostu dziewczyny powinny zobaczyć jaki jestem przystojny!

— Według mnie i tak jesteś wystarczająco przystojny —  
powiedziałam.

— A dlaczego inne tego nie zauważają?

— Dobrze — zrobiło mi się żal chłopaczka. — Przyjdź jutro o piątej  
rano do mistrzowni, to coś wymyślimy

Następnego ranka opowiedziałam Ottonowi o wczorajszym spotkaniu.

— Jednego nie mogę zrozumieć – dlaczego właśnie m i to  
opowiedział? Wolałabym wyzalić się cudzemu człowiekowi, niż wydawać  
problemy płci przeciwnej.

— Dla niego nie jesteś płcią przeciwną — stwierdził zadumany Otto,  
kartkując katalog. — Jesteś dla niego jak uzdrowiciel — bezpłciowa istota,  
która może wybawić go z kłopotu. Nie mogę niczego znaleźć! Jest artefakt  
od tłumienia woli, od bojowych rzeczy, a dla podwyższenia atrakcyjności  
nie ma! Może daj mu artefakt naprowadzający mrok?

— Nie jest mu potrzebny artefakt zmieniający wygląd zewnętrzny!  
Jest pięknisiem jakich mało — muskularny, mięciutkie wełniane włosy...  
Sam zobaczysz.

— Nie jestem specem w męskim pięknie — wywarczał Otto,  
wyciągając jeszcze jeden katalog. — Ile zgadza się zapłacić?

— Wydaje mi się, że tyle, ile będziemy chcieli. Ale jeśli nam się nie  
uda... On ma takie pięści!

— Mam nie mniejsze — odpowiedział Otto. — Coś wymyślimy.

— Można? — zajrzał do mistrzowni wyżej wspomniany chłopak.

Otto mrugnął do mnie i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Wejdz, wejdz! Jak się nazywasz?

— Artur.

— Bardzo dobrze — stwierdził Otto, wyciągając z kieszeni składany centymetr.

Półkrasnolud rozegrał przed Arturem całe przedstawienie. Wydawało się, że nie było niczego, czego by nie zmierzył — biedny chłopak musiał wystawić język i wstydliwie odwracając się ode mnie ściągnąć spodnie. W tym czasie Otto sypał słowami nawet dla mnie niezrozumiałymi, zadawał masę pytań, na które jeszcze sam odpowiadał. Ja po cichutku weszłam w rolę mebli.

— Ola — nagle zwrócił się do mnie półkrasnolud. — Wyjdz, proszę. Mamy męską rozmowę.

Potaknęłam i wyszłam, płonąć z ciekawości. Po jakimś czasie z mistrzowni wyszedł zadowolony Artur, a Otto, zaglądając zza drzwi, pogroził mi palcem.

— No co?

— Zgodził się zapłacić 20 złotych, jeśli poprawimy jego sytuację — smutnym głosem powiedział Otto.

— Ile-ile? No coś takiego! A dlaczego jesteś taki smutny? Przecież za tyle pieniędzy można kupić mnóstwo rzeczy!

— Jeśli je porzucimy to nigdy sobie tego nie wybaczę. Ale nie mogę wymyślić co zrobić! — prawie płacząc powiedział Otto.

— A o czym rozmawialiście?

— O tym, jak jedna dziewczyna którą kochał powiedziała, że jest przerażający i od tamtej pory nie zadaje się z przedstawicielami płci żeńskiej.

— Jemu trzeba tylko podnieść samoocenę — powiedziałam.

— "Tylko" — przedrzeźniał mnie Otto. — A ty wiesz jak to zrobić?

— Nie — powiedziałam, odganiając od siebie wizję, jak tracę zarobione pieniądze na wyprzedazach — Ale na pewno coś wymyślę.

— Może trzeba specjalnie wynająć dziewczynę, która uwolni go od kompleksów?

— Ja, oczywiście, nie jestem specjalistką, ale wydaje mi się, że ta „dziewczyna” zabuła nam niezłą sumkę.

— O tym nie pomyślałem — przyznał półkrasnolud. — Dobra, mamy całą niedzielę, żeby coś wymyślić.

I zaczęliśmy myśleć. Myśleliśmy, myśleliśmy, myśleliśmy. Myślałam nie tylko w czasie zajęć, ale także w czasie biegania. Artur wpadał na nas w kampusie i przerażająca spoglądał w oczy. Otto w takich przypadkach przybierał poważny wyraz twarzy i przekonująco mówił:

— Twój problem jest bliski rozwiązaniu!

Chłopak uśmiechał się, a krasnolud łapał się za brodę.

— Trzeba szukać pomocy — powiedziałam.

— Będziemy musieli podzielić się pieniędzmi.

— Lepiej dostać choć trochę pieniędzy niż nic.

— Od jakiego czasu stałaś się taka mądra? — zapytał Otto.

— Czasowe objawienie — szybko próbowałam wybrnąć od nazywania świątłych mądrości.

Bez celu łąząc po korytarzach i szukając kogoś, kto by podchodził na specjalistę kontaktów międzypłciowych natknęłam się na Riaka, zajmującego się porządną robotą – inspekcją cudzych saganków w kuchni.

— Riak!

Wieczny student upuścił nakrywkę saganka i z przerażeniem odwrócił się na dźwięk mego głosu.

— Tfu, Olgierdo! Już myślałem, że to właściciel saganka.

— Kiedyś ci za to dadzą po twarzy — przepowiedziałam.

— Na razie nie dali. Nie złapali, nie złodziej — wzruszył ramionami Riak, wyławiając z naczynia kawałek mięsa. — Wszyscy normalni studenci są teraz na zajęciach. A ty wagarujesz.

— Ja nie wagaruję, tylko zajmuję się nauką — odpowiedziałam. — Dlaczego lubią cię dziewczyny?

Riak tak bardzo się zamyślił, że nawet zapomniał przeżuwać.

— No, dlatego, dlatego... Dlatego, że jestem taki... Taki... Taki....  
Ogólnie taki!

— Jaki taki?

— A po co ci to?

— Mówię, że dla nauki.

— Jakieś durne te badania. Zawsze mnie dziewczyny lubiły i kropka. A dlaczego, to musisz się ich zapytać.

Przyznałam logiczność owej propozycji i udałam się na poszukiwanie ostatnich riakowych pasji.

Odpowiedzi dziewczyn raziły mnie swoim podobieństwem, nie dając mi żadnego punktu zaczepienia, który by pozwolił rozwiązać problem Artura.

— Lubimy Riaka dlatego, że jest taki... Jest prawdziwym mężczyzną!

Jak zrobić z Artura prawdziwego mężczyznę nie wiedziałam, ale zapisywałam wszystkie niezbędne atuty, wyliczone przez dziewczyny

Wieczorem, zestawiając spis atutów prawdziwego mężczyzny, którego ubóstwiają dziewczyny, jęczałam. W liście znajdowały się po sąsiedzku „grubiański – czuły”, „oszczędny – szczodry”, „gadatliwy – milczący” itd. Tylko jedno się zgadzało — prawdziwy mężczyzna powinien być silny. Ale Artur był silny i bez mojej pomocy.

— Lira — zwróciłam się do przyjaciółki, leniwie żującej kanapkę po stresującym roboczo-uczącym dniu. — Jeśli twojego pacjenta nie lubiłyby kobiety, to co byś zrobiła?

— Facet do rzeczy?

— Zwyczajny. Nie zły i nie dobry. Przyszły bojowy mag.

Lira pomilczała, rozmyślając, i uczciwie odpowiedziała:

— Pokochałabym go.

— Dlaczego? — zdziwiłam się.

— Dlatego, że tak męczysz się w pracy, że nie masz siły szukać sobie przyzwoitego chłopaka. A tu jest już gotowy, na dodatek bez natrętnych kobiet, więc nie będzie konkurencji. Czyli to, czego potrzeba.

— Lira! — ucieszyłam się. — Geniuszu! Czemu wcześniej na to nie wpadłam! Przecież u ciebie na wydziale jest mnóstwo dziewczyn, prawda? Słuchaj, pomóż mi, co?! Ja przyprowadzę tego chłopaka, a zwróćcie na niego uwagę? Zapłacę cukierkami!

— Możesz i bez cukierków — powiedziała przyjaciółka. — I tak będziemy zadowolone. Tak rzadko przychodzą do nas chłopcy, częściej ich przynoszą, niż sami przychodzą.

Następnego ranka razem z Ottonem zrobiliśmy amulet, powiększający życiowy wzrost. Półkrasnolud ozdobił przedmiot obrazkami, przerysowanymi nie skądinąd jak z „Porównawcza charakterystyka póź, przybieranych podczas miłosnych igraszek w wielu krajach” (Czytałam, bo trzeba było. Z ciekawości!). A i forma amuletu było wiele mówiąca.

— Robiłem go według jego miar! — dumnie powiedział Otto, zauważając moje ciekawskie spojrzenia. — Ej, ej! Ślina kapie! Masz własnego!

— Mój jest daleko — powiedziałam oburzona. — Sknera.

— On jest naszym klientem. A klient nie jest człowiekiem. To dla nas



otwarta kieszeń— pouczył mnie półkrasnolud.

Kiedy przyszedł Artur, przekonywałam Ottona, żeby kazał klientowi się rozebrać— jakoby dla przeprowadzenia rytuału. Krasnolud nie zgadzał się — podejrzewałam, że z męskiej solidarności i równie męskiej wredności.

— Będę musiał to nosić? — zapytał Artur, czerwieniąc się.

— Tak — potwierdził Otto. — Pod ubraniem. Staraj się nie pokazywać go dziewczynom. Teraz Ola objaśni ci działanie amuletu, bo odpowiada za działanie magii, a ja pracuję tylko z materiałem.

— Pójdziemy się przejść — zaproponowałam.

Wykładając chłopakowi lekcję z podręcznika „tajemnice psychologiczne różnych gatunków”, powoli i metodycznie nakierowywałam go w stronę kampusu Uzdrowicieli.

— Cześć! — dogoniła nas pasająca Lira. — Co u ciebie?

Obrzuciła Artura zaciekawionym wzrokiem. Ten pokraśniał, opuścił ramiona i zaczął przypominać nie pięknego bojowego maga, a pobitego osła. Walnęłam chłopaka w bok.

— Amulet pracuje! — wyszeptalam.

Artur od razu się wyprostował, zdystansował krok, ale nadal bał się zmierzyć się spojrzeniami z Lirą.

— Jaki facet! Zapoznasz?

— Lira— Artur, Artur - Lira.

Przyjaciółka promiennie uśmiechnęła się do Artura. Zapadła cisza.

— Artur jest bojowym magiem — powiedziałam ratując sytuację.

— Naprawdę? O, pewnie masz mnóstwo blizn?

— Tak — dumnie potwierdził chłopak.

— A gdzie? Długo się goiły? Zakażenia nie było? — profesjonalnie zapytała przyjaciółka.

Zrobiłam „straszne oczy”, tłumiąc chęć złapania się za głowę. Lira zrozumiała ten gest i poprawiła się:

— Na pewno bardzo cię bolało? Jesteś taki męski!

— Tak.

Przeraziłam się, że zapas słów Artura ogranicza się tylko do jednego wyrazu i zaczęłam myśleć, jak by tu go rozgadać. Do tego czasu już podeszliśmy pod kampus Uzdrowicieli. Ze środka wybiegło kilka dziewczyn.

— Oj, cześć! — zachichotały.

Artur spróbował się za mną schować.

— Amulet! — wyszeptałam, pchając go w stronę uzdrowicielek.

Lira wzięła jego za rękę i poszła zapoznać go ze swoimi koleżankami, zostawiając mnie.

Z uczuciem spłaty długu wróciłam do mistrzowni po swoją część pieniędzy — nie mogłam się doczekać, aż je wydają.

— Powiedz mi — zapytałam Ottona. — Dlaczego zrobiłeś mu amulet

w takiej formie?

— Taktyczny spryt — uśmiechnął się. — Wystarczy, że jak jedna dziewczyna go zobaczy, to od razu rozpowie innym. I same będą go rozbierać, żeby tylko popatrzeć. Nie bez przyczyny kazałem nosić mu amulet pod ubraniem i starać się nie pokazywać kobietom. A wszystko, co zakazane kusi. Tak mi poradził tata.

Otto zamyślił się i dopowiedział:

— Zapewne tym samym ratował się w młodości.

— Tak, twój ojciec jest przedsiębiorczy — powiedziałam idąc do sklepów.— Tylko popatrzeć, nie kupować, nie-nie!

Przez następne kilka wieczorów męczyła mnie chęć podejrzeć, czym zajmują się studenci w krzakach. Propozycja Trochim zapadła mi głęboko w serce i cały czas męczyła mnie przyzwoitość i prawość. W końcu postanowiłam, że jeśli choć raz zobaczę, to nic się mojemu sumieniu nie stanie. Przygotowawszy maleńki świetlik, pobiegłam po tropie wzdłuż krzaków, z których dobiegały ochy i achy.

A oto i poszukiwane krzaki, rytmicznie trzęsące się nie, patrząc na działalność wiatru. Skierowałam świetlik w stronę krzaków i wyciągnęłam szyję. Aaaa...!

Ku mojemu nieszczęściu, moje oczy nie były przyzwyczajone do tego, żeby patrzeć w kilka stron na raz. Jak tylko zdołałam rozpoznać dwa nagie ciała, to potknęłam się o korzeń i zleciałam fikołkami w dół wąwozu, tarzając się w listowiu.

Mało tego, że byłam cała umorusana błotem to na dodatek skręciłam nogę. Dobrze mama mówiła, że nie można podglądać.

Chlipnęłam z żalu do własnej osoby i rzuciłam znieczulające zakłęcie, które całkowicie uśmierzało ból. Jęcząc i charcząc, próbowałam wyjść z wąwozu. Strasznie stromo! Na dodatek bałam się tak obciążać nogę – bardzo możliwe, że ją nie zwichnęłam, a złamałam. I kości przesuną się tak, że świata nie zobaczę przez wszechogarniający ból.

Para, sądząc po odgłosach, była tak sobą zajęta, że odgłosu mojego upadku nawet nie usłyszeli.

— Ej, no ktoś! Pomóżcie!

Ciekawe czy długi jęk można zaliczyć jako odpowiedź. Stać na dnie wąwozu było niewygodnie i mokro. Spróbowałam wyleźć jeszcze raz, ale znów zjechałam w dół. Dlaczego nie nauczyłam się lewitacji?

— Ratunku! Ratunku! Umieram! No pomóżcie! Koniec, prawie umarłam!

No do czegoż to doszedł nasz naród! Własne zachcianki są ważniejsze od ludzkiego życia.

— Mówiłem ci, żebyś nie śmiała umierać bez mojego pozwolenia?!

— Irga? — wydawało mi się, że się przesłyszałam.

— We własnej osobie — świetlik oświecił wąwóz i rozpoznałam wesołą twarz pod długą czarną grzywką.

No dlaczego zawsze przed ukochanym wyglądam jak kupka nieszczęść?

— Ale wyglądasz! — powiedział Irga.

— Zwichnęłam nogę — powiedziałam ponuro. — I nie mogę stąd wyleźć.

— I ja powinienem cię stąd wyciągnąć? — zapytał nekromanta, zgrabnie skacząc w dół wąwozu. — Stań na czworakach.

— Co, tutaj? — oburzyłam się.

— Co to za myśli, panna? — roześmiał się Irga. — Będiesz pełznąca, a ja będę cię z dołu popychał.

I w ten sposób po cichutku wyszliśmy na powierzchnię.

— Taaa... — rzucił Irga, szczypiąc moją nogę. — Marzyłem o tym, że zaniosę cię do łóżka, a wygląda na to, że będę musiał taszczyć cię do uzdrowicieli.

— Co ty w ogóle tutaj robisz?

— Przyjechałem w gości — powiedział Irga. — Stęskniłem się za twoją groźną mordką.

— O ile nie wojuję z praktykami — rozmyślałam na głos, przytulnie układając się na rękach nekromanty. — Oni wszyscy mają jakieś dziwactwa.

— Zaraz cię zrzucę i sama pójdziesz — wydyszał Irga.

— Mówię właśnie, że z dziwactwami — powiedziałam, mocniej obejmując ukochanego. — Komu jeszcze przyjdzie do głowy pomysł, żeby rzucać narzeczoną.

— Ja w ogólnie nie muszę cię nieść, a podtrzymywać, tak byś mogła

iść sama — stwierdził oburzony Irga.

— Nie oburzaj się — uspokajająco powiedziałam. — Po leczeniu nałożą na mnie łóżkowy areszt. Pomożesz mi w tym...?

Parę dni później siedziałam smutna w karczmie, popijając piwo. Irga wyjechał, zostawiając po sobie mnóstwo czekolady i moje łyżki przy pożegnaniu.

— Ola, czemu tu siedzisz? A co z biegami? Trzeba powoli się forsować.

— Jakie tam biegi — odpowiedziałam, przysuwając do krasnoluda talerzyk z kiszonymi ogórkami — Nie ma żadnego pożytku ze sportu, tylko same szkody dla zdrowia są!

— Dlatego, że nie robiłaś tego regularnie! Ułożyłem ci plan, więc będziemy zajmować się tym razem!

Patrząc na przepełnionego entuzjazmem przyjaciela, pożałowałam, że nie leżę z gipsem w łóżku. Przy czym przy odrobinie i chęci to małe zaniedbanie można naprawić!

## ***Rozdział 8***

### ***Wesoły jarmark***

Głowa miasta postanowiła ubarwić początek lata wielkim jarmarkiem. Dwa tygodnie na nieużytkach za miastem stały rzędy robotników i towarów. Goście zajmowali pokoje, a prości ludzie zbijali pieniądze.

Już dwa tygodnie byłam na surowej antyzakupowej diecie — zbierałam pieniądze, żeby potem wydać je wszystkie na zabawie. Nie wiedziałam jeszcze, co będę chciała kupić, ale byłam pewna, że tego będzie dużo.

— Otto — zapytałam pewnego ranka w mistrzowni. — Pójdiesz na jarmark?

— Oczywiście! — odrzekł półkrasnolud. — Chodzą słuchy, że będzie tam kilka dosyć ciekawych sprzedawców artefaktów, więc trzeba zobaczyć, co mają w ofercie.

— To dobrze! — ucieszyłam się. Chciałam wykorzystać przyjaciela w charakterze tragarza i nic nie będzie przeszkadzać w wydaniu paru pieniążków, póki Otto będzie rozkminiał innych sprzedawców artefaktów.

— Jeśli zamierzasz kupić jakieś ciężkie aksamitne coś i zwalić to na mnie, to ja odmawiam z wyprzedzeniem — obwieścił półkrasnolud.

— Jak się domyśliłeś? — zdziwiłam się.

— Wy, baby, wszystkie jesteście jednakowe. Ja co, nigdy na rynek nie chodziłam z matką i siostrami? — przyjaciel machinalnie potarł swoje lewe ramię, gdzie ukąsił go kiedyś dzieciak wiwerny, kupiony przez matkę Ottona, Walinę, jako zwierzątko na ramię. Póki krasnolud przytaszczył wyrywającą się, kąsającą i plującą jadem wiwernę do domu, to zdążył znienawidzić wszystkie egzotyczne zwierzęta i pchle targi z bezczelnie

szczerzącymi się sprzedawcami, podsuwającym łatwowiernym kobietom „miłe i radosne” zwierzątka.

— No i dobrze, no i dobrze. Naderwę się, umrę i będziesz płakał!

— Wynajmij tragarza, jeśli boisz się naderwać — poradził Otto.

Wydełam wargi i odwróciłam się. Tragarz kosztuje, a krasnoluda można było zatrudnić za darmo.

— Nie dąsaj się, — spokojnie poprosił krasnolud. — Kupię ci prezent na jarmarku!

Przestałam się oburzać i zaczęłam zastanawiać się nad tym, jaki podarek kupi mi krasnolud. W to, że będzie to coś niezwykłego, nie wątpiłam.

— Można? — do mistrzowni zajrzała blond włosy studentka. – Jestem Molla z wydziału Jasnowidzów. Z inicjatywy naszej grupy zbieram podpisy przeciw organizowaniu jarmarku.

— Dlaczego? — poraziło mnie. — „Przeciw jarmarkowi” – to źle?

— Oczywiście! — z przekonaniem potwierdziła Molla. — Po pierwsze: pole, na którym będzie organizowany jarmark. Będzie nie nadawało się do wypasu bydła — wydepcze je tysiące ludzi! Po drugie: miejska infrastruktura nie wytrzyma takiej lawiny gości. Po trzecie: goście zostawią po sobie kupę śmieci! A kto będzie je zbierał? Ogólnie jarmark przyłoży się do katastrofy ekologicznej miejscowego środowiska!

— Głupstwa! — oburzyłam się. — Nie będę tego podpisywać!

— Ekologiczna katastrofa to poważna sprawa — stwierdził



półkrasnolud. — Czemu by tego nie podpisać?

— Otto! Jarmarki są prześwietne! Sklepiki, wyprzedaże, nowe towary, rozrywki, ludzie, sympatyczne chło... Dobra, ciebie to nie interesuje.

— Czemu by tego nie podpisać? — powtórzył Otto, stawiając na petycji wyrazisty podpis.

Molla rozjaśniła się.

— A dlaczego macie tak mało podpisów? Ludyna nie jest przerażona ekologiczną katastrofą? — jadowicie zapytałam.

— Niestety — smutno odpowiedziała studentka. — Kasa zasłania ludziom oczy. Plują na światowe problemy.

— Światowe problemy są daleko, a możliwość pochwalenie się nową sukienką - blisko.

— Myślisz przyziemnie, złotko — stwierdził Otto. — Trzeba wspierać publiczne poczynania.

Wzruszyłam ramionami. Pluję na publiczne poczynania. Szczególnie na te, które groziły mej długo wyczekiwanej rozrywce. W tym czasie półkrasnolud podpisywał się za dziesięciu swoich znajomych.

— Po co zajmujesz się podrabianiem? — zapytałam.

— Wiem, że chłopaki nie byliby przeciw postawić tu podpis, tylko nie mają możliwości tego zrobić — spokojnie odpowiedział Otto.

— A mój podpis też możesz podrobić?

— Mogę, jeśli się postaram, bo masz bardzo krzywe pismo.

— Nie jest krzywe! Ile razy ci mówiłam — moje pismo charakteryzuje się twórczą i utalentowaną naturą!

— Dobrze, dobrze, — nie chciał kłócić się Otto. — No to, utalentowana naturo, nie stój nad duszą. Musisz pisać pracę dyplomową. Twórz!

Półkrasnolud potrafi zepsuć nastrój! Póki on będzie z Mollą flirtować, to ja mam pisać pracę!

Usiadłam za stołem i zaczęłam rozmyślać nad jarmarkiem.

— Przestań marzyć! — walną mnie po plecach kumpel. — Czas na lekcje.

Zadziwiające, jak szybko leci czas w trakcie rozmyślań!

Rankiem, w dniu rozpoczęcia jarmarku, Otto przyszedł do mojego akademika.

— Czemu tu siedzisz? Umówiliśmy się na spotkanie!

— Mam złe przeczucie, — obwieściłam.

— Przypomnieć ci, co na twoim świadectwie napisano pod rubryczką „proroctwa”? — prychnął Otto.

— Sama wiem. Po prostu przeczucie...

— Rzucaj przeczucia, idziemy. Umówiłem się z pewnym obiecującym człowiekiem, nie możemy się spóźnić.

Ponuro wlokłam się za krasnoludem. Złe myśli nie opuszczały mnie od wczoraj — najpierw nie mogłam zasnąć, potem przyśnił mi się koszmar, a rano mój nastrój przysłowiowo „zdechł”. Choć żaden ze mnie prorok, raczej antyprorok, ale nie mogłam uwolnić się od tego dziwnego przeczucia.

Po spotkaniu z „wielece obiecującym człowiekiem”, który zamówił u nas kilkadziesiąt małych bojowych artefaktów na koszt skarbcza Uniwersytetu, usiadłam w maleńkiej karczmie pod otwartym niebem i ponuro wpatrywałam się w jeden punkt.

— Ty co? — zainteresował się półkrasnolud.

— Przeczucie!

— Dobra, dopuścimy. I zamierzasz tak siedzieć i czekać, aż w końcu znajdą cię nieprzyjemności?

— A jeśli nie znajdą? Pomylą się i przejdą obok?

— Nieprzyjemności? Kiedy przełaziły obok? Nie, trzeba stawać z problemami twarzą w twarz i grać, jakby mówiąc, z wyprzedzeniem!

— Dobra — zgodziłam się. — Gdzie idziemy spotkać się z problemami?

— A co ci podpowiada przeczucie?.

Zamyśliłam się. Przeczucie mówiło, że jest źle, lecz konkretnego kierunku nie wskazywało.

— Na prawo — postanowiłam.

Zdążyliśmy pokonać kilka rzędów, jak krasnolud zdawkowo rzekł:

— Poprosisz profesor, żeby ci poprawiła ocenkę.

— Co takiego? — popatrzyłam we wskazywanym przez niego kierunku i zaczęłam jęczeć.

Cała moja rodzina, z mamą na czele, pruka do nas. Za różno kolorową procesją leniwie wlekli się zawaleni torbami ojciec i mąż Darii, Leszek. Nawet nie pomyślałam o ucieczce, żeby gdzieś przeczekać. Mama, jak profesjonalny detektyw, nie zgubi mojego tropu.

— Witaj, mammo! — dziwne, ale polepszyło mi się. Mimo wszystko nie niepotrzebnie męczyło mnie przecucie. Po spotkaniu z ukochanymi krewnymi nic bardziej złego nie może się wydarzyć.

Nie usłyszawszy głosu Ottona, obróciłam się. Po kumplu śladu nie było. Zdrajca stwierdził, że mu i swojej rodziny, która zamierzała przyjechać na jarmark, wystarczy i zostawił mnie bez moralnego wsparcia.

— Olgierda! — ucieszyła się mama. — Jak dobrze, że cię spotkaliśmy! Wybraliśmy się tylko na jeden dzień. Chcieliśmy zostać jeszcze, ale wszystkie pokoje w hotelach są zajęte. Właśnie z dziewczętami zmieniałyśmy garderobę. I tobie nie zaszkodziłoby ubrać się bardziej porządnie, bo mimo wszystko niedługo staniesz się dyplomowaną magiczką!

— Tak — zgodziłam się z jękiem. Moje pojęcie „ubrać się porządnie” bardzo różniło się od pojęcia mamy.

— Daj pieniądze — od razu zaczęto ciągnąć mnie za spódnice.

— Nie dam — powiedziałam jak mogłam najbardziej twardo, nie

odwracając się.

— Szkoda ci dać rodzonym siostram? — zawyły młodsze.

— Nie mam!

— Zawsze tak mówisz i zawsze masz! Jako starsza siostra masz obowiązek wspomagać młodsze.

— Wszystkim, którym jestem coś winna, wybaczam — pokojowo kiwnęłam głową.

— Potrafisz lewitować rzeczy? — zapytał mnie tata.

— Nie — przyznałam się.

— I czego was na tym Uniwersytecie uczą? — wyburczał tata, wycierając pot.

— Jeśli zatuszujesz moje braki, to ci życie umilę — zaproponowałam.

Ojciec się zgodził. Zatrzymując się przy najbliższym stoisku z artefaktami, kupiłam kilka rzeczy, uwalniających od ciężkim zakupów — takimi artefaktami zaopatrzeni są prawie wszyscy targujący, sprzedając je po podwójnej cenie swoim klientom. Ale na specjalistycznym stoisku mogłam kupić je prawie za darmo, rzucając mimochodem, że jestem specjalistą i pokazując kilka nedoróbek na ladzie. Oddałam swoje nabytki tacie, wyjaśniłam jak się z nimi obchodzić i zniknęłam w tłumie. Straciwszy z oczu całą rodzinę, skoncentrowałam się, ściskając w dłoni maleńki artefakt — wyznacznik położenia. Druga część artefaktu była przyczepiona do tatkowej odzieży. Był słabiutki, pracował na małych odległościach, ale był

w stanie uchronić mnie od nieoczekiwanego spotkania z kochającymi krewnymi.

Otona znalazłam w jednej z letnich kawiarni, spokojnie delektującego się piwem w towarzystwie Trochima i Wasy, swoich sąsiadów z akademika.

— Aha! — surowo powiedziałam siadając za stolikiem.

— Ale co ja? — półkrasnod od razu przeszedł do wymówek. — Można pomyśleć, że gdybym ja poprosił ciebie, żebyś przeszła się z moimi siostrami po rynku, to byś się zgodziła.

Nie mogłam nie przyznać krasnodowi racji, więc tylko ciężko westchnęłam, zamawiając piwo. Trochim zagłębił się w program dzisiejszych rozrywek.

— O! Dzisiaj będzie turniej! Zwycięzca dostanie nagrodę pieniężną i produkt z Domu Targowego Fonbeków.

— O czymś takim to nie słyszałam.

— Znam ten Dom Targowy, bo należy do krasnodów — powiedział Otto. — Mają bająską biżuterię, przy czym bardzo drogą! Fonbeki zamierzają wejść na nasz rynek, więc najwidoczniej chcą zrobić sobie reklamę. Wezmę udział w turnieju. Jaki rodzaj broni?

— Poduszki.

Krasnod od razu zmarkotniał, ale, pomyślawszy chwilkę, rzekł:

— Ola...

— Nawet o tym nie myśl! Nie zamierzam bić się na poduszki! Nigdy

w życiu tego nie robiłam i nie będę wystawiać siebie na pośmiewisko!

— To nic, znam sekret by wygrać — wyjął Trochim pocierając rękę. — Musisz koniecznie to poczuć.

— Taa, wyjdzie mi naprzeciw jakiś troll, i zostaną ze mnie same różki i nóżki.

— Nóżki nie zostaną — „ucieszył” mnie Trochim. — Troll z przyjemnością zrobi z nich zagryzkę.

— Nie słuchaj go — powiedział Otto. — W turnieju są dwie kategorie — żeńska i męska. Wiesz, że minimalna cena z błyskotką u Fonbeków wynosi pięć złotych?

— Oho — powiedziałam, wyobrażając sobie, jak ładnie będzie wyglądać na mnie taka droga błyskotka.

— Znaczy, że się zgadzasz — z zadowoleniem stwierdził Trochim. — No to nie pij i nie oddychaj. Starcie wieczorem. Pamiętaj, żeby nie liczyć na doping.

— Nie będę potrzebować dopingu — odpowiedziałam. — Wypijesz miksturkę, a ona przestanie działać w samym najbardziej decydującym momencie.

— No to kup droższe ziele.

— Będę jeszcze na takie głupoty kasę traciła, a ty przecież znasz sekret. I co mam tam w ogóle robić?

— Dwoje walczących staje na szerokiej desce, opartej o dwie beczki. Ten, który spadnie z deski - przegrywa. Sekret na wygraną jest bardzo

prosty: nie śmieję się, unikaj uderzeń, mało rób zamachów, żeby siła wyrzutu nie zbiła cię z nóg.

— Jaka siła uderzeń? Poduszki są lekkie!

— Wydaje ci się tylko, że są lekkie. Naprawdę standardowa poduszka nie jest taka lekka, tym bardziej, jeśli się nią zamachniesz — przecież to nie to samo co mieczem! Mieczem lżej jest.

Przypomniałam sobie swoje machanie mieczem i uświadomiłam sobie, że gorzej już być nie może. Dlatego z ciężkim sercem zgodziłam się na spotkanie ze swoją grupą dopingową, którą obiecał zorganizować Trochim, a wieczorem razem z Otto poszliśmy na inspekcje stoisk z artefaktami.

Słońce zaczęło zachodzić. Poszliśmy do najbliższej karczmy coś zjeść, niepomierne z siebie zadowoleni — na jednym ze straganów wyczałam całkiem drogi i porządnie zrobiony artefakt. Sprzedano go za grosze, dlatego, że był złamany. Upewniwszy się, że usterka jest płytka, kupiliśmy owy przedmiot, zastanawiając się, ile srebrniaków na tym zarobimy. Na dodatek okazało się, że handlarz był nieświadomym właścicielem skarbu, którego cenności nie pojmował — zachomikował całą kolekcję połamanych artefaktów, które sprzedał naiwny chłop. Kupiliśmy od razu wszystkie, i teraz półkrasnolud taszczył ciężki worek z cennościami, a ja zastanawiałam się, jaby tu zająć się wygodną przedsprzedażą i nie wpaść na nikogo z zarządu uniwersytetu.

— Czy wy jesteście Olgierdą Lachą? — pociągnięto mnie za rękaw.

Z trudem powróciłam do otaczającej mnie rzeczywistości i rzuciłam



wzrokiem na nieznanego. Przede mną stał dziwny chłopak z długimi włosami zaplecionymi w elfie warkoczyki, cały pokryty tatuażami i piercieniem, odziany w drogie skórzane spodnie krasnoludzkiej roboty.

— Ja — potwierdziła ostrożnie. — I co?

— Jesteście mi winni dwa złote.

— Niczego sobie — oburzyłam się w głębi duszy. — Z jakiej racji jestem wam winna taką sumę? Pierwszy raz was widzę!

— Co się stało? — podszedł bliżej półkrasnolud, chwytając wygodniej za worek.

— Ten... Pan chce ode mnie dwa złote!

— Chcę jako dług! — zniżył głos chłopak. — Taria Lacha jest waszą siostrą?

— Moją — ponuro potwierdziłam. Jak tylko się dowiem, w co wdepnęła moja młodsza siostrzyczka, to wytargam ją za warkocze.

— Zrobiła u mnie tatuaż i powiedziała, że wy zapłacicie. Że was wszyscy tu znają. Że jesteście ważnym człowiekiem. Ot, nawet na kartce napisała.

Całkowicie oszołomiona wyciągnęłam rękę po kartkę. Tatuaż? Jaki jeszcze tatuaż?

— Jaki tatuaż? — zapytał Otto, zdziwiony nie mniej niż ja.

— Orkowy tatuaż Zen-Tan

— Co jeszcze za Zen-Tan?

— Tatuaż orkowej dziewczyny, oznaczający, że jest gotowa wyjść za mąż. Potem, kiedy dziewczyna wyjdzie za mąż, domalowuje się do tatuażu kilka kresek.

— Gotowa wyjść za mąż? —zawylałam. — Jakie za mąż? Jaki tatuaż? Dobrze u was z głową! Ona ma dopiero trzynaście lat!

— Dla mnie najważniejsze jest to, żebyście zapłacili! — powiedział chłopak. — I mogę wam powiedzieć, że tatuaże robię na najwyższych standardach! Ot, taka reklama – dumnie wypiął pierś.

Z trudem odrywając się od podziwiania muskularnej piersi, wszędzie pokrytej rysunkami, przeczytałam kartkę, zapisanej krzywym pismem ze wszelkimi możliwymi błędami. Na „kartce” było napisane, że Olgierda Lacha, jest zobowiązana zapłacić za Tarię Lachę dwa złote, inaczej grozi jej długoterminowy pobyt w więzieniu.

— Dobra — wycedziłam, zaglądając w kieszeń. — A ile wynosi zdjęcie tatuażu?

— Pięć złotych — odpowiedział chłopak. — Tylko to będzie bardzo bolało. Bez bólu to za sześć złotych.

— A za cztery zrobicie to bardzo, bardzo boleco? — zapytałam, kipiąc ze złości.

Szczękając zębami, znalazłam za pomocą artefaktu miejsce pobytu mojej rodziny i pobiegłam tam, bojąc się, że jeśli zajmie mi to więcej czasu to nie będę już taka zła. Otto ciut został w tyle, i teraz doganiał mnie, głośno dysząc. Do miejsca pobytu rodziny nie dotarłam, bo po drodze natknęłam się na siostrę.

Taria na całego flirtowała z młodym stepowym orkiem, schowanym w cieniu targowego namiotu. Jakim cudem ich zobaczyłam, nie wiem, ale nie mogłam przegapić takiej okazji.

— Aha! — ryknęłam, niszcząc romantyczną chwilę.

Taria pisknęła i schowała się za orka.

— A no, poszedł won! — krzyknęłam na niego.

— Posłuchaj! — oburzył się ork. — O co tu chodzi?

— To — niepełnoletnia głupia dziewczyna — pokazałam palcem. — To — ten, który dostanie od jej ojca za uwodzenie. A to — pokazałam na sobie. — bardzo zła starsza siostra tej niepełnoletniej, biedniejsza o dwa złote.

— A ja tu przy czym? — zapytał ork. — Czekaj — podniósł prawą rękę Tarii. — A tu co jest? Tatuaż!

— Z tym sobie jeszcze poradzimy — warknęłam. — Dawaj, spadaj stąd..

— Nie idź — pisknęła Taria, czepiając się rękawa orka. — Nie zostawiaj mnie z nią! Boję się!

— Teraz widzę, że jesteś maleńka — powiedział chłopak, odwracając się do niej. — Dorosłe kobiety, gotowe do zamążpójścia, same rozwiązują swoje problemy.

Ork ironicznie mi się pokłonił i poszedł.

— Aaa! — zapiszczała maleńka, chowając twarz w dłoniach.

— Ja... ja... ja nie wiem co ci zrobię! — wrzasnęłam. — Co to jeszcze za moda?

— Widziałaś, jaki jest piękny? — wyjęczała Taria.

Oczywiście, że widziałam. Orki — bliscy krewni pięknych elfów, tylko bardziej smagli i nie tacy honorowi. Ich idealnie proporcjonalną twarz z dużymi ciemnymi oczyma troszkę oszpecał kruczony nos, ale figura była bardziej masywna i męska niż u elfów. Do naszego kraju orkowie wpadali rzadko — ich step był na drugim końcu królestwa. Ciekawe, jak moja siostra zdołała znaleźć tu orka, na dodatek tak skutecznie? Oni na pewno przyjechali sprzedać swoje psy. Mam ochotę zobaczyć!

— Chcę wyjść za mąż za orka — powiedziała siostra, uważając moją zamyśloną twarz za przejaw odpuszczenia jej wszystkich win.

— Hormony w tobie buzuja — stwierdziłam surowo. — Potrafisz nieustannie galopować na koniu przez kilka godzin? Nie? A u orków to podstawowy środek przemieszczania się. I nie mają domów, bo żyją w jurtach. Tak więc o stałym domu możesz zapomnieć. No i słodyczy ze sklepów też na stepie nie ma.

— No i co! — ze łzami w oczach krzyknęła Taria. — Chcę jechać daleko daleko!

— Dlaczego?

— Dlatego, że wam tu wszystkim obrzydłam!

— Ech, ty maleńki głuptasku! Czasami się wydaje, że się nie chcę na rodzinę patrzeć, ale zrozum, że oprócz nas nie masz nikogo bliskiego.

— No — zapłakała Taria. — Jestem dla was głuptaskiem! Maleńką! A mi się już nie chce być młodszą! Chcę sama decydować i nie chcę, żeby ktoś mi mówił: „jesteś jeszcze maleńka”. Ja już nie jestem maleńka! Jestem już dorosła, zrozum to!

— Rozumiem — powiedziałam, świetnie rozumiejąc Tarię. Wszyscy przyzwyczailiśmy się, że jest najmłodszym, nierozumnym dzieciaczkiem, więc nie zauważyliśmy, jak dzieciaczek wyrósł. No i co z tym teraz zrobić?

— Tak i tak opuszczę dom, słyszysz, tak i tak! — siostra rozmazywała sobie łzy po twarzy, póki naprędce myślałam. — Znudziło mi się, że wszyscy mną kierują! Nie jestem dziewczyną na posyłki, mam swoją własną osobowość! Tak i tak ucieknę, nawet jeśli mnie przywiążecie! Przegryzę sznurki i ucieknę!

— Czekaj, dumna osobowości! — spokojnie powiedziałam. — Czasami, żeby pokazać swoją dorosłość, trzeba słuchać się starszych. Zrobimy tak: chcesz wyjść za mąż za orka — to wychodź. Będę cię nawet wspierać, ale pod jednym warunkiem.

— Jakim jeszcze warunkiem? — burknęła Taria, patrząc na mnie z ciekawością.

— Przygotujesz się do życia na stepie — nauczysz się języka orków, zajmiesz się jazdą konną, poznasz gospodarkę i obyczaje stepu. Za rok porozmawiamy.

— Za rooook? — zachłysnęła się siostra, zamierzając ponowić serenadę.

— A myślisz, że uporasz się z tym szybciej? Najpierw się uporaj!

Chyba, że chcesz pójść na step nieprzygotowana? Żeby odnosili się do ciebie jeszcze gorzej, niż w domu? Przecież tam każde dziecko wie, co trzeba, a czego nie trzeba robić w takiej a w takiej sytuacji. A ty nie wiesz nic! I będziesz w głupim położeniu.

Ten argument podziałał na Tarię, bo pomyślała i zapytała piskliwym głosem:

— A co mam zrobić ze swoim tatuażem?

— Niech zostanie.

— A mamie co mam powiedzieć?

— To właśnie będzie twój dorosły krok w życiu— pogawędka z mamą. Tylko nie radzę jej mówić, co oznacza ten tatuaż.

Dziewczynka zasyczała, a potem wyznała:

— Boję się.

— Myślałaś, że być dorosłą jest tak lekko? — zapytałam i dobiłam:  
— A za tatuaż będziesz mi winna!

— To przecież ogromna suma! — wyjęczała Taria.

— Słoneczko, jeszcze nie wzięłam z ciebie za uszczerbek moralny — miłosiernie rzekłam.

— Jestem twoją siostrą! — oburzyła się młoda.

— Siostrą — zgodziłam się. — Ale każda osoba powinna odpowiadać za swoje postęпки. Wiesz, ile nerwów kosztowało mnie ostatnie pół godziny?

Taria nachmurzyła się. Najwidoczniej dorosłe życie wydało się jej nie tak różowe jak wcześniej. Wyszliśmy z namiotu. Ni Ottona, ni orka nigdzie nie było widać. Postanowiłam odprowadzić Tarię do rodziny, żeby nie zrobiła jeszcze czegoś głupiego po drodze.

Naprzeciw nas wyszła przerażona mama.

— Taria! — rzuciła się. — Gdzie przepadłaś? Tak się bałam!

Siostra popatrzyła się na mnie przepaszającym wzrokiem. Uśmiechnęłam się do niej dobrotliwie.

— Olgierda — mama zwróciła na mnie uwagę. — A gdzie rano polazłaś? Znalazłyśmy dla ciebie taki kostium! I w ogólnie nie porozmawialiśmy, a właśnie zamierzamy wracać do domu.

— Byłam zajęta — niejasno odpowiedziałam. — Wybacz mammo!

— Ola! — krzyknął Otto, nie widomo skąd. — O, dzień dobry pani Lacho! Ola, spóźniamy się!

— Gdzie?

— Na turniej!

Walnęłam się ręką w łeb. Jak mogłam zapomnieć! Bizuteria Fonbeków!

— Jaki jeszcze turniej? — krzyknęła za mną mama.

— Na poduszki! — odkrzyknęłam, przebijając się za krasnoludem przez tłum.

Zdążyliśmy akurat na końcówkę zapisów. Kiedy weszłam do

turniejowego namiotu, na razie zajęтым przez cyrk, ogłuszyło mnie. Ogromna liczba żujących i pijących ludzi, krasnoludów i elfów oczekujących na atrakcje.

— Co to?

— Widzowie, którzy chcą popatrzeć na interesujący pojedynek — powiedział Otto. — Tam są nasi, widzisz?

Popatrzyłam za jego wyciągniętą ręką. Na trybunach siedzieli znajomi i nieznajomi studenci, a nad nimi trzepotał na magicznym wietrze transparent z wypisanymi krzywymi literami „Nasza Ola jest najlepsza”.

— Eeee... — podsumowałam zaskoczona.

— Przecież Trochim obiecał grupę dopingującą — wyjaśnił Otto. — No to przyprowadził.

— Mogli by transparent ładniej pomalować.

— Dzieciarnia najpierw opła twój udział, a potem rysowała — złośliwie chichotając, powiedział przyjaciel i wrócił na swoje miejsce.

Uważnie śledziłam pojedynki męskiej kategorii uczestników turnieju, wybierając sobie taktykę. Kiedy zwycięzcy — patykowatemu mężczyźnie — wręczali nagrodę, prawie nie udławiłam się śliną z zazdrości. Cudne brylantowe spinki do mankietów i perłowa wsuwka do krawatu nie były mi potrzebne, ale nie odmówiłabym przyjęcia ich. W końcu wyjawiono plan żeńskich pojedynków. Na trybunach wrzało — większość przyszła popatrzeć jak "baby się drą"

Pierwsza moja przeciwniczka spadła momentalnie — zamachnęła się



poduszką i spadła przy chichocie widzów. Moi krzyknęli i odpalili kilka fajerwerków. Druga rywalka była z lekka upita — po prostu popchnęłam ją w dobrym kierunku. Trzecia była groźniejsza, ale unikałam jej uderzeń, więc rywalka się zasapała i poleciała w ślad za poduszką, pod naporem siły uderzenia.

— Finał! — obwieścił sędzia.

Jak finał? Już?

Moją przeciwniczką okazała się krasnoludka, bardziej przypominająca pustak, niż kobietę.

— Ketrin Van Holc przeciw Olgierdzie Lasze! — krzyknął sędzia.

Krasnoludy wrzasnęły tak, że się pochyliłam, bojąc się, że namiot zaraz runie. Moi falowali, używali magii i przekrzykiwali brodatych.

Wchodziłam na arenę. Uderzenie tego kloca nie tylko zbije mnie z deski, ale i rozmaże po podłodze, jak gówno. Ale miałam powód, by nie rezygnować z tego pojedynku teraz — krasnoludzka biżuteria będzie na mnie lepiej wyglądać!

Udało mi się uchylić od pierwszych uderzeń. Jednak taka taktyka nie mogła skutkować dłużej, a krasnoludka, sądząc po jej skamieniałej twarzy, mogła sobie bez wysiłku machać choćby skałą, kilofem, poduszką. Zamachnęłam się i z całej siły walnęłam przeciwniczkę. Ale na moje

uderzenie nie zwróciła większej uwagi, niż na ukąszenie komara. Co robić?!  
Co robić?!

Przypomniały mi się słowa mojego profesora walki: wściekły przeciwnik — to pół przeciwnika!

Korzystając z tego, że byłam znacznie wyższa od krasnoludki, zamachnęłam się i przejechałam jej po głowie poduszką. Nieszczęśliwe wyposażenie pościeli nie wytrzymało i porwało się, zaczepiając się o ostre spinki. Krasnoludka znieruchomiała, z lekka ogłuszona moimi uderzeniami, i wyciągnęła z kieszeni lusterko.

— Moja fryzura! — krzyknęła. — Ach, ty cholero!

Rzeczywiście, po moim uderzeniu jej włosy, porządnie zaplecione w warkocze, roztrzępały się, kotłując z kurzym pierzem. Ketrin przypominała niedoskubaną kurę, którą sprzedaje na rynku fałszywa handlarka. Ale swego dobiłam — przeciwniczka się rozzłościła. Ach...

Na mnie dosłownie spadł dach. Zwaliłam się z belki, mocno przywalając o podłogę.

— Zwycięzcy — Ketrin Van Holc! — obwieścił sędzia.

Otrzepałam się z trocin, którymi była obsypana podłoga, i podniosłam się. W głowie mi szumiało. Na trybunach moja grupa wypuściła w powietrze kule ognia, składające się w nieprzyzwoite słowo. Krasnoludy polazły się

bić. Ceremonia nagradzania już nikogo nie interesowała — zaczął się wszechobecny burdel.

Zrozumiałam, że to święto życia nie jest dla mnie i poszłam do wyjścia, by odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jesteście Olgierdą Lachą? — rozległ się nagle głos, za moimi plecami.

Odwrociłam się i zobaczyłam wysokiego, bardzo sympatycznie wyglądającego, młodego człowieka.

— Tak — nie patrząc na szum w głowie, kokietliwie odpowiedziałam.

— Cudownie! — podsumował młody człowiek. — Pomóc wam?

Oparłam się o wyciągniętą rękę, która odciągnęła mnie od dźwięków z namiotu i, miło się uśmiechając, walnęli w łeb...

...Świadomość wracała ze skrzypem. To słyszałam znajomy głos Irgi, to widziałam gwiazdne niebo, to wydawało mi się, że leżę w wąskim pomieszczeniu na twardej nierównej powierzchni. W końcu w moim mózgu zagościły porządniejsze myśli, potrząsnęłam głową i usłyszałam:

— Ocknęłaś się? To dobrze!

— Irga??!!! — uściśliłam.

— We własnej osobie...

Otworzyłam oczy i, w mdłym księżycowym świetle, zobaczyłam pochylającego się nade mną Irgę.

— Co za niespodzianka. A gdzie jesteśmy?

— W grobie.

— Sukinkot! Ja, oczywiście, chciałam umrzeć z tobą w tym samym dniu, ale w ogóle nie myślałam, że to będzie tak szybko.

— Jesteśmy żywi. Na razie... — wyjaśnił Irga. — Proszę, złaż ze mnie.

Obróciłam się i zauważyłam, że leżę na nogach ukochanego. Usłyszawszy, jak jęknął, szybko polazłam w przeciwny koniec grobu i skuliłam się. Sytuacja coraz mniej mi się podobała. Pstrykając palcami, zapaliłam ognek, który posłusznie podleciał do nekromanty. Widząc, w co zmienił się chłopak, krzyknęłam, i ognek zgasł, a ja na wszelki wypadek zamknęłam oczy, żeby więcej tego nie widzieć.

— Co, przystojny? — chrapliwie zapytał Irga.

— Kto ci to zrobił? — zapytałam.

Twarz ukochanego zamieniła się w miazgę— złamany nos przekrzywił się na bok, pod oczami widniały ciemne kręgi. Wargi były rozcięte, cała twarz w krwi. Ręce skrzyżowane na piersi, lewa ostrożnie podtrzymywała prawą z nienaturalnie wyłamanymi palcami. Sądząc po wszystkim, i zębrom, i nogom Irgi także się dostało.

— Myślę, że ten, kto cię tu wrzucił.

— To nic — odpowiedziałam rażno, szczypiąc się za ręce, żeby jeszcze raz nie krzyknąć. — Zaraz stąd wyleżę. Przecież nic mi nie połamali.

— Nie wyleziesz — spokojnie powiedział Irga. — Jama jest z wierzchu zakryta czymś. Mam nadzieję, że blachą.

— Zabiją nas? — zainteresowałam się.

— Nie chcę cię martwić, ale chyba tak. Ale trochę później. Zabijać nekromantę nocą — do takiej głupoty Lojd jeszcze nie doszedł.

— Ja nie jestem nekromantą, można mnie zabić kiedy się chce — wymamrotałam i zawylałam, waląc głową w ścianę mogiły.

Irga milczał.

— Dobra — szybko rzekłam, wytrzepując piasek z włosów. — Na pewno cię boli, co?

— Na pewno — potwierdził nekromanta. — Ogólnie nie tak już bardzo, jak na początku. Próbuję się leczyć, bo noc jest moim żywiołem. Ale nie mogę w pełni czarować, bo mi połamali palce u obu rąk.

— Jacy oni? — zapytałam, ale od razu sobie sama odpowiedziałam:

— Stop! Z nimi się sami potem policzymy!

Z całej siły gryzłam drugą stronę dłoni, póki nie poczułam, jak usta napełniają się krwią. Ból przegnał ostatki hysterii, splunęłam i wyburczałam:

— Co za świństwo, jak wampiry mogą to pić?

Irga parsknął.

— A ty nie parskaj — rzekłam. — Jak stąd wyjdziemy, to cię sama zabiję. Ze szczególnym okrucieństwem.

Szybko rzuciłam na ukochanego znieczulające zaklęcia i poczułam, jak szybko kończy się moja magiczna energia.

— Tak — odpowiedział Irga na me nieme pytanie. — Ta ochrona przy ataku magii wchłania energię. Dlatego trzeba czarować po troszeczkę.

— Bardzo dobrze — wyburczałam. — Wprost cudownie! Nie, nie mam racji. Kiedy stąd wyjdziemy, nie tylko zabiję cię za szczególnym okrucieństwem, ale i zatańczę na twoim grobie. Nago. A ty przeżyjesz męczarnie, że tego nie zobaczysz.

— Ej, Irronto! — krzyknęli z góry.

Podnieśliśmy głowy — do jamy zaglądał ten chłopak, który tak uczynnie pomógł mi wyjść z namiotu, gdzie był turniej.

— Jak ci się podoba mój prezent? — zapytał.

— Dzięki, Lojd! — odpowiedział Irga. — Jest bardzo przyjemny.

— Jeśli nie zgodzisz się na nasze żądania, wiesz, co z nią zrobimy?

— Domyślam się.

— A można i mnie powiedzieć? — zapytałam. — Przecież ta rozmowa jest o mnie?

— Mimo wszystko nad ranem zaczniemy odcinać od ciebie kawałek po kawałeczku — odpowiedziano mi łaskawie.

— A może mnie puściecie? — zapytałam bez wszelkiej nadziei. — Nie mam z tym nic wspólnego! I w ogóle, mojego sąsiada z grobu pierwszy raz widzę!

— Irronto — spytał Lojd. — Twoja dziewczyna jest durna?

— Nie — odpowiedział Irga, trochę podumawszy.

Pauza przed odpowiedzią bardzo mi się nie spodobała.

— No to, zostawiam was w szczęściu, gołąbki. Przemyśl to bardzo dobrze, Irronto! Zostało ci mało czasu.

— Tak — rzekłam. — Co przepuściłam? Zaczynij opowiadać albo cię stąd nie wyciągnę.

— To Lojd — powiedział Irga. — Ukochany mojej siostry, Ilissy.

— Niczego sobie! Tak się jej znudziłeś, że postanowiła się ciebie pozbyć?

— nie, tu chodzi o spadek. Ta głupia dziewczyna bez mózgu przez Lojda została wysłana tutaj, w nadziei, że wszystko przemyśli.

— A, to z nim była w ciąży?

— Nie była w ciąży. Myślisz, że pozwoliłbym zabić dziecko swojej siostry, nawet jeśliby było rozmiarów fasolki? Nie, to były bardzo dobrze rzucone czary. Lojd myślał, że ojciec się podda i wyda Ilissę za męża, a zamiast tego on wysłał ją do mnie. Wyjaśniłem, o co chodzi, trochę przetrzepałem siostrze mózg i myślałem, że na tym się skończy!

— Dlaczego Lojd nie pojechał za nią?

— Dlatego, że miał kilka powodów, przez które nie mógł opuszczać Rorritorskiego okręgu.

— Dlatego pojechałeś tam pisać swoją pracę? — domyśliłam się.

— Ogólnie to nie, od dawna mnie namawiali, a ja odmawiałem. Ale kiedy wypłynęła ta sprawa z Ilissą, to postanowiłem pojechać. I przez cały rok ja i Lojd obserwowaliśmy się.

— A kiedy dowiedział się o mnie?

— Jesteś jedyną dziewczyną, która była u mnie kilka dni.

— A pozostałe, co, były krócej?

— Pozostałych nie było.

Było bardzo mi miło to słyszeć, ale postanowiłam nie mięknąć.

— A co to za spadek?

— Moja mama była z bardzo starego magicznego rodu. I ja, jako jej jedyny potomek, dostałem we władanie całkiem dużo cennych i unikalnych artefaktów. Pamiętasz, jak ci o tym mówiłem? Część artefaktów dałem tobie, na przykład, te kolczyki, które wtopiłaś w szpilkę. Sądząc po twojej



fryzurze, to ją ukradli?

— Nie — pochwaliłam się. — Zostawiłam ją w domu, bo turniej na mnie czekał i przestraszyłam się, że ją zgubię.

— Co za turniej? — zdziwił się Irga.

— Potem opowiem — uchyliłam się. — Jeszcze nie skończyłeś.

— Lojd bardzo chce dostać te artefakty. Dlatego robił oczy do Ilissy, a teraz postawił na radykalne metody. Jeśli on mnie zabije, Ilissa zostanie moją spadkobierczynią. Ale z drugiej strony on się boi, że schowałem artefakty, więc dlatego powziął takie środki — złapał cię w nadziei, że groźba zranienia mojej ukochanej podziała na mnie.

— I podziała?

— Podziała.

— Co to, to nie! — powiedziałam. — Wszystkie twoje cenności powinnam dostać ja, jako małżonka! Musimy stąd wyjść!

— Co też ludzie nie zrobią dla pieniędzy! — ironicznie stwierdził Irga — Nawet uratują własne życie!

— Milcz i nie przeszkadzaj mi myśleć — nakazałam, ostrożnie wycierając krew, wypływającą z rany na głowie Irgi. — Zbieraj siły.

Usiadłam i zamyśliłam się. Jak stąd wyleźć, jeżeli wyjście jest przykryte magiczną ochroną, a nie mam żadnej rzeczy do jej likwidacji? Żeby przywołać myśli do porządku, ostrożnie walnęłam kilka razy głową o ścianę. Myśl, Ola, myśl! Musisz jeszcze wyciągnąć stąd tego bolącego bogacza, jeśli chcesz zostać właścicielką cenności. Stop! Jeśli chcę zostać

jego żoną, to... Co mam na palcu? Malutkie złote kółeczko! Kółeczko - artefakt! Spróbowałam zdjąć obrączkę z palca. Ale, przez rok, dobrze się tam zadomowiła, więc kategorycznie odmówiła współpracy. Wsadziłam sobie palec do ust, próbując ściągnąć ją w ten sposób. Irga z lekkim niepokojem obserwował moje poczynania. Wczepiłam się zębami w uparty przedmiot i pociągnęłam z całych sił.

— Co ty robisz? — nie wytrzymał nekromanta.

— Nie przeszkadzaj — wycedziłam. — Jest!

— Co ty robisz?

— Ratuje nas. Musisz jeszcze trochę pocierpieć.

Obrączka, jak każdy artefakt, skumulowała w sobie energię. Jeśli nie mogę dowierzać swojej sile, to dowierzę metalowej. Szybko rysowałam na ściankach schemat, starając obniżyć energię do minimum. Przy tym nieustannie szturchałam Irgę, który skrzypiał zębami od bólu, ale milczał.

— Jest — powiedziałam, wycierając pot. — Ochrony już nie ma.  
Następne pytanie: gdzie jesteśmy?

— Na cmentarzu — odpowiedział nekromanta.

— Ha ha. To wiem. Ale na jakim cmentarzu?

— A skąd mam wiedzieć?

— Jesteś nekromantą! Powinieneś znać każdy cmentarz!

— Wybacz, moja miła, ale rzadko patrzę na cmentarz, jakby powiedzieć, od wewnątrz.

— Pomyślmy logicznie, raz, że ten dół jest dla grobowca, to znaczy, że na tym cmentarzu chowają...

— To znaczy, że to nie jest stary cmentarz — zrozumiał mój tok myślenia Irga. — Na dodatek zabrali cię z jarmarku, więc to musi być niedaleko — nie będzie Lojd i jego kompania taszczyć twego ciała przez pół miasta. Aha, to jest Sklepiński cmentarz.

— Cudownie — odrzekłam, tworząc magicznego posłańca. — Mam nadzieję, że Otto nas znajdzie. Inaczej sama cię z grobu nie wyciągnę. Jesteś bardzo ciężki.

— Skóra i kości — powiedział Irga.

— Ale ważysz więcej niż worek cukru.

— Taszczyłaś kiedyś worki z cukrem?

— Zdarzało się — powiedziałam, z nostalgią wspominając czasy naszego przedsiębiorstwa alkoholowego.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka silna — stwierdził nekromanta.

— Nie jestem silna, a chciwa. Nie chciało nam się nikogo wynajmować — bo by jeszcze cukier podjadali? Więc sami z Ottonem taskaliśmy worki — nie chciałam mówić, że „taskaliśmy” ograniczyło się dla mnie do jednego worka, po którym padłam na łóżko i odgrywałam księżniczkę przed śmiercią.

— Nie nudź się — uprzedziłam i spróbowałam wyleźć z grobu.

Okazało się nie tak lekko, jak myślałam. Było wysoko, a skraj się obsypywał. Szkoda, że do swoich przebieżek nie dołączyłam podciągania.

Zalatywało tu martwiakami, podniesionymi przez nekromantów. Dla nich, oczywiście, strata jednego lub dwóch paznokci nie robiła wrażenia, ale i tak było ciężko wyjść.

— Podsadzić cię?

— Siedź, inwalido!

— Nie jest tak źle — powiedział Irga. — Szybko wracam do formy.

— Regenerujesz się? Słuchaj, a może jesteś umarlakiem? —  
przeraziłam się.

— Nie umarlakiem, po prostu nie opuszczałem wykładów na temat magii leczniczej.

— Ja też nie opuszczałam — wyburczałam. — Ja po prostu na nich spałam.

Pomyślawszy trochę zaczęłam zdejmować przeszkadzającą mi spódnicę. Na twarzy Irgi, mimo ran, była wypisana błogość. Trzymając spódnicę w zębach, znowu położyłam na wierzch. Tym razem próba okazała się szczęśliwa. Poleżałam trochę na chłodnej ziemi, słysząc dalekie dźwięki z jarmarku, położyłam zdarte łokcie na kolanach i postanowiłam pójść po pomoc. Poddając się własnemu instynktowi bezpieczeństwa, popęzłam na czworakach, nie wypuszczając spódnicy z zębów i starając się nie myśleć o tym, w co zamieniła się moja dolna część bielizny.

Jak tylko postanowiłam wstać, usłyszałam głosy. Przyczaiwszy się za nowym grobem zobaczyłam, jak do naszej wspólnej z nekromantą mogiły przybliżyła się Lojd z kompanią.

„Ciekawe, — pomyślałam — co oni zrobią z Irgą, zobaczywszy, że mnie nie ma? Zabiją od razu czy dadzą mi możliwość zrobienia tego osobiście?”

— Irronto! — krzyknął Lojd. — Gdzie twoja baba?

Odpowiedzi Irgi nie usłyszałam.

— Koniec, szykuj się na śmierć. Nie, nie boję się i co mi zrobisz?

— Poczekajcie! — zakrzyczałam, wyskakując zza góry kwiatów i wianków.

— Patrz, Lojd — zachichotał jeden ze złych. — Goła baba!

— Nie jestem goła — oburzyłam się, machając spódnicą jak tarczą. — Tylko półobnażona. A no spadajcie od Irgi!

— I co ty nam zrobisz? — zapytał któryś z nich.

— Na razie nie wiem — przyznałam. — Ale to na pewno będzie coś strasznego!

Chłopaki zarżeli.

— Lojd, mogę ją...? — zapytał jeden z nich.

— Możesz — postanowił niedoszły zięć Irgi królewskim tonem.

Bandyta rzucił się na mnie, szeroko rozstawiając ręce.

— Cip! Cip! Cip!

— Ja ci dam „Cip! Cip! Cip!”! — krzyknęłam, rzucając w „ptaszka” wiankiem z grobu.

— Kłuje! — wkurzył się, a ja uciekałam, prując jak zając, między pagórkami i nagrobkami.

„Jeśli upadnę — wyobrażałam sobie. — To będzie koniec mój i Irgi. Dla paru artefaktów Lojd pójdzie na wszystko. Pani Szczęścia! Pomóż, bo inaczej wśród żywych nie zostanie ani jedna twoja wierna ofiarodawczyni!”

— Łap ją! — wrzasnął Lojd. — Bo cholera ucieknie!

Sądząc po tupocie, to cała szajka rzuciła się za mną w pogoń. Okrążyli mnie. Potykając się z rozpaczą, znowu złapałam w zęby spódnicę, której nie wyrzuciłam, i wlałam na wysoki grobowiec. Akurat starczyło mi czasu, żeby otoczyć się barierą ochronną i przygotować kilka kul ognia.

— Złaż — litościwie zaproponowali z dołu. — Dogadamy się. Słowo honoru!

Ostrożnie zmierzyłam wysokość od dachu grobowca do ziemi i zrozumiałam, że mam tylko jedno wyjście — siedzieć na górze do ostatniego, dlatego, że nie mogłam stamtąd zleźć nawet z własnych chęci.

— A co mnie czeka jeśli zejde? — spróbowałam zyskać na czasie, mając nadzieję, że pomoc niedługo przyjdzie.

— Przekonasz Irronto, żeby oddał nam wszystkie artefakty, a ja zobowiązuję się nie tykać więcej ni ciebie, ni Irronto, ni Ilissy.

— Złamałeś Lissie serce! — odezwała się we mnie żeńska solidarność.

— Gdybyś wiedziała, ile są warte cenności twojego alfonsa, to byś robiła wszystko, co by było trzeba — powiedział Lojd. — Czy jesteś z nim

właśnie z tego powodu?

Dumnie milczałam, postanawiając nie odpowiadać na te prowokacyjne pytania.

— No to widzisz! — ucieszył się złoczyńca. — Także nie wierzysz w miłość do grobowej deski! Złóż, razem stworzymy świetną parę.

— Zwariowałeś? — poraziło mnie. — Co ty mi proponujesz?!

— A co w tym dziwnego? Bardzo przyda mi się taka towarzysza życia, która gołymi rękami może złamać magiczną ochronę piątego stopnia.

„No, nie gołymi rękami”, —pomyślałam, ale nie zamierzałam ujawniać swoich sekretów. Co by tam nie mówić, pochwała była przyjemna.

— Nie bardzo pasuje do mnie image bandyty — podzieliłam się opinią.

— Lojd, przestań się cackać — nie wytrzymał jeden z jego kumpli. — Strzel w nią czymś.

— Nie mogę — dosadnie powiedział mój potencjalny towarzysz życia. — Ma bardzo mocną Ochronę.

— Więc wleżę tam i zdejmę dziewczynę. Mówiłeś, że jest nie warta uwagi!

— Tak myślałem — warknął Lojd.

Ach tak! Ja wam pokażę! Szybko przewertowałam swoją pamięć w poszukiwaniu przydatnych zaklęć. Na nieszczęście nie zapełniłam swojej dziury z bojowych zaklęć, a specjalnych artefaktów, jak na złość, nie było

— mogło to stać się na jarmarku? Najwyżej pijaka by chapnęła. Nie leniłam się, jeśli chodzi o zaczarowanie sakiewki.

Pierwszego napastnika zepchnęłam strumieniem powietrza. Kiedy złoczyńcy poleźli z obydwu stron, to zostali zmcyi przez potoki wody. Lojd sprawdzał moją ochronę pod względem mocy. Magiczna energia szybko topniała. Już zaczynałam myśleć nad tym, żeby wznowić negocjacje, gdy usłyszałam głos:

— Ola, trzymaj się!

— Otto! — wrzasnęłam. — Szybciej biegnij, bo mnie tu zabijają!

Zakłęli na dole.

— Wiejemy, szybko — postanowił Lojd.

— Oni uciekają! — zakrzyczałam. — Łap ich!

— Ola — po jakimś czasie powiedział z dołu mój przyjaciel. — Złaź. Dzieciaki zajmą się twoimi kochankami.

— Dlaczego kochankami? — zapytałam, zdejmując ochronę i siadając na skraju daszku. Nogi nie potrafiły mnie utrzymać.

— No jak dlaczego? — zachichotał Otto. — Stali tu i zachwycali się twoją figurą na tle pełni. Nawiasem mówiąc, ładnie wyglądałaś. Jak swój własny pomnik.

— Jak będę umierać — postanowiłam. — To zamówię sobie taki grobowiec. Ze statuą swojego wzrostu .

— Złaź.



— Nie mogę — przyznałam się. — Nie mogę zrozumieć, jak tu wlałam! Ściana jest prawie równa!

Otto popodskakiwał, popróbował wejść i ze znanstwem stwierdził:

— Zrobiłaś to ze strachu. Ze strachu zrobisz to, czego normalnie byś nie zrobiła. Poczekamy na Trochima, przecież jest praktykiem, jeśli zwycięży w swoim położeniu.

Mocno owinęłam się spódnicą — nad ranem było chłodniej.

— A gdzie jest Irga? — zapytał mnie przyjaciel.

— W grobie.

— Pochowam go razem z tobą — ze łzami w oczach powiedział Otto.

— Przestań bredzić, może jest jeszcze żywy.

— A co on robi w grobie?

— Poznaje życie swoich podopiecznych, jakby powiedzieć, od wewnątrz.

— Dziwni ludzie są z tych nekromantów. My tak dobrze się biliśmy, a tu wpada twój posłaniec: „Pomóż, jesteśmy w biedzie na cmentarzu Sklepińskim”. Trzeba było przekonywać ludyńę, by porzuciła rozrywkę i pobięła wam na pomoc.

— A po czyjej stronie walczyłeś? — zaciekałam się. — Bałeś za naszymi czy za waszymi? I student i krasnolud w jednej osobie.

— Poczekałem parę minut, póki draka „studenci przeciwko krasnoludom” nie zamieni się w drakę „wszyscy przeciw wszystkim”.

Fonbecy powinni być zadowoleni — reklama się opłaciła. Tylko pomieszczenie cyrku roznieśli w cholere.

— Czego tu siedzicie? — zapytał Trochim, podchodząc. — Ola, wszystkich twoich kumpli złapali, możesz złazić.

— Ona nie może — wyjaśnił półkrasnolud. — Czekaliśmy na ciebie, żebyś ją zdjął.

— Czy jestem dla was miłośnikiem wspinaczki skałkowej?

— Jesteś moim wybawcą! — dodałam mojemu głosowi teatralnej, tragicznej nuty.

Trochim obszedł naokoło grobowiec, pomyślał i powiedział:

— Rzuć tu swoją spódnice.

— Po co? — przestraszyłam się.

— Dla szafy. Rzucaj!

Z ciężkim westchnieniem rozstałam się z ulubionym elementem mojej garderoby. Trochim i Otto rozciągnęli moją spódnice i rzucili komendę:

— Skacz!

Żał mi było spódnicy, ale siebie jeszcze bardziej, więc skoczyłam. Pod moim ciężarem tkanina zatrzeszczała i porwała się, ale wszystko dobrze się skończyło.

— Choćmy wyciągnąć Irgę z grobu — powiedziałam, otulając się nieznacznym kawałkiem materiału.

— Ola, bardzo mi cię szkoda, ale może nich tam sobie leży? Będiesz czasami przynosić kwiatki, ogrodzenie zrobisz...

— On jeszcze żyje — rzekł Otto.

— Uch, ty! — zachwycił się Trochim. — Mielicie tam romantyczną randkę? To jest myśl!

— Tam jest niewygodnie — podzieliłam się swoim doświadczeniem. — Ciasno.

— Za to jakie pozostają wspomnienia!

Podeszliśmy do miejsca naszego więzienia. Irga siedział w takiej samej pozie, w jakiej go zostawiłam, nie odzywając się. Moje serce na minutę zamarło, a potem zabiło jak szalone. Jeśli się spóźniliśmy? Jeśli Lojd najpierw go zabił, a dopiero potem poleciał za mną?

— Irga! — krzyknęłam i wskoczyłam do grobu. — Irga!!!

Tarosiłam ukochanego za ramiona, póki nie zajęczał i nie otworzył oczu.

— Ola — wyszeptał. — Daj mi spokojnie umrzeć.

— Obejdzie się — powiedziałam, zaczynając płakać. — Najpierw cię wyleczę, a potem sama zabiję. Długo i w męczarniach.

Wywlekliśmy ledwie żywego Irgę z mogiły i potaszczyliśmy do uzdrowicieli. Całą drogę do nich płakałam, póki nie zaczęłam histeryzować. Kiedy weszliśmy do Domu Uzdrawień i położyliśmy Irgę na kozetkę, Trochim z sadystycznym uśmiechem wlepił mi takiego liścia, że aż zaszumiało mi w głowie i szybko pojaśniało.

— Nie lubię kiedy dziewczyny wyją — wyjaśnił kumpel, zauważając moje złe spojrzenie.

— Nawet nie zaczęłam wyc — uprzedziłam, pocierając szczękę. — Mógłbyś poprosić uzdrowicieli o wodę, a nie bić.

— Tak było szybciej — wzruszył ramionami Trochim.

Uzdrowiciele zabrali Irgę, a my poszliśmy do oddziału straży miejskiej na przesłuchanie.

Lojd i kompania siedzieli za siłową Ochroną.

— Oni chcieli zabić mnie i mojego narzeczonego — wyjaśniłam Dyżurnemu Magowi pod Zaklęciem Prawdy. — Ani ja, ani mój narzeczoney nie działaliśmy na ich szkodę, która by wzbudziła w nich chęć mordy.

— Dobrze — powiedział mag, zdejmując ze mnie zaklęcie.

— Co za to dostaną? — zapytałam, póki Otto i Trochim składali zeznania.

— Pójdą na rudniki — prawdopodobnie powiedział strażnik pilnujący szajki.

— Nie chcę na rudniki! — zawył Lojd.

— Nie trzeba było gapić się na moje nogi. I na resztę, którą było widać — złośliwie powiedziałam.

— Suka — z uczuciem stwierdził Lojd. — A ja ci jeszcze proponowałem małżeństwo!

— Suki z kozłami nie mają wspólnej przyszłość — oświeciłam go w

dziejzinie zoologii. — A tak w ogóle, chciwość jest zła.

— Popatrz na siebie — burknął Lojd.

— Nie jestem chciwa — powiedziałam z lekkimi wątpliwościami i wyszłam na zewnątrz, rozmyślając nad swoją naturą.

Kiedy szliśmy z powrotem, Trochim zapytał:

— A jak ty wyjesz?

— Co? — zdziwiłam się, odrywając się od swoich myśli.

— Powiedziałaś w Domu Uzdrowicieli, że jeszcze nawet nie zaczęłaś wyć. No to jak ty wyjesz?

— A! — ucieszyłam się z powodu stłumienia swoich rozterek. — Zaraz pokażę!

— Nie trzeba! — przeraził się krasnolud, ale już go nie słuchałam.

— Aaaa-uuuuu-oooooooo-uuuuu!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!! — zawyłam z głębi duszy.

— Wystarczy! — wrzasnął Trochim, zakrywając uszy.

Uciekłam od niego kawałek i dalej podwywałam sobie, póki z najbliższego domu nie wylali jakiegoś świństwa. Pomyje nie trafiły we mnie, ale za to zepsuły nastrój.

— Coś takiego! — zdziwiłam się. — Ludzie jeszcze śpią?! Już jutro jest!

— Jutro — wywarczał półkrasnolud. — Kiedy ja próbuję obudzić cię o tej porze, ty mamrociesz i ziewasz, że jeszcze jest noc. Idziesz teraz do Irgi? No, a my spać.

Weszłam do Domu Uzdrawicieli, czując, jak zamykają mi się oczy. Uzdrawiciel, surowo pocykał językiem, nie komentując mojego groźnego wyglądu, ale do parawanu Irgi zaprowadził. Nekromanta spokojnie spał. Zwinęłam się w kłębek na krześle dla gości i zasnęłam.

Obudziłam się od łamania w całym ciele. Mimo wszystko, spać na krześle to nie to samo, jak na łóżku. W grobie było nawet lepiej, bo było miejsce dla rozciągnięcia się. Smacznie wyciągając się, usłyszałam głos.

— Jak można spać przy łożu umierającego ukochanego, nie lejąc gorzkich łez?

— Lałam już gorzkie łzy, ale to przepuściłeś — odpowiedziałam, przyglądając się Irdze. — Wyglądasz lepiej niż wczoraj.

— A ty gorzej — prawdopodobnie stwierdził nekromanta.

— Mogłabym wyglądać jak z obrazka — rzekłam. — Tylko poświęciłam duszę i zmianę odzieży po to, żeby siedzieć tu i ochraniać twoje dychanie.

— Taaa, chronić. Już godzinę nie śpię, uzdrawiciel przychodził już kilka razy, a ty cały czas spałaś!

— Przecież oddychałeś — oburzyłam się, próbując rozczesać splątane włosy. — To znaczy, że nie było powodu wstawać i krzyczeć: „atujcie!!! Tracimy go!!!”. Dobra, przekonałeś mnie. Pójdę doprowadzić się do

ludzkiego stanu.

— Nawet teraz wyglądasz całkiem po ludzku — spróbował zatrzymać mnie Irga.

— Nie, wyglądam jak zombie. Pół nocy w grobie, a pół nocy na grobowcu. Nie mogłeś sobie wybrać innego zawodu? Na przykład ogrodnika! Wtedy bym pół nocy siedziała wśród kwiatów.

— Mogę ci to zorganizować — powiedział Irga.

— Najpierw wyzdrowiej, a potem zobaczymy.

Wlokłam się przez miasto myśląc o tym, że jarmark nie był taki wesoły jak mi się wydawało.

— Moja droga — nagle obrócił się do mnie młody, schludny chłopak.

Postarałam się do niego uśmiechnąć kusząco — nie każdego dnia zwracają się do mnie tacy przystojniacy!

— Nie można się tak zapuszczać! — powiedział chłopak, rzucając mi monetkę. — Pójdźcie do akademickiej łazienki, umyjcie się normalnie, kupcie sobie przyzwoitą spódnicę.

— Wsadź sobie to, sam wiesz gdzie! — oburzyłam się. On co, wziął mnie za żebraczkę? — Mam więcej pieniędzy od ciebie! Znaczy, nie! Dawaj je tutaj. Przydadzą się.

Chłopak wytrzeszczył oczy, a ja zabrałam mu z rąk miedziaka i szybkim krokiem poszłam do bramy — jeszcze się rozmyśli.

„Najważniejsze, że nie jestem chciwa” — zrobiłam sobie nie

uszcześliwiający wywód, wrzucając miedziaka do kieszeni pełnej pieniędzy. Wczoraj nie zdążyłam wydać wszystkich pieniędzy, bo tylko chodziłam i oglądałam towary.

Doprowadzając się do porządku, szybko polazłam na jarmark, żeby uspokoić postrzępione przez wczorajszą noc nerwy.

Po paru rzędach i pięciu zakupach zauważyłam, że ukradli moją sakiewkę. Moją ukochaną, zaczarowaną przed złodziejami, sakiewkę! Widocznie złodzieje też nie tracili czasu i zaopatrzyli się we wszelaką antymagiczną aparaturę.

Nie miałam już co robić na tym przeklętym jarmarku. Jęcząc z żalu do samej siebie, powlokłam się do Domu Uzdrowicieli. Tam zobaczyłam rozdzierającą duszę scenę — Ilissa głośno płakała przy łóżku Irgi.

— To moja wina... Ja... Przeze mnie prawie cię zabili!

— Mnie także — powiedziałam, oburzona brakiem uwagi wobec mojej skromnej osoby i stwierdzając, że dwie płaczące dziewczyny przy chłopaku to za dużo. — I to ja, nawiasem mówiąc, uratowałam twojego brata przed śmiercią!

— Ola! — odwróciła się do mnie Ilissa. — Ola, zmień swoje zeznania!

— Co? Jak?

— Jak odprawią go na rudniki, to on tam umrze! Ma takie słabe zdrowie!

— O kim ty?



— O Lojdzie.

— Posłuchaj, Ilissa — powiedziałam, udając, że nie widzę znaków, jakie pokazuje mi z łóżka Irga. — A może trzeba cię w głowę choć raz porządnie stuknąć? Żeby twój mózg wrócił na miejsce. Ten towarzysz chciał zabić twojego brata za kilka błyskotek!

— Nie za parę błyskotek, a z miłości! On mnie kocha, a Irga z ojcem nie chcą dać się nam ożenić.

— Wydaje mi się — wymamrotałam. — Że gdzieś w Niebiosach, gdzie tworzy się młodsze siostry, zabrakło im mózgów.

— Sam sobie z tym poradzę — powiedział nekromanta.

— Na pewno sobie poradzisz — potwierdziłam jadowicie. — Co, dawno nie leżałeś w grobie?

— Sam sobie z tym poradzę! — powiedział nekromanta z groźbą w głosie. — Nikt więcej nie będzie cię straszył.

— "Straszył"! — rzekłam z goryczą. — Czy można mnie bardziej przestraszyć?! Najpierw wsadzili do grobu, a potem ukradli wszystkie pieniądze...

Poczułam, jak w kącikach oczu zbierają się łzy. Jak bardzo żal mi było wszystkich zakupów, które zaplanowałam, a którymi nie dano mi się nacieszyć!

— Później cię pożałuję — odrzekł Irga, pochłonięty wyjaśnieniem rodzinnych spraw, nie zwracając na mnie uwagi.

W końcu oburzona do granic możliwości zażądałam od uzdrowicieli

„czegoś od nerwów”. Z zadowoleniem przełykając słodką zawartość butelki, poszłam do akademika leczyć rany czekoladą.

Otto przyszedł wieczorem, całkowicie zadowolony z siebie i z życia.

— Przyniosłem ci podarek, trzymaj — podał mi pakunek. — Nowa spódnica w zamian za tamtą, którą straciłaś wczoraj.

Nie chciałam nowej spódnicy. Chciałam, żeby mi oddali sakiewkę. Chciałam biżuterię od Fonbeków. Chciałam, żeby szybciej goiły się moje rany i zdrapania po nocy spędzonej na cmentarzu. Chciałam, żeby przy następnym spotkaniu mama nie zadawała mi pytań – co za tatuaż jest na mojej młodszej siostrze. Chciałam, żeby młodsza siostra Irgi nie wpadała w nieprzyjemne historie i uwaga nekromanty była zwrócona tylko na mnie. Chciałam więcej smacznej uzdrowicielskiej nalewki, ale podejrzewałam, że więcej mi jej nie dadzą.

— Otto — powiedziałam. — Kiedy następnym razem przyjdą przeciwnicy jarmarku, ja pierwsza podpiszę się przeciw jego organizowaniu!

## ***Rozdział 9***

### ***Próba siły***

Rankiem naszą mistrzownię nawiedzili od razu dwaj profesorowie —

Profesor Swingard i Mistrz Bef. Według nas owy nalot nie mógł przynieść nic dobrego. Szybko przewertowawszy w pamięci nasze przestępstwa w ciągu ostatniego miesiąca, doszłam do wniosku, że czeka nas jakaś paskudna niespodzianka, dlatego, że nie mieli za co na nas kląć.

— I tak, nasi drodzy przyszli dyplomowani! — uroczyście zaczął profesor, machając rurką, z której zaczął wydobywać się dziwnie pachnący dym. — Przyszliśmy was uszczęśliwić!

O mały włos nie złapałam się za głowę. "Uszczęśliwić"! A kto by wątpił! Patrząc na Ottona, usilnie próbującego podtrzymywać uśmieszek, zrozumiałam, że jest tego samego zdania.

— Na ile dobrze wiemy, wasz artefakt na dyplom jest już gotowy?

— Tak.

— Bardzo dobrze. Za dwa dni zobaczymy jak działa w praktyce.

— Znaczy?

— Wpuścimy was na ćwiczebny poligon praktyków, damy artefakt do ręki i zobaczymy, jak na niego zareagują zombie.

Spojrzeliliśmy po sobie z Ottonem. Oczywiście, przygotowywaliśmy ten artefakt na zombie, kościotrupy i umarlaki. Ale to były słabe, wykonane przez studentów podróbki z laboratorium wydziału praktycznego, na dodatek oddzielone od nas grubą kratą. Do tej pory próby dostania dyplomu przez Mistrzów Artefaktów odbywały się w cichych laboratoriach. O tym, żeby wypuścić teoretyków na bojowy poligon nigdy nie było nawet mowy. Kiedy razem z Ottonem brałam się za naszą pracę dyplomową, to w ogóle

nie myślałam, że będziemy musieli ją obronić w dosłownym znaczeniu tego słowa. Wyjść jeden na jednego przeciwko zombie... Brrrrr...

— To nie my wymyśliliśmy, to nowe rozporządzenie Ministerstwa Edukacji — powiedział Bef.

— Wybaczcie, Nauczycielu — rzekłam. — Wypuszczą na nas prawdziwych truposzy?

— Jeśli można tak się wyrazić o martwych istotach, to tak. Będzie dla was symulowany przypadek zwykłego spotkania. Las, droga, i wszystkie rodzaje martwiaków, które można spotkać w naszym królestwie.

— Dlaczego wszystkie? — zapytał Otto, chwytając się obiema rękami za brodę.

— A jak napisano w wyjaśniającej części waszej pracy dyplomowej? „Ogłuszenie i czasowe spowolnienie siły nieczystej, spotykanej na terytorium Sitorii”.

Spojrzeliliśmy na siebie. W oczach najlepszego przyjaciela wyczytałam wszystko, co o mnie myśli — przecież pisałam to właśnie ja! Co mi szkodziło ograniczyć się do Czystiakowa i okolic, gdzie oprócz zombie nic się nie spotykało (jeśli nie liczyć plagi księżycowych martwiaków w minionym roku)?

— Obrona pracy dyplomowej odbędzie się później — powiedział profesor Swingard. – Po tym, jak przekonamy się, że wasz artefakt działa.

— A jeśli nie zadziała na siłę nieczystą? — zapytał Otto.

— Lepiej żeby podziałał. No i wszystkie inne artefakty komisja każe

wam zdjąć.

— Przyszedł czas na pisanie testamentu? — zainteresowałam się.

— Przygotowujcie się — mgliscie odrzekł na me pytanie Bef, a profesor Swingard uśmiechnął się do nas zachęcająco.

— Ożeż — rzekł Otto, odprowadzając wzrokiem nauczycieli. — Dopiero ranek, a już się dzień zrobił parszywy...

— To nie jest jeszcze parszywy dzień — stwierdziłam, podchodząc do ściany, żeby powalic w nią głową. — Za dwa dni będzie parszywy.

— Za dwa dni będzie nasz koniec, jeśli artefakt nie zadziała.

— Powinien działać, przynajmniej za część teoretyczną rękę.

— Za robotę też rękę — zawarczał Otto. — Ale czy razem to zadziała...

— Powinno zadziałać, powinno — powiedziałam, próbując przekonać samą siebie. — Przecież sprawdzaliśmy.

— Tak, sprawdzaliśmy — z kwaśną miną potwierdził krasnolud, targając się za brodę. — Ale nie w prawdziwych warunkach.

Poszperał pod ławką i wyciągnął butelkę. Odkorkował, powąchał, a ja w tym czasie ostrożnie zmniejszałam dystans między swoją personą a drzwiami, i zapytał złym głosem:

— A kto mi samogon na wodę zamienił?

— Muszę się przejść — szybko powiedziałam, wybiegając z mistrzowni.

— Do notariusza idziesz testament spisać? — krzyknął za mną Otto.

Oczywiście byłam powiązana z tajemniczym zniknięciem krasnoludzkiego samogonu. Znaczy, dlaczego "tajemniczym zniknięciem"? Samogon poszedł na dobry cel — łapówka dla właściciela pewnego bazarku, któremu niedługo mieli przywieźć ekskluzywną elfią biżuterię. Wszystkie modnisię w mieście stawały na uszach by zapisać się u właściciela bazarku na nabycie owej biżuterii. Osobiście nie zdążyłam zrobić tego w porę — zbyt późno się dowiedziałam o tym miejskim fenomenie. Ale za to wiedziałam, że sprzedawca — a przecież to od niego zależało podzielenie błyskotek — jest wielkim smakoszem krasnoludzkiego alkoholu. Wraz z własnością Ottona, dopuszczając się sprytnych manipulacji, nagle stałam się pierwsza na liście. Szkoda, oczywiście, że zapomniałam uprzedzić Ottona o zniknięciu samogonu. Myślę, że przez jakiś czas lepiej nie pokazywać mu się na oczy.

Wzięłam kurs na mieszkanie Irgi, żeby pozalić mu się na życie. Nekromanta wrócił tydzień temu do miasta, tylko, że się ani razu nie widzieliśmy — był strasznie zajęty, no a ja trzymałam cały czas swój tyłek na terenie Uniwersytetu.

Postukawszy w drzwiczki mieszkania i nie doczekawszy się odpowiedzi, gwałtownie wtargnęłam do pokoju ukochanego. Irga spokojnie spał na łóżku w swej ulubionej pozie — na plecach, nakrywszy się pierzyną pod sam nos.

— Irga — potrząsnęłam nekromantą. — Wstawaj!

Nekromanta otworzył jedno oko i powiedział:

— Przestań kobieto!

— Ja ci dam kobietę! — oburzyłam się. — A kto ją ze mnie zrobił? Jeszcze ma pretensje!

Nekromanta milcząc odwrócił się do ściany.

— Irga!!!!

— Cała noc byłem na nogach! Musze jeszcze dzisiaj napisać sprawozdanie i znowu iść do roboty! — wkurzył się ukochany. — Zostaw mnie, chcę spać!

— Dobra dobra — powiedziałam, siadając na łóżku. — A mnie chcą zabić.

— Polepszy ci się, jeśli ja zabiję cię teraz? — burknął Irga, nakrywając kołdrą głowę.

Ach tak!

Wstałam z łóżka i zdecydowanie ruszyłam w stronę bufetu. Choć nie dostanę moralnego zrozumienia, to przynajmniej sobie pojem. Więc co tutaj mamy? Tego nie jadam, tego nie chcę, o, keksiki z rodzynekami! Mniam mniam!

— Ola — powiedział Irga nie wyłaząc spod pierzyny. — Przestań jeść moją kolację.

— Rano jest za oknem, jaka kolacja?

— Była by kolacją — westchnął nekromanta. — Jeśli by ktoś nie przyszedł i nie obudził mnie. Spokojnie spał bym sobie do wieczora, a

potem zjadłbym keksy i poszedłbym do roboty. A teraz jestem zły, głodny i chcę mi się spać.

— Nie budźcie we mnie zwierzęcia, bo to chomik żarłoczny —  
wyburczałam pod nosem.

— Co-co? — zapytał Irga.

— Mówię, że mi przykro, że cię obudziłam.

Nekromanta przeciągnął się, słodko ziewając, a potem chytrze się uśmiechnął i zapytał:

— A kto powiedział: „Ja ci dam kobietę!”? No to dawaj!

— Szybko może zabraknąć kobiety — powiedziałam, przybierając tragiczny ton głosu.

— Co się znowu stało?

— Będziemy bronić pracy w polowych warunkach.

— Iii coo?

— W warunkach maksymalnie przypominających bojowe —  
wyjaśniłam. — A to znaczy, że napuszcza na mnie zombie. Będę musiała bronić się przed nimi za pomocą swojego wynalazku!

— Nie rozumiem przyczyny twojej paniki — powiedział Irga. — Ty co, pierwszy raz w życiu spotkasz się z zombie? Masz doświadczenie - korzystaj.

— Jeśli wydaje ci się, że każde spotkanie z nimi dostarcza mi radości, to się grubo mylisz. I w ogóle mam słabe nerwy. I w ogóle mało ich. I w



ogóle...

— Dobrze, dobrze — przerwał Irga ziewając. — Wszystko zrozumiałem. Naprawdę myślisz, że w tym wypadku profesorowie pozwolą, żeby coś się z wami stało? Nastraszą i koniec sprawy.

— Nastraszą! Dobrze ci tak mówić!

— Moja miła, czy mówiłem ci jak broniłem swojej pracy?

— Eeee... — wydaje mi się, że kiedyś coś o tym opowiadał, ale ja się nie nasłuchałam zbyt bardzo.

— Musiałem stworzyć zombie i trzymać go pod kontrolą — powiedział Irga, apetycznie podnosząc koldrę.

— Sam sobie wybrałaś specjalizację — uparcie rzekłam. — A ja jestem przeciwna marnowania swych nerwów w takich okolicznościach!

— Kochanie — nekromanta, widząc, że nie mam zamiaru wstawać z krzesła, dumnie owinał się koldrą i udawał, że od początku mu o to chodziło. — Dlaczego nie myślisz o tych, którzy z twoim artefaktem zetkną się z prawdziwą siłą nieczystą? Nie na ćwiczebnym poligonie w pobliżu magów? Wyślę temu Ministerstwu gratulacje! Wyobrażasz sobie, ilu praktyków zginęło przez to, że artefakt, idealnie pracujący w warunkach laboratoryjnych, w bojowych odmawiał współpracy?

Zamyśliłam się. Takiego aspektu nie brałam pod uwagę. Najważniejsze dla mnie było, by moja drogocenna skóra nie ucierpiała, a o tych, którzy będą pracować z moim tworem, jakoś nie pomyślałam...

— I co, dużo ludzi zginęło? — ostrożnie zapytałam.

Irga potaknął.

— Zrozum, większość Mistrzów Artefaktów nigdy nie miała spotkania z zombie, a raczej można by powiedzieć, że dobrze jak widzieli zombie ze dwa razy w życiu i to na kursie nekromancji. A przecież często od artefaktu zależy nie tylko życie maga, który może jakoś się wykaraskać, ale po prostu człowieka, który nie może liczyć na inną opcję.

Zamyśliłam się i w końcu do mnie dotarło. Dlaczego nigdy nie patrzyłam na swoją robotę w mistrzowni, nie jak na kolejny krok do otrzymania dyplomu, a jak na podzielenie się swoją inteligencją z ludźmi, którzy mają nadzieję na sukces tego tworu? Było mi wstyd za wszystkich Mistrzów Artefaktów. Dlaczego nikt nigdy mi o tym nie mówił? Żaden z nauczycieli nie mówił nam i naszym kolegom, że od nas, szczurów bibliotecznych, często zależy życie tych, którzy nie tylko spotykają się z przeciwnikiem na kartkach książki? Mieli nadzieję, że sami się domyślimy? Nie, oczywiście, wiedziałam, że nie przygotowuję zabawki, ale fakt, że mój błąd może spowodować czyjąś śmierć, do tej pory mnie nie przerażał.

— Powinnaś wiedzieć jeszcze o czymś — z westchnieniem powiedział Irga. — Tylko pamiętaj, że ta informacja jest tajemnicą. W naszym królestwie w tym roku już trzy razy pojawiały się księżycowe martwiaki. Mające porachunki z obliczem Ziemi. Myślę, że to dlatego tak wzięli się za Mistrzów Artefaktów.

— Księżycowe martwiaki? Na ile dobrze pamiętam, to pojawiają się bardzo rzadko.

— Pojawiały się bardzo rzadko... — uściślił Irga. — A teraz pojawiają się często.

— I żadnych śladów? A dlaczego to zakazana informacja?

— Żeby nie było paniki. Wyobrażasz sobie, jak w czasie każdej pełni miasto pogrąża się w chaosie?

— A dlaczego nie powiedzieli studentom?

— Żeby nie rozgadali.

— A plotki...

— Przedostają się różnymi metodami — dobitnie powiedział Irga.

— Teraz czuję się o wiele lepiej — stwierdziłam. — Teraz wiem, że w czasie pełni mogą zeżreć mnie martwaki i o wiele mniej się martwię o wynik obrony.

— Raduję się, że mogłem cię pocieszyć — ziewnął nekromanta. — Jeśli będzie ci przez to lepiej, to obiecuje przyjść na twoją obronę i dopilnować, żeby żaden martwiak nie dotknął łapami mojej ukochanej. A teraz ja troszkę pośpię, dobrze?

Jeszcze troszeczkę posiedziałam na krześle, masując plecy. Irga zasnął (albo udawał, że zasnął). Co było smacznego w jego bufecie to się już skończyło. Iść z powrotem do mistrzowi i kłócić się z Ottonem mi się nie chciało, a kupić mu samogon w zamian za tamten było szkoda. Poszperawszy w myślowych zapiskach z tyłu głowy, postanowiłam iść do Uniwersytetu, żeby dowiedzieć się nowych rzeczy i spotkać się z Befem — ot może surowy Profesor podzieli się ze mną jakąś informacją.

W głównym budynku Uniwersytetu w centralnym holu panował chaos. Studenci o czymś ponuro rozprawiali, wymachując rękami i

przekrzykując się nawzajem. Nie wydawało się możliwym wyłowić coś z tego szumu. Pokręciłam się w tłumie, znalazłam centrum oburzenia i podjęłam próbę dotarcia do celu, bezczelnie rozpychając się łokciami.

— Przepuście! Przepuście! Też jestem ciekawa! No przepuście dziewczynę w ciąży! Nastąpię ci na nogę! Aj! Przepuście inwalidkę!

Dotarwszy do celu, przylgnęłam nosem do listy, przyczepionej do tablicy z ogłoszeniami.

Szybko rzucając na to okiem i potrząsając głową, żeby uporządkować myśli, jeszcze raz przeczytałam listę. Każdy jej punkt był gorszy od poprzedniego.

1. Wykryć niedostateczne przygotowanie praktyków i Mistrzów Artefaktów
2. Zwiększyć studia wyżej wymienionych studentów o jeden rok.
3. Wprowadzić obowiązkowy egzamin dla wszystkich studentów kończących dany przedmiot.
4. W ostatni rok nauki wybrać miasto dla przyzwyczajenia się do nawyków.
5. Dopilnować, żeby każdy student przed zdobyciem dyplomu zaliczył praktykę w terenie państwa, trwającą co najmniej trzy miesiące.

Dalej nie zdążyłam doczytać — ktoś gwałtownie oderwał mnie do listy, więc poszłam w bezludną część korytarza i, siadłszy na parapet, zamyśliłam się. Nie wiedziałam na razie, czego dokładnie będzie dotyczyć nakaz, ale że mój powrót do domu jako człowieka dyplomowanego, dobrze

opłacalnego przeciągnie się na bliżej nieokreślony czas, tego byłam w 100% pewna.

— Oto ona, rozsiadła się jak matrona — przerwał moje rozmyślenia Otto.

Skłoniłam swoją nieszczęsna głowę przed przyjacielem i zapytałam:

— Czytałeś nakaz?

— Jaki nakaz? Aha, rozumiem! — półkrasnolud jak okrągła beczka przetoczył się przez tłum studentów i wrócił, pochmurniejszy..

— No i jak ci się podoba?

— Robi się co raz bardziej interesująco — przyznał siadając obok.

Westchnęłam w duszy. Póki Otto rozmyśla nad ostatnimi nakazami, nie będzie miał jak się ze mną rozprawić.

— Co będziemy robić? — zapytałam.

— To co trzeba — uparcie odpowiedział przyjaciel. — Nie rzucać sprawy u samego końca! Pójdziemy zdawać egzaminy, a potem iść pracować, gdzie nas pošlą. A potem jeszcze ta polowa praktyka! Nie będziemy się smucić!

— I co teraz?

— Trzeba to opić — powiedział Otto. — Nic lepiej nie odgania złego nastroju, niż kubeczek dobrego wina. Tylko ty płacisz, musisz jakoś wynagrodzić mi utratę alkoholu pierwszej klasy.

— On wyparował! — podzieliłam się z nim swoją wersją. — Korek

był źle nałożony. Ot i alkohol wyparował, a została sama woda.

— Tak? — zdziwił się krasnolud. — Więc masz szansę wyłowić drogocenne opary z powietrza.

— Znęcasz się?

— A ty?

Sprawdziłam zawartość kieszeni i postanowiłam:

— Dobra, idziemy łapać opary. Nie obiecuję dobrego wina, ale na piwo, nawiasem mówiąc, mi starczy.

Otto zawahał się przez chwilę; widocznie zastanawiał się nad tym, jak zmusić mnie do większej hojności, ale odpuścił, rozumiejąc, że przy piwie będzie jaśniej.

Oczywiście, że dobrze się napiliśmy. Za każdym razem ledwie stałam na nogach. A jak – taką świnię ze strony Uniwersytetu trzeba osłodzić czymś odurzającym. Szliśmy po ulicy, mocno trzymając się nawzajem. Podśpiewywałam pod nosem piosenkę o głodnych studentach, a Otto dośpiewywał, czyniąc moją piosenkę jeszcze bardziej niemuzykalną:

— Każdy student wam odpowie jak jest dobrze i wygodnie zjeść kielbaski z ranka nie przeszkadzając sobie nauką ką ką ką...

— Stop! — powiedział nagle Otto. — Tam coś leży!

— Gdzie?

— Pod płotem.

— No i niech sobie leży, co cię to?

— Ani jeden normalny krasnolud nie przejdzie obok czegoś, co leży samo! A jeśli tam leży coś potrzebnego?

— Potrzebne nie leżałoby pod płotem — stwierdziłam. Byłam zbyt leniwa by podejść i schylić się by zobaczyć co takiego leży w krzakach. A potem jeszcze pomagać taszczyć to do akademika.

— Nigdy się nie wzbogacisz — prorokował Otto. — Miedziak do miedziaka i już pełna sakiewka.

Parsknęłam.

— Ty tak zawsze — powiedział półkrasnoluda potem jeszcze pomagać taszczyć to do akademika podchodząc do krzaczorów. — Nawiasem mówiąc interes mojego ojca zaczął się od jednego miedziaka.

— Tak?

— Aha. Tata wygrawerował na nim różę i sprzedał jednej szpiczastouchej za srebrniaka.

— Komu? — zaciekałam się, siadając w ciepły przydrożny pył. Nie chciało mi się stać. Chciało mi się leżeć i oglądać nocne niebo, ale szybko stwierdziłam, że Ottonowi nie spodoba się obrazek, na którym leżę po środku drogi.

— Elfiej turystce. Wyobraź sobie, że podchodzi do niej taki miły różowiotki maluszek i proponuje kupić na pamiątkę... — w tym momencie głos przyjaciela się drastycznie zmienił. — Wiesz co, a raczej KTO, tutaj leży.

— No? — przejawiałam zainteresowanie odkryciem.

— Blondyn!

— E...?

— Blondyn, naprawdę! — powiedział Otto tworząc maleńki płomyczek – nigdy nie był dobry w praktycznej magii.

— Żywy?

— Żywy. Tylko nieprzytomny. Możesz go oblać wodą?

Niezgrabnie pomachałam rękami w powietrzu, co miało oznaczać „Ciekawe jak uda mi się teraz wywołać deszcz?!”.

— Rozumiem — powiedział przyjaciel i zanurkował w zarośla.

Podniosłam się, otrzepałam spódnicę z pyłu i poszłam nacieszyć się widokiem.

Pod płotem w krzakach naprawdę leżał Blondyn. Nie wyglądał pociągająco — porwana koszula, rozcięte wargi, bardzo blada twarz. Lim słabo oddychał, powieki lekko drgały. Otto szczypał jego kończyny szukając złamania.

— Otto — powiedziałam. — Mogę go kopnąć?

— Po co?

— Tak po prostu. Dużo krwi mi napsuł.

— Ola, kopać ранego i bezbronного wroga jest podle.

— On próbował mnie zgwałcić — przypomniałam mu, płonąć żądzą zemsty.



— Ale nie zgwałcił — zauważył Otto. — Tylko chciał. A ty tylko chcesz go kopnąć.

— Uważasz, że to to samo? — oburzyłam się. — Nigdy nie myślałam, że możesz być szowinistą!

— Jestem prawdomówny — dostojnie odpowiedział półkrasnołud.— Łap go za ręce i niesiemy.

— Gdzie jeszcze?

— Do uzdrowicieli.

— Proponujesz mi go taszczyć do uzdrowicieli? — byłam oburzona.

— Oczywiście, że nie porzucać go tutaj.

— To nie my go tu rzuciliśmy.

— Miej w sobie choć kroplę dobroci — powiedział krasnołud, łapiąc Lima za nogi.

— Nie można się sławić dobrymi uczynkami — wyburczałam, chwytając Blondyna za ręce. — Pamiętaj, że robimy błąd.

— Jeśli my tego nie zrobimy, to będzie mnie męczyć sumienie. A ciebie nie?

— Nie wiem — odpowiedziała zgodnie z prawdą, próbując odszukać wewnątrz siebie oznaki sumienia.

Blondyn był bardzo ciężki, biorąc pod uwagę także fakt, że sama się z lekka kołysałam. Wywlekliśmy bezwładne ciało na drogę i trochę ponieśliśmy, po czym moja część wyślizgnęła mi się z rąk. Głowa Blondyna

uderzyła o ziemię z głuchym odgłosem.

— Dobijesz go! — rzekł Otto.

— Słuchaj, a gdzie człowiek ma środek ciężkości? — spytałam zamyślona.

— Nie wiem — zdziwił się półkrasnolud. — Pewnie gdzieś koło pępka.

Krokami zmierzyłam ciało Blondyna i rozkazałam:

— Ty bierz go za ręce: tam gdzie ręce, tam jest cięższy.

— Wszędzie jest tak samo ciężki — odrzekł Otto, po raz kolejny próbując złapać Lima i za ręce i za nogi

— Nie — sprostowałam. — Nieść go za nogi jest bardziej lekko. No to go poniosę!

— A nie boisz się, że przez jego buty będzie śmierdzieć?

— Nie będzie, bo jest arystokratą! Każdego dnia zmienia skarpety — ale na wszelki wypadek schyliłam się i powąchałam.

— Też każdego dnia zmieniam, choć nie jestem arystokratą — oburzył się krasnolud.

Znowu złapaliśmy kończyny Lima i potaszczyliśmy do Domu Uzdrawicieli.

— Przepraszam, a co wy tu robicie? — rozległ się nad nami chrapliwy baryton.

Od niespodzianki upuściłam nogi Lima, a Otto w tym samym momencie położył swoją część i się odwrócił.

— A, to ty, Żiwko! — ucieszył się.

— Kto to taki? — wyszeptałam.

— Nie poznałaś? To ork, który przystawiał się do twojej młodszej siostry.

Stworzyłam płomień i przypatrzyłam się. Rzeczywiście to on — orli nos, duże migdałowe oczy, gęste czarne włosy zebrane w wysoki kucyk.

— Wybacz, nie poznałam. A ty co, znasz go? — zapytałam krasnoluda.

— Tak — powiedział. — Poznaliśmy się na jarmarku, kiedy go od siostry odgoniłaś. Pomyślałem, że zawrzeć znajomość nie zaszkodzi.

Walający się po drodze Blondyn wydał z siebie cichy jęk.

— Kto to? — zapytał Żiwko. — I gdzie go taszczyacie?

— Niesiemy go na cmentarz, na mięso — odpowiedziałam. — Robimy zapasy na zimę.

Ork w oszołomieniu popatrzył na mnie, wytrzeszczając oczy. Spodobał mi się ten widok i postanowiłam drażnić się z nim dalej.

— Nie słuchaj jej — zaczął Otto, ale mu przerwałam tonem winowajcy:

— Dobra, żartowałam. Tak naprawdę niesiemy go do najbliższej stodoły by urządzić tam gnuśną orgię.

Otto tak mocno przywalił mi w bok łokciem, że aż się zgięłam.

— Niesiemy go do Domu Uzdrowicieli, pomożesz nam go zanieść?  
Sam widzisz jaki jest z Oli pomocnik.

Postanowiłam milczeć — znów bym coś palnęła i musiała taszczyć Blondyna. Dlatego milcząc poszłam za chłopakami, bez wysiłku niosących jęczącego Lima.

— I kto go tak załatwił? — zapytał Żiwko.

— Nie wiem — odpowiedział Otto. — Od dawna nie wchodziliśmy sobie w drogę i nie jestem na bieżąco z jego sprawami. Może się czymś nie podzielili. Choć nie wiem, kto ośmieliłby się podnieść na niego rękę — Blondyn ma wysoko postawionego ojca.

— Ktoś jest jeszcze wyżej postawiony — stwierdził Żiwko i się do mnie uśmiechnął.

Od jego uśmiechu, błyszczącego w świetle licznych latarni, zajął mnie żar. Taki mężczyzna, a ja jak zawsze wyglądam okropnie! Roztrzepane włosy, pijana, i na dodatek cała w pyłe! Ech! Zazdrościłam Tomnie — zawsze przygotowana, jakby z okładki pisma o życiu królewskiego dworu. Nawet z rana przychodziła do wspólnej łazienki tak, jakby była na konkursie faworyty dla naszego prawodawcy. Podchodziliśmy już prawie do Domu Uzdrowicieli, kiedy postanowiłam nie pokazywać się Żiwkowi w oświetlonym pokoju. Inaczej jedynym uśmiechem jaki od niego dostanę będzie grymas przerażenia.

— Otto, poczekam na was tutaj, na ławeczce. Nie chcę iść do uzdrowicieli.

Półkrasnolud, głośno dysząc, wzruszył ramionami. Jak dobrze, że spotkaliśmy orka! Jeśli Otto zmęczył się niosąc arystokratę, to co można byłoby powiedzieć o mnie!

Usiadłam na najbliższej ławeczce i objęłam się rękami — było już dawno po północy, więc zaczęło się robić chłodno. Oj jak mi się nie powodzi! Przez chęć pokazania się Żiwkowi z lepszej strony, siedzę teraz na ławce i drzę od zimna zamiast siedzieć w pokoiku i popijać gorącą herbatkę. Mężczyźni na pewno zostali sprowadzeni tu na naszą zagładę!

— Ola, wstawaj, przeziębisz się i zawalisz egzamin! A ja będę sam pracował? — okazało się, że nieoczekiwanie dla samej siebie zasnęłam.

— Chłodno — powiedziałam, dzwoniąc zębami.

Otto w milczeniu narzucił na mnie swoją kamizelkę. Od razu pociągnęła mnie na ziemię.

— Cegły tam nosisz? — zdziwiłam się ciężkości odzieży.

— Tak, dla wygody — uchylił się od odpowiedzi Otto.

— I co tam z Blondynem?

— Pobili i napoili trucizną. Jeślibyśmy go nie znaleźli, to by do rana był sztywny — powiedział Otto. — A tak poleży u uzdrowicieli parę dni i będzie jak nowy

— Zła trucizna, skoro nie działa — westchnęłam.

— Chodzi o to, że jako arystokrata codziennie przyjmował małą dawkę trucizny, żeby uodpornić ciało. Powiedzieli mi to uzdrowiciele — wyjaśnił Otto.

— A gdzie Żiwko?

— Poszedł do domu jak tylko przekazaliśmy Blondyna uzdrowicielom. Jest porządnym orkiem, to my się po nocach szlajamy.

— Nie szlajamy — oburzyłam się. — Szliśmy z konkretnym celem — do domu. Przynajmniej ja chciałam. To ty wiecznie rozglądasz się po bokach.

— Ach tak! — wkurzył się Otto.

— To jeszcze nie wszystko — rozzłościłam się. — Dlaczego walnąłeś mnie w żebra? Prawie mi je połamałeś! I nie dałeś kopnąć Blondyna, a przecież i tak nie byłoby mu gorzej!

— Zamilcz, bo głupoty gadasz! — oburzył się. — Jak pijesz dużo, to się zła robisz.

— Znalazł się prawdomówny! Musimy jutro zdawać, a zmarnowaliśmy pół nocy przez Lima!

— A ty jesteś nieludzka i niemiłosierna! O, Bezdno, z kim się związałem! — krzyknął krasnolud, próbując zdjąć ze mnie swoją kamizelkę.

— Kto z nas jest nieludzki! A rozbierać dziewczynę na środku drogi to pozwala ci sumienie!

Otto z napływu uczuć pociągnął mnie za włosy, a ja złapałam go za brodę. Hurra, bijemy się! Napięcia dnia, spowodowane przez nowości i rewolucje po piwie zaczęły powoli zniknąć.

— Stop, stop, stop! — czyjeś silne ręce rozdzieliły mnie i Ottona.

— Zostaw, Irga, nie przeszkadzaj wyjaśniać mi z tą... Tą...

Splunęłam w stronę krasnoluda, ale w ciemności nie było widać, czy trafiłam. Irga lekko wziął mnie na ręce, przytulił do siebie, powstrzymując od aktywnych działań i jeszcze raz powtórzył:

— Stop, dzieciaki, co wy? Chcecie, żeby przybiegła tu cała nocna straż?

— Jutro pogadamy — wysyczałam do Ottona.

— Kamizelkę oddaj — burknął. — I nie zapomnij, że mamy rano konsultacje przed obroną.

— Co tu robiłeś? — zapytałem Irgę.

— Wracalem z roboty. A co wy robiliście tu w środku nocy?

Opowiedziałam Irdze o naszym znalezisku w krzakach.

— Jak myślisz, kto go...? — zainteresowałam się.

Nekromanta wzruszył ramionami.

— Blondyn swoimi metodami „koleżeństwa” przeszedł wielu drogę. No to odprowadzić cię do akademika czy idziesz nocować do mnie? — ukochany delikatnie otulił mnie swoją lekką kurtką.

— Nie pójdę do ciebie, bo nie masz nic do jedzenia — powiedziałam, próbując przypomnieć sobie stan swoich zapasów. Dobra, jeśli u siebie nie znajdę to zjem Liry.

— Dlaczego nic? Wczoraj kupilem trochę jedzenia — odpowiedział Irga.

— No to idziemy do ciebie — postanowiłam, ze zmęczenia ledwie przebierając nogami.

Zasypiałam, idąc. W mieszkaniu Irgi przebrałam się w jego koszulę, wypiliśmy dzbanek mleka z miodem i usnęłam, ledwie przykładając głowę do poduszki.

— Ola, skarbie, wstawaj!

— Odczep się ode mnie — spróbowałam schować się pod kołdrę, ale paskudny nekromanta zaczął łaskotać mnie w piety. — Irga! Aj, przestań!

— Ola, byłbym bardzo szczęśliwy, jakbyś dalej chrapała przy moim boku, ale musisz iść na konsultacje.

— Nie chrapałam!

— Dobrze, dobrze, przesłyszałem się! Ale i tak pora wstawać!

Podniosłam się, czując się jak niedorobiony zombie i przywlokłam się do małego lusterka wiszącego przy bufecie. O rany! Patrzyło na mnie coś z workami pod oczami, opuchniętą twarzą i splatanymi włosami— ani umyć się, ani rozczesać włosy wczoraj nie zdążyłam.

— Irga!

— Tak, miła?

— Nie patrz na mnie, jestem taka straszna!

— No co ty, widzę w pracy kobiety, które wyglądają o wiele gorzej od ciebie! — pocieszył mnie nekromanta.

— Na cmentarzu czy gdzie? — uściśliłam, podejrzewając..



— No, a gdzie ja pracuję? — dyplomatycznie odpowiedział Irga.

Sam wyglądał świeżo, czysto no i był ogolony. Pokazawszy nekromancie język, powlokłam się do wanny. Moje ubranie także nie wyglądało lepiej, ale tym razem w szafach Irgi krył się nowy wariant — spódnica i bluzka, porządnie złożone na półeczce. Ubłoconą spódnicę wrzuciłam do kosza na pranie, mając nadzieję, że Irga nie zauważy jej wśród swoich koszul i też wypierze.

W audytorium usiadłam jak najdalej od Ottona. Już nie pamiętam, o co się wczoraj kłóciliśmy w nocy, ale nie miałam zamiaru się godzić pierwsza. Gdy tylko Profesor Swingard zaczął mówić o jutrzejszych przypadkach, w drzwi zastukał jakiś młodszy student:

— Profesorze, Olgierdę Lachę i Ottona der Szwarca wzywają z ważnej przyczyny.

Popatrzyliśmy się na siebie i wyszliśmy.

— Coś narobiła? — zapytał Otto.

— Ja? Nic. Poszłam wczoraj spać pod konwojem Irgi, a ty?

— Spokojnie doszedłem do akademika i także poszedłem spać.

W korytarzu czekał na nas strażnik.

— Zapłaciliśmy wczoraj za picie? — wyszeptałam, póki szliśmy na komisariat straży miejskiej.

— Wydaje mi się, że zapłaciliśmy — powiedział Otto. — Ale za niezapłacenie na główny komisariat nie taszczą ludzi.

— Boję się.

Półkrasnolud złapał się za brodę i niepewnie rzekł:

— Jeśli sumienie jest czyste, to nie ma czego się bać.

W komisariacie jakiś ważny oficer powiedział:

— Jestem kapitan Anksje Liumbe. Jesteście oskarżeni o próbę zabójstwa Lima nia Montera.

— Kogo? — krzyknęliśmy jednym głosem.

— Lima nia Montera — powtórzył lekko zniechęcony kapitan.

— To kto, Blondyn? — zapytałam Ottona.

— Najwyraźniej.

— Posłuchajcie — odwróciłam się do strażnika. — Co tu się dzieje? My nikogo nie próbowaliśmy zabić! Odwrotnie, my tą szu... Limowi życie uratowaliśmy! Dostarczyliśmy do Domu Uzdrawicieli!

— Uspokój się — przerwał Otto. — Zaraz pan kapitan nam wszystko wyjaśni.

— Wczoraj do Domu dwaj mężczyźni przynieśli nia Montera. Nie ocknął się, ale rodzaj naniesionych ran oraz obecność jadu pozwala sądzić, że tylko szczęśliwy przypadek pozwolił mu przeżyć.

— My byliśmy jego szczęśliwym przypadkiem — wywarczał Otto szarpiąc się za brodę.

— Mówiłam ci, że robimy błąd — powiedziałam mu. — Leżałby

sobie tam pod płotkiem, a my siedzielibyśmy teraz na konsultacjach.

— Cicho! — syknął półkrtasnolud.

— Więc twierdzicie, że dostarczyliście ofiarę do uzdrowicieli.

— Tak.

— No to dlaczego w zeznaniach uzdrowicieli napisano, że nia Montera przyniosło dwóch mężczyzn?

— Dlatego, że po drodze spotkaliśmy znajomego i on pomógł nam taszczyć Lima— wyjaśniłam. — A ja na nich pod Domem czekałam, dlatego, że nie lubię się spotykać z uzdrowicielami.

— Aha, czyli zmowa!

— Z kim? — spytałam w szoku.

— Milcz! — nakazał Otto. — Powiedzcie, o co konkretnie nas oskarżają?

— O próbę zabójstwa — poważnie odpowiedział kapitan, podnosząc do góry palec. — Wszyscy świadkowie jednogłośnie potwierdzają, że mieliście porachunki z Limem o charakterze roboczym i prywatnym.

— Tak — zgodził się krasnolud. — Ale już dawno je załatwiliśmy. Powiedzieli wam o tym?

— Powiedzieli — skrzywił się kapitan. — Ale to nic nie znaczy. Mogliście ukrywać złość i czekać na dogodny moment by się zemścić.

— Jeśli chcielibyśmy, to byśmy już dawno go zabili... Aj! — Otto z całej siły nastąpił mi na nogę i postanowiłam nic więcej nie mówić.

— Zatrzymamy was aż do wyjaśnienia sytuacji — obwieścił kapitan.

— Mamy jutro obronę pracy dyplomowej — powiedział Otto.

— A to znaczy, że musicie ja odłożyć — milutko odpowiedział Anksje Liubme.

Przydzielili nas do różnych celi — żebyśmy nie robili różnych rzeczy.

Kobieca cela była cała przepelniona. Różnorodność dziewczyn siedziała i leżała na łózkach, o czymś głośno dyskutując. Postąpiłam przy wejściu, nie wiedząc, jak się zachować i postanowiłam, że najlepsze będzie przywitanie.

— Cześć dziewczyny! — powiedziałam.

— O, jeszcze jedna! — krzyknęła blondynka w wieczorowej sukience. — Chcesz, żebym zgadła, za co siedzisz?

— Dawaj.

— Za próbę zabójstwa Blondyna Lima!

— Tak — zdziwiłam się. — Od kiedy ty...

— Wszystkie tutaj jesteśmy potencjalnymi mordercami Lima — wyjaśniła blondynka. — Ja, Blija, jestem podejrzana o to, że nie ograniczyłam się do głośnego rozstania z Limem wiosną, a postanowiłam go zabić. Tjakę — Blija skinęła w stronę cichej dziewczyny w dopasowanej sukience, skromnie siedzącej w kącie. — Blondyn próbował pozbawić czci i go poturbowała. A ta córka kupca, wybaczone, znowu zapomniałam, jak się nazywasz...

— Selestiniadiranta — powiedziała krzepka rumiana dziewczyna, może z domieszką welikańskiej krwi, a może po prostu lubiła sobie pojeść.

— Tak, Selesti... Selestin... ogólnie to nie podzieliła się z nim swoim kupieckim interesem, a Witka — ona prześladowała Lima przez ostatnie pół roku, żeby się z nim ożenić.

— A po co ona mogłaby go zabijać? — zdziwiłam się, porażona ilością rodzajów interesów Lima.

— Żeby nikt go nie dostał — chętnie odpowiedziała wątła wodnista dziewczyna. — A za co ty chciałaś go zabić?

— Kiedyś nie podzieliliśmy się wpływami, a na dodatek mu odmówiłam. No i Lim bardzo nie lubi mojego narzeczonego.

— Witamy w rodzinie — chichocząc, powiedziała Blija, robiąc mi miejsce na łóżku.

— Nie rozumiem, wsadzają tu wszystkich, którzy znali Blondyna?

— Nie, tych, co mieli choć maleńką przyczynę go zabić — odrzekła Witka. — Najpierw wsadzili nas do celi ze wszystkimi przestępcami, ale potem musieli nam wydzielić osobne pomieszczenie. Mimo wszystko pochodzimy z porządnych rodzin.

— Jeden, dwa, trzy, ..., siedemnaście, osiemnaście — policzyłam dziewczyny, dla pewności pokazując palcem. — Ach, tak! Jestem dziesiętnasta! I co my tu wszystkie robimy?

— Jesteśmy zatrzymane aż do wyjaśnienia sprawy.

— Co za absurd!

— Ojciec Blondyna jest naczelnikiem — powiedziała Blija. — Trzeba mu zdać sprawozdanie o zrobionej robocie.

— Mnie nie wzięli jedną, z drugim. Ciekawe, czy on też siedzi „do wyjaśnienia”?

— Chłopakami zapełnili już dwie cele — podzieliła się z nami Witka. — Powiedział mi to strażnik w sekrecie.

Westchnęłam z ulgą, dlatego, że się bałam o Ottona. A jeśli siedzi z takimi samymi jak on, to zawsze się czymś zajmie! Będzie zawierał nowe znajomości i słuchał ostatnich ploteczek.

— Mam jutro egzamin, obronę pracy dyplomowej — pożaliłam się.

— To jeszcze nic! Mnie wczoraj wytaszczyli z łóżka jednego przystojniaka, u którego zostałam po wczorajszym wieczorku — wesoło rzekła Blija.

Teraz zrozumiałam, czemu miała potargane i niedopięte ubranie. Tak, nie powiodło się!

Na obiad dali nam na talerzyku coś, co przypominało skiśnięte COŚ.

— Co to za ohydztwo? — zapytała Tjaka.

— Owsianka! — odpowiedziałam radośnie, wachając parę. Ściślej mówiąc, wcale nie musiałam wachać. Kasza owsiana, połączona z wodą, zawsze zamieniała się w mało apetyczną masę.

— Nie będę tego jeść!

— No i dobrze — rzekłam, przełykając kaszę. W smaku nie była w

całe gorsza od mojej, a nawet w niej było masło. — Do wieczora nic więcej nie dadzą, a tobie będzie burczeć w brzuchu.

— Nie będzie, rzadko jem. Żywię się pożywieniem duchów — wyszeptała Tjaka, wzdychając tak, że piersi w ażurowej sukience przypominały miechy w kuźni. — Wy, pożywiające się ziemskich jedzeniem, tego nie zrozumiecie!

— Gdzie nam do tego — zgodziłam się.

— Oddaj mi swoją porcję — poprosiła kupiecka córka z niewymawialnym imieniem.

Poczułam się zakłopotana — też chciałam więcej kaszki, żeby nabić żołądek darmowym żarciem.

— A kto chce moją kaszę? — zapytała jedna z kobiet.

— I moją herbatę, bo ona jest bez miodu!

Po zjedzeniu czterech porcji kaszy, popitych herbatą, poczułam potrzebę leżenia — pełny żołądek potrzebował pozycji, w której przebiegną procesy trawienia. Rozwaliwszy się na górnej pryczy, pomyślałam, że w więzieniu nie jest wcale tak źle. Jakby jeszcze piwo dawali!

Wieczorem, przegryzając kaszę perłową z mało słonym ogórkiem, zażądałam pojawienia się władz. Władzę nie miały najmniejszego zamiaru przyjść. Wtedy razem z Witką szybko zorganizowałyśmy koncert – przy akompaniamencie walenia talerzami i łyżkami i tęsknym wyciem Tjaki (które nazywało się „romanse o miłości od duszy”). Strażnicy nie wytrzymali długo i przysłali kapitana Ankce.

— Spokojnie dziewczyny! — poprosił, wycierając pot ze swej łysiny.

— Żądamy rozmowy! — wyjaśniłam. — Inaczej będziemy kontynuować nasz koncert!

— Nie, jeszcze bardziej zwiększymy! — poparła mnie Blija.

Kapitan wzdrygnął się.

— Jakie są wasze żądania?

— Dacie mi oświadczenie, że siedziałam w więzieniu, a nie olałam egzamin? — zapytałam.

— Potrzebuję ciepłej odzieży! W nocy jest chłodno! — krzyknęła Blija.

— Dajcie normalnego jedzenia!

— Poduszek!

— Ubrań!

— Herbaty z miodem!

— Pierzyny!

— Szczotki do włosów!

— Dlaczego w celi nie ma lustra?

Kapitan straży kiwał głową, a potem nie wytrzymał i uciekł.

— Dziewczyny, przygotujcie się! — rozkazała Blija. — Śpiewamy „Płacz za utraconą młodością”



— Jest bardzo długa, nie znam wszystkich słów — powiedziała któraś.

— To nic, będziemy śpiewać ile pamiętamy, a potem zaczniemy od początku.

Pół godziny później przynieśli nam poduszki, ciepłe ubrania, pasiaste bluzy i ogromny sagan ziemniaków z mięsem.

— Nawiasem mówiąc, oddaliśmy wam naszą kolację — burknął strażnik, rozdając nam poduszki.

— No to możecie ją zabrać — zaproponowałam. – A my zaśpiewamy pieśń głodnych studentów.

— Nie trzeba — przeraził się strażnik. — Pocierpimy.

— Nie podobają się wam nasze piosenki? — surowo zapytała Tjaka.

— No co wy, co wy — fałszywie uśmiechnął się strażnik. – Bardzo ładnie śpiewacie. Choć jako armię do Zmierzchowych Gór odprawiać.

— Po co? — zdziwiła się kupiecka córka.

Strażnik uciekł na korytarz, zamknął drzwi i dopiero potem odpowiedział:

— Wszelaka siła nieczysta ucieknie, a ta, która jest słabsza, całkiem zdechnie!

— Ach ty niegodziwcu! — krzyknęła Tjaka. — Trzy lata uczyłam się śpiewu!

„Biedny nauczyciel” — pomyślałam, skacząc w miejscu, żeby kasza

perłowa zrobiła miejsce dla kartofli.

Spaliśmy pod akompaniament kupieckiej córki.

„A Irga i tak jest świnią! — zdążyłam pomyśleć, zanim zasnęłam. — Obwiniać za to, że chrapię! Nigdy mnie nie porówna z taką Selesti-jak-jejtam”.

Ranek zaczął się ponuro. Nie przywykłe do takich warunków dziewczyny jęczały z dyskomfortu i żaliły się na życie, do toalety za kotarą zrobiła się kolejka, z kranu kapiała lodowata woda. Zahartowana akademickimi przeżyciami, czułam się świetnie, ze niecierpliwieniem oczekując śniadania.

Jednak zamiast wsparcia żywnościowego do celi weszło wsparcie duchowe — mój przełożony. Piszcząc z radości, zleciałam ze swego barłogu do niego. Nigdy wcześniej tak nie cieszyłam się na jego widok!

— Mistrzu! — wyszeptałam szczęśliwa, łapiąc się jego manty, jak tonący brzytwy.

— No, no — powiedział, poklepując mnie po plecach. — Uspokój się, Olgierdo! Idziemy, musimy zdążyć na egzamin.

Radość ze spotkania uleciała w oka mgnieniu. Poszliśmy po Ottona, który wyglądał na całkiem zadowolonego z życia, jeśli nie liczyć brody, która teraz przypominała krucze gniazdo.

Przy wejściu do komisariatu stał tłum rozgniewanych rodziców, próbujących wyciągnąć stamtąd swoje córki. Kapitan Ankce pocił się i czerwienił, stojąc na schodach. Nie dawali mu dojść do słowa. Odprowadził

nas ponurym wzrokiem, i próbował uspokoić mieszkańców, którzy najwidoczniej zamierzali wziąć więzienie szturmem.

— Różnych miałem uczniów — mówił Bef, szybko idąc do budynku Uniwersytetu. — Ale żeby wyciągać ich z więzienia przed obroną pracy dyplomowej – tego jeszcze nie było!

— Bądźcie dumni, profesorze — zauważyłam. – Jesteśmy jedyni i niepowtarzalni!

Wydając krótki chichot Bef powiedział:

— Miałem na myśli zwykłych uczniów, z nimi jest mniejszy kłopot.

— Za to z nami jest weselej — nie poddawałam się.

— Co prawda to prawda — zgodził się Mistrz. — I siwych włosów więcej.

— Będziemy musieli wracać do kicia? — zapytał Otto.

— Mam nadzieję, że nie — odpowiedział Bef. — Straży jest nie na rękę kłótnia z Uniwersytetem. Tym bardziej, że nie udowodniono waszej winy.

Mistrz zmierzył nas przenikliwym wzrokiem.

— Trzeba było go dobić — burknęłam, a Otto zakrył oczy.

Nie mieliśmy czasu, by się przebrać, dlatego od razu poszliśmy na ćwiczebny poligon. Na wygodnych krzesłach za wielkimi stołami już siedziała komisja egzaminacyjna, nakładające na ławki dla widzów zakłęcia ochronne. Wszyscy byli ubrani w porządnie wyprasowane manty, na

głowach dziewczyn były świetne fryzury. Wyglądaliśmy z Ottonem jak pomięte wrony wśród kruków.

— Wybaczcie za zły strój naszych studentów— Bef zwrócił się do komisji. — Po prostu dopiero co wyciągnąłem ich z więzienia!

— Wiedziałem, że tak skończą! — nie wytrzymał Dziekan.

— Tym razem nie mieliśmy z tym nic wspólnego! — oburzyłam się.

— To było nieporozumienie — potwierdził Bef.

Na twarzy dziekana wykwitło rozczarowanie.

— Zdejmijcie swoje artefakty — rozkazał Profesor Swingard, wręczając nam po egzemplarzu naszej pracy.

Usiedliśmy na skraj ławeczki, ignorując ciekawskie spojrzenia kolegów.

— Ola! — rozległ się szept.

Odwróciłam się i zobaczyłam Irgę, który machał do mnie ręką. Przyszedł!

— Choć tyle dobrego na dziś — stwierdził Otto, próbując doprowadzić do porządku swoją brodę. — Jeśli Irga tu jest, to nie martwię się o swoje bezpieczeństwo. Jeśli coś się stanie, to cię stąd wytaszczy, i mnie przy okazji też.

— Nie kracz!

— Otto der Szwarz i Olgierda Lacha! — wezwał nas sekretarz.

— Jak? Dopiero co przyszliśmy! — zdziwiłam się.

— Idziemy, idziemy — Otto uspokajająco uścisnął mi rękę.

— Pomyśleliśmy, że trzeba was jak najszybciej puścić, bo na pewno chcecie zjeść coś i umyć się po odsiadce — rzekł Dziekan, ohydnie się uśmiechając.

— Chcą nas wpuścić, póki zombie jest jeszcze świeżutkie i nie zdążyło dostać uszczerbku od słońca — wyszeptalam krasnoludowi.

— Dziękujemy za troskę — odpowiedział Dziekanowi i pociągnął mnie za rękę. — Jesteśmy gotowi.

— To was przyszedł dopingować Irronto? — zainteresował się profesor Patryk.

Kiwnęłam.

— Porządnie sprawdził istoty, które przygotowaliśmy do egzaminu — powiedział Profesor. — Znalazł kilka niedociągnięć! Będziecie mieć umarlaków pierwszej klasy!

Uśmiechnęłam się kwaśno. Umarlaki pierwszej klasy raczej mnie nie radowały.

— Idźcie na poligon, waszym zadaniem jest ogłuszenie napadającej na was siły nieczystej i dotarcie do drugiego końca poligonu, idąc za strzałką — objaśnił Bef, wyczarowując jaskrawo-czerwoną strzałkę. — Powodzenia.

Spokojnie weszłam w krzaki, dumnie podnosząc głowę. Ale jak tylko skryliśmy się od oczu komisji, złapałam Ottona za rękę.

— Spokojnie, spokojnie — powiedział kumpel, łapiąc się wolną ręką za brodę. — Sam się boję.

— Dziękuję, pocieszyłeś mnie. Mam propozycję – padamy na brzuch i czołgamy się aż do samego końca poligonu.

— I dużo tak przepelniesz? — sceptycznie zapytał półkrasnolud.

— Nie wiem. Masz lepsza propozycję?

— Nie — odrzekł Otto, kładąc się na ziemię.

Pełzać było bardzo ciężko — ostre końce opadłych gałęzi, szyszki i kępy wbijały się w brzuch, trawa i liście wpadały mi do ust, włosy zaczepiały się o krzaki.

— Nie mogę tak dłużej! — poddałam się w końcu. — Lepiej niech mnie już zombie zeżre.

Otto milczał. Walczył z kolczastym krzaczorem, w którym na amen utknęła jego broda.

— Jak w to wlałeś? — zdziwiłam się, pomagając mu.

— Nie wiem — przyznał się. — Pewnie wiatr porwał albo odwróciłem się by na coś popatrzeć. I w ogóle nie jestem człowiekiem lasu!

— Chcesz powiedzieć, że to ja pochodzę z lasu? Wsie ja tylko w książkach na obrazkach widziałam! — oburzyłam się, pomagając Ottonowi wyplatać się.

— Miałem na myśli elfów — sprostował krasnolud. — Na Młot i Kowadło!

— Co? — odwróciłam się. — Zombie!

— Widzę!

— Zostaw brodę i uciekamy!

— Jak mam ją zostawić?! — zawył Otto.

Zrozumiałam, że wszystko zależy ode mnie. Wstałam, i groźnie machając artefaktem, zwróciłam się do zombie:

— Poszedł won! No, poszedł!

— Dlaczego go odganiaasz jak psa? — skrytykował Otto.

— Milcz brodaczu! A co mi szkodzi, mam się do niego po nazwisku zwracać?

— Wybacz, ale po nazwisku nie przystoi — stwierdził krasnolud.

Zombie taktycznie poczekał, póki skończymy rozmawiać i wydawszy z siebie ryk, rzucił się na mnie.

— Aaaaaa! — wrzasnęłam, też się na niego rzucając. Czułam się jak żołnierz – za nami tylko wieś z małutkimi dziećmi i żonami, to znaczy zaplatany w krzakach półkrasnolud.

Artefakt błysnął i owionął zombie białym dymem. Martwiak zmarł.

— Sukinkot! — podziwiałam do zombie. — Szybciej się wyplątuj i uciekamy. Mamy parę minut

— Wiesz, o czym pomyślałem? — smutno zapytał Otto. — Nie sprawdziliśmy, na ile sztuk siły nieczystej starczy nam jeden artefakt.

Możesz go tu podładować?

Chciało mi się bić głowa o najbliższe drzewo. Ale z nas matoly!  
Upewniliśmy się, że artefakt paraliżuje zombie i na tym skończyliśmy! Nasz twór traci różnie siłę na różne rodzaje siły nieczystej!

— Nie jestem pewna, że mogę go podładować — ponuro  
odpowiedziałam, targając krasnoluda za brodę. — Ale jestem pewna, że  
mogę szybko biegać. A ty?

— Też mogę, co za pytanie — odpowiedział Otto, podnosząc się z  
ziemi. W brodzie sterczało mu z pół krzaka.

— W skrajnym wypadku rzucaj się na zombie brodą w przód —  
poradziłam.

— Myślisz, że zombie boi się kolców? — uściślił Otto.

— Zaraz zobaczymy — powiedziałam, sprawnie przemieszczając się  
pomiędzy drzewami.

Artefakt starczył jeszcze na jednego zombie i kościotrupa,  
nieoczekiwanie wyskakującego zza krzaka, który złapał mnie gębą za  
spódnicę. Przedstawiciel siły nieczystej zamarł w tej samej pozie, nadal  
trzymając w zębach tkaninę.

— Mamy dwa wyjścia — powiedział Otto, próbując wyciągnąć  
spódnicę ze śmiertelnego ścisku szczęk. — Albo odrywamy mu głowę i  
idziemy dalej z tą ozdobą albo rwiemy twoją spódnicę.

— Oczywiście, że rwiemy, brakowało mi jeszcze takiego szczęścia,  
jak dyndająca z tyłu głowa!



Półkrasnolud przygotował się i nagle usłyszałam trzask. Żal mi było spódnicy – była dobrej jakości, z dobrego materiału, a dziura na wysokości biodra stanowczo jej nie upiększała.

— Mój artefakt padł, teraz twoja kolej bitwy — uprzedziłam go.

Otto kiwnął i zaczął rozglądać się za pałką.

— Po co?

— Kiedy oba artefakty się rozładują, to będziemy musieli sięgnąć po inne środki!

— Pałka będzie przeszkadzać w uciekaniu — wygłosiłam swoją opinię.

— Pałka jest mniejsza od siekiery, a ja z siekierą świetnie biegam — zaprzeczył Otto.

Szliśmy za strzałką, ostrożnie rozglądając się po bokach, ale i tak pojawienie się naraz dwóch martwiaków było dla nas niespodzianką. Odrzuciwszy artefakt, półkrasnolud z wojennym okrzykiem rzucił się na martwiaka, wymachując pałką. Opadła mi szczęka od zdziwienia, zamarłam na chwilę, a potem podniosłam artefakt i rzuciłam się na pomoc.

— Ty co, zwierzę? — zapytałam go, kiedy uciekaliśmy od unieruchomionych martwiaków.

— Ze strachu zapomniałem o artefakcie — przyznał Otto. — Ma się coś w rękach i naprzód!!! Tym bardziej, że powiedziałaś – brodą na przód...

— Zawsze wiedziałam, że u mężczyzn to instynkty biorą górę — zrobiłam wykład. — Pałkę w ręce, kielbasę w zęby, kobietę w... eee... No,

ogólnie to wszystko, co wam do szczęści trzeba.

— No, no! I kto to mówi! A u kogo na widok czekolady mózg się wyłącza?

— Jeśli on się wyłącza to znaczy, że ma co się wyłączać— dostojnie odpowiedziałam. — Dawaj, szybciej stąd wyłaźmy, bo inaczej nasi przyjaciele już ożyli i idą za nami.

Prawie przed samym wyjściem potknęłam się i poleciałam na łeb na szyję do rowu, niszcząc artefakty i miażdżąc kościotrupa, który sobie tam spokojnie siedział.

— Mówiłem ci, że trzeba dobrze jeść — skomentował Otto, patrząc jak otrzepuję się z kawałków kościotrupa. — Jakbyś była cięższa, to by się nic nie czepiało za twój warkocz.

Pisnęłam i upadłam na plecy. Rozległ się chrzęst.

— A teraz?

— Ujdzie — powiedział Otto, budząc we mnie podejrzenia swoim chichotem. Postanowiłam trzymać nerwy na wodzy i nie pytać, co go tak rozśmieszyło.

Póki szukaliśmy artefaktów — nie mogliśmy bez nich wrócić — nie dawał mi spokoju szum i trzask dochodzący z lasu.

— Oni idą za nami! — wyszeptałam.

— Nie trzeba było tracić artefaktów — odrzekł Otto. — Są oboje! Zwiewamy stąd.

Zasapani i mokrzy, wybiegliśmy z lasu i dowlekliśmy się do ratowniczego punktu, oddzielającego poligon od prawdziwego świata.

— Taaaak — powiedziała komisja patrząc na nas.

— Zatrzymywaliście się — srogo zauważył Bef.

— To moja wina, wpadłam do dołu i pogubiłam artefakty.

— Pod nogi trzeba patrzeć – rzekł Bef. – Idźcie, doprowadźcie się do porządku. Niedługo ogłoszą wyniki.

Poszliśmy na ławki widzów by odetchnąć.

— Ola, to nowa moda? — zapytał Was, chichocząc.

— Jaka?

— Nosić zamiast spinki do włosów dłoń kościotrupa.

Zarzuciłam sobie warkocz na piersi i zobaczyłam, że jego koniec trzymają palce kościotrupa, którego rozwaliłam w dole.

— Tak, to nowa moda, żeby pasować do mego narzeczonego — odpowiedziałam, spopielając Ottona wzrokiem. — Żeby się za bardzo od niego nie odróżniać.

— Aaaaa — zaciągnął Was. — Mąż i żona – jedna para butów.

— Właśnie tak — potwierdził Irga, obejmując mnie od tyłu. Oparłam się o niego, czując, że nogi mnie nie utrzymują. — Wracamy do domu, miła.

Pogroziłam Ottonowi pięścią i powlokłam się do akademika.

— Przypomnij mi — powiedział Irga, uwalniając moje włosy od

„spinki”. — Kiedy chodziłem z materiałem roboczym po ulicach?

— Znaczy?

— Powiedziałaś: „Żeby się od niego nie odróżniać”.

Machnęłam ręką, nie mając ochoty na rozmowę.

— Zmniejszyłem stopień agresywności waszych martwiaków —  
rzekł Irga. — Będzie mi za to wdzięczność?

— Żywa i cała ukochana — burknęłam. — Taka będzie dla ciebie  
wdzięczność. Jeszcze ci mało?

— Byłbym szczęśliwy, jeśli u kogoś zmniejszyłby się zły nastrój—  
nekromanta delikatnie mnie objął i pocałował w nos.

Wieczorem spotkaliśmy się w Pij Więcej by obgadać nasze oceny i  
uspokoić system nerwowy po przeżyciach.

— Chcesz sucharków? — zapytał Otto, który rozumiejąc swoją winę,  
był uważny i spokojny.

Wsunęłam sucharek do ust, ugryzłam i wyplułam.

— Co nie świeże?

— Nie, one chrzęszczą jak kościotrup, fu!

— Dzieciaki! — wpadającego do karczmy Trochima aż rozrywało od  
nowinek. — Wiecie, że chcieli zabić Blondyna?

— Tak, jesteśmy na bieżąco.

— A, wy nie wiecie, kto go chciał zabić!

— No i kto?

— Właściciel „Elfiej strzałki”. Blondyn wlaźł do sypialni jego córki, chciał pozbawić czci, a tam tatuś!

— No kto mu dał taki lichy jad? I dlaczego od razu nie zabił?

— Nie chciał rak brudzić, przecież to elf. A trucizna była dobra, tylko on nie wiedział, że Lim zahartowywał się od trucizn już od dzieciństwa. U elfów się tak nie robi.

— Skąd ty to wszystko wiesz?

— A, Mariniel, ta córka, sama poszła na komisariat, a ja mam znajomego w straży, pijemy razem. Za butelkę samogonu mi wszystko opowiedział. Okazuje się, że surowy ojciec nie dawał elfce żyć, a ona sama zaprosiła Blondyna i teraz siedzi przy jego łóżku w Domu Uzdrawicieli, czeka, aż wyzdrowieje, by dokończyć to, co zaczęli. A teraz dajcie piwa!

Potargowaliśmy się z Ottonem „na oczy” i krasnolud poszedł do lady po kufel.

— A jeszcze chodzą słuchy, że jesteś z Irgą w ciąży! — podzielił się ze mną nowiną Trochim.

Zakrztusiłam się piwem. Co to za nowość i od kiedy ma nogi?

— Ludyna już się zakłada co u was będzie – chłopczyk czy dziewczynka— powiedział kumpel, poklepując mnie po plecach. — Naprawdę jesteś w ciąży?

— Nie!! — krzyknęłam przerażona.

— No, no — z troską objął mnie Trochim. — Nie powinnaś się teraz denerować!

— Zabiję — wysyczałam.

— Co, pocieszasz moją ciężarną ukochaną? — oczywiście, bez Irgi nie mogło się obejść. — Którą, usłyszawszy nowinę, brutalnie pobiję?

Nekromanta usiadł na najbliższym krześle i popatrzył się na mnie surowo.

— Irga, klnę się na wszystko! Nie mam z tym nic wspólnego! Nie wiem, co to za plotki!

I wtedy do mnie dotarło! Przebijając się przez tłum, by przeczytać listę, dla przyspieszenia procesu krzyczałam: „Przepuście ciężarną! Przepuście inwalidkę!”. A czego więcej potrzeba plotkarzom, by zrobić nowinę stulecia?

Irga patrząc na mój wyraz twarzy powiedział:

— Tak myślałem, że to ty rozprowadzasz te plotki. Tak chce ci się dziecka?

Przy słowie dziecko się wzdrygnęłam. Przy takiej ilości młodszych sióstr w domu, dla których trzeba prac pieluchy, ubierać, myć i pilnować, do niemowlaków odnoszę się z trwogą i przerażeniem.

— Nie chcę dziecka, Irga! To wszystko, to jedno wielkie nieporozumienia. Powiedz mu, Otto!

Półkrasnolud postawił piwa na stole i potwierdził:

— Oczywiście, po co jej dziecko? Musimy się jeszcze cały rok uczyć. Ale jeśli chcesz potrenować sam proces, to zabieraj ją.

Irga podniósł się z krzesła z ciężkim westchnieniem:

— Muszę iść do roboty, inaczej chętnie bym to zrobił.

— Mogę dać wam parę rad? — nachalnie wtrącił się Trochim. — Żeby trening był lepszy...

— Nie trzeba, my sami jakoś — uśmiechnęłam się, dusząc w zarodku chęć zdzielenia kubkiem każdego z nich. — Nie mam dziś na nic nastroju! Straciłam swoją ulubioną spódnicę i bluzkę też musiałam wyrzucić!

Nekromanta udał, że nie słyszy i szybko zwiął, Trochim i Otto zaczęli dyskutować, dlaczego dla treningu i robienia dzieci potrzebna jest spódnica i bluzka, a ja zamyśliłam się nad prymitywną męską kulturą, nie rozumiejącą kobiecych potrzeb.

## ***Rozdział 10***

### ***Siła ludu***

Przewracałam się po łóżku, zastanawiając się, co robić. A rzeczywiście nie było co robić. Po obronie pracy dyplomowej mieliśmy parę tygodni wolnego. Władze Uniwersytetu zastanawiały się, co z nami, prawie

absolwentami, zrobić i gdzie wcisnąć setkę aktywnych ludzi, żeby zajęli się normalną robotą i to według programu nauczania.

A póki co byliśmy na łasce samych siebie. Nie chciało mi się jechać do domu — dopiero co zaczęła się pora przygotowywania weków, a nie pałałam zbytnim entuzjazmem do tego zajęcia. Irga ugrzązł w pracy i go nie widywałam, Otto urządził sobie wycieczkę po krewnych, a Lira pojechała odetchnąć — wszystkich młodszych specjalistów Domu Uzdrowicieli wywieźli na siłę na łono natury, dlatego, że pacjenci zaczęli się bać bladych lekarzy z ciemnymi kręgami pod oczami.

Tak, nie było nic do roboty. Od leżenia przez cały dzień w łóżku zaczęły boleć mnie boki. Wczoraj, co prawda, zafundowałam sobie trochę rozrywki — za długo leżałam na plaży i cały wieczór smarowałam plecy świeżym zsiadłym mlekiem. Oczywiście, było jakieś zakłęcie do szybkiego zagojenia skóry, ale bez nadzoru Liry bałam się przeprowadzić eksperyment i postanowiłam posłużyć się babcinymi metodami.

Skrupulatnie unicestwiałam pajęczyny w kącie pokoju. Jeśli nie ma nic do roboty, to znaczy, że trzeba zająć się sprzątaniami, ogrom pracy w pokoju starczy mi na długo. A gdzie mamy miotłę? Miotła... Miotła... Miotła... Przecież świetnie pamiętam, gdzie była. Wcześniej używałam z Lirą zakłęcia do wymiatania kurzu, ale szybko zauważyłyśmy, że zakłęcie ma efekt uboczny— razem z kurzem przepadała także jakaś rzecz. Nie wyjaśniło się to od razu, ponieważ nasz pokój był wypełniony różnymi potrzebnymi rzeczami, ( które różni inni ludzie nazwaliby chamsko



ochłapem). Dopiero gdy przepadła ulubiona czaszka Liry, która do pechowego dnia spokojnie leżała na półce. Dlatego musiałyśmy się zaopatrzyć w najzwyczajniejszą miotłę.

Szukany przedmiot był pod stołem. Wstydliwie zakrywała kupkę śmieci, którą Lira — w najlepszym wypadku — zapomniała wynieść. Zaczęłam zamiatać podłogę, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, żeby nie czuć pieczenia skóry. Zsiadłe mleko nie pomagało za bardzo. Kiedy nazbierała się całkiem całkiem kupka kurzu, przyszedł mi do głowy pomysł. Wyciągnąwszy poszarpany podręcznik od transfiguracji, zrobiłam z kurzu golema, któremu kazałam iść do zsypu na śmieci na końcu korytarza, mając nadzieję, że twór nie rozwali się na środku holu. Koniec końców, gdyby nie nowy nakaz, byłabym już dyplomowaną magiczką, trzeba zacząć posługiwać się częściej energią!

Ktoś zastukał w drzwi. Szybko schowałam miotłę pod łóżko, gotowa do nieprzyznania się w prawach autorskich do golema, jeśli ten nie dołączył do śmietnika.

— Kto tam?

— Riak.

— Właż.

— Cześć, Ola! To z twoich drzwi coś wybiegło i rozwalilo się przy śmietniku?

Dobiegł przynajmniej do mety, tylko sił mu zabrakło by wleźć.

— To coś, to nie moje — powiedziałam z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

— Tak myślałem. Dziwnie byłoby pomyśleć, że mogłabyś się zająć sprzątnięciem.

Zastanawiałam się, czy się nie obrazić — ja co, że nie mogę się zająć porządkami? — lub milczeć albo iść na korytarz i pozbierać golema. Leń jak zwykle wygrał i golem został sierotą

— Dlatego przyszedłeś? Żeby powiedzieć mi, jaką złą jestem gospodynią? Sama o tym wiem.

— Nie, przyszedłem powiedzieć, że nasi zamierzają protestować. Nie chcesz się przyłączyć?

— Kim są ci „nasi” i przeciw czemu protestują?

— „Nasi” to absolwenci tego roku. A protestują przeciwko wydłużeniu nauki o rok.

— A ty czemu z nimi? — zdziwiłam się. — Przecież kochasz być studentem. Ile lat tu się już uczysz - dziesięć?

— Gdzieś z tyle — zgodził się Riak. — Nudzi mi się! A tutaj protest...

— Przecież nakaz wyszedł tydzień temu, więc dlaczego dopiero teraz postanowili protestować?

— Bo ludyna najpierw broniła prac, a potem piła. Nie było czasu na protestowanie. No co, idziesz?

— A jaki rodzaj odzieży?

— Obojętne, tylko żeby bić się było wygodnie.

— Bójka będzie? Nieee, tak to nie idę.

— Gdzie widziałaś przypadek, że przy dużej liczbie osób spotkanie nie zakończyło się bójką?

Zamyśliłam się. Co prawda, nigdzie. Nawet wesele mojej siostry nie obeszło się bez bójki, choć obie matki młodych cały miesiąc zastanawiały się, jak tego uniknąć.

— Dobrze, pójdę — nikt nie będzie mnie zmuszać do bójki, można zająć się oglądaniem widowiska z bezpiecznego miejsca.

Na placu przed akademikiem praktyków zebrała się kupa narodu. Witając się ze znajomymi, szłam do grupy teoretyków i przysiadłam się do nich.

— O, Ola! — ucieszyli się. — A dlaczego nie jesteś z artefaktnikami?

— Prawie nikogo z nich nie ma — uchyliłam się. — Przyjmiecie mnie z powrotem do siebie?

Naprawdę, nie widziałam w tłumie krasnoludów. Znajome twarze Mistrzów Artefaktów były ludzkie, a z nimi nie utrzymywałam bliskich kontaktów — bądź co bądź to konkurencja.

— Wymyśliliśmy transparent — powiedział Ptrońka. — Podtrzymasz swoją energią?

— Oczywiście, choć według mnie powinien być zrobiony z poręcznych materiałów, żeby się lepiej było bić.

— Będzie draka? — ożywił się Romek. — To dobrze!

Ten teoretyk przyszedł do nas po kilku kursach na Rorritorskim Uniwersytecie, rozczarowany praktyczną magią, ale mógł się bić zawsze i wszędzie.

— Draka jest dobra, jak się biją za dziewczynę — pouczyła nas Tomna.

Wyglądała jak zwykle - odziana w ostatnie nowinki, porządny makijaż, pantofelki na wysokich obcasach. Odsunęłam się od koleżanki troszeczkę dalej, żeby nie było widać kontrastu.

— Draka bez powodu też jest dobra — byczył się Romek. — Taka bójka daje możliwość się rozerwać, jeśli przeciwników jest dużo.

Tomna ścisnęła usta. Romek nie zwracał uwagi na jej urok i to ją wkurzało.

— Cześć! — Trochim jak zwykle po bratersku klepnął mnie w ramię.  
– Chcesz transparent?

Odwrociłam się. Trochim mocno przytulał drewniane kwadraty na cienkich nóżkach.

— Wybieraj. To jest „Precz”, „Protestujemy”, „Ile jeszcze?”, „Chcemy dyplomów”, „Dyżurnych akademików – na mydło” i „Podnieście stypendium”.

— Chcę o stypendium — postanowiłam, przyglądając się transparentom. Coś mi przypominały.

— Ukradłem u dozorca łopaty od śniegu - szepnął Trochim, rozumiejąc moje spojrzenie.

Organizatorzy protestującej działalności – studenci praktycy i ku mojemu zdziwieniu starosta praktyków, Zenik, poinstruowali ludzi żeby się zachowywali i pobiegliśmy do Uniwersytetu, skandując:

— Nie chcemy uczyć się niepotrzebnie rok dłużej!

— Żądamy wydania dyplomów!!

— Nie pozwolę!

Mając transparent trafiłam do środka kolumny – nie w pierwsze szeregi, ale widać było przepięknie. Tomna szła z boku. Protestować było cudownie – czuć się częścią jednego organizmu, czuć takie same emocje jak ludzie z boku, wiedzieć, że nie jesteś sam! Protestowanie wciągało, więc machałam łopata i wrzeszczałam na całe gardło. Obok truchtała Tomna, wesółła i rumiana.

Na okazałym ganku Uniwersytetu już na nas czekali. Rektor, skrzyżował ręce na brzuchu i wyglądał na całkiem spokojnego. Za nimi Profesorowie z rzadka coś szeptali. Nasz pochód zatrzymał się kilka kroków od stopni.

— Zanim zaczniecie — uprzedził Rektor. — Chce przypomnieć, że organizowanie masowego nieporządku jest zakazane i może skończyć się ukaraniem wszystkich uczestników.

Tłum się przeraził. O tym nikt nie wiedział.

— Nie masowy nieporządek— uspokoił Zenik. — Protest!

— Dobrze — powiedział Rektor. — Macie to na piśmie? Macie? Dawajcie.

W rzędach organizatorów zrobiło się chaotycznie. Pismo było, ale nikt nie chciał iść do Rektora pod chłodnymi spojrzeniami Profesorów, by oddać twórczość. A może spopieli na miejscu? Albo, gorzej, zamieni w żabę? Tutaj choć umrzesz śmiercią bohaterską, a tam kumkaj w bajorku, póki nie złapią dla doświadczeń. W końcu, silni praktycy wypchnęli na środek opierającego się, słabiutkiego Zenika. Niepewnie powlókł się po stopniach, oddał pismo i rzucił się z powrotem, potykając się o ostatni schodek i wpadając komuś na brzuch, przy śmiechu pozostałych.

Rektor, nie zaznajamiając się z treścią, oddał pismo sekretarzowi i powiedział:

— Rada Uniwersytetu rozpatrzy wasze żądania. Odpowiedź będziecie mogli przeczytać na tablicy ogłoszeń w kampusie. Przyjemnie było porozmawiać — Rektor odwrócił się i wszedł do budynku.

— I to wszystko? — wyrwało się komuś.

— A co jeszcze chcielibyście? — zwrócił się Rektor. — Mogę zaproponować wam, żebyście wrócili i to przemyśleli. Albo zamietli miasteczko studenckie, bo widzę, że narzędzia już znaleźliście do tego.

Profesorowie skryli się w budynku. Ludyna zawarczała niezadowolona i już zaczynała się rozchodzić, ale skaczący na stopnie praktyk przerwał degradację rzędów.

— Ludzie! — krzyknął. — Robią tu jakieś świństwo! Rozumiecie?

— Tak! — odkrzyknęli wszyscy.

— Obchodzą się z nami, jak dzieci!



— Tak!!

Nie rozumiem jak znowu stworzyliśmy szeregi i równo skandując „ile” i „protestujemy!”, ruszyliśmy w stronę akademika. Tam, pomiędzy akademikami praktyków i jasnowidzów była scena, na której organizowano koncerty, podwyższające stopień kultury moralnej u studentów. Kiedy stało się jasne, że studenci będą się pojawiać na koncertach, kiedy będzie „coś obnażonego” i do tego „spirytusowego”, zrezygnowano z pomysłu, ale sceny i tak nie rozebrali. Czasem stawała się ostoją dla studentów, którzy chcieli się pochwalić swym twórczym talentem. Posiedzenie zakończyło się sykiem o ochronę swoich uszu i w ramach rekompensacji także moralną popijawą.

Teraz właśnie na scenie występowali organizatorzy, opowiadający, jak źle się nam żyje i co trzeba zrobić, żeby żyło się lepiej. Nie rozumiałam, dlaczego żyje nam się źle, wydaje mi się, że dobrze mi się żyje, ale entuzjizm i nastrój wokół tak mnie porwał, że machałam swoim improwizowanym transparentem i krzyczałam ze wszystkimi " „Ile?”. Co „ile” i gdzie „ile”, nie wiedziałam, ale to nie było ważne.

Na koniec wszyscy doszli do wniosku, że wszystkiemu winne są elfy. Z tym się zgadzałam, głośno krzycząc „tak” na wszystkie zarzuty w stronę szpiczastouchych, rozlegające się ze sceny.

— Żyją dłużej od nas!

— Co ich obejdzie kolejny rok nauki?!

— Łomitoriel nigdy nie postawi dobrej oceny!

— Są bogaci i nic nie robią!



Elfy po prostu znieśliśmy z drogi.

Biegłam, machając łopata i krzyząc coś razem ze wszystkimi, jak nagle wpadłam nogą w coś mokrego i ciepłego. Pstrykając palcami, stworzyłam płomyk i spojrzałam w dół. Cały mój sandał był ubabrany czymś ciemnoczerwonym, na którym już zdążył osiąść pył. Szybko wróciłam do realności, kiedy zrozumiałam co to.

Krew.

Dlaczego pokojowy proces zakończył się krwią na moim sandale? I co się stało z tym, z którego ta krew wyciekła?

Próbowałam się zatrzymać, ale to było niemożliwe. Lud niósł mnie, jak rzeka trzcinę. Z każdej strony dolatywały krzyki, gdzieś wybuchaly bójki. Chwyciłam łopatę do góry nogami i spróbowałam dojść do płotu. Ktoś chwycił za moją spódnicę. Odwróciłam się. Tomna z wytrzeszczonymi oczami wyjęczała:

— Nie zostawiaj mnie tu, proszę!

— Trzymaj się mnie — krzyknęłam, torując sobie drogę wśród ludzi za pomocą łopaty.

Deptali mi nogi i popychali, parę razy mocno mi przywalając. Ktoś złapał ręką za moją bluzkę, a ja mocno szarpnęłam i wypadłam z tłumu. Moją rękę złapała Tomna, ściskając tak, że krzyknęłam z bólu.

— Nie oddalaj się — zawołałam i rzuciłam się w kierunku tłumu. Przy pierwszym zaułku wbiegłyśmy z niego i uciekłyśmy byle dalej od tego horroru.

— Stój! — szepnęłam, usłyszawszy niedaleko straż.

Schowałyśmy się za drzewem przy ażurowym płocie. Strażnicy, odciągnięci szczekaniem zza płotu, przebiegli obok stukając bronią. Tomna drżała, trzymając mnie za rękę. Jej ciągłe wzdychania przerywało pochlipywanie. Milcząc oceniłam sytuację. Mogłyśmy iść, ale boli. Jaka ja byłam durna, że poszłam protestować! I czego nie siedziałam w domu? Krasnoludy, jak zawsze, są najmądrzejsze! W tym idiotyzmie nie uczestniczy nikt z nich. Siedzą sobie w karczmach, piwo piją, rurkami się opychają. Głupia ja, głupia!

— Ddddlaczego ooni ttakk? — jękając się, zapytała koleżanka.  
Dzwoniła zębami i cała drżała.

„Jeszcze tylko hysterii mi brakowało” — pomyślałam.

— Tłum — powiedziałam na głos. — Tomna, uspokój się, to koniec.  
Jesteśmy bezpieczne.

— Ttak — rzekła i od razu zaczęła płakać, kiwając się w każdą stronę.

Ostrożnie oparłam łopatę o płot, uważając, żeby nie krzyknąć na psa i walnęłam z całej siły Tomnę w twarz.

Zdusiła płacz, czknęła i zwróciła się do mnie.

— Co ty? — zapytała już całkiem normalnym głosem.

— Pomogło? — zapytałam bardziej siebie niż ją.

— Tak — kiwnęła Tomna.

Też mi się polepszyło. Przy czym z największą przyjemnością

uderzyłabym ją jeszcze raz, ale wydaje mi się, że nie będę mieć już dzisiaj takiej okazji.

— Teraz można z wami porozmawiać? — rozległ się w półmroku ochryply baryton.

Tomna zaczęła piszczeć, a ja chwyciłam za łopatę.

— Nie warto walczyć, Olgierdo, to ja Żiwko. Pamiętasz mnie? — ork wyszedł z cienia drzewa i lekko się skłonił.

Zobaczyłam, jak zabłyszczały oczy Tomny, co oznaczało: „ach, jaki przystojniak”.

— A co ty tu robisz? — zapytałam.

— Mieszkam — lakonicznie odpowiedział ork.

— A, to twoje psy tak szczekają?

— Moje pieski — miękko poprawił Żiwko. — A tam twoi koledzy buszują?

— Moi — przyznałam się. — A co ty robisz w elfiej dzielnicy?

— To orcza część — rzekł chłopak. — Gdzie mamy żyć, jak nie obok elfów?

— Nawet nie wiedziałam, że u nas w mieście żyją orki — zdziwiłam się.

— Bardzo mało. Nawet my tutaj jesteśmy na jakiś czas, póki nie sprzedamy psów.

Westchnęłam. Podeptane nogi bolały, czułam, jak na żebrach pojawiają się siniaki i na dodatek było wiadome, że przez czepialstwo Tomny zwichnęłam rękę. Ork prawidłowo zrozumiał me westchnienie.

— Zaraz uspokoję zwierzęta i zaprowadzę was do domu— powiedział, bezszelestnie znikając w mroku.

— Jaki przystojniak! — energicznie wyszeptała Tomna, próbując poprawić fryzurę. — Ech, szkoda, że straciłam torebkę! No, on jest mój!

— W zmyśle?

— Nie rób do niego oczu, bo będę go uwodzić.

— A proszę! Nigdy mi się nie podobały orki.

— Ola, ty co, całkiem nie masz uszu, oczu i kobiecego instynktu? Tak, jestem gotowa nawet tutaj położyć się pod nim! On jest... Ach...!

— Jestem gotowy. Zaprowadzić was do akademików? — zapytał Żiwko, pojawiając się przed nami jakby z powietrza.

— Tak — potwierdziła Tomna, zamykając oczy. — Ach, jak mi duszno! Ach!

Sprawnie zemdląła, upadając w bardzo seksualnej pozie.

— Nie cierpię dziewczyn, które mdleją— spokojnie powiedział Żiwko, wyciągając nóż.

— Co ty zamierzasz zrobić? — przeraziłam się.

— Rozerwę jej bluzkę, żeby było jej lżej oddychać.

Tomna głośno westchnęła i otworzyła oczy.

— Wydaje mi się, że straciłam przytomność? — zapytała słabym głosem.

— Wydaje ci się — sarkastycznie stwierdził ork, a ja w milczeniu podałam jej rękę, pomagając wstać.

Tomna szła przy mnie, przegryzając wargi i usilnie o czymś rozmyślając. Ja wlokłam się, ciągnąc za sobą łopatę— żal mi było jej wurzucić. Żiwko, demonstrując stepowe doświadczenie, nie zaproponował pomocy przy transporcie łopaty. Czułam, że często spogląda na mnie i tonie w swych rozmyślaniach o czymś tam.

Miasto było puste. Przerażeni studentami mieszkańcy pochowali się, nocne sklepy pozamykano. Z elfiej dzielnicy wciąż było słychać krzyk i szum, zaprawione czerwoną łuną ognia.

Na jednej z ulic zatrzymał nas patrol straży.

— Kto tacy, dlaczego chodzimy? W mieście jest sytuacja nadzwyczajna.

— Wybaczcie — powiedział Żiwko — Nie wiedzieliśmy. Odprowadzam dziewczyny do domu.

Strażnik podniósł wyżej latarnię i uważnie nas obejrzał.

— Studentki?

Potaknęłyśmy.

— Jesteście aresztowane.

— Za co? — oburzyłam się.

— Za organizowanie masowego nieporządku.

— Chcecie powiedzieć, że my jesteśmy organizatorami? - zapytałam, nacierając na strażnika.

— Nakaz. Wszystkich studentów, chodzących wieczorem po mieście, aresztujemy! Za pogrom w elfiej dzielnicy.

Poczułam, jak za moimi plecami zadrżała Tomna i postanowiłam – co ma być to będzie. W więzieniu już byłam, nie ma tam nic strasznego, ale teraz była przepiękna możliwość by sobie poskandalić.

— Cały dzień były u mnie na gościnie— nieoczekiwanie rzekł ork. — Jeśli by uczestniczyły w rozróbie, to powiłyby i mnie pobić, jako przedstawiciela innej rasy.

Strażnik z powątpieniem popatrzył na muskuły Żiwka, których nie skrywała króciutka kamizelka

— A czemu dziewczyna jest taka obdarta? — winowaczo zauważył strażnik, wskazując na mnie.

— Tak, tak — powiedziałam. — Aresztować mnie za to, że bawiłam się z psami!

— Handluję wilkami — podtrzymał moją wersję Żiwko.

Strażnicy zmieszali się. Nagle jeden z nich zapytał:

— Wy jesteście Olgierda Lacha?

— Tak — odpowiedziałam, dziwiąc się swej popularności.



— To wy urządziliście w więzieniu zamieszki dwa tygodnie temu?

— No, nie tylko ja, ale głównie to ja— potwierdziłam zawstydzona.

Strażnicy coś zaszeptali między sobą, a ja wsłuchałam się i rozróżniłam: koszmar, śpiewały, poprosiły o jedzenie, problemy z głową i Bef.

— Idźcie, gdzie szliście — prawie grubiańsko powiedział do nas strażnik z latarnią.

Miło uśmiechnęłam się do „znajomego” strażnika.

— Nawet nie zapytali po co mi łopata — westchnęłam.

— Dlatego, że są pewni, że masz coś z głową i sypiasz z półkrasnoludem — poinformował mnie Żiwko..

— Nie śpię z krasnoludem! — oburzyłam się.

— Och, jaki masz dobry słuch! — zachwyciła się Tomna.

— Na stepie nie można inaczej — rzekł Żiwko, wyraziście na mnie spoglądając. Od spojrzenia ciemnych, migdałowych oczu dziwnie się poczułam. — To prawda, że jesteś narzeczoną nekromanty?

— Prawda — odpowiedziała za mnie Tomna.

Ork nie zwrócił na nią uwagi.

— A to prawda, że nie wsadza się nosa w nie swoje sprawy? — zapytałam .

— Po prostu zapytałem — wzruszył ramionami Żiwko. — Nie

wiedziałem, że to tajemnica.

— To nie tajemnica, po prostu nie lubię niepotrzebnego wścibstwa.

— Też tak myślę — odpowiedział ork, szczerząc zęby w uśmiechu.

Usłyszałam, jak Tomna przestaje oddychać

Uśmiech naprawdę upiększał Żiwko. Popatrzyłam się na niego, nagle rozumiejąc, że orki są ładniejsze od elfów. Elfy były piękne pięknem boskim, a orki były piękne pięknem... Pobudzającym. Przy świetle ulicznej latarni smągła skóra była jak aksamit, a pod nią były mocne mięśnie. Krótka kamizelka Żiwko w sam raz trzymała się na jego płaskim brzuchu porośniętym ciemnymi włosami, ciągnącymi się aż pod skórzane spodnie. Strasznie mi się zachciało pogłodzić jego tors ręką, dotknąć ustami jego ust, ukryć twarz w gęstych włosach. Poniżej brzucha pojawiła się gorąca kula, kolana zmiękły. Ork, uśmiechając się, patrzył na mnie tak, jakby wiedział jakie myśli legną mi się w głowie. Żeby się uspokoić musiałam kilka razy pociągnąć się za ucho, maskując to poprawianiem włosów.

Rugając się za głupie myśli i przypisując je swojemu stanowi nerwowemu, rzekłam:

— Żiwko, mam nadzieję, że odprowadzisz Tomnę do domu. Na mnie już czas. Dzięki za alibi.

— Gdzie idziesz?

— Do swoich spraw — odpowiedziałam. Byliśmy niedaleko mieszkania Irgi, a strasznie zachciało mi się go zobaczyć.

— Pozdrów Irgę — powiedziała Tomna.

Ork zpochmurniał.

— Nie mogę puścić cię samej, to niebezpieczne.

No kto pociągnął za język tą głupią!

— Jestem już dużą dziewczynką— zapewniłam Żiwko. — Tym bardziej, że mam łopatę!

— Stój! — wyciągnął do mnie rękę.

Stanowczo popatrzyłam na orka, mając nadzieję, że w moim spojrzeniu było tylko oburzenie i nic więcej. Opuścił rękę i odpowiedział mi surowym i trochę złym spojrzeniem.

— Dziękuję za alibi i kompanię— powiedziałam, nie spuszczać wzroku. — Na mnie pora.

Odwrociłam się i głośno potupałam po ulicy, zarzucając łopatę na plecy.

— A ja boję się sama chodzić po ulicach... — zaszcebiotała Tomna, ale co jej odpowiedział Żiwko, to nie usłyszałam, skrywając się w pierwszym zaułku.

Oczywiście Irgi nie było w domu. Zrzuciłam z siebie brudne ubranie, obmyłam się, zjadłam ciastka i poszłam spać, otulając się czarną koszulą nekromanty. Miałam nadzieję, że zapach ukochanego odgoni szalone myśli.

Obudziłam się od hałasu i przekleństw. Oparta o ścianę łopata spadła na wracającego z roboty Irgę. Nekromanta kilka minut patrzył na moją personę, rozwaloną na jego łóżku, a potem powiedział:

— Nigdy nie uważałem się za durnia, ale nie mogę zrozumieć, co robi łopata do odgarniania śniegu w środku lata w moim mieszkaniu?

— Ja przyniosłam — wyjaśniłam.

— Teraz rozumiem więcej... — powiedział Irga i poszedł do łazienki.

Znowu się położyłam, ale bolące żebra i nogi nie dawały mi spać. Na dodatek, ciepły kłębek w brzuchu ożył na dźwięk ukochanego głosu. Pomęczyłam się jeszcze trochę i też poszłam do łazienki. Drzwi nie były zamknięte, więc stanęłam w progu i popatrzyłam się na Irgę. Przy świetle ogromnej lampy było pięknie widać, jak nekromanta stoi pod strumieniem wody, opierając się rękami o ścianę.

Patrzyłam, jak krople spływają po krótko obciętych włosach, wąskich muskularnych plecach, niżej... Jak mogłam pomyśleć, że orki są podniecające? Gdzie krzepko zbitemu, ogromnemu orkowi do chudej żyłastości nekromanty, do jego prawie elfiej finezji. Mocno ścisnęłam pięści, walcząc z pożądaniem.

Irga zakręcił wodę, wyżał włosy i otrząsnął się z wody. Krople, spadając na mnie, były ciepłe od zarumienionej twarzy. Nekromanta odwrócił się by sięgnąć po ręcznik i zamarł, patrząc się na mnie.

— Co się stało? — zapytał.

— Nic — powiedziałam z trudem, oblizując zaschnięte wargi.

— Po prostu nigdy tak się nie zachowywałaś.

— Jak tak?

Irga uśmiechnął się lekko. Nie zawstydziała go nagość, ale ja podjęłam

masę wysiłku, żeby nie odrywać wzroku od jego twarzy.

— Powiem tak: jesteśmy raz w łazience razem. Wcześniej nie zauważyłem u ciebie takiego zainteresowania moją osobą.

— Jakie tam zainteresowanie — powiedziałam, czując, jak płonące pożądanie zamienia moje stawy w kisiel, jak po plecach biegają mrówki i wargi palą, w chęci pocałunków. — Czego ja tam nie widziałam?

— No to popatrz — drażnił się Irga.

— Weź ręcznik, bo się przeziębisz.

— Więc co się stało? — jeszcze raz zapytał ukochany, powoli się wycierając. Spuściłam wzrok i zaczęłam uważnie podziwiać płytki na ścianie.

Irga wykonał szybki ruch i, zanim zdążyłam pisnąć, podniósł mnie i wyszeptał do ucha:

— Uczestniczyłaś w studenckich strajkach, tak?

Kiwnęłam, przytulając się do jego piersi.

— Północy ich łapałem — powiedział Irga, nogą zamykając za sobą drzwi łazienki. Po ostrym świetle wydawało mi się, że w pokoju panuje nieprzebrana ciemność. — Dlatego przyszedłem tak rano i tak pełny sił.

Zrozumiałam przytyk, ale bardziej interesowały mnie nocne wydarzenia.

— Dlaczego ty?

— Mimo wszystko jestem absolwentem wydziału praktycznego —

szepnął Irga, łaskocząc mnie w ucho. — W niektórych przypadkach mogę być magiem bojowym. A żeby złapać kilkoro przerażonych studentów nie trzeba się natrudzić. Ale na wszelki wypadek zwołano wszystkich magów bojowych.

— I jak łowy?

Ukochany ostrożnie położył mnie na łóżko, sam runął obok i zaczął głaskać moje plecy.

— Kto nie zdążył się schować, nie moja wina. Myślę, że noc za kratkami pozwoli im spokojnie przemyśleć swoje postęпки. Elfy dużo straciły. Niektórzy bezczelni mieszkańcy dołączyli się do pogromu i sądzę, że straż miejska nie będzie dzisiaj spać. Jak ich uniknęłaś?

— Uratował mnie ork — powiedziałam, wygodnie układając się pod ramieniem Irgi.

Jego ręka na moment zamarła, ale potem kontynuowała swoje ruchy.

— Ork?

— Tak — rzekłam, zaczynając kreślić kręgi na brzuchu Irgi, żeby odejść od śliskiego tematu. — Znajomy Ottona. Zawładną Tomną od pierwszego wejrzenia.

— A tobą? — ze zwodniczym spokojem zapytał nekromanta.

Skrzywiłam się, mając nadzieję, że tego nie zauważył.

— Pierwszy raz, kiedy go widziałam, próbował uwieść moją niepełnoletnią siostrę. Za drugim razem taszczyliśmy umierającego Blondyna. Za trzecim razem wybawił nas od demonicznych studentów.

Myślę, że w ogóle mi się nie spodobał.

Tak, tak mi się nie spodobał, że dlatego, żeby zapomnieć, jak wyglądała jego szeroka pierś w kamizelce i jak błyszczał jego uśmiech w świetle latarni, łamiąc wszelkie granice przyzwoitości, weszłam do łazienki, kiedy kąpał się Irga.

— Orki są bardzo piękne — dalej męczył mnie nekromanta.

Wiem. Dziękuję, mój drogi, że mi przypomniałeś.

— Już dokonałam swojego wyboru — jak najbardziej uczciwie odpowiedziałam. — Podobają mi się chłopaki z bladą skórą, a nie smagłą.

Przypomniał mi się bezszelestny chód orka, jego płynne, pełne gracji ruchy, twarz Tomny, z trudem powstrzymującej się przed rzuceniem się na przystojnego chłopaka, własne pożądanie, przeciw mojej woli rysujące bezczelne obrazki z Żiwko...

Nie, moja wyobraźnia mnie kiedyś zgubi.

— Dziwnie się dzisiaj zachowujesz— wymamrotał Irga, całując mnie w głowę.

— Po prostu przeraziłam się, kiedy oni wszyscy... My wszyscy nalecieliśmy na elfy... Krew na moich sandałach. Wiesz, to było bardzo nieprzyjemne.

Nekromanta mocno mnie przytulił.

— Mam nadzieję, że nie będą cię męczyć koszmary i nie będziesz przeszkadzać mi spać?

— Dziękuję za pocieszenie — burknęłam.

— Każdy popełnia błędy sam, tylko ktoś się a na nich uczy, a ktoś nie. Myślę, że więcej nie pójdziesz protestować?

— Nie mam zamiaru.

Pod moimi palcami brzuch Irgi pokrył się gęsią skórką i strasznie mi się to spodobało.

— Wydaje mi się, że znajdujemy się w nierównym położeniu. A jeśli ja zrobię tak? — zapytał Irga, próbując rozpiąć na mnie koszulę. — I kto robi takie maleńkie guziki, które tak źle się rozpina?

— To twoja koszula — zachichotałam.

— Jutro odpruję wszystkie guziki— obiecał ukochany, zadzierając na mnie ubranie.

— Wszystkie dziewczyny będą twoje.

— A ty je łopata odganiaj — Irga pocałował nie w brzuch.

— A za co mnie kochasz? — zapytałam, przebierając palcami jego włosy.

— Za to, że jesteś niezwykła, jedyna i niepowtarzalna.

— A piękna?

— Moja miła, co się stało? Oczywiście, że jesteś piękna!

— Po prostu chcę wiedzieć, czy mam szansę czy muszę polegać na łopacie? — odgryzłam się.



Irga zawisł nade mną i popatrzył w oczy.

— Jesteś moją jedyną — powiedział.

— Tak? — uściśliłam, czepiając się za niego nogami.

— Co ty robisz?

— Próbuję zwalić cię na mnie — wysapałam.

— Miła, ja sam z radością spadnę, tylko poproś. A zwalić mnie nie możesz, siły są nierówne

— Zobaczymy — zagroziłam.

— Będę cię wykorzystywać nie jak kobietę, a jak poduszkę —  
obwieścił Irga.

— Koniec gadki — wyszeptałam — Nie traćmy niepotrzebnie czasu.

— A na co go tracimy? — zapytał nekromanta, rozpinając guziki  
koszuli.

— Na zebranie sił, będziesz się ruszał tu-tam, tu-tam.

— A ty?

— A ja będę leżeć i mruzcęć.

— Dobrze, zgadzam się, i tak nie wytrzymasz i zaczniesz aktywnie  
brać udział. A tak w ogóle podoba mi się twój nastrój, musisz częściej brać  
udział w takich rzeczach.

— Czy naprawdę wydaje ci się się, że bez tego cię nie chcę?

— Chcesz, chcesz — „ucieszył” mnie ukochany, i po tym nie byłam w stanie prowadzić rozmów.

— ...Irga!

— Co, miła? Jeść chcesz?

— Dlaczego od razu jeść? Nie mogę chcieć czegoś drugiego?

— Dawaj jeszcze raz — leniwie powiedział Irga, przyciągając mnie do siebie. — Po prostu po kochaniu zawsze chcesz jeść.

— Dawaj jeszcze raz, ale troszkę później, dobrze? Kiedy zjem... To znaczy chciałam powiedzieć, że muszę z tobą porozmawiać.

— Rozmawiaj.

— Ciekawi mnie, co zrobisz, jeśli pojawi się konkurent?

— Zabiję go — spokojnie odpowiedział Irga.

— Jak to zabijesz? Całkiem zabijesz?

— Mogę nie całkiem. Mogę ożywić i znowu zabić. Powiedz mu tak.

— Po prostu zapytałam.

— A ja po prostu odpowiedziałem. Ola — Irga lekko, prawie bez wysiłku, przeniósł mnie na siebie — tak długo na ciebie czekałem, że teraz nikomu nie oddam. Tylko jeśli sama zechcesz ode mnie odejść

— Dlaczego miałabym od ciebie odejść? — zapytałam, wierząc się na jego zebrach. — Kto mnie będzie karmił?

Nekromanta zasyczał.

— Co ty?

— Nie ma nic do jedzenia — przyznał się. — Nie wiedziałem, że przyjdiesz.

— Trzeba mieć zapas na wypadek pojawienia się ukochanej — pouczyłam go naukowym tonem.

— Zapas był, ale załóżę się, że już go zjadłaś.

— A szkoda ci?

Irga ciężko westchnął. Położył nie z powrotem na łóżko. Przeciągnął się. Popatrzył się na mnie surowo. Poczochrał włosy i znowu na mnie spojrzął. Uważnie obserwowałam podłogę.

— Naprawdę w ogóle ci mnie nie szkoda? Wygonić mnie z samego ranka na poszukiwanie jedzenia!

— A ci mnie nie szkoda, ja tu leżę głodna, zła...

Ostatni argument był dla Irgi decydujący. Szybko uciekł, a ja opatuliliłam się kołdrą i słodko zasnęłam — przecież w nocy i tak nie udało mi się dobrze pospać.

Obudziłam się od tego, że na mojej twarzy wylądowały, nieprzyjemnie mokre krople.

— Aaaa! — poskoczyłam na łóżku.

Nade mną stał nekromanta z filizanką, próbując wylać na mnie resztki wody.

— Śniadanie podano — uroczyście obwieścił.

„Dobra, dobra, jeszcze ci się za ten prysznic odwdzięczę” — pomyślałam, rzucając się na słodkie bułeczki.

— A, rektor zbiera studentów — rzekł Irga, przeciągając na swoją połowę stołu więcej bułeczek.

— Po co?

— Myślę, że będzie dokszałcał. Na ile dobrze zrozumiałem z plotek w piekarni, elfie władze rwą się i miotają. Już wystawili Uniwersytetowi ogromny rachunek za szkody.

— Ciekawe, kto im będzie zwracał — wymamrotałam.

— Jestem pewny, że nie Uniwersytet, a studenci.

Przestałam żuć i popatrzyłam się na Irgę.

— Nie bój się przed czasem — poradził. — Jeszcze nie wiesz, co powie rektor.

— Nic dobrego — westchnęłam.

... A było jeszcze gorzej. W sali, nabitej przyszlými absolwentami, Rektor długo milczał, ciężko dysząc i czerwieniąc się z każdą minutą. Panowała grobowa cisza. Studenci, których większość wyciągnięto z aresztu, bali się nawet poruszyć.

— Wy! — wydusił Rektor i znowu zamilkł.

„Teraz będzie przeklinać” — pomyślałam, ale wielce poważanemu magowi udało się doprowadzić się do porządku i teraz ciągnął już spokojnie.

— Wy nanieśliście zły uszczerbek reputacji Uniwersytetu i

zniszczyliście dumną postawę studenta – maga. Elfy dały nam ogromny rachunek za wyrządzone szkody. I wiecie kto będzie go spłacał? Wy! W następnym roku żaden student z waszego rocznika nie dostanie stypendium póki szkoda nie zostanie spłacona.

— Żaden? — ktoś pisnął.

— Żaden! — twardo wyjął Rektor. — Mamy dziurę w budżecie. Oczywiście wasze głupie żądanie będą zignorowane, a organizatorzy ukarani.

Po rektorze wystąpił sekretarz, który nudnym głosem czytał spis szkód. Usłyszałam, że nie ma ofiar śmiertelnych i dalej nie słuchałam, zastanawiając się nad swoim losem. Perspektywa był niezbyt optymistyczna. Nas wszystkich – znaczy artefaktników, wyślą do Mistrzów, którzy powinni nam płacić. Teraz ta zapłata pójdzie dla nieszczęsne elfy. A za co będę żyć? Kupować sobie nowe ubrania? Słodczyce? Pić, koniec końców!

Na scenie zaszła kolejna zmiana. Wszedł profesor Burik. Jego mowa była krótka.

— Od jutrzejszego dnia wszyscy studenci będą uczestniczyć w remoncie elfiej dzielnicy bez użycia magii.

Ludyna zajęczała. Można było jakoś przeżyć utratę stypendium, ale pielęgnować elfie płoty! Ręcznie!!! A elfy, te wysoko postawione dumne osoby, nie przegapią okazji do znęcania się.

Czekając, póki rozdrażniony tłum wychodził z sali, my także skierowaliśmy się do wyjścia.

— To niesprawiedliwe! — wyjęczał ktoś za moimi plecami. — Elfią dzielnicę razem z nami burzyło jeszcze pół miasta, a tu studenci winni! Dlaczego miastowi nic nie płacą?

Odwrociłam się. Za mną stał Trochim, upiększony pięknym fioletowym limem pod okiem i ręką na temblaku.

— Byliśmy organizatorami — przypomniałam mu. — A miastowi nie pierwsi wyszli na ulice.

— Można pomyśleć, że to studenci okradali elfy! A do czego nam są potrzebne ich cacka?!

Od razu pożałowałam, że nie uczestniczyłam w grabieży— nie odwróciłabym się od „cacek”.

— A ty jesteś dobra — pochwalił Trochim. — Zmyłaś się w porę.

— Po prostu się przeraziłam — przyznałam się.

— Ola! — pomachała do mnie ręką Tomna. — Chodź tutaj!

Stała w otoczeniu dziewczyn ze swojego grona— modnie ubranych, z pięknymi fryzurami, i na wysokich obcasach.

— Możesz nas zaprowadzić do domu swojego przystojniaka? — spytała mnie Tomna.

— Po co? — nasrożyłam się. — Irga gości nie lubi.

— Po co nam Irga! Mamy na myśli Żiwko.

— Przecież byłaś razem ze mną wczoraj pod jego domem! — zdziwiłam się.

— Byłam — skrzywiła się Tomna. — Tylko nie pamiętam jak tam dojść! A ja muszę go zobaczyć.

— Odprowadzał cię wczoraj, trzeba było umówić się na spotkanie.

— Po twoim odejściu ork nie powiedział ani słowa— spochmurniała Tomna. — A ja chcę zostać jego dziewczyną.

Na ile dobrze znałam charakter Żiwko, koleżance się nie poszczęści, i z jakiegoś powodu cieszyło mnie to.

— A te też zabierasz z sobą? — wyszeptałam, wskazując na pół rozebrane studentki.

— Tak, by pochwalić się swoim orkiem.

Szkoda mi było Żiwko, tym bardziej, że nie wiedziałam, jak odniesie się na zmasowany atak na jego piękno i mnie to złościło.

— Wybacz — powiedziałam. — Też nie pamiętam jak się tam szło. Ale jeśli spotkam go, to mu powiem, że jesteś nim zainteresowana.

— Proszę, proszę! Jest taki przystojny! Pamiętasz, że jest mój?!

— Pamiętam — potaknęłam i uciekłam z kręgu piękności póki nie zniszczyły mi nastroju.

Póki wychodziłam z akademika, wpadłam na pomysł, jak przeżyć ten rok, nie odmawiając sobie nowych ubrań. I pobiegłam do Irgi, nie czekając by poczekać ze wcieleniem pomysłu w życie.

Otworzyłam drzwi mieszkania ukochanego i krzyknęłam, dostając czymś ciężkim po głowie.

— Aha — powiedział Irga, odkładając książkę, którą czytał leżąc na łóżku. — Teraz zrozumiałaś, jak się czułem w nocy?

Podniosłam łopatę z podłogi i ze złością spojrzałam na nekromantę.

— Specjalnie ją tak postawiłeś?

— Nie, to ty jej zapomniałaś, a ja po prostu postawiłem ją tak, jak stała wcześniej.

— Ty mściwy swołocz — stwierdziłam. — Chodź, szybciej się poženimy.

Irga szeroko otworzył oczy ze zdziwienia i milcząc patrzył na mnie.

— Ty co, jesteś przeciwny? — zapytałam, chwytając łopatę do góry nogami i zbliżając się do łóżka.

— Od dawna o tym marzę — rzekł ukochany, nie spuszczając wzroku z łopaty. — Po prostu chcę wiedzieć, dlaczego nagle spodobał ci się ten pomysł.

— Zabrali nam stypendium — pożałowałam się. — Nie chcę umrzeć z głodu, a mąż mi na to nie pozwoli.

— Aaaaa — z rozczarowaniem przeciągnął Irga. — Tak i tak cię będę karmić, nie trzeba się dlatego żenić.

Nie tylko jedzenie było mi potrzebne, jeszcze chciałam chodzić po wyprzedazach, i nową biżuterię kupić, zabawić się.

— Więc nie chcesz się ze mną ożenić?

— Jeśli chcesz wyjść za mąż, to proponuję zrobić to w następnym



roku — rzekł Irga, odsuwając od twarzy łopatę.

W następnym roku nie będzie mi już to potrzebne, bo na swoje potrzeby będę mogła sama zapracować! Ale starczyło mi rozumu, by nie mówić tego na głos.

— A dlaczego nie chcesz teraz? — zapytałam.

— Nie podoba mi się twoja motywacja.

— A jaka jest potrzebna?

— No, na przykład: "Irga, bardzo cię kocham i nie mogę bez ciebie żyć".

— "Irga-bardzo-cię-kocham-i-nie-mogę-bez-ciebie-żyć" — wyrecytowałam. — Tak przejdzie?

— Nie — powiedział Irga i odwrócił się ode mnie w stronę ściany.

Popatrzyłam na jego plecy, wyrażających straszne oburzenie całą swoją pozą i zrozumiałam, że przegięłam pałę. Położyłam łopatę na podłogę i wlałam na łóżko, mocno przytulając się do nekromanty.

— Ale ja cię naprawdę kocham— wyszeptałam mu na ucho. — Nie chcesz się żenić, to nie.

— Nie chodzi o ślub — głucho powiedział Irga. — Chodzi o chęć. Jeśli boisz się, że nie będziesz mieć pieniędzy ani jedzenia lub na sukienki, ja ci i tak pomogę, tylko powiedz. Ale ja chcę, żebyś naprawdę chciała zostać moją żoną, razem ze mną mieszkać, prowadzić gospodarstwo, rodzić moje dzieci, budzić się każdego ranka i widzieć moją twarz...

Zawstydziłam się.

— Nie obrażaj się na mnie, głupia — kajałam się. — Jak chcesz to ci będę prać skarpetki, co?

— Na razie jest odwrotnie — warknął Irga.

— Nie dawałam ci do prania skarpet! — oburzyłam się.

— Bardzo dziękuję! — sarkastycznie powiedział nekromanta.

— Jestem świnią? — zapytałam.

— Tak — z zabójczą prawdą odpowiedział nekromanta i nagle się roześmiał. — Ale zawsze kochałem świnię.

— No wiesz — nie wiedziałam co powiedzieć.

Nadal się śmiał. Kilka minut później nie wytrzymałam i zapytałam:

— Z czego rechoczesz?

— Nigdy nie myślałem, że będą mnie, grożąc łopata, zmuszać do małżeństwa — wydusił z trudem Irga, nadal się śmiejąc.

Odsunęłam się od niego na skraj łóżka, zastanawiając się, czy obrażać się na niego czy jesteśmy kwita.

— Kochanie — nekromanta jednym ruchem zarzucił mnie na siebie. — Jak ja cię kocham, taką nieznośną!

— Naprawdę? — uśmiechnęłam się. — A pójdziesz ze mną jutro remontować elfią dzielnicę?

— Tylko w charakterze moralnej podpory — rzekł Irga i pocałował

mnie w nos. — I to, jeśli będziesz dziś tu nocować. Poszedłem nawet jeszcze raz i jedzenie przyniosłem.

— Od razu byś powiedział, że nocować, a... Nie spać!

— Jak raz spać — wymruczał nekromanta, ściskając mnie mocniej.

Nie byłam przeciwna jego planom i myśli o orku nie prześladowały mnie więcej.

## ***Rozdział 11***

### ***Jak stać się magiem z autorytetem***

Podskakująca i trzęsąca się karetka wysadziła nas po środku pustkowia. Obrzuciłam je spojrzeniem, zatrzymując się chwilę na trzech smętnych kurach grzebiących w kupie świeci, i rzuciłam się w ślad za kareta.

— Stójcie! Stójcie!

— Coś zapomnieliście, panna? — zapytał stangret.

— Nie, to wy zapomnieliście! Gdzieście nas wysadzili?

— W Gniedino. Tak jak zamawialiście — na Centralnym Placu.

— "Centralny Plac"? — wydyszałam.

Stangret potaknął, niecierpliwie uderzając się rączką bata po dłoni.

— Jeśli chcecie, to zabiorę was w drodze powrotnej.

— Chcemy — powiedziałam.

— Musimy pomyśleć, a jak coś to znamy waszą rozpiszę — wyjaśnił półkrasnolud, odciągając mnie od karety.

— Otto — wyjęczałam, przyglądając się maleńkim domkom, otaczającym pustkowie. — Gdzie jesteśmy?

— W Gniedino.

— Nie, miałam na myśli w jakiej d... kropce świata się znajdujemy?  
To jeszcze cywilizacja?

— Spokojnie — rzekł przyjaciel, targając brodę. — Zaraz to wyjaśnimy.

Chwyciliśmy walizki i poszliśmy w stronę domów.

Najsolidniejszy budynek był tawerną „Najlepsza”. W środku powitały nas muchy i senny gospodarz.

— Powiedzcie — zwrócił się do niego Otto. — Jak dojść do mistrzowni Mistrza Fila?

— A wy co za tacy? Studenci stolicowi?

— Nie stolicowi, ale studenci.

— Od dawna nikogo do nas nie przysyłali — powiedział gospodarz i się zaśmiał, trzęsąc ogromnym brzuchem. — Ciekawe, ile wytrzymacie?

— Ile trzeba, tyle będziem siedzieć — nachmurzył się krasnolud.

Gospodarz, wciąż się podśmiewając, pokazał nam drogę, a ja nie wytrzymałam i powiedziałam:

— Powiedzcie, wasza karczma — najlepsza czy jedyna?

— Jedyna, ale nie przeszkadza jej być najlepszą!

Poszliśmy w ukazanym kierunku, w towarzystwie bosonogiej dzieciarni, która trzymała się na odległość i nie hałasowała – najwidoczniej się bała.

— Ej, studenci! – przybliżał się szybkim krokiem tłusty wujaszek. Poczekaliśmy póki zacznie oddychać, bezradnie spoglądając na siebie.

— Chodźcie do mojej niezwykłej piwnej miejscówki!

— Dzięki — grzecznie odpowiedział Otto. — Już tam byliśmy!

— A nie, wy byliście u Zaka, a ja jestem Dan!

— Wasz przyjaciel powiedział, że ma jedyną karczmę w mieście.

— W czymś to on ma rację, bo on ma karczmę, a ja piwną miejscówkę! Najlepszą w mieście

— I nazywa się „Sama najlepsza”? — zapytałam.

— Tak, a skąd wy wiecie?

— Domyśliłam się.

— Chodźcie, chodźcie! Obiecuję wam dziesięć procent zniżki!

— Dwadzieścia i na miesiąc — powiedział Otto.

— Dziesięć!

— Dwadzieścia albo idziemy do Zaka.

— Dziesięć i bezpłatne śniadanie.

— Na miesiąc? — uściślił Otto.

Dan ścisnął wargi i potaknął.

— Czego zrobiłeś te „targowe” widowisko? — zainteresowałam się, kiedy odczepiliśmy się od właściciela piwnej miejscówki i poszliśmy dalej.

— Nasze pojawienie się w karczmie gwarantuje większy zysk, dlatego że jesteśmy nowymi ludźmi, a ciekawie będzie popatrzeć na nas i posłuchać. Tak więc właściciel nie będzie przebierał w środkach.

— Nie zamierzam robić za eksponat! — oburzyłam się.

— Proponujesz gotować każdego ranka śniadanie?

Skrzywiłam się i przyznałam mu rację. Lepiej wycierpieć rzucające na ciebie spojrzenia, niż gotować! Tym bardziej, że nie wiemy, w jakich warunkach będziemy siedzieć.

Doszliśmy do domu, odróżniającego się od pozostałych kamiennym kominem i dwoma pietrami. Razem z drzwiami była przybita mizerna tabliczka „Mistrz Artefaktów i innych podobnych rzeczy”. Na dodatek zapuszczona; było widać, że dom oglądał kiedyś lepsze czasy. Otto zastukał, a po kilku minutach drzwi się ostrożnie otworzyły.

— Czego trzeba? — rozległ się chrapliwy, starczy głos.

— Jesteśmy praktykantami z Czystiakowa, wysłali nas do was na staż

— powiedział Otto.

— Nikogo nie potrzebuję — odrzekł głos i drzwi się zatrzasnęły.

Krasnolud, speszył się, i popatrzył na mnie z niepewną miną.

— Spróbuj jeszcze raz — poradziłam. — Może niedosłyszał.

Przyjaciół znowu postukał. Drzwi znów się otworzyły.

— Jesteśmy praktykantami! — wrzasnął Otto z całych sił. —  
Wysłaliście zamówienie na kończącą szkołę młodzież! No to  
przyjechaliśmy!

— Dlaczego wrzeszczysz? — pisnął staruch. — Świetnie cię słyszę!  
Sam jesteś głuchy! Powiedziałem – nie chcę nikogo! Nie stukaj więcej, bo  
cię walnę toporem po mordzie!

Zaczęłam rozumieć przyczynę śmiechu Zaka.

— Idziemy do głowy miasta, bo nie możemy wrócić, niech choć  
znaczek postawi w dzienniku praktyk — zaproponowałam.

Poleżliśmy z powrotem, próbując zrozumieć, o co tu biega.

— Ciociu, ciociu! — nie od razu zorientowałam się, że chodzi o  
mnie.



Popatrzyłam w dół i zobaczyłam dziewczynkę w wieku pięciu lat, targającą mnie za spódnicę.

— Ciociu, a ty możesz w żaby zamieniać?

— Hmm... — zamyśliłam się i zaczęłam zaskarbiać sobie autorytet u miejscowych. — Mogę.

— A w robala?

— To trudniej, ale mogę zrobić.

— A w kozła?

— A w kozła to on może — pokazałam na dławiącego się śmiechem Ottona.

— Naprawdę? — dziewczynka popatrzyła na półkrasnoluda z szacunkiem.

— Tak — podchwycił kumpel. — A gdzie u was jest głowa miasta?

— Ja wam pokażę, a wy zamienicie w żabę Dime? Nie, lepiej w robala! Nie, lepiej w... A kto jest jeszcze gorszy?

— Najpierw zdecydujesz w kogo, a my potem zobaczymy —

powiedziałam. — Prowadź do głowy.

— A on tutaj mieszka — dziewczynka wskazała duży kamienny dom, otoczony sadem.

To było najprzyzwoitsze gospodarstwo z wszystkich, które widzieliśmy, co dawało nadzieję, że słowo „cywilizacja” dotyczyło jeszcze tego zapyziałego miasteczka.

Otto z westchnieniem postukał w drzwi. Otworzył nam brodaty facet, który podrapał się po plecach i zapytał:

— Wy co, studenci?

— Tak — potwierdziłam. — A wy głowa, tak?

— Ja — głowa radośnie się roześmiała, głaszcząc brzuch. — Nazywam się Rom Boricz.

— Podpiszcie nam tutaj i my jedziemy z powrotem.

— Eee... Nie. Nam magowie są potrzebni. Obiecali nam was do zielarza!

— Zrozumcie — delikatnie powiedział Otto. — Mistrz Fil mówi, że nie jesteśmy mu potrzebni, a to właśnie on jest prowodyrem naszej praktyki.

— Bo to nie on was wezwał! To ja napisałem do Uniwersytetu.  
Będziecie magami u nas na całe miasto i najbliższe dziesięć wioseczek.

— A co z zielarzem?

— A, coś go zeżarło w lesie niedawno, a Fil dawno zszedł z umysłu,  
żadnego pożytku z niego nie ma.

— Co ja tu robię? — udźwięczyłam swoje myśli.

— Na praktykę przyjechaliście — szeroko uśmiechając się,  
powiedziała głowa. — Chodźmy załatwić sprawę z Filem.

— Powiedźcie, a kto zeżarł waszego zielarza? — zainteresował się  
Otto, póki szliśmy z powrotem do Mistrza Artefaktów.

— A cholera go wie. Jeden kij znaleźli.

— Może zwiął? — zaproponowałam.

— A nie, nie mógł zwiewać, bo trzy lata temu jakaś ziuka odgryzła  
mu nogę. I, najważniejsze, zawsze był w mieście.

— A co to takiego ziuka? — bezdźwięcznie zapytał mnie Otto.

Wzruszyłam ramionami. Na ile dobrze wiedziałam, w Rejestrze  
Potworów i Umarlaków takiego cuda nie ma. Rom Boricz głośno tupął

przed nami, opisując piękno rodzinnego miasta, a ja go w ogóle nie słuchałam — walizka, nie patrząc na działanie wiszących na nas artefaktów, z każdym krokiem robiła się coraz cięższa i cięższa, i z każdym krokiem coraz bardziej i bardziej nienawidziłam tego zapyziałego miasteczka, jego głowy, Mistrza Fila, Befy i siebie. Ale najbardziej nienawidziłam tego, kto zrobił to zamieszanie wokół księżycowych martwiaków. Rozerwałabym go gołymi rękami.

— Poczekajcie — Rom przyglądał brodę i zdecydowanie postukał w drzwi naszego domniemanego prowodyra praktyk.

Okazało się, że przez swoje rozmyślanie nawet nie zauważyłam, że przyszliśmy.

— Co z tobą? — troskliwie spytał krasnolud, póki próbowałam usiąść wygodnie na walizce.

Wzruszyłam ramionami. Nie chciało mi się gadać, kumulowałam w sobie złość i obrazę na życie.

— A mi się tu podoba — stwierdził Otto. — Tu jest tak cicho! I powietrze świeżutkie.

— Las naokoło — burknęłam. — Lepiej żeby powietrze nie było świeże, ale cywilizacja blisko.

— Trzeba doceniać to, co się ma — mentorskim tonem powiedział

Otto. — Ceniłaś życie w mieście, kiedy w nim byłaś?

— Ja go nie ceniłam, ja się nim radowałam!

— Za to dostanie się nam bezcenne doświadczenie — westchnął półkrasnolud, wsłuchując się w szum dochodzący z domu Mistrza.

— Wszystko uzgodniłem — radośnie oznajmił nam Rom zjawiając się przed domem. Pocierał świeże zadrapanie na twarzy, a jego broda była w opłakanym stanie.

— Mistrz Fil będzie bardzo uradowany, widząc was tu jutro z rana o dziewiątej. Chodźcie, pokażę wam, gdzie będziecie mieszkać. Daliśmy wam cały dom. I mistrzownię zrobiliśmy, i nawet zasłony na okna baby zrobiły— oto jak na was czekaliśmy!

— A macie gorącą wodę? — zapytałam bez nadziei.

— Oczywiście! Ile nagrzejecie w piecu, tyle będzie!

Zachciało mi się krzyknąć, ale postanowiłam odłożyć wybuch emocji na potem. Podeszliśmy pod dom, który stał całkiem niedaleko od gospodarstwa naszego prowodyra. Wbrew moim oczekiwaniom, dom wyglądał całkiem nieźle — nie duży, w sam raz, za niskim płotkiem. Na podwórku górowała nowiutka, sądząc po świeżym zapachu farby, mistrzownia. Otto rzucił walizkę na ziemię i wszedł do niej. Głowa pobiegła za nim, objaśniając i troszcząc się. Z budynku wyszli zadowoleni.

— Dobrze tam jest — powiedział mi półkrasnolud. — Oczywiście, czegoś tam brakuje, ale pracować można.

— Wybaczcie za nieporządek — rzekł Rom. — Powiedziałem chłopom — zbudujcie, no to i zbudowali. A zapomniałem powiedzieć im o śmieciach. A teraz wszyscy zajęci są swoimi sprawami i nie ma nikogo, kto by to zebrał.

Głowa zaprowadziła nas do środka — ciasny korytarz, duży pokój z kuchnią, trzy sypialnie i szuflada, dumnie imitującą wannę, gdzie stała duża wyszczerbiona miednica.

— Te rzeczy na dworze — chwycił moje spojrzenie Boricz. — Jest tam miły domek, z firankami...

Speszył się, podrapał plecy, a potem znów powrócił mu dobry nastrój.

— A meble jakie dobre, nasi chłopci robili! W dwóch pokojach będziecie mieszkać, a w trzeciej przyjmować pacjentów.

— Jakich pacjentów? — spytałam podejrzliwie.

— Jak to jakich? Jesteście naszymi jedynymi magami! Kogoś ząb boli, ktoś urodzić nie może...

— Urodzić??? — zapytał przerażony krasnolud. — Jak to??

— Wiadomo jak! Baba dziecka nie może urodzić i się mężczy.

— Nie jesteśmy uzdrowicielami — powiedziałam, dlatego że Otto bezsilnie próbował zasysać powietrze w próbie wyduszenia z siebie jakiejś frazy. — Dlaczego napisaliście do Uniwersytetu, że nie macie uzdrowicieli?

— No, nie zdążyliśmy napisać, a tu was przysyłają... No i pomyśleliśmy...

— Natychmiast napiszcie, żeby wam kogoś przysłali. Zrozumcie — my nie mamy prawa leczyć ludzi! A tym bardziej przyjmować porody!

— Nie krzyczcie! — oburzyła się głowa.

— Nie, ja będę krzyczeć! Jeśli ktoś umrze od mojej "działalności", to kto będzie odpowiadać?! Co?! My! Mistrzowie Artefaktów, a nie specjaliści na dwie ręce!

Otto ostrożnie objął mnie za ramiona, przykazując milczeć.

— Postarajcie się wysłać zapytanie o uzdrowiciela jak najszybciej — poradził głowie. — Inaczej napiszemy do regionalnego zarządu, że nie radzicie sobie z obowiązkami.

Głowa spochmurniała.

— Ja wam z sercem na dłoni, a wy...

— Co my? — znowu zaczęłam, ale krasnolud lekko mnie uderzył i zdusiłam w gardle resztę frazy.

— I to... — głowa na wszelki przypadek odeszła od drzwi. — Nie moglibyście powiedzieć Filowi, że jesteście mężem i żoną?

— Nie — odgryzłam się. — Widzicie, ja już mam narzeczonego i będzie tu przyjeżdżał w gości.

— A narzeczonego mag?

— Tak.

— Jak dobrze! Magowie są nam bardzo potrzebni! Nie chce tutaj przyjechać?

— Nie miejcie nadziei! — powiedziałam złowrogo.

— No to powiedzcie Filowi, że jesteście bratem i siostrą, proszę! Tak trzeba! Bo złe słuchy pójdą. No bo jak to – dwoje młodych dzieciaków żyje razem i nie są rodzeństwem? Nie potrzebujemy skandalów w mieście!

Zasyczałam, a przerażona głowa prysnęła za drzwi, ale nie wytrzymała i popatrzył przez okno:



— A jak wam się ogólnie podoba wyposażenie i firanki w szczególności? Tak się staraliśmy!

Odpowiedzią był dźwięk rozbitego okna — nie wytrzymałam i rzuciłam w jego fizjonomię pierwszy lepszy przedmiot „wyposażenia”.

— I okno rozbiłaś i dzbanek — flegmatycznie skomentował Otto. — Same straty.

Cała moja złość gdzieś zniknęła. Usiadłam na ławce i westchnęłam.

— Wyc będziesz? — zapytał półkrasnolud.

— Nie wyc — obraziłam się. — A opłakiwać straconą w tej dziurze młodość!

— Rozumiem. Przed tym, jak zaczniesz opłakiwać młodość, nie mogłabyś wybrać sobie pokoju? Poszedłbym się już oporządzić, póki ty tu jęczysz.

Myśl mi się spodobała i poszłam na inspekcję sypialni.

— A co będziemy robić w trzeciej sypialni, jeśli przyjmowanie chorych odpada?

— Drzewo zimą będziemy chować — pomyśliwszy powiedział Otto. — Żeby daleko po nie nie łązić. Albo jak chcesz, żeby mieszkał w niej Irga,

jak będzie przyjeżdżał?

On co, na poważnie? Odwróciłam się by zobaczyć wyraz twarzy kumpla. Był niewinny, ale wydało go lekkie drżenie warg od powstrzymywania się od śmiechu.

— Nie — odburknęłam. — Będzie mieszkał w twoim pokoju, a tu będziemy trzymać drewno.

— No to zabieram sobie ten w którym jest szersze łóżko! — w moment zorientował się krasnolud.

Potaknęłam.

— Zabieraj.

— Dziwne, że jesteś taka uległa.

Nie chciałam mówić Ottonowi, że z okna jego pokoju widać „te rzeczy”, a z mojego - dziury w płocie. W skrajnym przypadku będzie można przez nie podglądać sąsiadów.

— A ja tak w ogóle to w darze! Dziwne, że nie zauważyłeś tego wcześniej — przekonałam go.

Otto w odpowiedzi z miną winowajcy pomachał rękami. Poczekawszy, aż półkrasnolud zanieśie rzeczy do pokoju, usiadłam na ławce

i rozpoczęłam przygotowania do ryczenia. Co dziwne, odechciało mi się płakać. Na duszy, oczywiście, było źle, ale nie na tyle, żeby płakać. Pokręciłam się w tę i wewte, szukając wygodniejszej pozycji, w której zechce mi się płakać. Na próżno. Nie chciało się płakać. Chciało się jeść.

— Otto — zawołałam.

Półkrasnolud ostrożnie wychylił się zza drzwi.

— A gdzie potoki łez? Pomóc? Gdzie walnąć by spowodować porządne potoki? W rękę, nogę, zebra?

— Poczekaj ty! Dwaj coś zrobimy do żarcia. Idź po drewno, na podwórku stos jest.

— Gorąco w domu będzie, jak tu w piecu rozpalisz — stwierdził Otto.  
— Najwyraźniej póki ciepło trzeba w mistrzowni gotować.

Potaknęłam, oglądając garnki na półkach. Mieszczanie wyposażyli nas nieźle, a w mojej torbie był nieduży zapas kaszy na pierwsze dni.

W drzwi ostrożnie postukano. Nie zdążyliśmy nic odpowiedzieć, jak do pokoju weszła suchotka staruszka i elegancko usiadła na ławce.

— Dzień dobry! — powiedział Otto.

— Dobry i wam państwo madzy! Jestem sąsiadką waszą, Nitą.

Przyszłam zobaczyć jak tam u was.

— Dziękuję, dobrze — spokojnie odpowiedziałam, wiedząc z własnego doświadczenia, że kłócić się z sąsiadami, tym bardziej, jeśli są starsi, jest nie tylko nie potrzebne, a nawet wredne. — Jestem Ola, a to... Hmm... Mój brat, Otto.

Babka pomemłała wargami, przyglądała spódnicy. W milczeniu oczekiwaliśmy na ciąg dalszy.

— A jak wam się podobają moje firanki? — zapytała.

— Dobre firanki — odpowiedziałam.

W domu takimi firankami podłogę myłam.

Nita potaknęła swoim myślom.

— Dlaczego mój dzbanek rozbiliście? — z goryczą zapytała.

— Wybaczcie nam — kajał się Otto. — Głowa wkurzyła Olę, a ona rzuciła w niego pierwszą rzeczą, jaką miała pod ręką.

— A ja myślałam, że wam się nie spodobał. Uzdrowiciel, spokojny, ale czasami rzuca czymś. Kucharka wam potrzebna?

Wymieniliśmy spojrzenia. Na razie nasze domniemane dochody były

niewielkie. Imponującą sumę, którą musieliśmy zapłacić za demolkę u elfów, zapłaciliśmy z naszych oszczędności, które po tym "oszczędnościami" się nazwać nie dało. Tak, kropla na czarną godzinę. Oddając monety do kasy, półkrasnolud prawie że płakał, a mnie było go bardzo żal, ale władze Uniwersytetu zarządziły wpłaty jednym jako karę, a drugim jako działalność mająca pozytywny wpływ. Po tym, jak księgowa wzięła nasze pieniądze, przyjaciel przysiągł, że nigdy w życiu w masowych strajkach uczestniczyć nie będzie. Ale nawet ta wpłata nie wybawiła nas od długu wobec Uniwersytetu i, po rozmowie, postanowiliśmy oddawać księgowej połowę wypłaty, żeby szybciej rozliczyć się z tą nieprzyjemną sprawą.

Dlatego nie spieszyliśmy się z odpowiedzią przyjaznej babuni. Przecież jeśli sprawy pójdą źle, to nie tylko nie będziemy mieli czym zapłacić kucharce, ale i sami nie będziemy mieli za co żyć.

— Nie bójcie się, ja dobrze gotuję. W stolicy bywałam, wiem jak tam karmią.

— My nie dlatego się wahamy — zacięłam się. — Pieniądzy u nas nie za dużo.

— No to płaciec w naturze — krwiożerczo oblizwała się sąsiadka.

Otto przerażony odskoczył, a z tyłu coś z grzechotem upadło.

— Jeszcze jeden dzbanek — nieszczęśliwie podsumowała Nita.

— To nie moja wina, że półki tak nisko wieszają — usprawiedliwił się krasnolud, odsuwając się jeszcze dalej.

— W jakim sensie „naturą”? — zaryzykowałam zadać pytanie.

— "Naturą"? — powtórzyła babunia, oglądając odłamki.

— Powiedzieliście, że zapłątą w naturze.

— Aaaaa, to. Może wy mi bez kolejki i bezpłatnie artefakcie zmajstrujecie? Zęby bolą, a ptaki cały słonecznik na polu wydziobały, a ja tak lubię nasionka łuskać!

Usłyszałam jak z tyłu za mną Otto głośno odetchnął.

— Zgadzamy się, obiad i kolację możecie nam gotować — powiedział.

— A śniadanie? Wy co, po modnemu chcecie, chudziutko? — Nita obrzuciła moją figurę sceptycznym spojrzeniem.

— Nie bójcie się o śniadanie — spokojnie rzekł krasnolud.

Nita znowu poprawiła spódnicę i znowu szybko zaszczębiotała:

— A wy tylko Saty nie wpuszczajcie, Sata jest zła, wszystko wam

zniszczy i zawiedzie zły wzrok.

— Eeee — zmieszałam się. — Jakby wam powiedzieć... Złego wzroku się nie boimy.

— A Sata taka jest, ona potrafi, przecież jest wiedźmą, rzuci złym wzrokiem, tak... I córka jej, dziewczka bosonoga, bezwstydnica...

— A kim jest Sata? — przerwał ten potok Otto.

— Wasza sąsiadka z prawa. Ja jestem sąsiadką z lewa, a ona, zmija trawiasta, cholera, wiedźma wzrokowa...

— Dobra, dobra, zrozumieliśmy, tylko nas tutaj wysłali pomagać magicznie wszystkim mieszkańcom, a nie tylko wybranym.

— A po co jej jest magiczna pomoc? Sama jest wiedźmą. I dziewczka jej też wiedźma, tylko gorsza — gołonoga!

Półkrasnolud podszedł do sąsiadki i wziął ją delikatnie za łokieć.

— Myślę, że musimy obgadać bardziej szczegółowo naszą współpracę w zakresie żywienia, więc chodźmy.

Podziękowałam przyjacielowi uśmiechem i poszłam rozpakowywać rzeczy. Zajęcie tak mnie zabsorbowało, że kiedy rozległo się za moimi plecami powitanie, to podskoczyłam na miejscu i z przerażeniem spojrzałam

się w stronę drzwi. Do mojego pokoju zaglądało ostronose lico, obramowane jaskrawymi, rudymi włosami.

— Przestraszyłam was? — radośnie zapytało cudowiszczce.

— Tak — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Na waszym miejscu nigdy bym tak więcej nie robiła, jeśli nie chcecie stracić włosów.

— A co się z nimi stanie?

— Mogę je spalić przypadkowo — wyjaśniłam.

— Jestem Sita, chcesz, żeby ci pomóc w rozpakowywaniu?

— Sita?

— Tak, wasza sąsiadka z prawa.

— Córka Saty, jak mniemam? – od razu mi się nie spodobała. Po pierwsze, nie miała do mnie szacunku, a po drugie, to było wystarczające, żeby ją nie polubiła od razu. Po trzecie, z biustem takiego rozmiaru nie przystoi wychodzić między ludzi! Szczególnie między tych, u których ta część ciała jest dwa razy mniejsza!

— A, do was już Nita przyszła? Stary babsztyl.

— Dziecinko — powiedziałam ze złością. — Czego w ogóle chcesz?



— Nie jestem dziecinką! — oburzyła się Sita.

W milczeniu wyczekująco spoglądałam na sąsiadkę, zauważając nieprzystojnie krótką sukienkę, obcisłe przylegającą do piersiastej figury. Nie, dziewczka naprawdę mi się nie spodobała. Pod moim surowym spojrzeniem zawstydziała się, ale, potrząsłszy głową, zadarła nos do góry.

— W ogóle to matka przysłała mnie zobaczyć, jak podobają się wam nasze firanki.

— Wasze firanki? — pogubiłam się. Dziwne, jeszcze niedawno druga sąsiadka klęła się, że to jej firanki. — Dobre firanki.

Ruda w milczeniu chciwie połykała wzrokiem zawartość mojej otworzonej walizki. Ja też milczałam, całą swoją postawą wyrażając stopień swojego niezadowolenia. Jak wygonić zawziętego gościa i razem z tym nie stracić autorytetu przed prowincjuską?

— Pomóc wam rozpakować walizkę? — niecierpliwie zapytała Sita, chciwie patrząc na moje rzeczy.

— Nie, ale jeśli chcesz popracować jako pokojówka, to przyjdź jutro — powiedziałam. — Łóżko pościelić, podłogę zamieść, garnki pomyć.

— Co ja, służąca? — zawiszczała dziewczka.

Wzruszyłam ramionami, zaczynając rozpakowywać paczkę z książkami, mając nadzieję, że sąsiadkę ten proceder nie zainteresuje.

— To ja już chyba pójdę — w końcu powiedziała.

— Idź, idź — nie odwracając się, odpowiedziałam.

Kiedy za Sitą zamknęły się drzwi wejściowe, zaczęłam zaczarowywać drzwi pokoju od nachalnych gości. Przy tej robocie zastał mnie Otto, ostrożnie trzymający garnek, z którego wydobywała się aromatyczna para.

— A kto to właśnie od nas wyszedł? — zapytał, stawiając żarcie na stół. — Ot jaka figurka, tak bym ją objął!

Obrzuciłam krasnoluda złowrogim spojrzeniem.

— To nasza sąsiadka, córka Saty.

— Rozumiem — mądrze odpowiedział Otto.

— Co rozumiesz? — rozzłościłam się.

— Standardowa kobieca reakcja: jaka ona wredna, dlatego, że ma ładniejszą figurę od mojej.

— Ha, ha. Od jakiego czasu jesteś specjalistą od kobiecej psychologii?

— Znaczy, że mam rację — powiedział przyjaciel, spochmurniał i zauważył:

— W rycie na drzwiach zrobiłaś błąd.

— Obejdę się bez ciebie, specjalisto jeden! — burknęłam, próbując otworzyć drzwi.

Nie dawały za wygraną. Pociągnęłam mocniej. Drzwi dosłownie wrosły w podłogę. Kopnęłam je nogą i usiadłam obok, aby płakać. Przy stole Otto beztriosko jadł kaszę. Po kilku minutach łyzy zniknęły — jak można prawdziwie płakać, kiedyś ktoś obok z apetytem zżera kaszę ze skwareczkami?

— Otto — stwierdziłam z naganą. — Jesteś bezuczuciową świnia!

— Nie — mlaskając odpowiedział półkrasnod. — Współczuję ci bardzo, ale bardzo mi się jeść chce. Ty płacz, płacz, więcej mi kaszy zostanie.

Szybko zerwałam się z podłogi i rzuciłam się na poszukiwanie łyżki.

— Wyzarłeś wszystkie skwarki! — krzyknęłam, zagładając do garnka.

— Nie wszystkie — sprzeciwił się przyjaciel, kopiąc łyżką w kaszy.

— Patrz, tutaj troszkę zostało. Pyszniutka!

Cierpliwie jadłam, próbując zjeść same najlepsze kąski przed tym, zanim Otto wsadzi je sobie do gęby. Życie przemijało w walce, ale wszystko było wyjaśnione.

Po skonsumowaniu wyłamaliśmy drzwi — żadnym magicznym sposobem nie dało się ich otworzyć i półkrasnolud, zakasawszy rękawy, chwycił za topór.

— Za to cię szanuję — stwierdził troszkę później, wycierając pot. — Za to, że jak czarujesz, to krzepko!

W milczeniu przyglądałam się temu, co zostało z moich drzwi.

— Będziesz musiała się przenieść do drugiego pokoju — stwierdził Otto. — Wątpię, że ci szybko odremontuję te drzwi, tu stolarz potrzebny. Tylko radzę dobrze pomyśleć, zanim zaczniesz robić coś jeszcze, dlatego, że swojej sypialni w żadnym wypadku ci nie oddam.

Cały wieczór zajmowaliśmy się przystrajaniem nowego mieszkania, zabarykadowawszy drzwi wyjściowe od ciekawskich mieszczuchów. Ci z kolei kręcili się pod oknami, z ciekawością zaglądając przez rozbitą szybę i zniszczone drzwi, ale bali się do nas odezwać. Chciałam przegonić gości, ale nie mogłam wymyślić, co im powiedzieć. Zwalajcie stąd, nie przeszkadzajcie nam? Miejscowi tego po prostu nie rozumieją, bo w ich odczuciu nasz przyjazd jest wydarzeniem roku! Przy czym po jakimś czasie

ludyna sama się rozeszła, nie doczekując się niczego ciekawego.

Rankiem obudził mnie Otto. Otworzyłam oczy, czując, jak bezczelnie ciągnie mnie za nogę.

— Wstawaj, dzisiaj jest nasz pierwszy dzień roboczy! Spać w żadnym wypadku! Powiedzieli, że mamy być o dziewiątej u mistrza!

— Godzina jakaś wczesna — wyburczałam, patrząc przez okno. Na dworze było pochmurno i szaro.

— Już nawet wodę ze studni przyniosłem — całkiem radośnie, jak na taki poranek, powiedział krasnolud. — Jest letnia! Jak orzeźwia!

Pobryzgałam twarz wodą z opuszków palców i postanowiłam, że mój dług wobec higieny właśnie się wypełnił. Poszliśmy do „Samej najlepszej” na śniadanie. Nie patrząc na wczesną porę, nie popularną na pijackie rozróby, karczma była pełna. Gospodarz uroczyście zaprowadził nas do jednego wolnego stolika i postawił dwa talerzyki z jajecznicą. Ludyna w milczeniu patrzyła, jak jemy, przygotowując się do zadawania pytań. Jak tylko Otto odłożył widelec, najśmielszy z nich zapytał:

— Na długo tutaj?

— Do trawnika — odpowiedział Otto.

— A będziecie bardzo zajęci? — ostrożnie zapytał krzepki wąsaty

mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stoliku.

— A co? — zapytałam.

Zapanowało ogólne zmieszanie.

— Na przykład Mistrz Fil, jak się do niego zwracamy, to on zawsze zajęty i zajęty. Zamówienia przyjmuje bardzo rzadko i czasami trza po artefakty aż do Czystiakowa jeździć, a trzy razy droższy, a i droga także — pożalili się mieszkańcy.

— Można się do nas zwracać — poważnie powiedział półkrasnolud. — Zrobimy wszystko, a nasze ceny możecie znaleźć w naszej mistrzowi i dostać konsultację na nurtujące was zagadnienia. A teraz musimy iść, dziękuję za uwagę.

— Ciekawe — powiedziałam, kiedy szliśmy do domu Mistrza Fila. — Kiedy zamierzasz wykonywać te zamówienia? I tak mamy masę roboty. Niezapomniałeś jeszcze, że musimy wyposażyć ich w artefakty od wszelkiej siły nieczystej tego kraju?

— A żyć za co będziesz? Wyposażenie artefaktami — to nasza oficjalna praca i połowę zapłaty musimy oddawać — w tym momencie Otto wydał westchnienie płynące prosto z duszy, ponieważ jak zawsze, musiał wspomnieć o pieniądzach. — A indywidualne zamówienia to indywidualne zamówienia dla indywidualnego żołądka, a nie uniwersyteckiej skarbnicy!

Mistrz Fil oczekiwał nas w swojej zagraconej sieni. Jakieś klamoty, łachy, stosy czasopism sprawiały wrażenie ogromnych gór. Tylko w jednym miejscu nie było tego tak dużo i właśnie tam dumnie wisiał dyplom

Uniwersytetu.

— Siadajcie — rozkazał koordynator naszej praktyki.

Popatrzyliśmy się na siebie zmieszani. Gdzie usiąść? Na kupie śmieci? Żeby w niej utonąć albo się wypaśćkać?

— Dziękujemy — odpowiedział Otto. — Lepiej będzie jak postoiemy, z uwagi na szacunek do was.

Fil poruszał swoimi krzaczastymi brwiami, zamyślił się i rzekł:

— Brat i siostra, znaczy się. Tak, tak, jacyś wy tacy nie podobni.

— Dziwne, nieprawdaż? — wyburczał Otto.

— Mamy różnych ojców — powiedziałam. — Ot, taka dziwna historia.

— Rozumiem, rozumiem. A więc tak: jeśli chcecie, żebym podpisał wam praktykę, to prowadźcie się przyzwoicie. Każdego poranka o dziesiątej będziecie chodzić do mnie na 15 minut, a potem pójdziecie pracować do mistrzowni, bo na ile dobrze się orientuję, Uniwersytet przydzielił wam zadanie.

— Przydzielił — potwierdziliśmy.

— Dobrze, będziecie, znaczy, pracować. Za każde indywidualne zamówienie będziecie płacić mi dwadzieścia procent.

— Za co? — zapytał Otto.

— Za ogólną działalność! Tak, znaczy, nie pic alkoholu! Wyczuję z rana oddech – nie podpiszę!

W milczeniu popatrzyliśmy się na Fila oczekując ciągu dalszego.

— Ty — krzywy palec wycelował we mnie — żeby nie było żadnych schadzek z chłopakami! Dowiem się – zamknę w szafie!

Opadła mi szczęka.

— Ona ma narzeczonego — powiedział Otto.

— Narzeczonego? Oficjalny?

— Oficjalniej się nie da, już datę ślubu ustalili, już rodzice pobłogosławili — przekonująco rzekł półkrasnolud.

Nadal stałam z opadniętą szczęką.

— Przyprować do mnie i przedstawić!

Pisnęłam słabiutko, a Fil, najwidoczniej, potraktował to jak zgodę, więc zwrócił się do półkrasnoluda.

— Ty! Dziewek nie psuj!

— Znaczy jak? — zdziwił się Otto.

— Znaczy tak, aby nie być z nimi w miłosnych konszachtach! — krzyknął mistrz. – Wyjaśnić ci to bardziej szczegółowo?

— Nie trzeba...

— Bo ciebie, bo ciebie, słyszysz, wykastruję!

— Co? — oburzył się półkrasnolud. — Na co wy sobie pozwalacie?

— Milczeć! — ochrypły starczy głos zamilkł, a my poczekaliśmy,



póki Fil odkaszlnie i powtórzy:

— Milczeć! Ja jestem waszym koordynatorem! Jak rodzony ojciec! Powinniście mnie słuchać, poważać i szanować! Zrozumieli? Paszli won! Do roboty!

W milczeniu minęliśmy kilka domów, i ja, w końcu, sformułowałam swą myśl:

— Myślisz, że jest szalony?

— Może tak, ale co nam do tego? Musimy go ścierpieć. Koordynator!

— Daj napiszemy do kogoś i się pożalimy.

— Do kogo? Do dziekana? Żeby się pośmiał i powiedział coś w tym stylu: "Ach, biedne dzieci, nie wytrzymały dorosłego życia! Oczywiście, to nie Uniwersytet, gdzie ich po główce głaskali i wszystko przebaczało, to dorosłe życie, jakie chcieli! A wy, Bef, tak ich chwaliliście, tak chwaliliście!"?!

— Myślisz, że Dziekan wiedział, gdzie nas posyłają?

— Oczywiście — kiwnął Otto głową. — Sądząc po dacie na dyplomie Fila, Dziekan jeśli się z nim nie uczył, to przynajmniej go znał. No i na pewno pamiętasz, że to właśnie Dziekan zajmował się przydziałami.

— A to zaraza! — powiedziała od serca.

— Zostaje nam tylko patrzeć i z podniesioną głową przejść przez kłody rzucane nam pod nogi — patetycznie stwierdził przyjaciel.

— Uroczyste przemowy po nocach czytałeś? — zaciekałam się.

— Ech ty — machnął ręką Otto. — Chodź idziemy na poszukiwania zaklęcia, które uwolni nas od pijackiego oddechu.

W całej tej sytuacji radowało nas jedno — sądząc po rozświetlonych twarzach mieszczan, owi byli bardzo radzi z naszej obecności. Często nas zatrzymywali i zagadywali, i póki nie doszliśmy do naszej mistrzowni, to potrafiłam już machinalnie odpowiadać na pytania:

— Tak, na długo, do trawnika.

— Tak, zwracajcie się, przymujemy indywidualne zamówienia.

— Tak, zasłonki nam się spodobały.

Od razu skierowaliśmy się do mistrzowni — trzeba było obdzielić się robotą, żeby wygodnie funkcjonować i zarabiać na swe utrzymanie.

— Słuchaj, nie wiesz może, czego oni tak przyczepili się do rzeczy?

— Do jakich? — odezwał się zdeorientowany Otto, zajęty obróbką termiczną.

— Do firanek. Wszystkie kobiety się o to pytają!

— Nie wiem, może te cenne zasłonki są z miejscowego muzeum, którymi dwieście lat temu udusili przeciwnika i teraz przeszły do nas? Jakby powiedzieć – na wszelki wypadek.

— No, to je zdejmę – na wszelki wypadek.

— Nie warto obrażać mieszczuchów czynami niegodnymi dyplomowanego maga — pouczył mnie Otto.

— Nie jestem jeszcze dyplomowana — burknęłam, notując sobie w

pamięci, by w tajemnicy pozbyć się firanek.

Tydzień minął w spokoju. Każdego ranka jedliśmy śniadanie w karczmie, zawierając znajomości z miejscowymi i zbierając zamówienia. Potem była piętnastominutowka u Mistrza Fila, podczas której jeszcze raz zobrazował nam nasze życie według jego uznania i podzielił się wspomnieniami młodości, a potem pracowaliśmy, pracowaliśmy i jeszcze raz pracowaliśmy. Miejscowy kowal i jego podmistrzownia była cała zavalona półproduktami naszych wyrobów, a Otto żwawo odwiedzał go kilka razy dziennie by kontrolować proces, przerażając śmiertelnie kowala swoimi radami.

W niedzielę postanowiłam sobie urządzić Dzień Łóżka. Wieczorem wymógłwszy na Ottonie przyrzeczenie, że nie będzie budzić mnie nawet w wypadku końca świata i przyjazdu króla do tej dziczy, co było na tym samym stopniu, opatuliłam się kołdrą i słodko zasnęłam.

Mój przepiękny, upajający, słodki sen, w którym wygrałam główna nagrodę w konkursie Chudorskiej Fabryki Słodyczy— tonę czekolady i ogromny kosz różnorodnych cukierków i gdy tylko przystąpiłam do ich degustacji, został brutalnie przerwany wybuchem śmiechu. Schowałam się jeszcze bardziej pod kołdrą, próbując dokończyć sen, ale czekolada już zdążyła się roztopić, a cukierki wyparować. I zaczęło mi się śnić coś dziwnego.

Wyskoczyłam z łóżka z morderczymi zamiarami. Otto przecież wie, że śpię! Wpadłam do pokoju gościnnego z zamiarem rozerwania na kawałeczki tego, kto tak bezczelnie przerwał mój słodki sen. Silnie popchnęłam drzwi i w moje oczy uderzyło oślepiająco jaskrawe światło – w

moim pokoju okna było zasłonięte. Zanim zmrużyłam oczy, zdążyłam zobaczyć trzy figury, siedzące za stołem.

— Swołocze! Dlaczego nie dajecie mi spać?! — wykrzyczałam.

— Za to mi się podobasz w ranki, moja miła, za życzliwość — powiedział miło głos, bezkrytycznie należący do Irgi.

Otworzyłam jedno oko, zamrugałam i popatrzyłam na trójkę za stołem.

Otto, starannie uczesany, strugał nożem w drewnie nową łyżkę. Obok siedział Irga, jak zawsze elegancki i zadowolony z życia. Po prawej stronie od nekromanty siedział zadziwiająco utuczony chłopak, z chrzęstem zajadając się pieczoną kurzą nóżką.

— Dzień dobry — powiedział tłścioch, połykając kęs.

— Cześć — odpowiedziałam, z męką rozmyślając, jak wyglądam przed gościem — bardzo źle czy przerażająco? Nieuczesane po śnie włosy, nieumyta, w starej długiej koszuli, dziury, których nie chciało mi się zaszyć. Ot, patrzcie, ślicznotka! — Wybaczcie na chwilkę.

Skryłam się w swojej komnacie, zwinęłam żaluzje\* i westchnęłam. Dlaczego właśnie mi przytrafiają się takie rzeczy? W pierwszych wrażeniach nie mam sobie równych!

Ktoś zastukał w drzwi. Nie chciałam przyznać się, jak się stęskniłam do tego stukania, dlatego burknęłam, padając na łóżko:

— Właż już.

— Fiu, fiu, fiu! W jakim ty dzisiaj z rana nastroju jesteś! — Irga

usiadł obok, czule mnie obejmując i całując w głowę. — Jak chcesz, to ci podaruję nową nocną koszulę.

Świetnie! To znaczy, że jeszcze obejrzał sobie moje ubranko!

— Nie trzeba, w starej lepiej mi się śpi, jest bardziej miękko.

— Trzeba w ogóle rzucić to przyzwyczajenie – spać w ubraniu — powiedział nekromanta, łaskocząc mnie za uchem. — Trzeba przyjąć nowe przyzwyczajenie — spać ze mną.

— Na długo do nas przyjechałeś? — ucieszyłam się.

— Oj, oj, tylko na inspekcje grobów — odrzekł Irga, figlarnie się uśmiechając. — A macie ich dużo.

Gwizdnęłam ze szczęścia i objęłam ukochanego za szyję.

— Jak ci się to udało?

— Bardzo łatwo. W związku ze sporadycznymi napadami księżycowych martwiaków nekromanci muszą skontrolować cmentarze na peryferiach — a nuż gdzieś znajdą się ślady działalności podniesionych trupów. No, a zdobyć papierek na to nie sprawiło mi większych trudności.

— Kogo ze sobą przywiozłeś?

— Uzdrowiciela!

— Oho! — stwierdziłam, szybko doprowadzając się do porządku i starając się ignorować żadne spojrzenia, którymi obrzucał mnie Irga. — Jak uzdrowiciel to bardzo dobrze, jest tu strasznie potrzebny.

— Zamierza z wami zamieszkać, tylko drzwi sąsiedniego pokoju

trzeba będzie odremontować. Co się z nimi stało? — zapytał nekromanta.

Zobaczyłam ogniki w jego oczach, dlatego więc nie spieszyłam się z odpowiedzią.

— A co wam Otto powiedział?

— Nic ważnego, tylko, że ty sobie pobuszowałaś.

— Jaaa? Nie mogłabym tak załatwić drzwi! Nie starczyłoby mi sił! — oburzyłam się.

Irga popatrzył na mnie i uśmiechnął się.

— To Otto mnie wkurzał i wkurzał i potem sam musiał drzwi rozwalać — pożałowałam się, poprawiając sobie samopoczucie.

— Idziemy — powiedział nekromanta. — Przywieźliśmy wam śniadanie. A drzwi naprawimy. Stolarza wezwiemy i wsjo.

— Zamierzaliśmy go wezwać — przyznałam się. — Ale nie było czasu.

Uzdrowiciel nazywał się Warsonia. Smarując sobie ogromną kanapkę masłem, opowiadał, że takie bzikowate imię nadała mu matula, której przed porodem objawił się anioł i praprzodek, mówiąc, że dzieciątko czeka wielka przyszłość, obfitująca w czyny. Na razie Warsonia był znany ze swojego obżarstwa i z tego, że wygnali go na czwartym roku z wydziału uzdrowicieli, ale przełożeni zlitowali się dać mu stopień młodszego uzdrowiciela, jeśli dobrze sprawdzi się w Gniedino i okolicznych włościach.

— Biedactwo — stwierdziłam. — Jesteś tu uwięziony na dłużej niż my.

— A co w tym złego? — zdziwił się tłścioch. — Najważniejsze, że karmią dobrze i dziewczyny wolne są, a bez reszty można się obejść.

— Nie powiem, ja na przykład, nie mogę obejść się bez łazienki z ogniowym demonem i kanalizacji — przyznałam się.

— No, a na co ci magia? — zapytał Warsonia. — Podgrzałabyś kocioł wody jednym pstryknięciem i kąp się!

Otto parsknął w brodę, ale pod moim złowrogim spojrzeniem ucichł. Irga pytająco uniósł brew, ale milczałam, a krasnolud kontynuował jak gdyby nigdy nic wystrugiwać łyżkę. Choć byłam pewna, że znajdując chwilkę czasu, zdrajca wyjaśni nekromancie, że ta żelazna kałuża na piecu to szczątki dużego sagana, który próbowałam nagrzać zaklęciem, ale się przeliczyłam.

— Z bojową magią nie za bardzo u mnie — podzielił się z nami uzdrowiciel.

— I u mnie — rzekł Otto. — Jestem rzemieślnikiem, źle się posługuję zaklęciami.

Oboje popatrzyli na mnie. Zaczerwieniłam się i spróbowałam wymyślić coś mądrego, co pocieszyłoby teoretyka, który nie za bardzo zna zwyczajną magię, którą władają nawet wiedźmy-amatorki.

— Przywiozłem wam mnóstwo książek — przerwał Irga. — Jest pośród nich kurs zwyczajnej magii, będziecie razem się uczyć.

— A co jeszcze przywiozłeś?

Nekromanta kiwnął stroną ogromnej sterty w kącie pokoju.

— Ooo! „Magia uwodzenia”! Jakie świetne! — zachwyciłam się. — Hmm, to znaczy chciałam się zapytać, po coś żeś ją przywiózł? Nie jest mi potrzebna!

Irga i Warsonia w milczeniu wyciągnęli z sakiewek po srebrniaku i oddali Ottonowi.

— Co to ma znaczyć? — spytałam podejrzliwie.

— Pokłóciliśmy się — szeroko uśmiechając się, przyznał półkrasnolud — o to, jaką książkę pierwszą zobaczysz. Irga stawiał na „Recepty piękna”, a uzdrowiciel na „Lekkie posiłki dla idealnej figury”.

Nie zamierzałam wyjaśniać, że dla tych, którzy potrafią uwodzić, żadne recepty nie są potrzebne. Czy mężczyźni potrafią zrozumieć takie rzeczy?

— Jeśli jesteście tacy mądrzy, to nagrzejcie mi wody do prania — zaproponowałam.

— A kto będzie prać? — od razu zaciekał się Otto.

— A kto chce?

Chłopaki szybko rozbiegli się do swoich zajęć, a ja szybko zjadłam śniadanie, wwaliłam ubrania do koryta i postanowiłam stworzyć golema, który pomógłby mi się z tym wszystkim uporać. Póki Otto poszedł po stolarza, Irga i Warsonia szybko przynieśli wody i wzięli się za przyprowadzenie podwórka do porządku. Kiedy wyszłam wywiesić bieliznę na dwór, zobaczyłam obrazek, oburzający mnie do głębi duszy. Póki ja męczyłam się w dusznym pokoju, ta bezwstydna dziewczyna Sita, rozebrana



do małych trójkątów, które pełniły u niej funkcje dolnej bielizny, leżała na płaskim dachu niziutkiej stodoły, wystawiając „ostatnie” na gorące słończko i na ogólne widowisko dla przechodzących. Moi drogocenni mężczyźni, oczywiście nie mogli przepuścić czegoś takiego i z całej siły udawali, że pracują, zdejmując koszule i błyszcząc muskułami. Szumnie nabrałam powietrza w usta, ale nagle usłyszałam:

— Ach, Irga, jesteś taki piękny, tylko dlaczego taki blady?

Nekromanta jeszcze bardziej się obrócił.

— Rzadko bywam na słońcu — strasznie milutko odpowiedział.

— Ach, dlaczego? Naprawdę nie podoba ci się leżeć na słończku w objęciach z jakąś ślicznotką?

— W dzień śpię — uśmiechnął się Irga.

— Sam? — leniwie spytała Sita, przeciągając się jak kotka i zrozumiałam, że najwyższy czas się wtrącić.

— Ze mną — powiedziałam, ciężko stawiając miskę z bielizną na ławkę. — A na słońcu nie siedzi, dlatego, że pracuje nocami na cmentarzu. Jest nekromanta, podnosi trupy.

Oczy dziewczyny zrobiły się okrągłe i ze strachem odsunęła się od skraju daszku.

— Ubierz się, proszę — rzuciłam w Irgę koszulę. — Spalisz się na słońcu.

Nekromanta złapał koszulę i zapytał niewinnie:

— Jesteś zazdrosna?

— Jeszcze czego, boję się o ciebie!

Zazdrościłam. Oczywiście, że byłam zazdrosna! To mi się powinno podobać, jak drgają mięśnie na świetnym ciele, jak pot kropelkami błyszczy na nim i skroniach, jak Irga energicznie potrząsa głową, uwalniając się od łażącej w oczy grzywki. Takie widoki powinny być przeznaczone tylko dla mnie, a nie dla jakiś tam dziewczyn, odzianych w chustki do nosa i uważające, że teraz mogą wszystko.

— Irga to mój narzeczony — w zamyśleniu powiedziałam do nieba. — I zamienię w żabę każdego, kto będzie miał do niego „jakiś” interes.

— A możesz? — zapytał zaciekawiony Warsonia.

— Co konkretnie?

— Zamieniać w żabę.

— Mogę.

— Ale przecież to jest z wyższego stopnia magicznego mistrzostwa!

— Wątpisz we mnie? — zapytałam, widząc, jak na daszku Sita cała zamieniła się w słuch.

— Nie, po prostu...

Westchnęłam. Wątpiłam, że sama mogę zamienić kogoś w żabę, bo transformacja to ciężka sprawa, ale jeśli teraz czegoś nie wymyślę, to bezwstydną dziewczuchą nie będzie dawała Irdzie spokoju swymi piersiami.

Myśl o tym rozzłościła mnie ostatecznie, i zaczęłam tworzyć zaklęcie, z wielkim trudem przypominając sobie zaklęcia z podręcznika do transformacji. Kula energii w moich rękach stawała się coraz większa i mocniejsza. Otto i uzdrowiciel z ciekawością śledzili rozwój wydarzeń, a Sita zwiesiła się z dachu tak, że prawie nie spadła. Popatrzyłam na przyczynę tego wszystkiego. Irga, mrużąc oczy, uważnie patrzył na moje ręce i, gdy tylko zamachnęłam się, żeby rzucić zaklęcie, skoczył, zwalając mnie z nóg. Strumień energii poleciał gdzieś w bok, a ja z bólem leżałam na plecach na jakiejś desce.

— Całkiem rozum straciłeś! — wrzasnęłam, z trudem powstrzymując łzy bólu.

Irga w milczeniu objął mnie. Huknęło. Przerażliwie wrzasnęła Sita, westchnął Otto. Nekromanta podniósł się z trudem, a potem pomógł mi. Większa część mistrzowi znikła. Sąsiedni dach od wybuchu zachwiał się, a Sita piszczała, rozplaszczając się na dachu i bojąc się zrobić choćby jeden ruch.

— Twoje zaklęcie popadło w artefakty — pochmurnie oznajmił Otto, patrząc na maleńkie krwawiące ranki na rękach i brzuchu od odłamków. — W te, które już zaczęłaś napełniać energią. Teraz nie mamy ani mistrzowi, ani artefaktów.

Zajęczał, ale nie widziałam od czego — czy od bólu, czy dlatego, że tyle pracy poszło na marne.

Warsonia pomógł zejść Sicie i pobiegł do domu.

— Jesteś wariatką! — krzyknęła dziewczyna, rzucając się na mnie.

Popatrzyłam na nią, nie ruszając się i przygotowując przyjęć zasłużoną karę. Kiedy pod wpływem gniewu lepiłam zaklęcie, w ogóle nie pomyślałam, że będą takie skutki uboczne. Było mi strasznie wstyd...

Warsonia wyskoczył z domu, trzymając w rękach walizkę uzdrowiciela. Spokojnie coś mówił, opatrując rany półkrasnoluda.

— Uratowałem ci życie — spokojnie powiedział Irga Sicie. — Ola naprawdę jest silnym magiem i jesteśmy winni, że ją rozzłościliśmy. Naprawdę stałabyś się żabą, i nie jestem pewien, czy ktoś oprócz Oli mógłby cię odczarować. Dlatego, dawaj, nie będziemy więcej wystawiać na próbę jej cierpliwości, dobra?

Sąsiadka kiwnęła, słowa Irgi na nią podziałały i dziewczucha zwiła ode mnie byle dalej. Milczałam, nie wiedziałam co powiedzieć.

— Irga! — powiedział uzdrowiciel. — Masz całe plecy we krwi.

— Załatwimy to — rzucił nekromanta i zaciągnął mnie do domu. Mechanicznie przebierałam nogami.

— Gdzie jest wasza apteczka? — zapytał.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że będę opatrywać twoje rany?

— Tak.

— Boję się!

— Każdy, miła, każdy postępek ma swoje skutki. I każdy człowiek, tym bardziej mag, obdarzony siłą, powinien myśleć gdzie doprowadzą go jego postęпки.

Płacząc, wzięłam się za opatrywanie ran na plecach nekromanty. On cierpliwie milczał. Źle mi było za oboje. Nie, nie bałam się krwi, ale patrzeć, jak pod własnymi palcami cieknie krew ukochanego człowieka i wiedzieć, że tę ranę naniósł mu sama... No, nie sama, ale ona pojawiła się w skutkach twojej działalności... To bardzo boli.

— O, jaka scena! — powiedział wchodzący do domu Otto. — Piękny i bestia. Powiedzcie mi, miłe dzieci, kto będzie remontował nam mistrzownię?

Chlipnęłam.

— Sami odremontujemy — łagodnie powiedział Warsonia. — Pomóc ci, Ola?

— Nie trzeba — powiedziałam. — To moja kara...

— Nie zrozumiałem, ale ty naprawdę prawie co nie zamieniłaś Sity w zabę? — uzdrowiciel i tak podszedł do mnie i szybkimi ruchami zasklepił skraje samych najgorszych ranek.

— Nie myślę — odezwał się Irga. — Ale to, w co zamieniła by nieszczęsną dziewczynę, weszło by do podręczników jako nieznaną istotą, którą nie można przywrócić do poprzedniego stanu.

— Aż tak źle? — zapytałam z jękiem..

— Na ile dobrze zrozumiałem, dopuściłaś się w zaklęciu kilku dużych błędów — beznamiętnie powiedział Irga.

— A ty skąd wiesz? — zapytał Otto.

— Praca nekromanty jest ściśle powiązana z transformacją, dlatego

zauważyłem błędy przy pracy z energią. Nie chciałem, żeby Ola trafiła do więzienia przez jakąś piersiastą dziewczynę, ale do ostatniego momentu miałem nadzieję, że nie będzie rzucać zaklęcia w cel.

Poczułam do siebie żal. Milcząc zakończyłam opatrywać ranki, wznowiłam zaklęcie przeciwbólowe i poszłam do siebie.

Padając na łóżko myślałam o swoim żalonym życiu. Wniosek jest jeden - konkurentek trzeba się pozbywać tylko fizycznymi metodami. Topić, truć, zastrzelać, zarzynać. Żadnej magii!

— Obraziłaś się? — zapytał Irga, zaglądając do pokoju.

— Zrobiłaś ze mnie idiotkę przed wszystkimi — powiedziałam, odwracając się.

— Dlaczego przed wszystkimi? Dla Sity jesteś teraz wielką magiczką, będzie się ciebie bać.

— A co o mnie pomyśli Warsonia?

— Jest oszołomiony. Dla niego to niedoścignione wyżyny magii. Jest bardzo słabym magiem.

— Tak, rozumiem, nawet go wygnali — potaknęłam.

Irga roześmiał się.

— Wygnali go dlatego, że ograbił uniwersytetcką stołówkę — powiedział. — Burik powiedział, że wystarczyło mu naruszenie dwóch praw Uniwersytetu i więcej nie będzie tego tolerował.

— No — całkiem się pogubiłam. — Okazuję się, że to nie moja wina,

że wygnali go z Uniwersytetu!

— Nie masz z tym nic wspólnego, przecież nie kazałaś mu ograbić stołówki. Po prostu dla Burika służycie jako przykład „tego, czego nie wolno robić w Uniwersytecie”. Przeklina wami. Mówi tak: „Olę i Ottona wam na łeb”!

Poczułam się mile połączona.

— Mam nadzieję, że ucieszy cię wiadomość, że dla młodszych roczników jesteście przykładem jak naruszać prawa i nadal się uczyć na uczelni?

— Skąd o tym wiesz?

— Przygnali mi na praktykę młodych, od nich wiem — uśmiechnął się Irga. — Teraz nie jestem po prostu Irgą Irronto, a „tym, który jest narzeczonym Oli”.

Ta nowość ostatecznie pogodziła mnie z życiem.

— No, nawet już się uśmiechasz — ucieszył się Irga. — Obiecujesz więcej nie czarować bezmyślnie?

— A ty obiecujesz nie prężyć się przed innymi dziewczynami?

Nekromanta roześmiał się i usiadł obok.

— A co, zamienisz mnie w żabę? — drażnił się.

— Nie, w cudaka!

— Dobrze, zgadzam się — Irga potargał moje włosy, jeszcze bardziej niszcząc fryzurę. — Chodź, tam do tej pory nie jest rozwieszona bielizna.

Weszliśmy do gościnnego i zobaczyliśmy, jak Otto i Warsonia są zajęci wpatrywaniem się w okno.

— Co tam? — zaciekawiłam się.

— Ludyna przylazła i podziwia ostatki naszej mistrzowni. Co im powiemy?

— Że wypróbowałyśmy nowe zaklęcie i się nie udało — zaproponował uzdrowiciel.

— Za późno — powiedziałam, patrząc, jak w tłumie stoi odziana w ręcznik Sita i coś chaotycznie objaśnia, machając rękami.

— Musisz iść ratować naszą reputację dobrym wyjaśnieniem — powiedział Otto.

— A co ja im powiem? — żałośnie zapytałam.

— Coś, co by odpowiadało twojemu obliczu dyplomowanej magiczki — odpowiedział krasnolud.

— Pomogę ci — powiedział Irga, nakładając nową koszulę.

Wyszłam na ganek, opierając ręce na bokach – publiczność nie powinna widzieć, jak się trzęsą.

— Wy... — głos urwał się, odkaszlnęłam i groźnie zapytałam:

— Co chcieliście, poczciwcy?

— Wy, panna mag, za co chcieliście zaczarować moją córkę? — spytała Sata wychodząc na przód.



— Z różnych powodów — dumnie odpowiedziałam. — Bardzo mi się nie spodobało, jak przed moim narzeczonym wdziękami kręci.

Z tłumu krzyknęło kilka przyjaznych kobiet.

— Moja córka przed kim chce, tym przed tym będzie kręcić — powiedziała Sata dumnie. — A jeśli wasz narzeczony jest taki słabiutki, że jego pierwsza lepsza spódnica uwiedzie, to nie powód posługiwać się zaklęciami.

— Mój narzeczony jest nekromantą — powiedziałam, akcentując ostatnie słowo. — Jego wszystkie dziewczyny, oprócz mnie, interesują z zawodowego punktu widzenia. Na pewno postanowił, że z pańskiej córki będzie dobry zombie-służący

Tłum krzyknął i odskoczył, a Irga pociągnął mnie za włosy, ale nic nie powiedział. Sata schowała córkę za plecy i drżącym głosem powiedziała:

— Nie potrzebujemy tu nekromantów!

— A to, łaskawa pani, nie do was zależy — powiedział Irga chłodnym tonem. — I w pierwszej kolejności radziłbym nie drażnić magów, a mało co się stanie.

Ludzie potaknęli i pospiesznie się rozeszli.

— No, teraz to oni ciebie się boją — powiedziałam karcąco. — I mnie też, a to dobrze.

— Jak myślisz, jeśli pomogę ci rozwiesić bieliznę, to bardzo nadwyreżę swój wizerunek w oczach twoich sąsiadów? — zapytał Irga.

— Nie, oczywiście, że będą szukać w twoich działaniach jakiegoś

podstępu — szybko odpowiedziałam. — Co robią nekromanci z mokrą bielizną?

— Nie wiem — zamyślił się ukochany. — Ale na pewno wymyślę coś straszego i wrednego.

Zgodnie rozwieszaliśmy bieliznę i przyłapałam się na myśli, że jeśli tak wygląda rodzinne życie, to mi się ono podoba.

Następnego ranka na piętnastominutowkę do Mistrza Fila przyszedł z nami Irga i po prosił o audiencję. Nie wiem, o czym rozmawiali, ale po jakimś czasie wyszedł Irga bardzo z siebie zadowolony.

— Mistrz daje wam tydzień wolnego, żeby odbudować mistrzownię i od następnego tygodnia nie musicie przychodzić do niego codziennie, a co drugi dzień.

— Irga! — zachwyciłam się. — Jak ci się to udało?

— Sekrety uroku osobistego.

— A on przypadkiem nie odwołał zakazu na dziewczyny? — zapytał Otto.

— Nieesteetyyy, nieesteetyyy. Za to jest zadowolony, że jego praktykantka wybrała sobie takiego świetnego narzeczonego!

— Jakiś ty skromny — zachwyciłam się.

— Mam do tego powód!

— Tak, jesteś moim skarbem, taki mądry, wszystko umiesz i wiesz — zaczęłam się podlizywać. W mojej głowie pojawił się plan i potrzebowałam

wcielić go w życie.

— Uważaj Irga, ona coś wymyśliła! — przestrzegł go Otto.

— Co, nie mogę chwalić swojego ukochanego, ot tak? — oburzyłam się.

Oczywiście w moją niewinność nikt nie uwierzył. Chłopaki wyczekująco patrzyli na mnie.

— Irga — powiedziałam, postanawiając postawić sprawę jasno. — A ty możesz przyzwać ogniowego demona, żeby wodę grzał? Tak chciałabym chodzić pod prysznic jak człowiek!

— A, o to chodzi! Demona może bym i spróbował wezwać, ale gdzie będzie żył i czym będziecie go karmić? I kanalizację trzeba zrobić.

— Czy naprawdę — zaczęłam z goryczą — będę się myć w gorącej wodzie tylko u mamy albo u ciebie?

— Oswajaj się ze zwyczajną magią — poradził Irga.

— Nie przeżywaj, złotko! Pożyjemy tutaj i zostaniesz świetną żoną dla Irgi— zachęcał mnie Otto. — Będziesz potrafiła robić wszystko!

— Chcesz powiedzieć, że jeśli wredny Dziekan nie rzuciłby nas do tej głuszy, to byłabym złą żoną dla Irgi? Powiedz mu, Irga!

Ale nekromanta przemilczał. Dobra, dobra, ja ci to wypomnę, kiedy nocą przyjdiesz mnie obmacywać!

— Nie chcę powiedzieć, że byłabyś złą żoną. Byłabyś normalną żoną, a tak będziesz świetną! — powiedział Otto.

— A ja, może, po praktykach w ogóle nie będę chciała zostać żoną — odpowiedział, złośliwie patrząc, jak zmienia się wyraz twarzy Irgi. — Otworzę kursy zwyczajnej magii!

— Wymarzone zajęcia dla Mistrza Artefaktów z między narodową rekomendacją— zauważył Otto roześmianym głosem.

— Jakiś dzisiaj milutki jesteś.

— A to ja wczoraj rozwalilem pół mistrzowi i wywalilem pod ogon Sukinkotowi całą naszą robotę?!

— Jeśli on nie zwałiby mnie z nóg...

— Jeśli Irga nie zbiłby cię z nóg, to już byłaby tu komisja, zajmująca się magicznymi przestępstwami i bym ci paczki do kicia nosił! — powiedział wkurzony Otto.

— Można pomyśleć, że byś je nosił!

— Ach, ty niewdzięcznico!!!

— Nie kłóćcie się — poprosił nekromanta. — Poczekajcie, aż dojdziemy do domu, nie warto dyskryminować się w oczach pozostałych.

— Już jesteśmy zdyskryminowani — burknął Otto, ale aż do samego domu pokornie milczał, a ja obmyślałam argumenty na moją korzyść i technikę napaści.

Jak tylko zamknęły się drzwi, półkrasnolud otworzył usta, ale przebił go Irga:

— Jeśli nie macie nic przeciwko, nie będę oglądać waszego

przedstawienia, a kiedy zacznie się zabijać nawzajem to zawołajcie.

— Ty! — ryknął Otto, jak tylko za Irgą zamknęły się drzwi. — Cały tydzień zachowujesz się jak maleńka dziewczynka, tylko co odczepiona od maminej spódnicy. A to ci się nie podoba, a to tamto ci się nie podoba, to nie dobre, a to jeszcze gorsze!

— A ty! — przebiłam go. — Mógłbyś mi pomóc! A tylko strofujesz — to nie tak zrobiłaś, a to nie tak!

— A ty jesteś kobietą! Powinnaś opiekować się domem i gospodarstwem!

— A ty jesteś mężczyzną! Przez tydzień nie mógłś drzwi naprawić! — obrzuciłam pokój spojrzeniem, szukając rzeczy, które pomogą mi w czekającej mnie walce. Gdzie nasz pogrzebacz?

— A ty...

— A ja twoje skarpety wczoraj prałam, sam byś to zrobił!

— A...

Postanowiłam nie słuchać więcej zarzutów pod swój adres, więc rzuciłam się do ataku, wczepiwszy się w brodę Ottona. Sam podłożył mi haka, który mnie przewrócił, ale brody i tak nie puściłam. Dlatego półkrasnolud był na górze, a ja wtedy wykręciłam się. Poturlaliśmy się po pokoju, natrafiając na ławki i zasadzając kulaki. Teraz ja znalazłam się na górze i zaczęłam walić przyjaciela w brzuch, a on próbował zrzucić mnie, klnąc po krasnoludzku. Ja także przeszłam na krasnoludzki, naukę którego zawdzięczałam rodzinie Ottona i zaczęłam oddawać z nie mniejszą

zaciekłością.

— Co wy robicie?! — naszą walkę przerwał przestraszony głos Warsonii. — Irga, Irga!

Nekromanta wybiegł z pokoju. Przestaliśmy się bić nawzajem i teraz ciężko dysząc, siedzieliśmy na podłodze.

— Przestraszyłeś mnie. Myślałem, że się mordują.

— Oni się mordowali! — uzdrowiciel nie wiedział, komu najpierw pomóc, dlatego bezradnie kręcił głową.

— Gdzie tam, nie mordowali się! Tak załatwiają swoje sprawy już od paru lat.

Warsonia wzniosł ręce.

— Pierwsze wrażenie myli — wyjaśnił Irga, pomagając mi wstać. — Wf i wywód w jednej butelce.

— Pokój? — zapytał Otto, pocierając bok.

— Pokój — przyłgnęłam do niego, obejmując dwiema rękami szeroki tułów.

— No widzisz — powiedział nekromanta.

— Przyproważyłem ludzi — westchnął Warsonia. — Będą wam remontować mistrzownię.

— Dobrze pracują — warknął półkrasnolud. — Żadna ławka się nie połamała. Trzeba będzie dać im jakąś premię. Coś, czego nie będzie nam żal.

— Po pierozku? — zaproponowałam, masując się po obitych miejscach. Meble naprawdę były świetnie zrobione.

Otto pokiwał twierdząco, przygładził brodę, poprawił koszulę i wyszedł. A ja zajęłam się doprowadzeniem do porządku pokoju — co by nie mówić, półkrasnolud ma rację. Nie prosi mnie, żebym przynosiła wodę ze studni albo drewno. A to znaczy, że domem będę się zajmowała ja.

Nita, która przyniosła obiad usiadła na ławce, gdyż nie mogła się doczekać, aż podzieli się nowościami.

— Nie poszłicie dzisiaj na śniadanie — zaczęła rozmowę.

— Zaspaliśmy.

— A na was tak czekali i czekali.

Właśnie tego się bałam — że na nas czekali, dlatego właśnie postanowiłam zrezygnować ze śniadania. Otto powiedział, że nie będzie odpowiadał za wszystkich i także nie poszedł.

— Tyle rozmów było o wczorajszym — powiedziała sąsiadka, mrużąc z zadowolenia oczy. Była zadowolona, że jest w gronie wybranych, którzy mogli zadawać się z magami. — Prawdę mówiąc, na początku, ludzie nie wierzyli, że jesteście prawdziwymi magami.

— Jak to? — zdziwiłam się.

— Chorobliwie młodzi — wyjaśniła sąsiadka. — Ale po tym, jak załatwiliście Sitę, uwierzyli i to jeszcze jak! Dobrze jej, tej gołonogiej bezwstydnicy!

Już wiedziałam, że Nita ma syna Nata, którego próbuje zeswatać ze

spokojną dziewczyną z naszej ulicy, ale chłopak uparcie patrzy w stronę piersiastej sąsiadki. Dlatego takie załatwienie Sity bardzo ją uszczęśliwiało.

— Teraz nawet ci, którzy byli przeciwni firankom, dali pieniądze! — pochwaliła się.

— Co jest z tymi firankami? — nie wytrzymałam.

— Pieniądze zbieraliśmy na nie zewsząd — rzekła sąsiadka. — Większość dostało się wam po wcześniejszym uzdrowicielu, część pieniędzy poszła na oporządzenie, a na upiększanie nie zostało nic. No to postanowiliśmy, że trzeba wam zrobić tu bardziej wygodnie, więc kupiliśmy firanki. A pieniążków nie ma! No, to każdy zebrał ile mógł, a żona Roma Borycza pojechała do Czystiakowa i kupiła. Powiedziała, że to ostatni krzyk mody.

— Krzyk umierającego... — wymamrotałam. Do tej pory bez ciarek nie mogłam patrzeć na te firanki! — Dziękuję za wygodę.

Teraz zrozumiałam, dlaczego każdy uważa firanki za swoje. Nawet pewnie każdy myśli, że dał najwięcej, nie wspominając o zapomnianym miedziaku, którego na to dał.

Pożegnałam się z sąsiadką i wyszłam na dwór. Mężczyźni, pracując, głośno omawiali, co rozwalę następnym razem. Otto i Irga tylko się podśmiewywali, ale straszyć mieszkańców nie chcieli.

— Żadnych więcej demolek nie będzie! — powiedziałam głośno z sieni.

— Ot, jaka szkoda! — rzekł najbliższy stojący facet i dosadnie rzucił



drewnem, które niósł.

Przestraszyłam się, zapał do pracy u robotników szybko zgaśnie, dlatego jeszcze głośniejszy powiedziałam:

— Oprócz fajerwerków, które zrobię po skończeniu budowy, jeśli, oczywiście, podwórko będzie posprzątane, a nie jak poprzednio.

Ludyna wesoło zaszumiała, a Irga, który podszedł, szepnął mi na ucho:

— Jak będziesz robić fajerwerki to odejdź jak najdalej od zabudowań. I w ogóle, najpierw potrenuj w bezludnym miejscu.

— Wątpisz we mnie? — zapytałam.

— W tym wypadku nie — ze śmiechem rzekł nekromanta — Dlatego właśnie dobrze radzę.

Pocałowałszy mnie w usta, poszedł pracować przy mistrzowni, a ja usiadłam na schodach i zaczęłam przeżuwać pierożki, patrząc jak pracują inni i ciesząc się z tego, że jestem kobietą i nie muszę taskać belek. A pranie już jakoś przeżyję!

\*Wybaczcie, ale tam naprawdę tak napisano – choć kto wie, może mają jakieś drewniane żaluzje... [przyp. Kuszumai]

## ***Rodział 12***

## *Śledzić narzeczonego*

Rankiem ulewa, męcząca nad od dwóch dni, zmieniła się w lekki deszczyk. Droga do dworu, leżącego w kącie całkiem rozmokła. Tępo wpatrywałam się w okno, zbierając siły na wycieczkę do toalety. Kiedy wczoraj wieczorem zdecydowałam się na ten krok, to potem pół godziny czyściłam spódnicę z błota.

— A mówiłem, że trzeba drogę zrobić — zauważył Otto. — A tobie zawsze kasy żal.

Popatrzyłam się na przyjaciela, lecz nic nie powiedziałam. Nie warto teraz było zaczepiać półkrasnoluda. Otto był pochmurny. Dwa miesiące nieustannej roboty na rachunek państwa, bez rozrywek i nowych sensacji dobiły nawet nie narzekającego na los Warsonie, któremu wydawało się, że dla pełni szczęścia potrzebne jest tylko porządne żarcie.

Ostatnim wydarzeniem, które wzburzyło gniedińską społeczność, była miesiąc temu bójka w "Samej najlepszej" między dwoma kątoogniami\*, mieszkającymi w odległych gospodarstwach, którzy przyjechali się rozerwać. Rozerwali się imponująco — Warsonia przyjmował wtedy ciężki poród i nie chciał rozmieniać się na drobne, tudzież zmasakrowane nosy i połamane kończyny. Kątoognie zwrócili się do mnie, a ja z ręką na sercu uprzedziłam, że teraz badam uniwersalną magię, rozdział „Pierwsza pomoc do przybycia uzdrowicieli”. Mężczyźni z widocznym doświadczeniem odmówili, więc ograniczyłam się tylko do tłumiącego ból zaklęcia.

Chlapiąc w błocie wracałam do domu, nie od razu usłyszałam, jak ktoś mnie woła. Podnosząc lekko szeroką czapkę, pod którą schowałam się przed deszczem, zobaczyłam młodego człowieka na koniu.

— Jesteście Mistrzem Artefaktów? — zapytał.

— Tak — odpowiedziałam groźnie, zastanawiając się, ile tym razem zajmie mi czasu wyczyszczenie spódnicy z błota.

— A ja jestem baron Ron nia Buj, przyjechałem złożyć zamówienia na artefakty. Pozwolicie mi wejść?

Baron? To, najwyraźniej, jeden z panów lasu, miejscowych arystokratów, którym nie starcza pieniędzy, żeby wieść w mieście godne dla siebie życie.

— Wchodźcie, wchodźcie — krzyknęłam, radując się nieoczekiwaną atrakcją.

Baron starannie przywiązał swoją srokatą kobyłkę do koniowiązu i razem ze mną wszedł do domu. Flegmatycznie wyklinający się przyjaciele od razu zaprzestali tego i popatrzyli się na chłopaka, a ja strząsnęłam z czapki wodę i także popatrzyłam się na naszego klienta.

Baron Ron był całkiem-całkiem. Gęste, długie i z lekka falowane włosy były związane w kucyk przewiązany elegancką wstążką, przyjemną, przystojną, jak by powiedziała moja babcia — „rasową”, twarz upiększały małe wąsiki. Nie za modny i nie za nowy strój podkreślał stateczną postawę młodego człowieka, nie bojącego się ciężkiego fizycznego wysiłku. Jeśli dodać do tego wysoki wzrost, błyszczące ostrogi, baronowski pierścień na palcu i brak zaręczynowej obrączki, to z trudem wytrzymałam, żeby nie

wyjrzeć przez okno i nie przekonać się, czy w okolicznych kałużach nie walają się miejscowe ślicznotki.

— Słuchamy was — przymilająco powiedział Otto, po tym, jak przedstawiliśmy się i zrobiłam herbatę.

— Chciałby zamówić artefakty od siły nieczystej dla swoich ludzi — rzekł baron, delikatnie chwytając filiżankę z herbatą.

— Jesteście z dworu „Lesna Feja”? — zapytał krasnolud, buszując w zapiskach.

To był spis mieszkańców, dla których byliśmy zobowiązani zrobić artefakty, którą zrobiłam, siedząc przez cały tydzień w archiwach Borycza.

— Tak, mamy teraz pięćset sześćdziesiąt ludzi.

— Oho! — powiedział Otto. — A ty, Olu, napisałaś, że we dworze żyje tylko półtora set mieszkańców.

— Ostatnimi czasy rośniemy i wzbogacamy się — wyjaśnił Ron. — Dlatego potrzebujemy ochrony nie tylko przed siłą nieczystą, ale także i od leśnych rozbójników, od kradzieży, od leśnych duchów, a także amulety, które dodają sił, które powiększają...

— Czekajcie, czekajcie — powiedziałam. — Nie nadążam z zapisywaniem. Te amulety są potrzebne dla wszystkich?

— Nie — powiedział baron, wyciągając z torby złożoną kartkę. — Tu napisałem wszystko, komu i ile. A także pomierzyłem wszystkich ludzi, tak na wszelki wypadek.

Razem z Otto popatrzyliśmy na listę i półkrasnolud z coraz większym

szacunkiem zwrócił się do młodzieńca:

— Bardzo mi się podobają takie duże zamówienia. Wasze zamówienie zrobimy bez kolejki, prawda, Olu?

— Tylko wcześniejszą partię skończymy — odezwała się.

Mi baron też się spodobał, szczególnie jego zielone oczy pod puszystymi rzęsami.

— Dobrze — przytaknął Ron. — Chciałbym was także zaprosić, pewnie wam tu brakuje towarzystwa...

— Bądź co bądź — odezwał się Warsonia. — Nudnawo tutaj.

— Nie wiem czy możemy pozwolić sobie u was gościć — nieoczekiwanie zdecydowanie powiedział Otto. — Jeśli chcecie, żebyśmy wykonali zamówienie jak najszybciej.

— A ja, chyba, pojedę — powiedział uzdrowiciel. — Nie potrzebujecie usług uzdrowiciela?

— Porzucasz nas? — zapytałam, wkurzona odmową półkrasnoluda.

— Żadnych poważnych wypadków typu poród czy ocielanie się nie przewiduję. — machnął ręką Warsonia. — A z resztą, wierzę, że sobie poradzisz.

Westchnęłam. Też chciałam pojechać sobie do barona, w jego rozrastający się dwór, popatrzeć na zamieszkujących go ludzi, pojeść wyszukanego jedzenia ze srebrnej zastawy.

— Baronie, u was jest srebrna zastawa? — zapytałam.

— We dworze mamy wszystko. Solidny zamek, letni dwór, farmy, tartak, a nawet szkołę! W każdą sobotę urządzamy tańce. No, i uzdrowiciel jest.

— Tak? — skwaśniał Warsonia.

— Ale jest już dosyć stary, pomoc zawsze mu się przyda.

— A jak pojedziesz? — z zawiścią zapytałam. — Konia nie mamy, a jeździć wierzchem nie potrafisz.

— Przyślę powóz po uzdrowiciela — rzekł baron. — Może i wy zechciecie pojechać.

— Dobra — ucieszyłam się.

Wysłałam odprowadzić Rona, za co zostałam wynagrodzona uroczym uśmiechem, rozgrzewającym lepiej, niż herbata.

— Żałuję, — powiedział — że przyjeżdżając do miasta nie spotkałem was wcześniej. Było miło poznać.

— Wzajemnie — wybełkotałam, czując gorący uścisk dłoni.

Wróciłam do domu w pełni zadowolona z życia. Zawsze przyjemnie jest mieć styczność z czarującym mężczyzną!

— Co? — zapytałam, zobaczywszy, jak Otto patrzy na mnie wilkiem.

— Normalnie jesteś jak kocica! — stwierdził ze szczerego serca.

— A co to za nowość? — speszyłam się.

— Wystarczyło pomachać nad horyzontem kilkoma ładnymi

mordami, jak już strzelasz oczami i taaak się usmiechasz! Jesteś już prawie zamężna kobietą, nawiasem mówiąc!

— A tobie co, Irga zapłacił, żebyś mnie pilnował? — kipiałam. — Jestem żywym człowiekiem, mimo wszystko! Gdzie jest ten, który zwie się moim narzeczonym? Nie może się oderwać od swoich trupów, przyjedzie, kiedy tylko padnę i zsinieję! A więc nie mogę się do nikogo uśmiechnąć?

— Tak, jak ty się uśmiechasz - nie! — krzyknął Otto.

— Znaczy jak?

— Wystarczyło, żeby palcem kiwnął, a już byś mu do łóżka wskoczyła!

Aż zapowietrzyłam się z oburzenia.

— Jak ty... Co ty... Więc to tak o mnie myślisz! Jak o łożącej dziewczusze!

— Jak chcę, tak myślę — odgryzł się półkrasnolud i zamknął w swoim pokoju.

Od nadmiaru uczuć rzuciłam za nim patelnię. Kasza z żalonym pluskiem spadła na podłogę.

— Ola — powiedział cicho uzdrowiciel.

— Co? — krzyknęłam, z trudem powstrzymując łzy. — Nie, wcale mi nie szkoda kaszy, której niedojadłeś!

— Ola — tak samo cicho i spokojnie powtórzył Warsonia. — Spróbuj zrozumieć Ottona.

Naszła mnie chęć rzucenia w Warsonię pogrzebaczem. Też mi męska solidarność.

— Nie będę go faworyzował — powiedział Warsonufij. — Mówię prawdę. Siadaj obok i posłuchaj.

Jeśli nie będzie mi tu gadał, że Otto jest dobry, a ja zła, to się zgadzam..

— Ola— powoli szeptał uzdrowiciel i żeby go usłyszeć, mimowolnie musiałam się uspokoić. — Zrozum swojego przyjaciela. Jest mężczyzną, a mężczyznom trzeba trochę więcej, niż kobietom, uwagi płci przeciwnej.

— Też potrzebuję uwagi płci przeciwnej!

— U ciebie jest to związane z psychologią, a u niego z fizjologią — rzekł uzdrowiciel.

— Przecież jest krasnoludem!

— A krasnolud to nie mężczyzna?

— Krasnoludy powinny cierpieć i czekać na tę swoją jedyną! — powiedziałam nie całkiem pewnie. W dziedzinie męskiej fizjologii poruszałam się źle. Wiedziałam tylko to, co mi powiedzieli Otto i Irga i trochę z wykładów o tematyce uzdrowicielskiej.

— Krasnoludy to mimo wszystko nie kamienie — zauważył Warsonia.

— A co, nie można jakoś tak? — zapytałam zamyślona.

— Jakoś tak, to nie tak. Widzę, że się zamyśliłaś. Czy to oznacza, że



żegnasz się z Ottonem?

— Tak naprawdę to pomyślałam o czymś innym — powiedziałam ze smutkiem. — Dopiero teraz zastanowiłam się nad pytaniem — jak załatwia ten problem Irga, kiedy jest ode mnie daleko?

— Musisz zapytać Irgę — powiedział Warsonia.

— Już mi na pewno powie! — warknęłam i podeszłam do pokoju krasnoluda. — Ej, Otto, przestań się wkurzać! Załatwisz mi alibi przed Filem na kilka dni? Muszę wyskoczyć na trochę do Czystiakowa.

— Po co? — zapytał najlepszy przyjaciel zza drzwi.

— Chcę się dowiedzieć, czym zajmuje się Irga. Przy takim deszczu na cmentarzu dużo sobie nie pokopiesz.

— Może nie mają u siebie deszczu — powiedział Otto, otwierając drzwi. — Przyznaj się, chcesz go zaskoczyć znieńacka.

— Tak — przyznałam się. — Obiecuj, że nie doniesiesz.

— Obiecuję — westchnął półkrasnulud.

— Mam lepszy pomysł — wtrzyił się Warsonia. — A co, jeśli w czasie twojego wyjazdu pojedziemy do Rona? Ja jako uzdrowiciel, a Otto jako Mistrz Artefaktów miary wziąć.

— Miary już mamy — sprzeciwił się półkrasnulud.

— Ale nikt oprócz nas o tym nie wie.

— Warsonia, jesteś geniuszem! — ucieszyłam się. — Otto, przecież Fil zakazał zajmować ci się dziewczynami tylko tu, a o leśnych dworach nic

nie mówił!

— Jeszcze czego, rzucać się na wieśniaczki — parsknął półkrasnolud. — Za kogo ty mnie masz? Jadę w naprawdę naukowych rzeczach, nie potrzebuję wcale kobiet. Oszczędzam się dla swej jedynej!

Chciałam coś powiedzieć na temat płomyczka, migoczącego w oczach mego kumpla — takiego samego jak u Irgi przed wieczorem spędzonym tylko we dwoje — ale złapałam ostrzegający wzrok Warsoni i przemilczałam.

Następnego dnia, zaopatrzona w listę rzeczy do kupienia w Czystiakowie, wsiadłam do powozu. Przez godzinę spędzoną wśród ludzi także upakowanych w dusznej, ciasnej karecie zdążyłam już pożałować swojej decyzji. No co za głupi pomysł, że Irga mnie zdradza? Nawet jeśli mnie zdradza, to co ja mogę zrobić? W najbliższe miesiące — nic, bo jestem zmuszona siedzieć w gnuśnym, nudnym i głupim miasteczku. Powozik podskoczył na kolejnej przeszkodzie i znowu zaczęłam się przeklinać. Czy Irga dawał mi powód do podejrzeń? Twierdzi, że mnie kocha...

Moje rozmyślenia przerwał ogłuszający trzask. Pasażerowie wrzasnęli, powóz zatrzymał, a woźnica zaczął głośno kląć. Wyszłam na zewnątrz. Okazało się, że pękła jedna lina, trzymająca kupę bagażu na dachu. Torby, skrzynki i walizki przekrzywiły się, a jedna ze skrzynek w ogóle spadła, przez co odleciało wieczko, i młode gęsi poczuły wolność.

— Moje gęsi! — krzyknęła babcia, siedząca w powozie razem ze mną. — Ratujcie! Ocalcie!

Pasażerowie z jękiem zaczęli gonić gęsi, a dwójka pozostałych razem

z woźnicą zaczęła przymocowywać bagaż. Popatrzyłam na ten obrazek i jeszcze bardziej upewniłam się w tym, że jestem naprawdę głupia, a raczej naprawdę głupią zazdrośnicą!

— Panno mag, — powiedział jękając się woźnica — a nie moglibyście czegoś tam zrobić, żebyśmy szybciej dojechali?

— Mogę — potwierdziłam wkurzona. — Kolec koniom w zad wsadzić. Pomoże?

— Nie trzeba — przeraził się. — Konie są państwowe. Myślałem, że wy jakoś tak... No...

— Nie znam się na przewozach pasażerskich — powiedziałam, buszując w torbie w poszukiwaniach „czegoś” i „jakiegoś”. — O, jeśli zmniejszą masę bagażu to pomoże?

— Pomoże — powiedział woźnica — Tylko u nas stoją już zmniejszacz. Ale myślę, że jeszcze jeden nie zaszkodzi...

Poczekalam, póki bagaż, składający się już z gęsi, ostatecznie przymocują do daszku i polazłam zaczepić artefakt.

Zmniejszacz wagi na daszku rzeczywiście były. Ale były tak stare i tak dawno napelnione energią, że ich pożytek był nijaki — zamiast odciążyć bagaż, teraz dodawały jeszcze i swoją wagę. Zdziwiłam się, jakim cudem konie są jeszcze żywe i nawet przebierają nogami, ciągnąc taki ciężar!

— Jeśli chcecie szybciej — krzyknęłam z góry. — To musimy troszkę poczekać, a ja naprawię artefakty, bo już nie działają.

— Nie chcemy czekać — sprzeciwili się pasażerowie, ale ich

zignorowałam.

Woźnica zapytał w zamyśleniu:

— A ile mnie to będzie kosztować?

— Wartość mojej przejażdżki — powiedziałam, marząc jak najszybciej dotrzeć do Czystiakowoa

— Zgadzam się — ucieszył się woźnica.

— No to zdejmijcie mnie stąd, wszystko zajmie nie więcej, niż godzinkę.

Póki wyciągałam z torby niezbędne narzędzia — nienamarnie zafundowałam sobie takie coś po ukończeniu Uniwersytetu — pasażerowie stali obok i buczeli. Szybko mnie to wkurzyło i wrzasnęłam:

— Ano, spadać stąd, bo nie ręczę za siebie.

— Tyle samowoli mają ci magowie — złośliwie powiedział jeden z ludzi.

Woźnica, ze strachem patrząc na niedźwiedzią figurę niezadowolonego, zauważył:

— Ona dla was się stara, żebyśmy szybciej dojechali...

— Nieważne dla kogo nie stara, teraz i tak nigdzie nie jedziemy — stwierdziła właścicielka gęsi.

— A wy, szanowna — powiedziałam. — Pomilczeliby i pośledzili za swoim inwentarzem, bo się wkurzę i zamiast gulgoczących ptaszków będą pieczone.

Ludyna postanowiła, że lepiej będzie milczeć i, stojąc w pewnej odległości, przyglądała się mojej robocie. Nie denerwowało mnie to — pracować, kiedy ktoś uporczywie na mnie patrzy nauczyłam się już w dzieciństwie, kiedy próbowałam nauczyć się pisać, a młodsze siostry mało tego, że patrzyły, to i jeszcze komentowały z całej siły wykorzystując ubogi wtedy zasób słów.

— Jak szybko pojechaliśmy — ze strachem zauważył niedźwiedzio podobny facet, kiedy ruszyliśmy. — Jakby koła odpadły.

— Pypcia wam na język — odezwałam się nieładnie.

Naprawdę nie chciało mi się oświecać uchachanego niespodziewanym szczęściem woźnicy, że artefakty wystarczą do Czystiakowa, no, może, jeśli koniom się uda, to pociągnął jeszcze do połowy drogi powrotnej. Mimo wszystko robota Mistrza Artefaktów kosztuje, więc nie widziałam powodu dla takiej wdzięczności.

Wylazłam z powozu w nocy — dziękując artefaktom, oszczędziłam sobie pół nocy. Bardzo szybko pomknęłam do akademika, rozumiejąc, że nie można tracić czasu, bo przecież przyjechałam do Czystiakowa w konkretnym celu, ale nie można przecież odmawiać swojej duszy. Gdyby tylko demon ognia był na swoim miejscu! Wpadając, jak błyskawica, do swojego pokoju, rzuciłam torbę na łóżko, zapaliłam światło i rzuciłam się w stronę szafy. Przecież tam jest cała fura moich ubrań!

— Ola — zaspanym głosem zawołała Lira z łóżka.

— Ciii — powiedziałam. — Wybacz, że cię obudziłam. Śpij. Mnie tu nie ma.

— Skoro tak mówisz — odpowiedział, leżący przy Lirze, właściciel basu.

Wzdrygnęłam się i światelko oświeciło przeciwległy kąt. Och, Lira nie jest sama! Mam nadzieję, że im nie przeszkodziłam! O Siły Niebiańskie, wybranek Liry ma brodę! Postanowił się nie golić póki nie wygra na loterii?

Przemykając po korytarzach, weszłam pod prysznic i odkręciłam wodę. Aaaa, gorąca! Jak dobrze! Jak fajnie. A może no, Irgę z jego męskimi potrzebami pod prysznic i czekać póki skóra nie zlezie? Dobrze, dobrze tak! A najważniejsze, można się nie żenić i nie myśleć o tym, że woda zaraz się skończy albo za zasłoną zjawi się Otto z tym swoim:

— No, Ola, no, proszę, też chcę się umyć w ciepłym, a ty zaraz na siebie całą wodę wylejesz, a ja muszę brodę umyć...

Skradając się, ostrożnie stapałam po korytarzu akademika. Nie chciałam spotkać znajomych, bo inaczej cała tajemnica mojego przebywania wyjdzie na jaw.

— Wybaczenie, ja szybciotko — wyszeptałam, buszując w szafie.

— Ola — wymamrotała przyjaciółka — Dlaczego nie jesteś u Irgi?

— On nie może się dowiedzieć, że przyjechałam — powiedziałam.

— Co się tam u was znowu stało?

— Na razie nic — odpowiedziałam złowieszczo.

— A, żebyś wiedziała, za dnia często przychodzi do Domu Uzdrowicieli.

— Zachorował? — przestraszyłam się.

— Nie, przeprowadzają jakiś eksperyment, a Irga nad nim czuwa. Nie wiedziałaś?

— Zapomniałam — ciekawe, pisał mi o tym? Pewnie pisał, tylko pominęłam. W listach od Irgi bardziej interesowały mnie miłosne wyznania i opowiadania, jak tęskni za mną niż opowieści o jego nudnej pracy z nieboszczykami.

Włożyłam czarne spodnie, które nabyłam dzięki zajmowaniu się sportem, czarną kurkę i zawiązałam na głowie czarną chustkę, odzyskałam leciutkie bezdźwięczne sandały z podeszwami z korka. Ekwipunek gotowy! Teraz tylko zostaje nie wpaść w łapy ukochanego do momentu, aż wyjaśnię gdzie i z kim bywa.

Na pierwszy ogień idzie cmentarz. Na szczęście widziałam, na którym teraz pracuje, bo napisał mi w liście: „A teraz pracuję na Cmentarzu Warragińskim, pamiętasz, jak się tam spotkaliśmy? Wtedy miałem świetną okazję popatrzeć na twoje nogi, tak kusząco blade w rękach mojego zombie...”. Połaziwszy sobie po pustym cmentarzu i zwaliwszy kilkoro głupków, z zadowoleniem rozwalonych na czyjeś mogilce, połamłam do mieszkania nekromanty. Przez okna widać było ciemność, ale to jeszcze nie znaczyło. Troszkę poskakałam, ale doskoczyć do drugiego piętra, żeby zajrzeć do mieszkania było zadaniem nie do wykonania. A lewitować i tak się nie nauczyłam. Nie mogłam bezceremonialnie wejść do pokoju i zobaczyć czy Irga śpi, bo już nie raz mi pokazywał, że śpi snem lekkim, a objawiać swojej obecności w mieście też nie chciałam. Co robić, co robić?

Rozwiązanie problemu przyszło, jak tylko zajrzałam do karczmy w

poszukiwaniu natchnienia. Wykidajło trzymał za kołnierz chudziutkiego studenta, który cicho świstał, zakrywając głowę rękami.

— Co tu się dzieje? — zapytałam publiczność z ciekawością patrzącą na bicie chłopaczka.

— Nie zapłacił — powiedział jeden z klientów.

— Dużo?

— Za trzy kufle piwa.

— I to jest powód dla podejmowania takich radykalnych sposobów? — uścisliłam, patrząc jak wykidajło trzęsie studentem jak gruszą, która ma na saobie niedojrzałe owoce.

Czy naprawdę zmieniałam się przebywając tak daleko od miasta?

— Nie powód — odpowiedzieli mi. — Po prostu nudno jest, a ludzie chcieli już wychodzić, a tu takiej radochy studencik dał

— Zapłacę za niego — krzyknęłam do gospodarza.

Niezadowolona publika warknęła, póki wypisywali mi rachunek, a ja szybkimi łykami dopijałam swoje piwo. Chciałam krzyknąć coś do warczących, ale bałam się, że legnie w gruzach cały mój status „incognito”, a przecież niedawno byłam za takimi zakończeniami dnia. Chwyciwszy wyrywającego się studencika za rękę, zataszczyłam go do zaułku, cały czas głośno czkając przez źle leżące w żołądku piwo, pite w pośpiechu.

— Czego ode mnie chcecie? — wydusiła moja ofiara.

— Pierwszy rok? — zapytałam.



Kiwnął.

— Ja-hik!-ki wydział?

— Praktyczny.

Mogłam się sama domyślić, gdyż teoretycy z pierwszego roku nie mają nawyku do łożenia po karczmach.

— Ja-hik!-k cię nazywają?.

— Ostaf — chłopak z przerażeniem na mnie popatrzył, póki próbowałam stać w pozie „połykacza” — maksymalnie wyciągnięte za plecami ręce, tułów pochylony do przodu, lewa noga podniesiona do góry. Lira twierdziła, że poza pomaga pozbyć się czkawki. Mi pomogła tylko w wykreowaniu siebie w oczach Ostafa jako pełnej idiotki

— Dobrze — powiedziałam, postanawiając nie zwracać uwagi na czkawkę i na wylupiaste oczy studenta. — Dam ci srebrniaka, jeśli pójdziesz do pewnego mieszkania.

— Po co?

— Po szafę. Trzeba zobaczyć czy jest tam gospodarz. A jeśli jest to czy sam czy z kimś jeszcze.

— Aaaa... — ze zrozumieniem zaciągnął pierwszorocznik. — A jeśli jest, to co powiedzieć?

— Powiedz... Hmmmm... Powiedz, że chcesz się po prostu dowiedzieć jak śpią nekromanci.

— Nie — twardo powiedział student. — Za srebrniaka nie wejść w

nocy do mieszkania nekromanty. Dawaj złocisza!

— Chłopczyku, a ty nie jesteś zbyt porywczy? — zapytałam.

— Dostatecznie — z samozadowoleniem powiedział. — A jeśli nie dasz, to ja jeszcze powiem twojemu nekromancie, że się nim interesuje dziewczyna.

To wredota! Szybkim ruchem, opatentowanym na Ottonie, powaliłam chłopaka na ziemię i usiadłam na nim, przystawiając do jego szyi nieduży sztylet, który zaczęłam nosić razem z sobą po tym, jak para wieśniaków w lesie chciała zobaczyć we mnie kogoś więcej — dziewczynę albo maga. Ku ich niezadowoleniu, przerażonego maga okazało się we mnie więcej, niż wrzeszczącej dziewczuchy. Musiałam leczyć potem ich oparzenia, nie z powodu miłosierdzia — nigdy nie lubiłam gwałcicieli — ale w naukowej sprawie. Eksperyment się udał, a ja zobaczyłam, że naprawdę nie umiem leczyć oparzeń.

— Słuchaj młokosie — powiedziałam w zadumie. — Jak przyjęli cię na praktyczny wydział?

— Jestem bardzo silnym magiem — wychrypiął Ostaf, próbując wstać. Nogami miażdżyłam mu dłonie.

— Wierzę — rzekłam, nadal myśląc. — A egzamin sprawnościowy jak zdałeś?

Ostaf zaczerwienił się.

— Z trudem.

— No i dobrze. Dawaj, pogadamy. Dostaniesz swojego srebrniaka,

nie mówisz nekromancie więcej niż potrzeba, a w zamian ja nie będę przechwalać się przed twoimi rówieśnikami, opowiadając, że pobiła cię dziewczyna, na dodatek niepraktyk.

Ostaf zbladł, gdyż argumenty silnie na niego podziałały i przez ostatnie kilka minut patrzyłam jak on, potykając się na każdym kroku, wchodzi do domu Irgi.

W czasie czekania za rogiem próbowałam wymyślić porządne wyjaśnienie dla Irgi, jeśli Ostaf o mnie doniesie. W sandałach strasznie obmarzły mi nogi — czuło się, że zima nie jest za górami. Słyszając kroki zamarłam, choć nie mógł być ukochany, bo dźwięk jego kroków jest całkiem inny. Student dotarł do ściany razem ze mną i głośno dysząc, powiedział:

— Nawet mnie nie zabił!

— Widać — niecierpliwie potwierdziłam. — No i...?

— Spał, sam — powiedział Ostaf.

— Jesteś pewien?

— Tak, pokazał mi swoje mieszkanie i powiedział — tu student jęknął. — Powiedział, że będzie miał z nami praktykę i mnie zapamięta!

— Wybacz — winowajczo odpowiedziałam, dając mu srebrniaka. — Powiem o tobie słówko.

— Naprawdę? — rozjaśnił się biedak.

— Jeśli tylko nikomu nie powiesz o dzisiaj, bo inaczej praktyka będzie twoim koszmarem, mogę ci to obiecać.

Student kiwnął i skierował się w stronę akademika. Z zawiścią odprowadziłam go zwrokiem i poszłam z powrotem okrężną drogą, żeby nie spotkać nikogo znajomego. Oczywiście, normalni ludzie o tej porze śpią, ale wiadomo co...

Czując przemożne zmęczenie, dobrnęłam do pokoju i padłam na łóżko, nie przestając żałować, że na to poszłam, ale przecież nie mogłam się poddać w połowie drogi.

Brodaty chłopak Liry parzył herbatę. Zobaczywszy mnie, nalał do filiżanki z butelki wódki i podał mi.

— Aksentij — powiedział basem, kiedy ja, parząc się, żłopałam chwalebny napitek. — Ciężka noc?

— Ciężkie dni — westchnęłam.

— Znaczy, teraz to dopijesz, zjesz te kanapki i pójdziesz spać — brodacz złapał moje spojrzenie i wyjaśnił:

— Jestem uzdrowicielem.

— Rozumiem — powiedziałam. — Tylko nie pójde spać, muszę coś z Lirą obgadać.

— Możesz porozmawiać ze mną.

— To intymna sprawa.

— Jestem uzdrowicielem — przypomniał Aksentij.

— No i co?

— Wszystko zrozumiałem. Trzeba ci powiedzieć kiedy przyjdzie do

Domu Uzdrawień twój Irga i czy sam on przyjdzie, kiedy wyjdzie i z kim.

Popatrzyłam w szoku na niego, na poważnie podejrzewając, że potrafi czytać myśli.

— Wiem o waszym związku — wyjaśnił Aksentij. — A dzisiaj w nocy rozmawialiśmy z Lirą i doszliśmy do wniosku, że najwyraźniej przyjechałaś, upewnić się w jego wierności.

Kiwnęłam. Jak dobrze znają mnie przyjaciele!

— Nie pochwalę tego co robisz — westchnął brodac. — Ale obiecałem Lirze, że ci pomogę. A ona niech odpocznie, odespi, bo miała ciężkie dni.

Podziękowałam uzdrowicielowi i poszłam spać.

Obudziła mnie Lira, mówiąc, że Aksentij przysłał wiadomość — tylko co rozmawiał z Irgą, który właśnie zamierza wychodzić z Domu Uzdrawień.

Póki szybko ubierałam się w swoje specjalne przebranie i rozczesywałam włosy, przyjaciółka zaciekawiała się:

— Co na ciebie napadło? Rok siedział Irga bez ciebie w Rorritorze i nie robiłaś wtedy takich głupot!

— Rozmawiałam z naszym uzdrowicielem i on powiedział, że mężczyźni bez tego długo nie mogą. A ja wcześniej nad tym się nawet nie zastanawiałam.

— Mogą, dlaczego nie mogą? Oczywiście, że im się chce, ale to nie powód rzucać się na pierwszą lepszą — powiedziała Lira, naburmuszywszy się. — Powiem ci to jako uzdrowiciel: szkody dla zdrowia to nie powoduje.

— Wszystko jedno — odrzekłam uparcie. — Chcę się upewnić, że Irga jest mi wierny. Pamiętasz jaki był? Nie było dnia bez dziewczyny.

— Wyszumiał się — z pewnością powiedziała przyjaciółka. — Przecież nie jest już chłopcem, musi wiedzieć, co robi.

— Jesteś po jego stronie? — zapytałam.

— Tak, mnie czasami po prostu go szkoda — westchnęła Lira. — Ale także wiem to, że karaluchy w twojej głowie trzeba karmić, bo w czasie głodu się rozmnażają.

— Wielkie dzięki — wyburczałam, wkurzona słowami przyjaciółki.

— A więc zamierzasz iść? — zapytała sąsiadka w pokoju.

— Tak, a co?

— Oła, teraz nie jest noc i będziesz w swoim dziwnym wdzianku nieciekawie wyglądać. Weź moją spódnice, bo w twojej cię szybko rozpoznają, masz oryginalne ubrania. I chustka, zawiąż na głowie.

Skąd uzdrowiciel zna takie rzeczy? W milczeniu nałożyłam na spodnie spódnice i poszłam zabawić się w detektywa.

Ciężko mi było śledzić Irgę. Przy czym, jeszcze nigdy nikogo nie śledziłam, więc nie wiem kogo byłoby ciężiej. Biegając od budynku do budynku i próbując nie popaść mu w oczy, zrozumiałam, że idzie na cmentarz Wrragiński. Dlatego pomknęłam na jego miejsce pracy drugą ulicą i schowałam się w krzakach niedaleko pary znajomych chłopaków — pomocników Irgi. Latały przekleństwa, chłopaki próbowali otworzyć wejście do grobowca, zwyczajnie upiękzonego zaschniętym powojem.

— W ogóle Irga jest dziwnym typem — usłyszałam. — Ja bym ją od razu rozłożył, a on odmawia! I, najważniejsze, mieszkanie swoje jest, nie trzeba się z lokatorem dogadywać, żeby dzisiaj nie wracał. Ech...

— Zaczarowała go, tak myślę — powiedział drugi. — Wiedźmy mogą wszystko.

Zaczarowała, znaczy się! Przyjechałam w dobrym momencie. I któż taki, targnął się na prawie żonatego mężczyznę?

— Zaczarowała. Pamiętasz jak na nagrobku spała? Sam się prawie zakochałem, a Irga już i dawno! Taka miła twarzyczka!

Kto jeszcze powtórzył mój wyczyn? Ach, Irga, ty świnió! Ciekawe czy wszystkie dziewczyny prowadzi na cmentarz czy tylko jedną?

— Tylko słyhać „Ola, Ola!”. Jak pies na sianie!

Oni o mnie? Ja, znaczy się, zaczarowałam ich ukochanego naczelnika? No, ja teraz tym głupolom dam! Tylko się podniosłam, jak musiałam znowu wracać w krzaki — w polu widzenia pojawił się Irga.

— Cooo? Nie chce się otworzyć? — zapytał.

— Nie — powiedzieli pomocnicy — Może to magią otworzysz, co?

— Dzieciaki, ile razy trzeba wam powtarzać — nie posługiwać się niepotrzebnie magią! Jeśli posłużymy się magią, nieboszczyk w środku zamieni się w pył, a mi jest potrzebny cały. Dobra, trudźcie się, mam wyznaczone spotkanie.

— Z Martą? — uśmiechnął się jeden z chłopaków. — Ale piękność. Ale nóżki! A piersi, ja by ją...

Zrobił nieprzyzwoity gest ręką.

— Zachowuj się przyzwoicie— chłodno przerwał nekromanta, w zamyśleniu postukał w drzwi grobowca i poszedł.

Marta? Marta?! Marta!!!

Polecę dzisiaj czyjeś głowy! Ja im pokażę, tym bohaterom-kochankom!

Irga nie zatrzymał się ani przed kwaciarnią, ani przed sklepem z rzeczami dla płci pięknej. Czy naprawdę ich kontakty zaszły tak daleko, że już prezenty nie są potrzebne? Nekromanta wszedł do zwykłej, niczym nie odróżniającej się karczmy. Co, Irga zbiedniał, że nie może swojej wybranki zaprosić do restauracji? Czy trzyma pieniądze na mnie? Ta myśl podniosła mnie trochę ducha.

Niewierny ukochany dość długo nie wychodził z karczmy. Co on tam robi? Płonąc z ciekawości, próbowałam zajrzeć przez okno, ale szyby były tak brudne, że niczego nie zobaczyłam. Żeby nie przyciągać żadnej uwagi, postanowiłam oderwać się od bezowocnego podglądania i schowałam się za rogiem. Żeby tylko nie przeoczyć nekromanty w zapadającym zmroku!

O, Irga w końcu wyszedł, nie sam, ale z jakimś... Krasnoludem! Razem zaśmiali się z jakiegoś żartu, po czym nekromanta pokłonił się, żeby podać mu rękę. W pełni zadowoleni z siebie mężczyźni się rozstali. Tylko gdzie pójdzie Irga? Na pewno nie do swojego domu! Skradając się, podążyłam za ukochanym, który skrył się w maleńkim zaułku. Gdzie on jest? Gdzie? Aj!

Coś zimnego i ostrego dotknęło mojej szyi, raniąc skórę.



— Kto? — rozległ się z ciemności znajomy głos.

— Ja — wysyczałam, starając się nie ruszać i dyszeć. — Irga, całkiem ci odbiło?

— Ola? — niedowierzająco zapytał nekromanta, zabierając ostrze od mojej szyi. — Co ty tu robisz i co za szmaty masz na sobie?

Podotykałam się - mokro! A, krew! Przeciął mi szyję!!! Właśnie tak pozbywa się narzeczonej!

— Zabiłeś mnie — wyszeptałam, padając na kolana.

— Miła? — przeraził się Irga. — Miła!

Odwrócił mnie i westchnął.

— Ola, przestań się wygłupiać! Nie zabiłem cię, tylko podrapałem!

— Tak? — uściśliłam, otwierając jedno oko i obserwując twarz Irgi w poświacie jego płomyka.

— Tak — surowo potwierdził nekromanta, pomagając mi wstać. — Co to za maskarada? W jakim śmietniku siedziałaś? I dlaczego mnie śledziłaś?

— To nie maskarada — dostojnie odpowiedziałam, otrzepując spódnice Liry. — I nie siedziałam w śmietniku, a na cmentarzu i to nie moja wina, że rzadko tam sprzatają. I ja za tobą... Tak! Śledziłam cię! Ty mnie wymieniasz!

— Co? — poraziło Irgę. — Ja cię wymieniam? A dlaczego o tym nie wiem?

— Tak, wymieniasz mnie! — potwierdziłam glucho, walcząc ze łzami.

Na twarzy Irgi pojawiła się rozpacz.

— Mam takie wrażenie, — powiedział smutno — że walę głową o ścianę. Chodź do domu, tam mi wszystko opowiesz.

Powlokłam się za Irgą, starając wymyślić coś, żebym to ja wyszła na biedną i nieszczęśliwą, a on na winowajcę. I nic sensownego do głowy mi nie przychodziło.

Przyprowadziwszy mnie do mieszkania, nekromanta kazał mi się napić, wyciągając z kredensu małą butelkę spirytusu i zaprowadził pod prysznic.

Stałam pod gorącą wodą, nie mogąc się nacieszyć tym błogim uczuciem, które zrozumie tylko ten, kto musiał myć się jednym wiadrem wody, które trzeba było jeszcze nagrzać i odnieść do „łazienki”. I zdążyć umyć się zanim zamarzniesz i woda wystygnie. Stałam i stałam pod wodą, nie musiałam się nigdzie śpieszyć, mało tego, czekała mnie rozmowa z Irgą, a ja nadal nie wymyśliłam, co mu powiedzieć. W końcu, zorientowawszy się, że jeszcze trochę wody i zamienie się w rusałkę, zakręciłam kran i ostrożnie zajrzałam do pokoju.

Nekromanta leżał na łóżku i czytał jakąś książkę. Na drzwiach powiesił czysty ręcznik i swoją koszulę, w której tak bardzo lubiłam chodzić, kiedy u niego zostawałam. Przebrawszy się, wdrapałam się na łóżko i zwinęłam w kłębek. Irga czule potargał mnie za włosy i powiedział:

— Czytam książkę pod tytułem „Opis kobiecej psychologii”. Jednak i

tak nic nie rozumiem...

— Wątpię, że jest tam rozdział o dziewczynach, które jadą kilka dni w ciasnej karecie po to, żeby popaplać się w błocie i być prawie zarżnięte przez własnych narzeczonych — powiedziałam, próbując nie patrzeć na Irgę.

— A nie, jest tu rozdział o zazdrości — odpowiedział zamyślony nekromanta, przewracając strony. — Tylko twoja zazdrość jest taka dziwna, okresowa.

— Ona jest zawsze — wyjaśniłam. — Po prostu ona rośnie i rośnie, a potem odpada. Jestem głupia i rozumiem, że mnie zmieniasz.

— Zrozumiałem — powiedział Irga takim tonem, którym uzdrowiciele posługują się w rozmowach ze śmiertelnie chorymi.

— A mi Warsonia powiedział, że musisz mnie zmieniać, dlatego, że mężczyzna długo bez kobiety nie może — postarałam się wytłumaczyć.

— Nie może — zgodził się Irga. — Ale zrozum, że jest taka sztuka: mam, oprócz męskich organów, mózg, który może się obejść bez kobiet bardzo długo, szczególnie, jeśli potrzebuje tej jedynej.

— A ja nie mam mózgu — przyznałam się, pocichutku przysuwając się do ukochanego. Kląć na mnie nie będzie, wyśmiewać też, a to znaczy, że można się łąsić.

— Masz — dał mi nadzieję Irga. — Tylko ooon pracuje okreesoowooo! Ale do tego przywywykleem.

Westchnęłam winowajczo.

— Powiedz mi, miła, to ty wysłałaś do mnie w nocy tego miłego chłopczyka?

Patrzyłam, kajając się.

— I ile cię to kosztowało? — zainteresował się Irga.

— Wystarczająco drogo — odpowiedziałam chytrze.

— Ech, czegoś takiego w moim życiu jeszcze nie było! — westchnął nekromanta. — Śpię sobie spokojnie w łóżku, a nagle ktoś łomocze w drzwi, otwieram a tam stoi taki blady, drżący studencik z rozbieganymi oczyma. Mówi, że chce zobaczyć jak śpią nekromanci. Od razu polapałem się, że coś tu jest nie tak i postanowiłem nie męczyć biednego dzieciaka.

Kolejny raz poczułam się jak idiotka. Irga milczał, bezmyślnie przwracając kartki.

— Czuję się taka winna — przyznałam się w końcu.

— Oooo — zrobił oczy nekromanta. — Sumienie przemówiło? Budzi się tylko przy spirytusie?

— Nie wiem...

— No to, będę cię poić tym częściej, wtedy będziesz idealną żoną.

— Nie będę idealną żoną — przyznałam się.

— No i dobrze — wesoło powiedział Irga — Z idealnymi jest nudno.

— Jak mi z tobą? — nie wytrzymałam.

Nekromanta roześmiał się i rzucił książkę na podłogę.

— Znam moją nieznośną Olę — powiedział. — Chodź do mnie. Tak się ze tobą stęskniłem. I naprawdę nie zaszkodzi mi kobieta, jeżeli już przywiązujesz taką wagę do tego, że uzdrowiciel powiedział, że tak trzeba.

— Tutaj jestem — odezwałam się z gotowością, wycierając ostatki łez i tonąc w jego objęciach.

## *Rozdział 13*

### *Umrzeć i wstać*

Zima w tym roku, tak jak przypuszczano, była zadziwiająco paskudna. Mokry śnieg padał na zmianę ze zmarzniętym deszczem, a kałuże dotknięte przez noc mrozem już zdążyły ubrudzić mi spódnicę i dostać się do butów. Zdusiłam swoje skąpstwo i zrobiliśmy porządną ścieżkę do toalety, ale najgorsze było to, że niepotrzebnie. Pierwszej klasy i okropnie droga ścieżka, godna była samego króla, a nie maleńkiej chatki, więc szybko pokryła się grubą warstwą gliny całkowicie skrywając się przed naszym wzrokiem.

Dzisiaj, w czasie powrotnego biegu, poślizgnęłam się, malowniczo przywaliłam w ziemię i wróciłam do domu w złym nastroju.

— Stój gdzie stoisz! — krzyknął Otto, gdy tylko weszłam do pokoju. — Błoto z ciebie strumieniami spływa!

— Jakbym tego nie wiedziała — odgryzłam się, próbując bardzo ostrożnie zdjąć spódnice, żeby nie zabrudzić podłogi, którą tylko co wczoraj umyłam.

— Nie tylko masz ubłoconą spódnice — ucieszył mnie półkrasnolud. — Palto też. I włosy. A ja ci mówiłem, żebyś nie biegała, tylko chodziła ostrożnie!

— Jak można nie biec — wyjęczałam. — Kiedy pada deszcz, taki zimny!

— Nie jesteś z cukru, nie rozplyniesz się — powiedział Otto, pomagając mi zdjąć ubłocone ubrania.

— Trzeba było wszędzie położyć dachówki — rzekł Warsonia, odrywając się od mieszania kaszy w rondelku na kozie.

— Nie starczy nam kasy na wszystko — sprzeciwił się półkrasnolud. — A zwykłymi deskami już za późno naprawiać, wszystko rozmoknie.

— A kto mi nabierze wody ze studni? — zapytałam, oglądając w lustrze to, co zostało z mojej fryzury. — Muszę umyć głowę.

— On! — krzyknęli chórem mężczyźni, wskazując nawzajem siebie.

— Ja gotuję śniadanie! — wyjaśnił Warsonia.

— Wczoraj wodę nosiłem — pożałił się Otto, gdzieś na osobności. — I na kąpiel, i do picia, i na mycie podłogi!

— Czyli to oznacza, że będę chodzić brudna? — oburzyłam się.

— Nie trzeba było łazić nie patrząc pod nogi — bez współczucia stwierdził półkrasnolud, siadając za stołem.

Zła chwyciłam wiadro i skierowałam się do drzwi.

— Pójdiesz tak półnaga? — zapytał Otto.

— A pójde — powiedziałam, poprawiając bluzkę tak, żeby zakrywała biodra. — Jeśli się przewrócę, to będzie mniej do sprzątnia!

Potupawszy chwilę pod drzwiami zrozumiałam, że żaden z moich facetów nie zamierza mi pomóc.

— Przeziębę się, zachoruję i umrę — wyburczałam, niezdecydowanie łapiąc za rączkę.

— Nie zachorujesz — odezwał się uzdrowiciel. — A jeśli zachorujesz, to nie umrzesz.

— A jeśli umrzesz, to cię ożywią — pochwycił Otto, i chłopaki, zadowoleni z siebie, solidarnie zarżali.

Drzwi energicznie otworzono z drugiej strony i wleciałam wprost w objęcia Rona nia Buja.

— Och — wydusił, kuląc się.

— Wybacz — zawstydziłam się, chowając za plecami wiadro.

— To nic — wymamrotał, wlokąc się do ławki i bezwstydnie oglądając moje gołe nogi.

Baron nia Buj ostatnimi czasy zaczął nas częściej odwiedzać. Przyjeżdżał jakoby za zamówieniami, siedział cichutko na ławce w kącie

mistrzowni, a ja nieustannie łapałam na sobie spojrzenie jego ciemnozielonych oczu. Moi przyjaciele, znacznie łagodniejsi po wizycie w „Leśnej fei” odnosili się do barona prawie po przyjacielsku, a ja starałam się być neutralna.

— Wydaje mi się, że bardzo mu się podobasz — zauważył pewnego razu Warsonia.

— Ona ma narzeczonego — srogo powiedział Otto.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — odpowiedział uzdrowiciel.

— Może przestaniecie mnie dzielić? — rozżłościłam się.

— No to powiedz mu, że jesteś już zajęta — poradził tłuścioch.

— Jakby nie wiedział — pokręciłam na palcu pierścionkiem od Irgi.

Warsonia wzruszył ramionami, a ja... A ja wciąż ociągałam się z wyjaśnieniami. Było mi przyjemnie, że taki mężczyzna jak baron, zwrócił na mnie uwagę. Tym bardziej, że od spojrzeń i niechcących dotyków, rogi u Irgi nie wyrosną, a mnie będzie przyjemnie.

I w ten sposób Ron siedział na ławce, a ja stałam z wiadrem w ręce, pozwalając mu bezkarnie lubować się moimi nogami, ledwie przykrytymi długą koszulą i oczekiwać na zapłatę.

— Ron — powiedziałam czule. — A nie mógłbyś mi nabrać wody ze studni? Chcę się wykapać, a to tak ciężko wyciągać!

— Oczywiście! — z gotowością odpowiedział baron, wziął ode mnie wiadro i pomknął.



— Nic nie mówcie! — uprzedziłam przyjaciół, ze śmiechem obserwujących całą sytuację i poszłam do siebie po spódnicę, bo inaczej Otto mógłby dostać napadu nerwicy przez moje złe zachowanie.

Nagrzawszy wody, kazałam wlać ją baronowi do naczynia, robiącego u nas za wannę i zajęłam się odmywaniem z błota. Przyjemne chwile pluskania się w ciepłej wodzie zostały przerwane przez latającego posłańca, który wsunął mi się do ręki. Przeczytałam go i poczułam, jak w jednej chwili lodowaty chłód objął moje nogi i ręce. Narzuciwszy na mokre ciało koszulę i spódnicę, wleciałam do pokoju.

— Otto! — krzyknęłam, przerywając spokojną pogawędkę trójki facetów. — Czytaj!

Półkrasnolud chwycił wiadomość i szybko przeczytał na głos:

— Napaść księżycowych martwiaków na maleńkie miasteczko Sosnino. Wszyscy mieszkańcy zabici. Silne magiczne zakłócenia. Prawdopodobnie aktywacja sił nieczystych.

Kumpel taktycznie odpuścił ostatnią linijkę: „Uważaj na siebie, kochanie! Bądź ostrożna!”

— Sosnino — wyszeptał wstrząśnięty baron. — Przecież to blisko!

— Prawie dzień drogi przez las — uściślił Otto i zakrył rękami twarz. — Tam skierowali Karla. Z jakąś dziewczyną od praktyków.

Wspomniałam koleżkę z grupy przyjaciela, wesołego, wściekle rudego krasnoluda, lubiącego pokazywać karciane triki. Ale nie było czasu na sentymenty i wzięłam się do roboty.

— Magiczne zakłócenia... Silna magia... Nieumarli... —  
mamrotałam, przebierając palcami grzbiety książek stojących na półce. —  
Znalazłam!

Chwyciłam „Nekromancję dla początkujących” i szybko  
przewertowałam strony.

— Otto — powiedziałam poważnym tonem. — Możemy mieć duże  
problemy.

— Jakie? — nasrożył się półkrasnolud.

— *"Silne magiczne zakłócenia, związane z nekromancją, mogą  
podnieść martwych w polu działania magicznej energii"* — przeczytałam.

— To znaczy... — uściślił baron.

— To znaczy, że trzeba otoczyć miasteczko ochronnym konturem —  
wykrzyczałam, już ze swego pokoju.

Kiedy wyszłam, ubrana w długą cienką koszulę, Otto trzymał w  
rękach ogromną torbę z najważniejszymi rzeczami. Machając trzymanymi w  
rękach lekkimi sandałami, poprosiłam:

— Ron, a nie mógłbyś pójść do Romy Boricza i powiedzieć, żeby w  
czasie pracy nikt nam nie przeszkadzał? Niech da jakieś ogólne  
rozporządzenia. Małeńki błąd i wszystko psu pod ogon. I póki będziemy  
kreślić kontur, będzie miał około dwóch godzin, żeby sprowadzić  
wszystkich do miasta. Ci, co zostaną w lesie, będą mieli pretensje tylko do  
siebie.

— To naprawdę jest aż tak poważne?

Wzruszyłam ramionami.

— Nie wiem. Zamierzaliśmy odpierać księżycowe martiwki w liczbie dziesięciu sztuk, a nie przygotowywać się do nekromanckiej magii. Może do nas nic nie dotrzeć, a mogą wstać wszystkie nieboszczyki z okolicy. Jedna rzecz mnie cieszy — taki martwiak długo sobie nie poegzystuje, bo zbraknie mu energii, dlatego myślę, że ochronny kontur wystarczy.

— Muszę wrócić — powiedział baron.

— To duże ryzyko — uprzedziłam.

— Tam są moi ludzie — wzruszył ramionami młody mężczyzna. — Na dodatek tutaj dojechałem bez żadnych komplikacji.

— Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy o martwiakach — powiedział Otto.

— Od tej wiadomości las bezpieczniejszy się nie zrobi — spokojnie odpowiedział Ron. — Jak mam ochronić ludzi?

— Artefakty, które zrobiliśmy, aktywują się automatycznie. Dlatego proponuję zebrać wszystkich i zabrać do zamku. Macie dobrą ochronę, martwiaki was powkurzają i sobie pójdą, jak tylko skończy się im zapas danej energii. Nie mogą pokonać wrót i ścian, jedynie co, to wleżą na ściany, ale wtedy możecie je spalić. Smołą najlepiej — poradził półkrasnolud.

Ron z powagą kiwnął i zapytał:

— A co z wami? Wokół Gniedino nie ma ani ścian, ani maleńkiego rowu!

— Mówię przecież, że kontur nam wystarczy, a ja wleję do niego maksimum energii — machnęłam ręką. — Tym bardziej, że nie jesteśmy pewni czy coś się stanie.

Niestety było to jak najbardziej prawdopodobne. Inaczej Irga nie przysłałby mi tego, żeby nie denerwować niepotrzebnie.

Szliśmy za miasto, rozmyślając jak zrobić najlepszą linię bez większego uszczerbku na sobie. Los się do nas uśmiechnął, gdyż mieszkańcy trzymali wszystko za murami miasteczka.

— Tereny podmiejskie są strasznie duże — westchnął półkrasnolud, kiedy wyszliśmy po za granice miasta. — Starczy ci energii?

— Powinno starczyć — powiedziałam w zadumie. — Będę musiała wyłożyć całą, jak nie więcej. Ale jeśli zostawimy bez ochrony choć jeden dom, to taki jęk będzie! I to, jak się nie uda.

Otto pochmurnie przytaknął, nastrajając instrumenty. Świetnie znaleźliśmy miejscowych skandalistów, drżących o każdy gwóźdź i protestujących przeciw wszystkim ograniczeniom. Zamknęłam oczy i spokojnie odetchnęłam, przystosowując się do otoczenia. Trudność tego zaklęcia polegała na tym, że nie tylko trzeba było otoczyć miasto ochronnym konturem, ale jeszcze naszprycować go energią. Swoją. Niestety nie należałam do magów, których energii starczyłoby na dziesiątki takich konturów, ale miałam nadzieję, że starczy, jeśli zrobię to systemem ekonomicznym. A samo miejsce nie było wybitnie urodzajne w magiczną energię, więc można sobie pomarzyć o na w pół zdechłych i nieaktywnych martwiakach.

— Zaczynamy — powiedziałam do krasnoluda.

Przytaknął. Westchnęłam ciężko, zdjęłam buty i nałożyłam sandaalki — nic nie powinno zakłócać przepływu energii. Im więcej rzeczy, tym większe straty. Nogi od razu utonęły w chłodnej i lepkiej mazi. Nie, nie będę myśleć o czekających mnie chorobach! Rozpuściłam włosy, zmrużyłam oczy i oddałam płaszczyk krasnoludowi. Dobrze, że nie ma mrozu!

Ciągnęłam po błocie posrebrzany drut, a Otto szedł obok, wskazując kierunek. Przyłączył się do potoków energii i kierował mnie tak, żeby było mi lżej.

Starając się nie zwracać uwagi na zimny deszczyk, ani na tłum gapiów, których było coraz więcej, szeptałam słowa zaklęcia i wlokłam ciężkie narzędzie pracy po błocie. Najważniejsze – nie przerwać linii, tylko nie przerwać linii! Szybko zrobiło mi się gorąco. Mokre od potu i deszczu włosy opadały mi na twarz. Ktoś – najpewniej Otto — odsunął je z twarzy przyjemnie chłodną ręką. A ja szłam, szłam i szłam małymi kroczkami. Dlaczego wcześniej nie zauważyłam, że mieszkam w takim wielkim mieście? I co je otacza?

Najpierw zaczęły drzeć mi ręce. Potem zaczęły drzeć nogi, zginając się w kolanach. Stóp już dawno nie czułam i gdzieś w głębinach podświadomości odnotowałam sobie, żeby nie stracić palców zanim nie dojdę do uzdrowiciela.

— Stop! — krzyknął nagle Otto.

Zatrzymałam się, świat przed oczami zawirował i jedynie siła woli utrzymała mnie na nogach.

— Teraz zakończymy kontur wokół miasta — głośno zakomunikował półkrasnolud. — Nikt nie może go przekroczyć bez naszej zgody, jasne? Sytuacja jest bardzo niebezpieczna.

Ludyna zaszumiała, w sprawę wmieszał się Rom Boricz i jego dźwięczny głos zagłuszył krzyki niezadowolonych.

— Dawaj — powiedział Otto.

Połączyłam linię, wyszeptałam ostatnie słowa zaklęcia i zemdlałam.

Ocknęłam się w objęciach niosącego mnie krasnoluda. Jego broda drapała mnie po twarzy, śmierdziało od niego tabaką, mokrymi skórzanymi ubraniami z lekkim zapachem mistrzowni i moim specyfikiem do układania włosów.

— Otto — wyszeptałam słabo. — Używasz moich kosmetyków?

— A chcesz żeby moja broda sterczała na wszystkie strony? — zapytał Otto. — Od tej pogody kręci się jak dzika i nie można jej zapeścić! I lepiej milcz! Zaraz będziemy doprowadzać cię do porządku...

— Nie trzeba mnie doprowadzać do porządku — wyjęczałam. — Można mnie tylko dobić.

— Jeśli można by cię było tylko dobić, to nie byłabyś taka rozmowna — sprzeciwił się przyjaciel.

Wniósł mnie do domu i ciężko dysząc, opadł na ławkę.

— Rozbierz ją — powiedział Warsonii, który wprawnymi dłońmi uzdrowiciela już ściągał spódnicę, w którą opatulił mnie Otto.

— Nie rozumiem — stwierdził półkrasnolud, odpoczywając i pomagając mnie rozbierać — miłości Irgi do noszenia jej na rękach. Jest taka ciężka!

— To ty jesteś mały, a nie ja ciężka — obraziłam się.

Kumpel milczał. Oboje świetnie wiedzieliśmy, że półkrasnolud jest bardzo silny, a ja się zaokrągliłam na kuchni Warsonii. I bardzo wątpiłam w to, że Irga mógłby przenieść mnie taki kawałek, na dodatek w błocie.

Warsonia podtrzymywał mnie, a Otto ściągał moją koszulę, nieprzyjemnie mokrą, brudną i zimną. Potem chłopaki, westchnowszy, wrzucili mnie do bardzo gorącej wody.

— Aaa! — zawyłam. — Wrzątek!

— Bardzo dobrze, że to czujesz — potaknął tłuszczoch, podając mi kufel od piwa. — Pij.

Bez protestu wypiłam parzącą herbatę z przyprawami, jakimiś ziołami i mocną wódką i poczułam jak zamykają mi się oczy.

— Świetnie — powiedział zadowolony Warsonia. — Teraz musisz długo sobie pospać i wszystko będzie dobrze.

— Będziemy ją wyciągać z wody? — przeraził się Otto. — Przecież jej nie podniesiemy! Popatrz, jakie ma biodra od twoich kasz!

— Podniesiemy, a jeśli będzie za ciężko, to przestawię ją na dietę — uspokajał uzdrowiciel, a ja już zasypiałam...

Obudził mnie głośny łomot. Miałam wrażenie, że tabun pijanych kobyłek skacze mi po głowie.

— Co jest? — wyszeptałam wyschniętymi wargami.

— Wstawaj, wstawaj, mamy problemy! — wykrzyczał mi do ucha krasnolud.

— Kto by pomyślał... — wymamrotałam. — Która godzina?

— Nocna — z gotowością odpowiedział Otto. — Jak się czujesz?

— Obrzydliwie — przyznałam, próbując bardziej skryć się pod kołdrę. Bolało mnie całe ciało, w głowie szumiało, a w oczy raziło. — Problemy nie mogą poczekać do jutra?

— Mogą — powiedział. — Jeśli dobrze wiesz, ile wytrzyma twój ochronny kontur, jeśli będą go atakować martwiaki?

— Zależy ile martwiaków — wyburczałam. — Jeśli około dziesiątki dość słabych, to dwie – trzy godziny.

— A jeśli jest ich więcej i są bardziej aktywne, to mniej, tak? Świetnie. W takim wypadku mamy kilka minut na to, żebyś wstała, ubrała się i żebyśmy wymyślili, co robić.

— Nie będę wstawać — rzuciłam, chowając głowę pod poduszkę.

Otto jednym szybkim ruchem zabrał mi poduszkę i powiedział łagodnie:

— Złotko, rozumiem cię, ale po zewnętrznej stronie kręgu już jakąś godzinę stoi ze dwadzieścia martwiaków, a w mieście panuje panika. I na



dodatek Sita zaginęła.

— Martwaki nie dostały się jeszcze do miasta? — zapytałam, bezskutecznie próbując zmusić swoje kończyny do posłuszeństwa.

— Nie.

— To znaczy, że Sita jest gdzieś w mieście...

— Nie ma jej nigdzie.

— Albo już ją zjedli... — obojętnie przypuściłam. Nie lubiłam Sity.

— Razem z nią przepadł syn Nity. Sąsiadka dobita żalem — powiedział Warsonia, pojawiając się koło mnie z kuflem. — Pij.

Wypiłam, czując znajomy smak magicznego stymulatora. Było mi żal Nata, był fajnym chłopakiem.

— Trzymaj — rzekł Otto, rozumiejąc, że już mną nie telepie, i wysypał na łóżko kupę gotowych artefaktów od siły nieczystej.

Spojrzałam pytająco na półkrasnoluda.

— Ludziom, którym je robiliśmy — powiedział pochmurnie — już się nie przydadzą. A ty możesz wyssać z nich trochę energii. Bez ciebie czeka nas koniec. Jesteś z nas najsilniejszym magiem.

Wzięłam się za robotę czując, jak odpowiedzialność ciąży mi na moich słabych ramionach. Dziwne, że w tym momencie nie chciałam być znakomitym magiem praktykiem, ratującym z zagłady kupę wiosek i miast, wspomnianych w legendach. Chciałam spać.

Kiedy wyszliśmy z domu, znaleźliśmy się w tłumie wrzeszczących

ludzi, machającymi pochodniami, czepiających się za nasze ubrania z wykrzywionymi ze strachu twarzami.

— Tak nic nie zrobimy — powiedziałam do Ottona. — Gdzie Rom Boricz?

— Rom Boricz! — krzyknął krasnolód. — Głowa!!

— Jestem tutaj — brzusiasta „głowa” szybko przepchnęła się przez tłum i zapytała:

— Co zamierzacie zrobić?

— Na początek musimy spokojnie dojść do linii — powiedział Otto.

— Rozgońcie ich do domu — poradziłam niegłówno. — Niech się zabarykadują i nałożą artefakty, które im daliśmy. Widzę, że nawet kupa martwiaków nie uświadomiła im tego... I niech nie płaczą się nam pod nogami.

— Ludzie chcą wiedzieć, co będziecie robić — powtórzył Rom Boricz.

— Ratować wasze skóry — rozzłościłam się. — I czym dłużej tu rozmawiamy, tym mniej mamy szans!

— A moja córka? — zawyła Sata. — Zamierzacie szukać mojej córki?

— Proponujecie rozerwać ochronę i posłać na śmierć tysiąc ludzi dla waszej córki?! — wrzasnęłam, tracąc nad sobą kontrolę. — Cóż, wybaczenie! Widzę, że wszyscy wprost marzycie stać się pokarmem dla kościotrupów! Po kiego Sukin Kota wy tu stoicie? Myślicie, że mam tu piwnicę

niedostępną dla martwiaków? Albo, że pójde sama i rozerwę je gołymi rękami, żebyście sobie na to popatrzyli? Jeśli w ciągu minuty będzie tu choć jeden człowiek, to ja pójde spać i będzie mi wisieć los miasta!

— Jesteście zobowiązani... — wtrącił się ktoś z tłumu.

— Byłam zobowiązana ubezpieczyć was artefaktami, których nie nosicie! Koniec! Jasne? Minuta minęła!!

— Złotko — powiedział Otto spokojnym tonem, patrząc, jak ludyna rozbiega się i na ulicy ciemnieje. — Wydaje mi się, że przegiełaś. Uspokój się.

— Może zostanę? — ostrożnie zapytał Rom Boricz. — Czy też mam iść?

— Możecie, przecież jesteście władzą — uspokoił go półkrasnolud. — Chodźmy, jest ich najwięcej w miejscu zamknięcia kręgu. Widocznie jest tam odpływ energii.

Kiwnęłam w milczeniu, czując, że moja złość na przestraszony tłum nie znika. Najgorsze było to, że mnie, magowi, który powinien być przykładem, też było strasznie.

Przy miejscu stykania się linii dyżurowało kilku drwali, uzbrojonych w topory i duże pochodnie. Mężczyźni rozpalili kilka ognisk i ostrożnie obserwowali jęczących i drapiących w niewidzialną ścianę martwiaków. Były tu trupy dla każdego — prawie świeżutkie, w odzieży, i półrozłożone, i całkiem kościotrupy. Było ich dużo, bardzo dużo.

— Powiedziałeś, że około dwudziestu! — rzuciłam się na Ottona.

— Zrobiło się ich więcej — stwierdził smutno.

Widocznie do ziomków z miejskiego cmentarza przyłączyły się trupy z najbliższego lasu. Klęknęłam i przyłożyłam rękę do linii, narysowanej rano. Trzymała się, ale ledwo-ledwo. Wlewając do niej trochę energii podniosłam wzrok i napotkałam głodne spojrzenie drwala Pita, który zginął tydzień temu od spadającej sosny. Ciało, które tylko dwa tygodnie temu dostało ode mnie po mordzie za nieprzyzwoite propozycje w stanie upojenia, naprężyło się i rzuciło na kontur. Odskoczyłam i opadłam w błoto, a martwiaka odrzuciło do tyłu. Otto do mnie podbiegł, a ja trzęsłam się, szcękając zębami i histerycznie chlipając.

— Nie dam rady — wyszeptałam do niego. — Popatrz jak ich jest dużo. Umrzemy wszyscy tutaj. Wszyscy. Wszyscy!!!

Silne uderzenie w twarz kazało mi zamilknąć. Otto zamachnął się i drugi raz mnie spoliczkował.

— No, uspokój się! Co to jeszcze za wycie? Jesteśmy z tobą! To jedyna nadzieja tych ludzi na przeżycie, zrozum! I jeśli będziesz panikować, to koniec! Uspokój się!

Silne ręce przyjaciela trząsły mną, zanim postawiły mnie na nogi.

— Teraz, wyślesz posłańca do Irgi. I będziesz podtrzymywać kontur do tej pory, póki powiem, że starczy! Jasne? I żeby nie było ani jednego słowa lub wątpliwości, że nie możemy tego zrobić!

Kiwnęłam. Strach gdzieś zniknął. Popatrzyłam na milczących drwali, zamierzających bić się z martwakami nie patrząc na to, że w ogóle nie władali magią. Na spokojnego Ottona, którego blada twarz okrążona

roztrzepaną brodą była jak koło ratunkowe na wzburzonym morzu i wesoło powiedziałam:

— No co, ludziska, zabawimy się?

— Najważniejsze, żeby ci się nie przedarli — powiedział jeden z drwali.

— Jeśli się przedrą to ogniem ich! — odpowiedziałam, tworząc wiadomość. Biały świstek pomknął w niebo z iskrami z ognisk, niosąc ze sobą tylko kilka słów:

"Jesteśmy okrążeni przez martwiaki. Pospiesz się."

Szybko położyliśmy deski na ziemię i usiadłam zadowolona, trzymając dłonie na linii. Ukierunkowana, uwolniona od postronnych myśli i dźwięków, zaczęłam napełniać kontur energią. Oddawałam i oddawałam energię, wyobrażając sobie, że nie jestem teraz w szarym, mokrym Gniedino, okrążonym przez martwaki, a leżę w łóżku z Irgą, który gładzi moje ramiona, całuje łopatki...

— Ola — powiedział obok Warsonia, wyrywając mnie ze słodkich fantazji. — Wypij to.

Oderwałam się od kontura i w roztargnieniu zaczęłam pić stymulator, rozglądając się po bokach. Otto organizował obronę, zebrawszy samych najsilniejszych i najbardziej rozsądnych mężczyzn, rozstawiając ich według parametrów kontura. Do biodra miał przytroczoną siekiere, rozdawał chłopakom pochodnie i w pośpiechu wydawał instrukcje. Westchnęłam i zamierzałam wrócić do swojej roboty gdy zauważyłam, jak obrona wprost wibruje od nacisku.

— Otto! — zawołałam przerażona.

— Co? — wpadł krasnolud.

— To nie tylko martwiaki — wyszeptałam, obejmując się rękami, żeby nie drżeć. — Z nimi jest mag! Zobacz, atakują mój kontur!

— Silny mag? — zapytał Otto.

— Nie bardzo, inaczej by dawno wszystko padło. Nie utrzymam obrony, jestem prawie pusta, a on...

— Weź mnie — powiedział milczący do tej pory Warsonia. — Mam oczywiście mało siły, ale coś zawsze jest.

— Przygotuj chłopaków — powiedziałam do krasnoluda i mocno objęłam Warsonię, nastrojając się na jego aurę. — I, Otto...

— Tak?

— Jeśli coś, to mi wybaczyć. Byłeś najlepszym przyjacielem, którego można mieć na tym świecie.

Krasnolud z minutką stał, a potem mnie objął, przytulając się jeszcze bardziej do uzdrowiciela.

— Jesteś wymarzoną przyjaciółką, Olu! Cieszę się, że tyle lat byłem z tobą. Nie mam co ci wybaczyć. I ty mi wybaczyć, jeśli cię czymś obraziłem.

— Jak ty możesz mnie obrazić? W drugim świecie będzie mi cię bardzo brakowało!

— Kocham was, przyjaciele! — wydusił Warsonia. Jego energia, ciepła, przyjemna, rozplýwała się we mnie i umierać mi się od razu

odechciało.

— Dziwne — powiedziałam, przygotowując duże pulsary i kilka bojowych zaklęć, których udało mi się wyuczyć do pełnoletności. — Kiedyś byłam gotowa zakończyć życie samobójstwem. A teraz śmierć stoi obok, a mi się tak bardzo chce żyć!

— Mogę cię pocieszyć tylko tym, że jeśli z ciebie coś zostanie, to Irga spróbuje cię ożywić — podzielił się z nami, swoimi spekulacjami Otto.

— Wątpię — odpowiedziałam. — Po co mu zombie? Na dodatek pogryziony? Najwyżej przyzwie ducha, żeby się pożegnać.

Tracąc drogie krople energii zrobiłam jeszcze jedną wiadomość:

”Bardzo cię kocham. I będę kochać zawsze, nawet kiedy umrę”.

— Ola — powiedział trwożnie Otto. — Ochrona zaraz zniknie.

— Gdzie będą uderzać?

— Na całej długości. Ale ich tu jest jeszcze więcej.

— Świetnie. Żegnaj, Otto.

— Żegnaj, złotko.

Kontur zamarł i znikł. Martwaki na chwile zamarły, a potem rzuciły się na nas.

Zawiszczałam i schowałam się za Ottonem. Kumpel złapał mnie za

rękę i potaszczył do najbliższego budynku, odwracając się plecami do ściany i stając z przodu. W ten sposób byłam uratowana od ataku z każdej strony, ale nie zamierzałam leniuchować. Mimo wszystko trzeba było dawać przykład ludności, nawet jeśli najbardziej się chciało ukryć w głuchej piwnicy, włączając do beczki z kiszoną kapustą. Jeśli przeżyję, zapytam Irgę, jaki martwaki mają stosunek do takiego zapachu.

Miastowi przywitali martwiaków z pochodniami w rękach. Póki zajmowałam się konturem, Otto z Romą Boriczem zdążyli podnieść bojowego ducha w wojownikach. W każdym wypadku, mroczni mężczyźni z pochodniami w rękach nawet nie drgnęli. A gdzie mają uciekać? Do domu do żony i dzieci?

Ku mojej dumie nasze artefakty działały bardzo efektywnie! Nieumarli zamierali na chwilę i to dawało możliwość ludziom podpalenia martwiaka z kilku stron. Staralam nie wysuwać się z za pleców półkrasnoluda i nie oglądać bitwy, żeby potem nie męczyły mnie koszmary. Tu i tam rozlegały się krzyki bólu, trzask palącego się ciała. Powietrze śmierdziało spalenizną. Chciało się zamknąć oczy i otworzyć je dopiero w swoim łóżku, wiedząc, że to był tylko straszny sen. Najwyraźniej na magów bojowych idą tylko maniacy i sadyści. Kto jeszcze chciałby brać udział w takim koszmarze?

— Artefakty zaraz padną — zauważył krasnolud. — A wtedy będzie kiepsko. Martwiaków jest za dużo, a obrońców zbyt mało. A wojowników wśród nich nie ma w ogóle.

Uważnie przypatrywałam się podniesionym trupom. Coś mi się w nich nie podobało. Na przykład to, jak płonący martwiak biegnie w stronę



domu, żeby go podpalić. Albo jak pada, dosłownie jakby pozbawiony siły, kościotrup, atakowany przez kilku mieszczan. Albo jak podnosi się i idzie dopiero co zabity przez martwaki obrońca miasta.

— Spalimy wszystko do demonów — wymamrotał Otto, patrząc, jak zaczynają palić się domy. — Dobrze, że Rom Boricz wszystkie dzieci zabrał do siebie do domu, bo ma kamienny. Choć ktoś się uratuje.

Krasnolud prawie leniwie odpędził od siebie biegnącego szkieleta. Ten ze smutnym trzaskiem rozsypał się. Kumpel jeszcze podeptał po resztkach, łamiąc je swoimi ciężkimi buciorami i mamrocząc ciężkie przekleństwa.

Krzyki były głośne. Z płonących domów wybiegali właściciele i zaczęli je gasić, lejąc wodę z wiader i z łatwością wpadając w ręce martwiaków.

— Idioci! — wycedził Otto.

— Tylko przestrzennego pożaru nam brakowało — stwierdziłam dobita.

— Możesz zalać to wszystko wodą?

— Jestem prawie na zerze — odpowiedziałam. — Starczy mi najwyżej na parę pulsarów.

Krasnolud chciał polecieć instruktować ofiary pożaru, ale go przytrzymałam.

— Musimy porozmawiać.

— A innego czasu na pogawędkę nie mogłaś znaleźć? — krzyknął,

łapiąc się za brodę.

— Posłuchaj! Martwiakami ktoś kieruje! One nie są podniesione zakłóceniami energii, one zostały świadomie podniesione! Przez kogoś!!

Kumpel zamarł z otwartą gębą.

— Z tyłu! — pisnęłam, pchając Ottona.

Szybko się odwrócił i wyraził swoje zdziwienie na martwiaku płci pięknej.

— Jesteś pewna? — zapytał, odwróciwszy się i spróbował oderwać od włosów czyjąś rękę.

— Nie wiem, ale tak mi się wydaje! Popatrz jak się zachowują! Jak świadome! Jak zombie jednej roboty. Rzucają się do ataku tam, gdzie jest najmniej naszych. Podpalają domy. I szybkość! Są za zwinni, za bardzo krwiożerczy. Rozerwał gardło i poleciał dalej, zamiast rozerwać ofiary na kawałki. Wydaję mi się, że czuję nici, którymi kieruje...

Otto powlekł mnie do najbliższej stodoły i zamknął drzwi od wewnątrz.

— WYDAJE ci się, że czujesz te nici czy ty je naprawdę czujesz?

Skupiłam się, zamknęłam oczy i przez kilka minut głęboko oddychałam, starając się nie myśleć o niczym. I nagle zobaczyłam — setki maleńkich ciemnofioletowych potoków energii. Jedna nić się przerywa to druga od razu staje się mocniejsza, i gdzieś obok rozlega się głośny krzyk. Raz – i nić się rozdzieliła.

— Widzę — wyszeptałam, otwierając oczy. — Martwiakami

naprawdę ktoś kieruje.

Otto milczał, pochylony nad siekierą. W błyskach ognia, prześwitującego przez ściany stodoły, jego twarz wydawała mi się dziesięć lat starsza.

— To musi być bardzo silny mag — stwierdziłam. — Kierować tyloma potokami energii nie każdy może.

— Mówiłaś, że to słaby mag!

— Mówiłam! — powiedziałam, zakrywając twarz rękami. Zdawało mi się, że spadł na mnie cały świat. Nie wiedziałam, co robić. Nawet będąc w swojej najlepszej formie, z całym zapasem energii i wyspana, nie mogłabym konkurować z magiem praktykiem. A tym bardziej z takim, który bez wysiłku włada takimi potokami energii, które mi się tylko śniły. — On podnosi nowych martwych, a rozwalające się szkielety porzuca. Pozabijają nas jak niemowlaki.

Chciałam zapłakać, ale nie miałam łez. Jakby mi do oczu nasypali piasku.

— Nie zabiją — spokojnie powiedział Otto. — Ten mag nie ma wiele czasu. Zaraz zaczną świtać, a martwaki bardzo nie lubią promieni słonecznych.

— Będą chmury i deszcz — powiedziałam, otulając siebie rękami i zaczynając kołysać się jak bańka-wstańka. — Słońca nie będzieeeeeeee!

— Bez hysterii — uprzedził krasnolud. — Bo przywalę siekierą, żeby mózg wrócił na swoje miejsce.

W milczeniu patrzyłam jak trzeszczą drzwi pod naporem martwiaków. Niektóre z nich kilka minut temu zamieszkiwały Gniedino...

— Zaczynij myśleć — rzekł Otto. — Komu tak mogliśmy przejść drogę, żeby przez nas jakiś szalony mag zniszczył całe miasto?

W niemym zdumieniu popatrzyłam na krasnoluda. Co on gada? Przyczyną krwawej masakry jest dwójka studentów?

— O właśnie — stwierdził zadowolony. — Widzę pracę mózgu. A teraz myśl o tym. Skąd mag kieruje martwiakami?

— Stąd — pomyślawszy trochę, machnęłam ręką w prawo.

— A więc widzi bitwę, a to znaczy, że siedzi na jakimś podwyższeniu.

— Na koniu? — zaproponowałam.

— Za nisko.

— Na drzewie?

— Najwyraźniej — Otto w zamyśleniu targał brodę. — I co musimy zrobić?

— Tylko dostać się do maga... Bardzo silnego maga... Bardzo silnego maga-nekromanty... I przerwać strumień jednym bardzo mocnym uderzeniem.

— I w ogóle umrzeć godnie — podsumował półkrasnolud.

Podniosłam wzrok na kumpla.

— Jak mam umrzeć godnie, skoro patrzy TAK na mnie? Zawsze marzyłem być bohaterem, a w takim życiu tak mało miejsca jest dla czynów!

— Nie chcę umierać godnie — powiedziałam, wyciągając z włosów czarną szpilkę.

— Poczekaj ze szpilką, przyda ci się na samym końcu — uprzedził Otto.

Podniosłam się ciężko, czując, jak mnie duszą nie przebyte lata, nie wypite piwo, nie zjedzone czekoladki, nie... nie... nie...

— Co robisz? — zdziwił się półkrasnolud.

— Łażę przy ścianie i szukam czegoś co mogłoby posłużyć jako broń — w ręce wpadła mi kosa i miałam nadzieję, że jest zerdzawiała. Jeśli nie zabiję maga, to przynajmniej załatwię mu zakażenie krwi. — Nadal chcę żyć długo i szczęśliwie.

— Niestety — powiedział Otto, podchodząc do drzwi, za którymi czekały ożywione trupy. — Trzeba być ostrożnym w chęciach. Chciałaś być sławna, kiedy wstępowałaś na Uniwersytet? No i się staniesz, jeśli ktoś przeżyje, żeby opisać twoje męstwo. Na "trzy" otwieram. Oszczędzaj energię, przyda się. Biegniemy do lasu i szukamy nekromanty.

Przerażał mnie heroiczny blask w oczach krasnoluda. Miałam wrażenie, że cała nasza odwaga dostała się Ottonowi. Przecież szłam tam tylko dlatego, że nie miałam się gdzie podziać. Półkrasnolud otworzył drzwi i wbił się w rzędy martwiaków, wymachując siekierą, jak wiatr skrzydłami wiatraka. Ja najpierw wysunęłam kosę ze stodoły, a dopiero potem sama wylazłam.

— Wiejemy, wiejemy! — krzyczał Otto, ciężko dysząc.

I pobiegłam, ślizgając się po błocie zmieszonym z krwią. Nie miałam czasu patrzeć na boki, żeby dowiedzieć się co się dzieje z mieszkańcami. Żeby tylko się nie przewrócić, żeby tylko się nie przewrócić!

— Stop! — wrzasnął półkrasnolud.

Nie zdążyłam wyhamować na błocie i z całej siły przywaliłam w drzewo.

— Ach...

— Nie ma czasu na wzdychanie, jesteśmy już w lesie. Gdzie jest mag?

Próbując wyrównać oddech, zamknęłam oczy. Potoki siły uchodziły w prawo i do góry.

— Miałeś racje, jest na drzewie — wyjęczałam. Pewnie będę mieć na głowie sporego guza.

Otto zdecydowanym krokiem poszedł w kierunku głębi lasu. Złapałam kosę, która wyleciała mi z rąk przy uderzeniu, i polazłam za nim.

Na chwilę coś zaświeciło, oślepiając mnie. Zamarłam, mrugając.

— Biegnij, Ola! — rozkazał półkrasnolud, odbijając ataki zombie. — Dawaj!

Na piersi u Ottona jaskrawym światłem promieniował medalion. Dziwne, nawet nie wiedziałam, że taki ma!

W łunie światła zobaczyłam półrozumnych zombie, solidnie

zrobionych zombie, które okręzały nas ze wszystkich stron. Zamachnawszy się kosą, włożyłam do uderzenia całą siłę i trochę magii. Głowa najbliższego martwiaka poleciała gdzieś w krzaki, a jego ciało zajęło się ogniem.

Rzuciłam się w tę stronę, gdzie aż wibrowało od magii.

— Aaa! — krzyknął za moimi plecami Otto.

W biegu wzdrygnęłam się od bólu, którym przepelniony był krzyk, ale nie zatrzymałam się, choć w oczach pojawiły się łzy.

— Żegnaj, przyjacielu — wyszeptałam i wtedy zobaczyłam obiekt poszukiwań.

Mag w workowatej szacie z kapturem z wygodą przebywający pod pochodnią, trzymał w jednej ręce grubą księgę, a drugą ruszał tak, jakby bawił się marionetką. Gdzieś niedaleko, w krzakach, szarpał się i chrapał koń, wariujący od martwiaków.

Pomyliliśmy się z Ottonem — nekromanta nie siedział na drzewie, a na werandzie domu leśniczego, przeniesionym prawie na czubek dębu.

— Po to, żeby zwierzyna nie wlaźła — wyjaśnił mi leśniczy, wujek Pon, kiedy zapytałam, dlaczego ma tak wysoko mieszkanie. Ech, wujek Pon, wujek Pon, pod jakim krzakiem leżą teraz twoje kości?

Jak mogliśmy zapomnieć o tym domku? Przecież sama nie raz siedziałam tam, oglądając miasteczko widoczne stąd jak na dłoni!

Czekały na mnie dwa zombie. Zmyłam je z powierzchni strumieniem powietrza i polazłam na górę, taszcząc ze sobą kosę. Pokazać się bez oręża przed nekromantą, który unicestwił część okręgu, było głupio.

— Ej, ty — przerywającym głosem zawołałam. — Ano, przestań!

Chciałam go jeszcze wyzwać na pojedynek, chciałam powiedzieć wszystko, co o nim sędzę, ale nie starczyło mi powietrza, więc oparłam się o kosę, żeby odetchnąć. Nekromanta zwrócił twarz w moją stronę z wyrafinowanymi, nawet ładnymi liniami, podkreślonymi przez cień rzucany przez kaptur, i roześmiał się.

— Czego chcesz? — zapytał, czkając od śmiechu. — Chcesz to wszystko zatrzymać?

Kiwnęłam. Tak, mag był silny, ale nie doświadczony. Straciwszy koncentrację puszczał nitki, które potem znikwały z jego dłoni. Każdy potok energii — to zombie, tracący energię, głupiejący, słabnący i szybko wracający do nieruchomego stanu spokojnych nieboszczyków. A to znaczy, że jeśli przeciągnę czas, to uratuję więcej ludzi.

— Ja. Teraz cię zatrzymuję!

— Patrzyłaś ty w lustro, dziewczyno?

— Nie — przyznałam, czerwieniąc się mimo woli. — A co, jestem straszna?

— Straszna.

— A więc taki jest twój los — zostać zabitym z ręki strasznej i groźnej dziewczyny! — energicznie powiedziałam.

— Podobasz mi się — stwierdził nekromanta. — Jesteś śmiała. Przyłącz się do mnie.

Tak, tak, tak! Tylko kilka nici zostało w jego rękach.



— Nie, dziękuję — powiedziałam, podnosząc kosę. — Już przyłączyłam się do jednego nekromanty, wystarczy mi jeden osobnik z waszego plemienia.

— Poczekaj — spokojnie powiedział mag. — To ty organizowałaś obronę miasta?

— Ja — przyznałam się, przypisując sobie zasługi krasnoluda.

— Brawo — pochwalił nekromanta. Wbrew woli poczułam się zadowolona. — W poprzednim miasteczku tacy durni magowie byli, że nawet się nie przespacerowałam.

— A ja myślałam, że to Księżycowe Martwiaki były.

— Maskarada! — przechwalał się mag. — Teraz wszyscy zwalają to na Księżycowe Martwiaki.

— Źle się orientujesz w kalendarzu — powiedziałam, policzywszy na palcach dla pewności. — Pełnia skończyła się wczoraj.

— Naprawdę? — wkurzył się mój przeciwnik. — No i dobrze. To ostatnie miasto w tym miesiącu. Nadal uważam, że powinnaś do mnie dołączyć.

— Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz, tylko rozmawiasz ze mną? — zainteresowałam się zmieszana. Myślałam, że gdy spotka się dwójka przeciwników jest trach-bach i jeden idzie do więzienia albo piachu, a drugi na piedestał sławy.

— Można powiedzieć że, mmm, czuję głód — chętnie wyjaśnił mi nekromanta. — Dla osiągnięcia celu potrzebni są rozsądni ludzie, a to

wielka rzadkość. Tym bardziej, że jesteś kobietą, a to znaczy, że pojawi się u nas mądre i obdarzone magicznym darem potomstwo.

— Eeee — zdziwiłam się. — Dlaczego każdy, z którym rozmawiałam ostatnimi czasy, proponuje mi wspólne potomstwo?

— Pewnie dlatego, że wstąpiłaś w najlepszy do rodzenia dzieci wiek — wzruszył ramionami mag. — Wiesz, znaleźć matkę dla swoich dzieci jest ciężiej niż mądrego i nie leniwego podopiecznego. No i jak, zgadzasz się?

— A co będę z tego miała? Władzę nad światem?

— Nie — oburzył się mag. — Nie pretenduje na władcę świata, wystarczy mi jeden kraj. Na razie. A miejsce kobiety, choć prawej ręki, jest zawsze za jego plecami.

— Nieee — przeciągnęłam, czując się jak aktor głupiej komedii. — Nie zgadzam się. Chcę sama rządzić.

— Szkoda będzie mi cię zabijać — westchnął mag.

Odrzucił książkę na bok, błysną niebieskimi oczyma i jednym pstryknięciem skierował na mnie strumień ognia.

Moja ściana ochronna wytrzymała, ba, nawet udało mi się podejść bliżej. Jeszcze trochę i dosięgnę go kosą.

— Nie masz żadnych szans — wykrzyczał nekromanta, znowu rzucając we mnie ogniem. Dom leśniczego zapłonął.

Jeszcze jednej ściany ognia moja obrona nie wytrzyma. Nie ma co przeciągać czasu.

Skoczyłam na nekromantę, machnąwszy kosą. Uchylił się lekko, wyciągając zza pasa długie ostrze.

— Nie zabijaj mnie, wujaszku — zapiszczałam, zastanawiając się, czy weranda szybko spadnie od ognia na dół i jak długo będziemy spadać.

— Na kolana! — rozkazał.

Co za chorobliwy egoizm! Pokornie opadłam na kolana, położywszy przed siebie kosę.

— Teraz ty poznasz... — patetycznie zaczął nekromanta, ale co powinnam poznać, nie wiem, bo w tym momencie weranda zaczęła spadać, psując podniosły moment.

Spadaliśmy w dół, łamiąc gałęzie. „Mama!” — zdążyłam tylko pomyśleć, zwijając się w kłębek.

Przy uderzeniu w ziemię wydawało mi się, że kiszki wylazły mi przez uszy. Poleżałam trochę, próbując oddychać i w pośpiechu nakładając na siebie zaklęcia przeciwbólne, póki ból nie dotarł jeszcze do mózgu i nie wyłączył go.

— Suka — zajęczał mag obok. — Nadziałem się na twoją kosę!

— Śmiertelnie? — wydusiłam z nadzieją.

— Nie, moja ręka! Moja ręka!

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, jak stoi nade mną figura w czarnej szacie. Ręka z ostrzem była świetnie widoczna w płomieniach. Spróbowałam odpełznąć, ciągnąc złamaną nogę. Dlaczego, dlaczego los mi tak nie sprzyja? Dlaczego przeklęty nekromanta spadający z takiej

wysokości tylko nadział się ręką — i to lewą! — na moją kosę, a ja złamałam sobie nogę! I, wydaje mi się, że wątrobę poobijałam. Teraz ze mną nikt nie zechce dzieci mieć, po co komuś taki inwalida?

Nekromnta spadł na mnie, wzbijając ostrze w moje ciało. Boli. Jak boli! Zacisnąwszy zęby, wyciągnęłam szpilkę z włosów i z całej siły wbiłam w jego plecy. Wrzasnął i sturlał się ze mnie.

— Brać ją! — krzyknął komuś i zobaczyłam jak rzucają się na mnie dwa zombie.

Boli.

Ciemność.

— Ola! Ola! Ola!

Boli.

— Ola!

Boli.

— Ola!

No, dajcie mi umrzeć spokojnie!

— Ola!

Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą krasnoluda. Z jego oczu ciekły łzy, dużymi kroplami płynąc po skołtuniałej brodzie.

— Ola! Nie umieraj, tylko nie umieraj, jeszcze trochę, wytrzymaj, złotko.

— Ja... — wychrypiałam, poruszając językiem po suchych wargach. Otto prawie przytulił się do mnie, żeby usłyszeć co powiem.

— Ja jeszcze was przeżyję — wyszeptalam i umarłam.

Okazuje się, że to nawet przyjemne.

Płynęłam w szarej, gęstej mgle, niecierpliwie czekając, kto po mnie przyjdzie — demony czy anioły? Mam nadzieję, że wysłannicy Pani Sukcesu, czyjej oddaną wierną byłam przez ostatnie dziesięć lat. A jeśli demony to też nieźle. W każdym razie, będę miała możliwość poczekać na swoich znajomych. A jeśli będę dobrze się zachowywać i spokojnie gotować się w kotle, to pozwolą mi na kilka dni udać się w podziemny świat, gdzie idą krasnoludy po śmierci? Albo czy po śmierci słowo „dzień” straciło swoją aktualność?

— Witaj — rozległ się niski głos i przede mną pojawił się rudy, pręgowany i puszysty kot. Taki piękny, że gdybym nie umarła, to wzięłabym sobie takiego do domu. Leżałby u mnie na kolanach i mruczał, a ja drapałabym go za uszkiem i karmiła rybką, śmietanką i mlekiem. Jeśli nie zjadłabym ich wcześniej sama. Przy czym jeszcze myszy nikt nie wymieniał.

— Sukin Kot? — zapytałam wstrząśnięta.

— We własnej osobie.

Szkoda, oczywiście, że trafiłam do demonów, ale za to przyjemnie, że moją duszę będzie przeprowadzać sam Sukin Kot. Może zakwalifikuję się do samych największych grzeszników?

— No co, idziemy? — zapytałam Kota.

— Gdzieś się spieszysz? — zapytał rudy.

— Już nigdzie — stwierdziłam.

— No i dobrze. Bo wszyscy się spieszą, biegają, biegają i biegają za sprawami. A potem trafiają do nas i rozumieją, że nie mają czego wspominać. Tylko praca i praca, a przrzrzyjemnych rzeczy nie pamiętają. I płaaczą potem wiekami, a u nas, sama rozumiesz, wydarzeń mało. A jakie rzeczy ty będziesz wspominać?

Zamyśliłam się. Pocałunek Irgi. Przyjacielskie objęcia Otto. Mamę, pachnącą moimi ulubionymi pierożkami z jabłakami. Lirę, ratującą mnie od kaca. Siostry, leżące u mnie na łóżku i dzielące się ostatnimi nowinkami. Tatę, podrzucającego mnie do góry, kiedy byłam maleńka. Befę, srogo wyrzucającego mi za ostatni wybryk. Irgę, leżącego na łóżku w jego ulubionej pozie na plecach z rękami pod głową...

— Widzisz, jak dużo masz wspomnień! — ucieszył się Kot.

— Poczekaj, jeszcze nie wszystko sobie przypomniałam.

— Będziesz miała jeszcze czaaaas, żeby się tym zająć — powiedział Kot. — I Chuuuudorską czekoladę, i smorrrrodinówkę, i kielbaski z piwem. A właśnie, próbowałaś wędzoną rrrrrybkę tiliwi? Nie, widzę, że nie próbowałaś, a szkoda. Bardzo pollllecam.

Ciekawe, jak mogę spróbować tiliwskiej wędzonej rybki?

— Myślisz, że już nigdy nie spotkasz elfów? — zapytał Kot.

Aha! Elfy też trafiają do demonów! Wiedziałam! Tak im trzeba! Mam

nadzieję, że podsmażają ich na najbardziej brzydkich patelniach. Eeeee, stop!

— Poczekaj — zapytałam. — Czytasz moje myśli?

— Tak — powiedział Kot, przeciągając się.

A to znaczy, że on wie, że myślałam o nim jak o zwykłym kocie? I żeby łowił myszy?

Nie wiem, czy bezcielesna dusza może się czerwienić, ale moja na pewno.

— E, tam — powiedział Kot, miękko podchodząc do mnie bliżej. — Nie wyobrrrrażasz sobie, jak czasami chce się być zwykłym kotem.

Już niczemu się nie dziwiąc, usiadłam we mgle, a Kot wlaź mi na kolana. Delikatnie drapałam go za uchem, głaskałam gęstą i puszystą sierść, a on mruczał tak, że aż mi drżało gdzieś w kiszkach. I niepostrzeżenie, nawet dla samej siebie, zasnęłam.

Rozbudziła mnie miękka łapka, stukająca mnie po nosie.

— Przyszła na ciebie porrrra.

— Nie myślałam, że dusze śpią — podzieliłam się myślą przeciągając się.

— Twoja dusza bardzo się zmęczyła — miękko powiedział Kot. — Musiała odwalllić barrrdzo ciężką rrrrobotę.

— A dlaczego tego nie pamiętam? — zapytałam. Czy naprawdę udało mi się urzeczywistnić największe marzenie leniów — spać i pracować

jednocześnie?

— Podarunek za łagodność — odpowiedział Kot. — Po co ci niepotrzebny ból? A terrraz porrra na ciebie.

— Dziękuję ci — z całej duszy podziękowałam rudemu za miłe chwile. — A teraz gdzie – do kotła czy na ruszt?

— Gorzej — zachichotał Kot. — Trzrzrzymaj się, Olgierrrdo, jeszcze się zobaczymy.

Poniosło mnie gdzieś, zawirowało w wichrze i nastąpiła ciemność.

Otworzyłam oczy. W kącie sufitu siedział na pajęczynie zdrowiutki pająk i patrzył na mnie. Spojrzałam w lewo i zobaczyłam skraj narzuty z krowami na łące — prezent na któryś Nowy Rok od sióstr. Jestem u siebie w pokoju? Tak, u siebie. Ten brudno-biały, popękany sufit widzę każdego ranka w Gniedino. Ale jak? W jaki sposób? Przecież umarłam!

Spojrzałam w prawo i zobaczyłam krzesło, na którym spał Irga. Spróbowałam poruszyć szyją i poczułam ostry ból. Jęknęłam zaskoczona. A więc mimo wszystko nie umarłam? Nie pamiętam, żeby w informacjach o zaświatach było coś o bólu szyi! Spróbowałam przekręcić szyję i znowu zajęczałam. Nekromanta poruszył się, otworzył oczy i popatrzył na mnie. Nagle jego twarz zamarła, a potem rozjaśniła się taką radością, że aż przestałam oddychać.

— Ola — wyszeptał i dotknął mojego policzka dłonią tak ostrożnie, jakbym była eksponatem w królewskim muzeum drogocенności. — Miła, poznajesz mnie?



Postanowiłam nie kiwać i spróbowałam odpowiedzieć.

— Tak — język poruszał się z trudem, jakby zapomniał o swoich powinnościach.

Irga zamknął oczy i dotknął swoim czołem mojego. Kap. Kap. Spadały mi na policzki ciepłe krople.

— Irga — w końcu udało mi się zmusić nieposłuszny język do ruchu i w ustach w końcu pojawiła się ślina. — Ty płaczesz?

Zamiast odpowiedzi objął dłońmi moją twarz, jakby bał się, że się rozsypie.

— Tak... Się cieszę..., że... Wróciłaś! — powiedział urywanym głosem.

Niczego nie rozumiałam, ale widok takiego Irgi tak mnie przeraził, że przeciągnęłam się próbując go objąć.

— Aaa!

— Co, miła? — cofnął się. — Zrobiłem ci krzywdę?

— Dlaczego nie czuję rąk? I nóg?

— Uspokój się, nie możesz się denerwować. Po prostu uzdrowiciele tak naszpikowali cię zaklęciami, że nie czujesz niczego.

— Szyję czuję — sprzeciwiłam się.

Irga wzruszył ramionami.

— Pić — poprosiłam, nie mogąc dłużej wytrzymać.

— Zaraz.

Nekromanta wyszedł z pokoju, a ja zaczęłam zastanawiać się, co takiego dziwnego w nim zauważyłam.

Zamiast Irgi do mojej sypialni wpadł Otto.

— Złotko! Złotko! Już myśleliśmy, że cię straciliśmy! — wołał, podnosząc do moich ust kubek z wodą.

— Opowiedz, co się stało — poprosiłam.

— Oj, ty tyle przepuściłaś — zaczął półkrasnolud, przestawiając krzesło tak, abym mogła go widzieć.

W milczeniu oglądałam jego obandażowaną rękę, ogromną bliznę, ciągnącą się przez pół twarzy i kończącą się przy podbródku. Widocznie, żeby zaszyć ranę, uzdrowiciele musieli wyciąć część pięknej brody kumpla i teraz Otto, lekko mówiąc, wyglądał śmiesznie.

— Od czego zacząć? — zapytał półkrasnolud, siadając wygodniej.

— Od niczego — powiedział od strony drzwi miękki głos i w polu mojego widzenia pojawił się uzdrowiciel. — Olgierdy nie należy denerwować.

Nie spodobał mi się od razu. Był jakiś taki sztywny, srogi, jego ubranie pachniało ziołami, a w kieszeni koszuli siedział sobie jakiś instrument.

— Wyjdź, Otto — rozkazał uzdrowiciel, zdejmując ze mnie pościel. — Nazywam się Ignacy i teraz cię obejrzę.

Nachmurzyłam się. Co mogłam zrobić? Sprzeciwić się, jeśli nawet nie mogłam się poruszyć?

— Tak, tak, tak — mamrotał uzdrowiciel, dotykając mnie dłońmi. — Czujesz mój dotyk?

Przerażenie chwyciło mnie za serce. Nadal nic nie czułam! Czy jestem sparaliżowana?

— Nic nie czuję! — w panice pisknęłam.

— Tak powinno być — powiedział Ignacy.

— Powinno? — pytać „uzdrowicielu, ja umrę?”, na pewno nie miało sensu, ale też nie napawało mnie optymizmem.

— Nie bój się — miękko powiedział uzdrowiciel, i poczułam, jak otula mnie spokój.

No nie! Koniec.

— Przestańcie — ryknęłam z całą siłą swoich płuc, którą miałam. — Będę się denerwować, będę krzyczeć, póki mi nie wyjaśnią, co się dzieje!

Do pokoju wleciał Irga i położył mi rękę na czoło.

— Oła, miła, uspokój się.

— Nie chcę! Co się dzieje?

— Oła, skarbie, ukochana, jedyna moja — mówił nekromanta, a uzdrowiciel robił coś za jego plecami. — Oła, popatrz na mnie, popatrz, miła!

— Nie chcę — powiedziałam, próbując wykręcić się tak, by zobaczyć uzdrowiciela. — Chcę wiedzieć co się dzieje! I co się stało!

Łup! Poczułam jak otacza mnie magia, dosłownie jakbym znalazła się w kokonie. Ciesząc się, że mogę poczuć choć to, zagroziłam:

— Jak się ocknę, to was wszystkich pozabijam! — i zasnęłam.

Źle spałam. Męczyły mnie koszmary, wokół wszystko płonęło, było mi nieznośnie gorąco i tylko czyjeś chłodne dłonie ratowały mnie od spalania. W końcu ból opanował całe ciało i obudziłam się od własnego krzyku. Coś ciężkiego leżało na moich nogach, czyjeś silne ręce trzymały moje. Otworzyłam oczy. Nade mną wisiała twarz Irgi widoczna w słabym świetle płomienia. Za oknem była nieprzenikniona ciemność.

— To nic, przejdzie — powiedział ze strony moich nóg uzdrowiciel. — Trzymaj ją, żeby się nie rzuciła.

A więc nie jestem sparaliżowana! O jedną dobrą wiadomość więcej. Teraz już mnie nie zatrzymacie! Nie licząc silnego bólu w całym ciele czułam się wyśmienicie, byłam bardzo zła i przeraźliwie chciałam jeść.

— Złazcie z moich nóg — kazałam uzdrowicielowi. — I lepiej wyjdźcie, żeby mnie nie widziała!

— Cicho, cicho, cicho — powtarzał uzdrowiciel uspokajająco.

— Paszoł won! — zawiszczałam, nie rozumiejąc swojej nienawiści do maga, ale nie wytrzymując jego obecności. W końcu kto tu jest chory? Kto ma prawo kapryścić?

— Wyjdźcie — poprosił Irga.

— Uprzedzam... — zaczął uzdrowiciel.

— Aaaa! — zawiszczałam.

— Wyjdźcie! — krzyknął nekromanta.

Uzdrowiciel wzruszył ramionami i wyszedł, a do pokoju zajrzał Otto.

— Co się stało? — zapytał przerażony.

— Nie wiem — odpowiedział Irga, wycierając moją twarz ręcznikiem.

— Chłopaki — powiedziałam. — Dajcie mi jeść.

— Nie jesteśmy pewni... — zaczął nekromanta, ale pokręciłam protestująco głową i zapytałam:

— Gdzie jest Warsonia?

— Ignacy nie pozwolił go wpuszczać — pożalił się Otto.

— Walić Ignacego — powiedziałam. — Zawołaj Warsonię.

— Co ty robisz? — zapytał mnie Irga. Przeraziłam się zmęczeniem brzmiącym w jego głosie, a potem spokojnie odpowiedziałam:

— Nie podoba mi się Ignacy.

Irga pomilczał chwilę i powiedział:

— Poskładał cię z kawałków. Miałaś połamane wszystkie kości. Poobijane wnętrzności.

— Tego mieliście mi nie mówić? — uściśliłam.

Nekromanta potaknął.

— Przekaż mu moje podziękowania — powiedziałam. — Ale teraz nie chcę go widzieć. I nie chcę znać.

— Nie jestem pewny...

— Ale ja jestem pewna.

— Posłuchaj Olu — wzburzył się Irga. — Już raz cię straciłem i nie chcę stracić jeszcze raz. Nie możesz się denerwować, bo inaczej...

Jego głos się urwał i ukochany się odwrócił.

— Od tego momentu poproszę bardziej szczegółowo — poprosiłam.

— Witaj — zagruchał za moimi plecami Warsonia. — Cieszę się, że cię widzę!

— Ja też się cieszę! — stwierdziłam energicznie. — Mogę jeść?

— Myślę, że coś lekkiego możesz — rzekł Warsonia, wyciągając z kieszeni czekoladkę.

— O! — powiedziałam, kiedy pierwszy kęs rozplynał się w moich ustach. — O!

— Źle się czujesz? — przestraszył się Irga.

— Jest mi bardzo dobrze!

— Cudownie — powiedział zadowolony Otto, pojąc mnie wodą.

— Opowiedzcie mi wszystko! — poprosiłam, żując czekoladę. — Bo inaczej będę się denerwować, przeżywać i robić wszystko, czego się tam

tylko obawiacie.

— Dobrze — nagle zdecydował Irga. — Byłaś ciężko ranna, napadły na ciebie zombie, a kiedy znalazł cię Otto to umierałaś.

— To wiem — powiedziałam. — A potem przyjechałeś i mnie uratowałeś?

— Nie — powiedział Irga i skrzywił się. — Kiedy przyjechałem byłaś martwa już od jakiejś godziny.

— Oho — rzekłam przerażona. — Jestem normalna?

Irga milczał.

— Nie całkiem — roześmiał się Otto.

— Ogłupiałam? — zapytał przerażona, pamiętając z kursów uzdrowicielstwa, że kiedy człowiek jest martwy dość długo i potem go ożywią, to komórki mózgowe obumierają i zostaje się debilem. Dlatego zombie, nawet najlepiej zrobione, mogą wypełniać najprostsze zadania.

— Jakoś wydaje mi się, że nie jesteś głupsza niż byłaś — pocieszył mnie krasnolud.

— Przecież powiedziałeś, że jestem nienormalna!

— Nie, powiedziałem, że nie jesteś całkiem normalna. Powiedz mi, złotko, kiedy byłaś normalna?

Otworzyłam buzię, potem zamknęłam, pomyślałam i powiedziałam:

— O, dziękuję, pocieszyłeś mnie.

— No i — ciągnął półkrasnolud, dlatego, że Irga milczał. —  
Uwolniłem się od koleżków, którzy czekali na nas w lesie i zdążyli mocno  
pogryźć mi rękę. Już się z nią nawet pożegnałem, ale Warsonia ją uratował.  
I pobiegłem szukać ciebie...

*...Otto biegł przez las, na szybkiego przewijając rękę bandażem.  
Kamizelkę trzeba było wyrzucić, ale to go nie martwiło — krasnoludowi  
było bardzo gorąco. Myślał o Oli, o zmęczonej obronie miasta Oli, o Oli,  
znającej tylko kilka bojowych zaklęć i walczącej przeciwko potężnemu  
nekromancie. Zobaczył płonące szczątki domku leśniczego, wysoką figurę w  
pelerynie, kuśtykającą w stronę głębin lasu. I dwa zombie, znęcające się  
nad małą figurką. Otto bez namysłu rzucił się na martwiaki, gdy nagle  
poczuł ból — jeden z zombie uderzył go sztyletem.*

— No patrzcie — wymamrotał półkrasnolud, starając się nie zwracać  
uwagi na ból. — Jaki mądry chłopaczek!

*Wyżej wspomniany zombie szybko odszedł w końcu na tamten świat, a  
drugi w ślad za nim. Ola leżała nieruchomo na ziemi. Powstrzymując jęk,  
Otto padł na kolana przy przyjaciółce. Nawet nie będąc uzdrowicielem  
rozumiał, że zostało jej mało życia.*

— Ola! Ola! Ola! — zaczął wołać.

*Nie wiedział nawet po co. Może poprosi ją, żeby nie umierała? Może  
powie jaki będzie samotny bez niej?*

— Ola!



*Dziewczyna otworzyła oczy. Otto ucieszony pochylił się nad nią, widząc, że chce coś powiedzieć.*

*— Ja... Jeszcze was przeżyję — wyraźnie powiedziała i umarła.*

*— Ola! — krzyknął półkrasnołud i zaczął płakać. Miał wrażenie, że wraz z nią umarła część jego samego. Nawet przy żalu pojawiło się inne uczucie — Ola nawet przed samą śmiercią zrobiła po swoim! Czy naprawdę nie mogła powiedzieć czegoś w stylu: „Powiedz Irdze, że go kochałam” albo „Niech o moich czynach powiedzą potomkom” lub „Pochowajcie mnie z muzyką”. Nie, musiała powiedzieć: „Ja jeszcze was przeżyję” i umrzeć! Kto po takim czymś umiera?!*

*— Otto — ktoś złapał półkrasnołuda za ramię. Otto odwrócił się i zobaczył barona. — Przyjechaliśmy z drużyną na pomoc. Co z nią?*

*— Umarła.*

*Baron ciężko westchnął i mocniej ścisnął ramiona przyjaciela. Krasnołu jęknął od bólu, ale baron go nie słyszał. Ron patrzył na to, co kiedyś było Olą, zacisnął wargi, i powiedział:*

*— Macie uzdrowiciela! On może przywrócić jej życie — młody człowiek zdjął płaszcz i położył go na ziemi. — Pomóż mi ją przenieść.*

*Otto w milczeniu pomógł baronowi. Nie chciał niepotrzebnie martwić Rona, ale wątpił w talent Warsonii do ożywiania ludzi. Jadna sprawa to przyjmować porody, a druga — przywrócić życie do połamanych kości i zmasakrowanych wnętrzności. Baron szybkimi ruchami przyczepił płaszcz do konia i pobiegł obok, trzymając płaszcz za drugi koniec.*

— *Widać, chłopak ma doświadczenie w ratowaniu towarzyszy w boju — tępo zdziwił się Otto i pobiegł za nim.*

*Nigdzie nie było widać zombie. Miastowi wspólnymi siłami gasili domy, gdzieś tam rozlegał się płacz. Drużyna barona rzucała na jedną kupę szczątki zombie, zamierzając je spalić.*

— *Warsonia! — krzyczał Otto. — Warsonia!*

*Uzdrowiciela nigdzie nie było. Skończyła się adrenalina w krwi krasnoluda, rany zaczęły go nieznośnie boleć i jęcząc biegł do domu.*

*W pokoju paliło się światło. Ola, rozebrana i umyta z krwi leżała na stole. Baron zajął się piecem, wciąż do niego dokładając drewna. Warsonia, przegryzając wargę, czarował nad dziewczyną, położywszy obok narzędzia z dużej walizki. Otto w milczeniu przeszedł obok, wszedł do swojego pokoju i znalazł schowaną butelkę bimbru. Wrócił z powrotem. W pokoju nic się nie zmieniło. Ola nadal leżała nieruchomo na stole, Warsonia ścierał z twarzy pot, a baron napełniał wodą duży sagan stojący na piecu. Czując, jak jego wnętrzności zamieniły się w lód i nawet ręka przestała boleć, Otto wyszedł na dwór, usiadł na ławkę, zębami odkorkował butelkę i zaczął pić.*

— *Otto! Otto! Co ci jest?*

*Półkrasnolud otworzył oczy, zobaczył przed sobą Irgę i wymamrotał:*

— *Ola zginęła — i znowu zamknął oczy.*

— *Wstawaj — rozległ się obok głos Warsonii. — Tylko twojego trupa mi do szczęścia brakowało.*

*Otto popatrzył osowiale na uzdrowiciela.*

*— Już opatrywałem twoje rany — powiedział tuścioch, próbując podnieść krasnoluda z ławki*

*— Co ty tu robisz? — zdziwił się Otto. — A co z Olą?*

*— Nadal nie oddycha — odpowiedział Warsonia i obrażony dodał:*

*— Wygonili mnie stamtąd. Powiedzieli: "Idź, zajmij się miastowymi!", Irga przywiózł z sobą drugiego uzdrowiciela.*

*— Rozumiem — wymamrotał Otto, próbując wstać.*

*— Strata krwi i alkoholowe upojenie — westchnął Warsonia, pomagając mu dojść do drzwi.*

*Otto, zataczając się, wpadł do pokoju i opadł na ławkę.*

*W całym domu było przeraźliwie gorąco. Uzdrowiciel — krępy mężczyzna w średnim wieku — uważnie zajmował się ciałem Oli, a Irga, klęcząc na kolanach przed dużą czarną świecą, nie przestając, wołał:*

*— Ola! Ola! Miła, wróć! Wróć, skarbie! Tak cię kocham! Wróć, Ola! Ukochana, Ola!*

*Nagle powietrze nad świecą zagęściło się i pojawiła się figura Oli — taka, jaką pamiętał ją Otto — z włosami, niedbale zawiązanymi w węzełek, w prostej koszuli i długiej jaskrawej spódnicy.*

*— Kto mnie wołał?*

*— Ja, Irga. Miła, wróć, kochana moja!*

— Oczywiście — powiedział duch Oli. — Myślisz, że tak bardzo chciałam umrzeć? Jeszcze ci całego życia nie przewróciłam do góry nogami!

*Duch zniknął, a ciało na stole krzyknęło, a potem opadło.*

— Nie — powiedział duch Oli, znowu pojawiając się nad świeczką. — Rozmyśliłam się. Tam boli...

— Miła — błagalnie powiedział Irga.

— Jeszcze troszeczkę — wycedził przez zęby uzdrowiciel. — Przytrzymaj ją, inaczej wszystko pójdzie na marne.

*Figura Oli zaczęła się rozpluwać.*

— Miła, proszę! Nie odchodź! Proszę cię, kochanie! Czy naprawdę często cię o to proszę?! Miła, Kocham cię! Zostań ze mną! Jak będę bez ciebie żyć?! Przecież jesteś całym moim światem! — zawył Irga.

— Łiesz — stwierdził duch, przestając znikać.

— Nie kłamię, przysięgam! No, jak chcesz, to zrobię ci pościel z róż! Każdego ranka będę robić ci śniadanie!

— Nie — powiedział duch. — Nie chcę, tam boli...

— A jak na nasz ślub założę białą marynarkę?! — krzyknął Irga.

*Duch zamarł w niezdecydowaniu.*

— Nie chcę — stwierdził kapryśnie. — Ty w białej marynarce, ja w białej sukience – będziemy się zlewać.

— *Dobrze — rzekł Irga, przyspieszając. — No to kupię ci sukienkę u elfów, chcesz? Oryginalną, elfią, bez krasnoludzkich podróbek!*

— *Zbankrutujesz — powiedział duch w zadumie. — I nie będziemy mieli potem co jeść.*

— *Nie zbankrutuję — przysięgał nekromanta. — Mam specjalny fundusz na ślub. Wystarczy mi pieniędzy.*

— *Koniec — powiedział uzdrowiciel, ze zmęczenia opierając się o stół.*

— *Miła, wracaj!*

— *Dobra, ale obiecałeś! U elfów! — powiedział duch i zniknął.*

*Ciało Oli na stole jęknęło.*

— *Cicho, cicho! — powiedział uzdrowiciel, machając nad nią rękami. — Śpij, śpij...*

*Powieki Ottona opadły i sam zasnął...*

— *No i właśnie tak było — zakończył półkrasnolud. Leżałaś tu tydzień jak kabaczek. Opatulona i milcząca.*

*Kumple z trwogą popatrzyli na mnie, oczekując mojej reakcji.*

— *A zombie chcą jeść? — zapytałam.*

— *Chcą — powiedział Irga, spoglądając na mnie w zdziwieniu.*

— *A ja co, teraz jestem zombie? — krzyknęłam z przerażeniem.*

— Zombie chcą mięsa — uspokajająco powiedział Irga, kładąc mi na czoło swoją chłodną dłoń.

— Ja też chcę mięsa! — w panice krzyknęłam.

Irga i Otto wymienili spojrzenia.

— Oła, uspokój się — zagruchał uzdrowiciel. — Zombie czekolady nie jedzą. Chcesz surowego mięsa?

— Nie — powiedziałam, wsłuchując się w siebie. — Kotleta.

— No i świetnie. — ucieszył się uzdrowiciel. — Dobry apetyt oznacza szybki powrót do zdrowia.

— A co z moim ciałem? — zapytałam.

— Goi się powoli — odpowiedział Warsonia. — Zrobię ci kotleciki na parze, bo na smażone dla ciebie za wcześnie.

— A dlaczego nie powiedzieliście mi nic od razu? — zapytałam.

— Baliśmy się — odpowiedział Otto — Twoja dusza nie trzymała się w ciele. Jakbyś żyła i nie żyła jednocześnie. Bardzo się o ciebie baliśmy...

— Jak dusza nie trzymała się w ciele?

— Zrozum, miła — powiedział Irga. — Mógłbym cię podnieść nawet bez pomocy uzdrowiciela, ale bez duszy byłabyś zwykłym, choć i nawet bardzo dobrym, zombie. A ja potrzebowałam właśnie ciebie, kochanie. Ale twoja dusza nie chciała przebywać w ciele w którym funkcje życiowe były podtrzymywane przez podtrzymującą życie magię.

— Aa, rozumiem — powiedziałam i pochwaliłam się:

— Byłam u Sukin Kota w gościach. Nie, ja nie bredzę, dał mi się nawet pogłaskać.

— Dobrze — wywarczał Otto. — Pójdę spać, ty też trochę się... Zmęczyłaś.

Nekromanta w milczeniu usiadł na krzesło, trzymając moją dłoń w swojej.

— Irga — zapytałam napiętym głosem. — Widziałeś mnie po tym? Potaknął.

— Zechcesz mnie? Przecież jestem na pewno straszna — chlipnęłam.

Ukochany w niemym zdziwieniu popatrzył na mnie.

— No co ty tak patrzysz? — przeraziłam się.

— Ola — powiedział powoli. — Tydzień temu byłaś martwa. Znacząca całkiem martwa. I tylko dzięki uzdrowicielom, wmieszeniu się boskich sił i temu, że udało mi się wrócić twoją duszę, jesteś żywa. I ciebie interesuje to, czy cię zachcę?!!!

— No tak — powiedziałam zdziwiona. — Przecież teraz żyję. I będę żyć. I wydajemy się, że to normalne, że myślę o przyszłości.

Irga roześmiał się, chociaż jego śmiech bardziej przypominał płacz.

— Wydaje mi się, że cię zachcę — powiedział w końcu. — Moje uczucie nie zależy od tego jak wyglądasz. I parę blizn mi nie przeszkadza.

— Jeśli tak mówisz — wyburczałam, zaczynając myśleć, czy grożą mi jeszcze faceci, proponujący potomstwo w najgorszym momencie czy

będę musiała zatrzymać się na Irdze? Nie, kochałam go, ale mieć innych kandydatów to też fajnie.

— Kotleciki! — głośno obwieścił Warsonia wchodząc do pokoju i zaczął karmić mnie z łyżeczki maleńkimi porcjami. Pozwoliłam na to bez sprzeciwu, rozkoszując się uwagą udzielaną mojej osobie.

— Boli? — zapytał łagodnie uzdrowiciel.

Kiwnęłam. Bolało mnie wszystko.

— Nałożę na ciebie przeciwbólowe zakłęcie — powiedział. — Ale nie tak całkowite jak Ignacego, dobrze?

Zgodziłam się. Ból trochę się zmniejszył, ale nie zniknął. Wierciłam się na łóżku, a Irga siedział obok.

— Irga— nie wytrzymałam w końcu. — Połóż się obok.

— Boję się — przyznał.

— Nic mi się nie stanie — powiedziałam wkurzona. — Po dwóch zombie ty mi już nic nie zrobisz.

Nekromanta ostrożnie położył się na skraju łóżka, a ja przytuliłam się do jego ramienia w ulubionej pozie. Zaczął mnie delikatnie głaskać po głowie, czule szepcząc:

— Miła... Kochana moja... Moja maleńka, dzielna dziewczynka... Jak ja cię kocham... Śpij... Będę chronić twój sen i nic więcej ci się złego nie stanie...

Zaczął śpiewać kołysankę swojej mamy, a ja zasnęłam.



Przyśnił mi się, oczywiście, Sukin Kot.

— Witaj — wymruczał. — Co u ciebie?

— Parszywie — odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

— Zawsze możesz wrrrrócić — zaproponował Kot.

— Nie, dziękuję, mi i tutaj nie jest za bardzo źle — powiedziałam.

— A tak naprawdę przyszedłem przekazać pozdrrrrowienia twojemu ukochanemu.

— Przekażę — nastroszyłam się. — A z jakiej racji?

— Nie chodzi o nasze szybkie spotkanie — uspokoił mnie Kot. — Po prrrrostu jest świetny. Nie każdy nekromanta, nawet silny, może sprrrrowadzić ducha aż zza światów tak, żeby jeszcze w ciało wrrrrócił. Irrrrga mnie zadziwił.

— Ale bez twojego udziału się nie obeszło, prawda? — zapytałam.

Zadowolony Kot przytaknął.

— Ale dlaczego?

— Pewnie dlatego, że mi się spodobałaś — wymruczał Kot. — Tym bardziej, że lubię miłosne historię ze szczęśliwym zakończeniem.

— Aaaa— przeciągnęłam, zastanawiając się, czym zasłużyłam na taką łaskę. Nie ja pierwsza kocham i jestem kochana, ale i nie ostatnia.

— Na dodatek jesteś zabawna — powiedział rudzielec. — A tutaj nie mamy zbyt dużo ciekawych osobistości.

— Będę o tym pamiętać — powiedziałam i obudziłam się.

Przez okno mocno świeciło słońce, a na dworze było całkiem białe. Spadł śnieg? Irga spał obok, trzymając moją dłoń. Ostrożnie się podniosłam, zaciskając zęby, żeby nie zajęczeć, i uważnie przypatrzyłam się ukochanemu.

Wyglądał strasznie. Pod oczami miał wielkie czarne cienie, a policzki się zapadły. Ale co mnie naprawdę przeraziło, to szarość na jego czarnej grzywce.

— Irga! — westchnęłam.

Nekromanta od razu się obudził i zapytał ze strachem:

— Co się stało?

— Osiwiałeś? — zapytałam.

— Tak — wzruszył ramionami.

— Ale jak?! Dlaczego?!

— Nie wiem, pewnie wtedy, kiedy Otto powiedział, że umarłaś. Albo kiedy zobaczyłem cię leżącą na stole, tak połamaną. Albo kiedy ponad godzinę bezskutecznie przyzywałem twego ducha zza świątów....

Przytuliłam się do niego i powiedziałam:

— Kocham cię, mocno mocno.

Nekromnta bardzo ostrożnie mnie objął i tak, kiwając się, siedzieliśmy póki znowu nie zasnęłam.

Obudziły mnie ostrożne ruchy.

— Wybacz — powiedział Irga, głosem pełnym winy. — Zdrętwiało mi ciało i nie mam siły więcej tak siedzieć.

Wróciłam na swoje poduszki i powiedziałam, patrząc jak się przeciąga:

— Sukin Kot cię pozdrawia.

Irga kiwnął.

— Wierzysz mi?

— Tak, spotkaliśmy się kiedyś — spokojnie potwierdził Irga.

— Też umierałeś?

— Nie, z innego powodu. Kiedyś ci opowiem.

— Tam Ignacy nie może sobie miejsca znaleźć — obwieścił Otto, wchodząc do pokoju. — Wpuścić?

— Zbierał cię w kawałkach — przypomniał mi Irga.

— Pewnie dlatego mi się niepodoba, bo w podświadomości wyryło mi się jak to bolało — westchnęłam. — Niech wejdzie.

Gdy mnie obejrzał stwierdził lodowatym tonem:

— Dochodzisz do siebie szybciej, niż myślałem. Myślę także, że moje usługi już się nie przydadzą. Przyszła pora, żeby wrócić do Czystiakowa.

Wyszedł, a ja miałam nadzieję, że nie zobaczył jak pokazałam mu język.

Irga karmił mnie łyżeczką i opowiadał, jak punkt magiczny w mieście dostał wiadomość z Sosnino, lecz niestety oddział magów nie zdążył. Mój ukochany od razu wysłał mi wiadomość i poszedł z innymi nekromantami szukać śladów. Nikt nie został żywy, ale po okręgu łaziły słabe i tępe zombie. Jak tylko skończyli robotę, oddział rozdzielił się i skierował się do najbliższych miast. Irga, oczywiście, od razu skierował się do nas z uzdrowicielem i jeszcze trzema nekromantami.

— Bardzo się bałem, że nie zdążę, że coś ci się stanie... I stało się...

— Uspokój się — powiedziałam z pełnymi ustami. — Wszystko dobrze się skończyło.

— Domyślaliśmy się, że nie chodzi tu o Księżycowe Martwiaki — rzekł Irga w zamysleniu. — Były za silne magiczne zakłócenia. I za duże szkody. Szkoda, że Otto dał uciec nekromancie.

— Oczywiście, że szkoda, lepiej by było jakby mnie zjedli! — oburzyłam się.

Irga uśmiechnął się.

— Jesteś dla mnie najcenniejsza, pamiętaj o tym — powiedział.

— A jeśli chodzi o cenne rzeczy to zraniłam nekromantę szpilką, powinna być gdzieś w lesie, jeśli nikt nie zabrał.

— Poszukam — obiecał Irga.

W drzwi mocno postukano i do pokoju zajrzała... Sita. Przetarłam oczy. Moja znienawidzona sąsiadka całkiem żywa i miła trzymała w rękach pierożek. A ją co, martwiaki nie zżarły?!

— Jesteś żywa? — wyrwało mi się.

— Nie docze... Eeee... Tak, razem z Natem jednoczyliśmy się w lesie, jak obok zaczęły biegać martwiaki. I pobiegliśmy do barona po pomoc.

— Świetnie — wydusiłam. Co by nie mówić, to życie zawdzięczam też baronowi, który bez ociągania załatwił uzdrowiciela.

— Mama przekazuje wam pozdrowienia — powiedziała Sita i schowała się za drzwiami.

— Biedny Ignacy — westchnął Irga. — Dziewczynka go oczaruje.

— Dlaczego?

— Ona ma takie... Wypukłości, że Ignacy nie przejdzie obojętnie obok. Jego, jako uzdrowiciela, interesuje wszystko, co nie wpisuje się w normę.

Podniosłam się, zastanawiając się, czy Sita przyda mu się do doswiadczeń, i ostrożnie popatrzyłam na przyniesione jedzenie.

— Jak myślisz — zapytałam w końcu. — Czy ten pierożek jest zatruty...?

## ***Rozdział 14***

## *Śledztwo*

Jak tylko byłam w stanie poruszać się samodzielnie i nie przewracać się co kilka kroków, władze Uniwersytetu wysłały po nas karetę i oficjalne zaproszenie na śledztwo.

— Myślisz, że będzie strasznie? — zapytałam.

— Strasznie to ja teraz wyglądam — pochmurnie odpowiedział Otto, próbując zapleść przy lustrze włosy tak, aby zakryć ubytki w swojej brodzie. — A reszta to głupoty. Każą napisać nam parę wyjaśnień i wezwą na przesłuchanie do straży miejskiej – bo jesteś jedyną, która widziała twarz nekromanty.

— Ta, poszcęściło mi się — wymamrotałam. — Nie rozumiem jak ja mogę im pomóc. Widziałam go nocą, przy świetle świecy i na dodatek w kapturze!

Długo się namyślali! Minęła kolejna pełnia księżyca od napaści na Gniedino. Czy możliwe, żeby jeszcze jedno miasteczko zostało starte z powierzchni ziemi?

Otto wzruszył ramionami. Nie interesowało go przesłuchanie, lecz reakcja krasnoludzkiej społeczności na jego poranioną twarz. Mojej opinii, że blizny tylko upiększają mężczyznę, krasnolud w ogóle nie chciał przyjąć do wiadomości, bo przecież najważniejsze zostało uszkodzone — jego broda. Kwestia blizn również mnie martwiła. Po przebywaniu „w zębach” zombie moje ciało zostało upiększone jadowitymi śladami ugryzień i nie twarzowymi bliznami. Nie wiedziałam, ile będzie kosztować usunięcie ich w

Domu Uzdrawicieli. Na dodatek nie miałam kasy, więc nawet nie poszłam tam by nie popsuć sobie humoru. Warsonia przygotował mi jakieś mazidło ostro pachnące łąjnem, które każdego wieczoru pieczołowicie wcierałam w ciało, ale przy codziennej obserwacji nie zauważałam żadnych efektów.

Irga wyjechał razem z oszalałym z miłości do Sity Ignacym, po bratersku pocałował mnie w czoło i nic więcej. Dlatego spędzałam ostatnie dni na próbach nie popadnięcia w głęboką depresję od uświadomienia sobie swojej brzydoty. Nie było sensu pytać o to Ottona, gdyż zawsze odpowiadał tak samo - zawsze jesteś dobra - i wzdychał, macając bliznę na swojej twarzy. A według Warsonii by być piękną przydałoby mi się nabrać jeszcze ze dwadzieścia kilo wagi, a jeszcze lepiej ze trzydzieści.

— Chudziutka się zrobiłaś — pomrukiwał, nakładając mi więcej kaszy na talerz. — Nie ma za co złapać.

Rzeczywiście, ciągnąca się choroba pozbawiła mnie zbędnych kilogramów, ale i niezbędnych też. Spódnice zwisały na biodrach jak na wieszaku, a w koszule mogłam się śmiało zawinąć. Zwiększone dawki jedzenia przez ostatni tydzień nie dawały rezultatów, ale jak tylko zaczęły moje kości obrastać w mięsko, to wezwali nas na przesłuchanie.

— Warsonia, a mógłbyś mnie nie puścić jako uzdrawiciel? — zapytałam z nadzieją.

Tłusciuch westchnął.

— Nie mogę. Przecież nawet wam karetę przysłali, żeby wygodniej było jechać. Tym bardziej Ignacy — imię wypowiedział z jawną

niechęcią — wie, że z tobą wszystko w porządku.

— Naprawdę można to nazwać „w porządku”? — smutno zapytałam, odpychając Ottona od lustra i oglądając jasnoróżowe blizny po ugryzieniach zombie, fioletowe plamy na miejscach rozerwanych naczyń krwionośnych i krwotoków wewnętrznych oraz sińce na miejscach złamań.

— Jak na człowieka wyciągniętego z tamtego świata wyglądasz całkiem dobrze — ucieszył mnie uzdrowiciel. — Tym bardziej, że wyglądasz o wiele lepiej niż dwa tygodnie temu.

Nie wiem jak wyglądałam dwa tygodnie temu, bo bałam się spojrzeć w lustro.

Trzeba było się z tym wszystkim pogodzić, wwalić do karety rzeczy i gigantyczny zapas produktów, który dał na wszelki wypadek Warsonia, i ruszyć w drogę.

Jechaliśmy długo i wolno. Kareta nieustannie grzęzła w błocie i dziurach, w które zamieniła się leśna droga. Otto z woźnicą, klnąc przez zęby, pomagali koniom wyciągać karete na bardziej pewny teren. Ja, korzystając ze statusu chorej, siedziałam pochmurna wewnątrz i ukradkiem przeżuwałam pierniczki z dżemem. Dlatego w połowie drogi byliśmy z Ottonem tak samo źli — on dlatego, że był mokry, brudny i zmarznięty, a ja, bo zdążyłam odsiedzieć sobie miejsce poniżej pleców i bolał mnie brzuch nabity pierniczkami.

— Czasami po prostu nienawidzę Uniwersytetu — wyjęczał półkrasnolud, wwalając się do karety po kolejnym błotnym przedsięwzięciu. — Ręka mnie już boli! Mało tego, że zostałem ranny



wypełniając dług wobec narodu, to jeszcze pogłębiam go wypełniając niepotrzebny dług wobec Uniwersytetu.

— To nie wyłaż z karety następnym razem — poradziłam. — Staniemy, posiedzimy tutaj sobie do wieczora, a potem ziemia podmarznie i będzie lepiej jechać. Żarcia nam starczy. A potem droga będzie lepsza.

— Oczekują nas jutro rano — sprzeciwił się Otto. — Nie możemy się zatrzymywać.

Spokojnie machnęłam ręką. Według mnie, władza nad regionem powinna nam się należeć po same uszy tylko za to, że uratowaliśmy od zagłady całe miasto. I w męczeniu się po to, żeby jeszcze raz gadać do jakiegoś nudnego faceta, nie widziałam sensu.

Kiedy kolejny raz ugrzęźliśmy, krasnolud wiarygodnie udawał sen człowieka o krystalicznie czystym sumieniu. Woźnica popatrzył na mnie wkurzony, pomamrotał przez zęby co nieco o babach, które wszystko niszczą, i poszedł spać na kozły.

Mój plan był genialny z wyjątkiem jednego małego punktu.

Pod wieczór nagle uderzył mróz i ugrzęźnięta kareta przymarzła do drogi na amen.

— Ile razy mówiłem sobie, żeby ciebie nie słuchać? — wysapał krasnolud po tym, jak w trójkę spróbowaliśmy wyciągnąć karete.

— Nie wiem — odpowiedziałam pochmurnie. Bolało mnie całe ciało, ale uniknąć obowiązku pilnowania koni, póki mężczyźni zajmowali się kareta, nie mogłam. Marznąć nocą w lesie, po którym łążą nieznane stwory,

też nie bardzo chciałam.

— Przecież jesteście magami! — oskarżycielsko zauważył woźnica. — Zróbcie coś!

Spojrzeliliśmy na siebie jak winowajcy. Można byłoby coś zrobić, jeśli mielibyśmy przy sobie jakiś podręcznik albo konspekt! A tak ani ja ani Otto nie mogliśmy przypomnieć sobie potrzebnego zaklęcia.

— Boję się lasu w nocy — stwierdził woźnica.

— Przecież jeździecie przez las w nocy — oburzyłam się, strząsając z siebie jego ręce.

— Jeździć a stać to dwie różne rzeczy — sprzeciwił się, ale z jakiegoś powodu nie polazł do krasnoluda na przytulanki.

W głębi lasu coś zatrzeszczało, a w oddali rozległo się wycie. Woźnica zapiszczał jak baba i schował się w karecie. Trzasnął zamek od drzwiczek.

— Nie boisz się? — zapytał mnie Otto, nerwowo targając brodę.

— Nie — skłamałam, zastanawiając się, czy wygodnie będzie jechać w karecie bez drzwi czy nie warto się chować, bo stworą i tak nic nie zatrzyma?

— No i fajnie — szybko potaknął kumpel. — Czego tu się bać? Czegośmy w ciemnym lesie nie widzieli, co?

Pstryknęłam parę razy palcami i drżące płomienie poświeciły na kawałek drogi i ciemne gołe drzewa.

— Co tam tak trzeszczy? — spytał Otto, nerwowo przelękając ślinę.

— Nic nie słyszę — rzekłam, przylegając ramionami do karety. —  
Masz siekiere?

— Rytualną — przyznał krasnolud. — W bagażu.

Westchnęłam ciężko. Jeśli to siekiera rytualna, to nie ma sensu namawiać przyjaciela do obrony przeciw leśnym mieszkańcom. I tak się nie zgodzi.

— Szkoda, że przepadła twoja szpilka — stwierdził krasnolud i zaczął nucić jakąś pieśń, byleby zagłuszyć dźwięki z lasu.

Zjeżyłam się, jakby mi za kołnierz nasypali śniegu. Bez wiernej ozdoby czułam się prawie nago. Przeklęty nekromanta albo zabrał ją ze sobą, albo sama się gdzieś zawieruszyła. Ile by nie szukali jej Irga z Ottonem to i tak jej nie znaleźli. Teraz musiałam polegać tylko na zwykłych ochronnych artefaktach, swojej niepewnej białej magii i maleńkim sztylicie. Niezbyt duży arsenał jak na walkę z całym ciemnym lasem, mającym w sobie nieznane, groźne elementy.

— Ola — powiedział Otto z paniką w głosie. — To się zbliża.

— Słyszę — odpowiedziałam już z kozłów. Jak tutaj wlałam nie powiedziałabym nawet pod najstraszniejszymi torturami.

Trzask, mamrotanie i wycie były coraz bliżej. Zaczęłam dzwonić zębami. Półkrasnolud potarł kilka razy klamkę karety, ale od tego tylko zapiszczał woźnica. Zrozumiawszy, że wszelkie działania są bez sensu, Otto wlał do mnie na kozły i popatrzył na oszalałe konie.

— Może chociaż karetę z miejsca ruszą? — zastanowił się pełen wątpliwości Otto.

— Nie z naszym szczęściem — odezwałam się, przygotowując się do nie oddania tak łatwo życia drugi raz.

Na oświetlony kawałek drogi wpadły wielkie zwierzęta, kudłate z gigantycznymi kłami.

— Wilki! — wrzasnęłam, obejmując Ottona rękami i zamykając oczy.

— Orkowe wilczury! — rozległ się karcący znajomy głos.

— Cześć Żiwko — ochrypłym ze strachu głosem powiedział krasnolud. — Co ty tu robisz?

— Psy przeganiem do przewoźnika — chętnie wyjaśnił ork. — Olgierdo, nie umarłaś tam jeszcze ze strachu? One są spokojnie, nic nie zrobią.

— Bez wątpienia — odpowiedziałam, nie puszczając Ottona. — Ot, jakie kły! Pewnie się na śniadaniu zajadają bułeczkami.

Żiwko roześmiał się. Jego ciepły, aksamitny głos przegnał moje lęki i otworzyłam oczy.

Chłopak siedział na jakiejś ciemnej, żywo podskakującej kobyłce przy karecie, i patrzył na mnie, radośnie się uśmiechając.

— Cieszę się, że cię widzę — powiedział, łapiąc moje spojrzenie. — Chodziły plotki, że wysłali was do jakiejś dziury za to, że wyhodowaliście Burikowi rogi.

— To nie my — niepewnie powiedział Otto. — W każdym wypadku to musiało być po naszym odjeździe.

— Może to sprawka jakiejś naszej magii pozostałej po nas w mistrzowi do której polazł na rewizję? — zaproponowałam. — W każdym razie nic o tym nie słyszeliśmy.

— Jeszcze czego — znowu błysnął uśmiechem Żiwko. — To bardzo strzeżona tajemnica.

— A skąd ty o tym wiesz? — zainteresowałam się.

— Mój krewny, u którego mieszkam w Czystiakowie, sam te rogi odpiłowywał. Wasz profesor sam nie mógł się ich pozbyć, a do kolegów bał się zwrócić.

— Jeśli dorobił się ich w naszej mistrzowi to koniec — wymamrotał Otto. — Nigdy nie zobaczymy dyplomu.

— Za późno na żale — stwierdziłam. — Gorzej nie będzie. Żiwko, pomożesz nam się stąd wydostać?

— Za pocałunek — zgodził się ork.

— Choćby za dwa — powiedziałam, ciesząc się, że półmrok skrywa szpecące mnie blizny.

Żiwko z Ottonem wywlekli z karety woźnicę, potem ork przywiązał do psów specjalne paski. Szarpnęło, trzasnęło i pojechaliśmy. Zawinęłam się w derkę i postanowiłam pospać, żeby jutro stawić się przed osobistościami z lepszym wyglądem.

Spało się świetnie, i tylko obudziwszy się zrozumiałam dlaczego —

wygodnie rozłożyłam się na szerokiej klacie Żiwko i na meszku jego kamizelki było super miękko i wygodnie. Ork mocno spał, przytulając mnie do siebie mocnymi i gorącymi rękoma. Naprzeciwko nas chrapał z całej siły swoich maleńkich płuc Otto. Nie mogę uwierzyć, że dopuścił do takich rzeczy! Spróbowałam uwolnić się z objęć Żiwka, ale jego ręce na moment jeszcze bardziej przyciągnęły mnie do niego, a potem odpuściły.

Popatrzyłam w jego zaspane oczy i wysyczałam:

— Co to ma być?

— Co? — nie zrozumiał.

— Kto ci pozwolił mnie objąć?

— A czy ci się to nie podobało? — zdziwił się. — Tak mocno spałaś całą noc.

Taa, temu nie da się zaprzeczyć.

— Naprawdę ci mnie nie szkoda? — zapytał Żiwko. — Powiniennem jechać na koniu całą noc w taką zimnicę.

— Co z tobą się stanie — odpowiedziałam mu złośliwie, mając żal na samą siebie. Bardzo chciałam przytulić się jeszcze do jego mocnego i gorącego ciała i pospać jeszcze trochę.

— Dwa pocałunki — powiedział.

Szybko cmoknęłam go w szczękę i powiedziałam:

— A teraz się zmywaj.

— O nie, tak nie będzie! — powiedział Żiwko. — My co, pięcioletnie

dzieci?

Patrzyłam na niego pochmurna i milczałam. Wtedy ork musnął mnie swoją dłonią po policzku i wyszeptał:

— Bardzo pasują ci blizny. Jesteś śmiałą kobietą.

— Skąd wiesz, że nie nabawiłam się ich w pijackiej bójce? —  
sprzeciwiłam się.

— Otto opowiedział mi wszystko dzisiaj w nocy.

— Żwiko — powiedziałam, walcząc ze zniewoleniem karych oczu —  
Pocałuj mnie i spływaj stąd. Zapomniałeś, że jestem prawie mężatką?

— O — powiedział ironicznie — To, konkretnie, bardzo dobrze  
pamiętam.

Ork objął moją twarz dłońmi — gorącymi i szorstkimi — i lekko musnął moje usta. Zamknęłam oczy i przygotowałam się do cierpień, nie rozchylając ust i starając się pokazać całym swoim ciałem jak mi się to nie podoba.

Najpierw Żwiko lekko dotknął swoimi ustami moich, potem czule połaskotał je językiem. To było takie przyjemne, że rozluźniłam się i ork momentalnie skorzystał z okazji. Jego pocałunek — płomienny, żądny, władczy i niecierpliwy był na tyle pobudzający, że porzuciłam wszelkie wątpliwości i z płaczem przyciągnęłam go do siebie bliżej za ramiona. Miałam takie wrażenie, że cała moja wola jest pod jego władzą, nerwy stopiły się w ciepły płyn i rozpląnęły się po całym ciele, a cała krew znalazła się przy ustach i w tym konkretnym miejscu w brzuchu.

Nagle ork został oderwany ode mnie. Otworzyłam oczy i z przerażeniem zobaczyłam, jak wkurzony Otto trzęsie Żiwkiem, jak złodziej jabłonią. Chłopak nawet nie walczył, na jego ustach widniał zadowolony uśmiech. Ja, oszołomiona i zadyszana, podniosłam rękę do zdradliwych ust.

— Spokojnie, krasnoludzie — powiedział Żiwko, wrywając się z uścisku krasnoluda. — Już wychodzę.

Uśmiechnął się i wyskoczył z karety prawie od razu idąc zgrabnie, jak kot. Psy od razu okrążyły pana szarym kołem, łasząc się i piszcząc od szczęścia.

Otto miał taki wyraz twarzy, że przeraziłam się, że udławi się ze złości i zaczęłam przygotowywać się do awantury.

— Ty! — zaczął, i w tym samym momencie przestał oddychać od wzburzenia.

— Ja — pokornie potaknęłam.

— Ty... ty... ty... — albo wewnętrzna cenzura nie pozwoliła mu na powiedzenie wszystkiego, co o mnie myśli, albo nie mógł znaleźć odpowiednich słów by wyrazić stopień mojego upadku.

— Ja — stwierdziłam swoją winę, rozmyślając, czy jak Otto doniesie o tym Irdze, to ten potraktuje to jako zdradę czy nie. Pewnie nie, choć taki pocałunek, jeszcze podkoloryzowany przez półkrasnoluda pewnie tak. Najlepszą obroną jest atak, więc z wyzwaniem powiedziałam:

— A czemu go do karety wpuściłeś? Kto jest winny, że lis sobie w kurniku poszalał? Biedne kury?



— Ach, ty kuro!!! — zawył kumpel, na koniec zebrawszy swoje myśli. — Według ciebie powinienem go na dworze zostawić? To nie gościnnie.

— Też okazałam swą gościnność, w pewnym sensie — wymamrotałam.

Otto rzucił się z rękami do mojego gardła. Wbiłam się w ściankę karety i zamknęłam oczy, zaczynając cichutko wyć.

— Tak mi wstyd, tak wstyd, ale nie złość się, bo to był tylko pocałunek. No i nie jesteś moim narzeczonym!

— Gdybym był twoim narzeczonym — burknął Otto — To bym cię zabił ze szczególnym okrucieństwem.

— Otto — powiedziałam, miło patrząc mu w oczy. — Nie mów o tym Irdze, żeby niepotrzebnie się denerwował.

— Jesteś wredną małpą, Ola — stwierdził zmęczonym głosem krasnolud. — Masz takiego narzeczonego, a całujesz się z orkiem!

— Nikt i nigdzie mnie tak jeszcze nie całował — przyznałam się. — To było ciekawe doświadczenie.

— Które kolejny raz pokazało, że siła woli i porządność po prostu u ciebie nie istnieją.

— Jeśli poszłabym z Żiwkiem do łóżka — obraziłam się — To wtedy gadałbyś coś o prządności.

— Co by było, jeśli bym cię nie zatrzymał? — zapytał Otto.

Zaczerwieniłam się.

— Jeśli kochasz Irgę, to jak najszybciej wyjdź za niego za mąż — poradził półkrasnolud. — Spodobałaś się Żiwkowi, od razu widać. Za bardzo cię lubię, żeby patrzeć jak popełniasz największy błąd swojego życia.

Przytuliłam się do niego w ramach podziękowania.

— Wy baby jesteście jak koty — powiedział Otto, głaszcząc mnie po karku. — Gdzie dają mleko tam biegniecie.

— Koty zawsze wracają do domu — sprzeciwiłam się.

— Nigdy nie lubiłem kotów — zauważył krasnolud. — O, prawie jesteśmy na miejscu. Popatrz, zaczyna się miasto.

Z żądzą w oczach przykleiłam się do okna, wdychając miejskie powietrze, przepełnione tysiącami zapachów. Miasto, moje ukochane miasto! Gorąca woda, kanalizacja, sklepy, stragany, czekolada, świeże piwo w dwudziestu rodzajach! O, budynki uniwersyteckie, spieszący się na zajęcia studenci, spokojnie spacerujący profesorowie, rozglądający się na boki przerażony listonosz, przyciskający do siebie z całej siły torbę... Wytarłam łzy wzruszenia i spojrzałam na zadowolonego Ottona.

— Stęskniłem się za Uniwersytetem — przyznał się wstydliwie półkrasnolud, a ja ze zrozumieniem kiwnęłam głową.

Kareta podjechała aż pod wejście do głównego budynku. Wyszliśmy, woźnica oddał nasze rzeczy i, odjechawszy na stosowną odległość, wykrzyczał jakieś przekleństwa traktujące o nas, naszych magicznych zdolnościach i znajomych z wilczurami.

— Idziemy, idziemy — zdecydowanie powiedział półkrasnolud, łapiąc moją dłoń, której palce już złożyłam w brzydki gest. — On może, bo tyle się wycierpiał.

Bef spotkał się z nami w korytarzu. Tłumaczył coś cicho pierwszorocznikowi, który był tak blady i nieszczęśliwy, że nawet mi się zrobiło go żal.

— A — powiedział Nauczyciel, zobaczywszy nas.— Jesteście. Oczekiwaliśmy was wcześniej.

— Nieprzewidziane komplikacje — mętnie wyjaśniłam.

— Tak myślałem — kiwnął Bef. — Poczekajcie na mnie w gabinecie, muszę coś tylko skończyć.

Student, na początku wzięwszy nas za wysłanników Niebiańskich Sił, jeszcze bardziej zbladł, patrząc się w podłogę ze zdwojonym entuzjazmem.

— Nic się mu nie uda — stwierdziłam złośliwie, przypominając sobie, jak mnie łąjał Bef i ile nerwów mnie to kosztowało. Co prawda, więcej nerwów szło na to by nie wpaść Befowi w oczy, po kolejnym postępku, dlatego po jakimś czasie sama zjawiałam się u niego skruszona.

— Co się nie uda? — zapytał Otto, którego myśli balowały gdzieś daleko, i nawet domyślałam się gdzie — przy jednej atrakcyjnej wykładowczyni elfickiego.

— Zapaść się pod ziemię. Próbowалам, ale Bef od razu zauważa takie rzeczy.

— Potrafisz zapaść się pod ziemię? — zdziwił się krasnolud. —

Nigdy o tym nie mówiłaś.

— Nie potrafię, tylko próbowałam — wyjaśniłam.

— Oho — powiedział Otto — Patrz kto idzie!

Przestałam oglądać czyjąś sylwetkę na ścianie — rezultat nieudacznego zaklęcia albo samego autora zaklęcia — i zobaczyłam szybko idącego do nas uśmiechającego się Dziekana.

— Z czego on się cieszy? — wyszeptałam przerażona. — Wymyślił nowy rodzaj tortur i właśnie zobaczył świetny obiekt doświadczalny na ich wypróbowanie?

— Nie chowaj się za mną — wyszeptał ze złością Otto — Jeśli coś sknociliśmy to jesteś w takim samym stopniu winna jak i ja!

— Dzień dobry, Dziekanie! — powiedzieliśmy chórem wyrażając radość ze spotkania.

— Lacha i der Szwart! Jesteście mi potrzebni! Szybko się przebierajcie i do mistrzowni!

— Do której? — zapytał Otto, póki ja zamykałam i otwierałam usta.

— Do waszej starej, a jeśli tam ktoś jest to go wygońcie! I zajmijcie się czymś!

— Czym? — wydusiłam.

— Czymś bardzo naukowym i skomplikowanym! — ryknął Dziekan. — I to szybko!

Popatrzyliśmy na siebie, ale nagle wiatr zaczął uderzać w nasze plecy.

— Szybko! — ryknął Dziekan i pobiegł korytarzem wycierając pot z łysiny.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytał mnie Otto.

— Zamierzają zamurować nas w mistrzowni — przypuściłam. — Dziekan jest współnikiem tego nekromanty, który prawie mnie zabił...

— Zabił — poprawił krasnolud.

— Nie ważne. I postanowił dokończyć to co zaczął.

— Nie — stwierdził kumpel po namyśle — Mistrzownia to własność Uniwersytetu, nie będą działali na jego szkodę. Lepiej wezwać nas do gabinetu, udusić i zakopać po cichu.

Przyszliśmy do mistrzowni, w której już pracował wraz z dwoma krasnoludami sekretarz Dziekana.

— Szybko, szybko, szybko — poganiał nas, wpychając nasze torby pod ławkę i zasypując je jakimiś rzeczami, póki przebieraliśmy się nie wiedząc o co chodzi. — Pracujcie!

— Co się dzieje? — nie wytrzymał Otto. — Jeśli nie powiecie, to nie będziemy pracować!

— Komisja Kontroli! — wyjęczał sekretarz, zamykając oczy.

— Czego oni się boją? — zapytał, nie kapując, Otto. — Burik jest geniuszem finansowym. W jego obecności nawet komar nosa nie podniesie! I, najważniejsze, po co tu my?

Nie zdążyłam odpowiedzieć. Drzwi otworzyły się i do mistrzowni

weszli członkowie komisji — trzy elfy — i Dziekan.

— A tutaj pracują nasi Mistrzowie Artefaktów z międzynarodowym certyfikatem— radośnie powiedział dziekan, ukradkiem pokazując nam kułak.

— I co robicie? — melodyjnie zapytał jeden z elfów.

— Artefakt — poważnie odpowiedział Otto, oglądając rzeczy pozostawione przez krasnoludy.

— Oni zajmują się ochroną prostych mieszczan od siły nieczystej — wmieszał się Dziekan.

— Ciekawe w jakiej formie — powiedział drugi elf, podnosząc ze stołu niezauważoną przez nas rzecz. — W formie... eee... męskich organów. To wy robicie to specjalnie, panno? W publicznych mistrzowniach?

Z przerażeniem popatrzyłam na detale formy, nie zostawiające złudzeń w miłosnych przeznaczeniach artefaktu, potem na czerwonego Dziekana i spróbowałam uratować sytuację:

— To innowacyjna technologia — dwa w jednym. Miłosne funkcje artefaktu służą tu jako bonus. Zrozumcie, że ludzie często nie zdają sobie sprawy z niebezpieczeństwa umarlaków i zapominają o ochronie. Ale o... takich rzeczach pamiętają, co może zmusić człowieka do noszenia artefaktu.

Elfy wymieniły się spojrzeniami i zaczęły szybko rozmawiać o czymś w swoim ojczystym języku. Mojej wiedzy starczyło na tyle, żeby zrozumieć, że niebezpieczeństwo minęło.

— Chcielibyśmy zamówić partię takich artefaktów — elfy w końcu doszły do wniosku. — Na razie w liczbie dwudziestu sztuk.

— A co, elfy mają problemy ze sprawnością seksualną? — niewinnie zapytałam.

Przyjąwszy nareszcie normalny kolor, twarz Dziekana strasznie pobraźniała.

— Elfy nie mają problemów ze sprawnością seksualną — spokojnie odpowiedział elf z jasnymi, cudownymi włosami. Jeśliby dzisiaj rano nie całowałby mnie jego krewny, z gęstymi i czarnymi włosami, bez kupy zgrabnie zaplecionych warkoczyków, a z zebranymi w wysoki kucyk włosami, może bym i stopniała od jego uśmiechu. A tak tylko wzruszyłam ramionami i stwierdziłam:

— Jeśli mamy robić partię dla elfów, a nie dla ludzi, to musimy mieć kilka informacji o ich fizycznej budowie.

Elfy wymieniły się spojrzeniami i blondyn powiedział:

— Dobrze, wyślemy wam informacje — ...i wyszli.

— Tylko nie po elficku! — krzyknął za nimi Otto.

— Dobra robota — powiedział Dziekan, potarł w zadowoleniu dłoń i pobiegł za elfami

— I co teraz? — zapytałam półkrasnoluda.

— Może zostawią nas tutaj, żebyśmy wypełnili zamówienie? — zapytał z nadzieją. — A właśnie, jak zamierzasz zrobić ten artefakt?

— Coś wymyślimy — machnęłam ręką. — W skrajnym przypadku niepowodzenie można zwać na różnicę między rasami.

— Bardziej mnie interesuje, co te krasnoludy zamierzały z tym robić? — powiedział zamyślony Otto, obracając artefakt w dłoni. — Bardzo wiernie zrobiony.

— Wyrzucić gdzieś — poradziłam. — Musimy jeszcze dwadzieścia sztuk zrobić. Napatrzysz się.

— Zabiorę — powiedział władczo krasnolud — Będzie służyć jako forma.

— Masz swoją — stwierdziłam.

— Nie będę najcenniejszej rzeczy elfom sprzedawać! — oburzył się Otto.

— Sam z mistrzami będziesz się tym zajmował — uprzedziłam.

— Oczywiście. To co, idziemy teraz do Befy?

— Tak, pewnie wciąż na nas czeka, a ja nie chcę go rozzłościć.

Nauczyciel w gabinecie porządkował papiery, które zawały całe jego biurko. Nie dając mu nawet otworzyć ust, zapytałam:

— Co to była za komisja elfów?

— Elfy dały pieniądze Uniwersytetowi na przygotowanie Mistrzów Artefaktów z Międzynarodowym Certyfikatem — wyjaśnił Bef. — A teraz przyjechali popatrzeć na co wydali pieniądze

„Coś nie pamiętam, żebyśmy dostali jakieś pieniądze... —



pomyślałam. — Pewnie Dziekan zabrał je sobie, a nas pokazuje, jak w zoo.”

— A elfy nie mają swoich Mistrzów Artefaktów? — zdziwił się Otto.

— Mają — powiedział Bef w zamyśleniu. — Ale elfy bardziej są podatne na ataki umarłaków, które leżą do nich ze Zmierzchowych Gór. Mają słabo rozwiniętą obronę przeciw sile nieczystej, dlatego postanowili zwrócić się do nas. Czystiakowo, jak wiecie, znajduje się najbliżej elfiej granicy niż jakikolwiek inny magiczny uniwersytet królestwa.

— Przyjadą tu na naukę? — zapytałam.

— Uniwersytet próbuje doprowadzić do tego, jak może — dyplomatycznie odpowiedział Nauczyciel. — Też mamy czego się nauczyć u elfów.

— Dali nam zamówienie — pochwaliłam się.

— Dobrze. Postarajcie się nie wpaść twarzą w błoto, bo elfy będą bardzo dokładnie oceniać jakość pracy.

— Dlaczego my? — zapytałam, tylko co zrozumiałwszy, w co wpadliśmy.

— Nie mieliśmy innych Mistrzów pod ręką — zgodnie z prawdą odpowiedział Bef. — A wy zjawiliście się w odpowiednim momencie.

— Zapłacą nam za to? — zapytał Otto.

Nauczyciel nie odpowiedział, a z tego wynika, że znowu będziemy pracować za darmo.

— Można do domu? — zapytałam.

— Nie — spokojnie odpowiedział Bef. — Opowiedz, Olgierdo, o napaści.

Patrzyłam się w jeden punkt i opowiadałam wszystko co pamiętałam. Przy końcu opowieści zrobiło mi się tak siebie żal, że chlpiąc, powiedziałam:

— Najgorsze jest to, że nie ma żadnych podziękowań! Ryzykujesz życiem, ryzykujesz, a tu trzeba bezpłatnie dwadzieścia artefaktów robić.

Bef w milczeniu patrzył na splecione palce, czekając, aż się uspokoję.

— Wszystko zostanie docenione — powiedział w końcu. — Najbardziej mnie niepokoi fakt, że rozmnożyli się ci oszuści, którzy działają jako księżycowe martwiaki.

— A więc napaści księżycowych martwaków znowu się pojawiają? — zapytał Otto.

— Tak, często. I z jakiegoś powodu tylko na terytorium królestwa, bo w innych krajach nie stwierdzono żadnych przypadków. Wasz nekromanta z Gniedina nie jest jedyny, który skorzystał z sytuacji, ale jest jedynym, który działa z takim rozmachem.

— A reszta? — zapytałam, a serce zamarło mi w piersi. — Oni także niszczyli całe wioski.

— Nie, chwała Niebiosom — powiedział Bef. — Praktyka rozmieszczenia studentów na prowincjach przyniosła rezultaty.

— Więc nie byliśmy jedyni? — z rozczarowaniem w głosie zapytał

krasnolud.

— Jedyńi w swoim rodzaju — uspokoił go Bef. — Reszta walczyła z niedouczonymi czarownikami, rozbójnikami, którzy wykorzystywali panikę, z rabusiami. Ale z armią martwiaków walczyliście tylko wy. No nic, przejrzymy spisy absolwentów praktycznych fakultetów, może kogoś znajdziemy.

Otto obrócił się. W głowie kołatała się tylko jedna myśl, robiąc hałas obijając się o puste ściany mojego łba.

— Profesorze, — powiedziałam, zauważając, jak razem z krasnoludem patrzy na mnie w oczekiwaniu — przecież nasz nekromanta też jest nieukiem, pewnie nie uczył się na żadnym uniwersytecie. Nie mógł przełamać prostego ochronnego kręgu, ale z drugiej strony trzymał ze sto nici do kontrolowania martwiaków, nie licząc osobistych sług-zombie. Nie chce mi się wierzyć, że po prostu przehulał najważniejsze wykłady! Raczej miał naukę tylko w jednym kierunku.

— To nie jest odpowiedź, na którą czekałem — powiedział Bef, pocierając czoło — Ale twoja wersja może być prawidłowa. Powiedz mi, mogłabyś rozpoznać tego nekromantę, zobaczywszy jego twarz?

Błękitne oczy, arystokratyczne rysy twarzy, głęboki, dobrze modulowany głos...

— Nie jestem pewna... — przyznałam zgodnie z prawdą.

— Zapamiętałaś jak pracował z energią? — dalej dopytywał Bef. — Może nam to pomóc.

— Nie mogę wam powiedzieć nic, co by mogło wam pomóc — powiedziałam. — Jeśli zobaczyłabym coś, co zostało przez niego stworzone to bym mogła wam powiedzieć, a tak...

— Tak, to praktyków uczą zauważać takie rzeczy i przekazywać je innym — przytaknął Bef. — Ale mimo wszystko miałem nadzieję. No dobra. Idźcie odpoczywać.

— Wiesz, co najbardziej mnie niepokoi? — zapytałam Ottona, kiedy szliśmy do akademika.

— Że ten paskudny nekromanta znajdzie cię i skręci szyję, żebyś nie mogła go rozpoznać? — zaproponował swoją wersję Otto.

— Nie, nekromanta to szczegół. I pewnie sam mnie nie rozpozna. Bardziej niepokoi mnie to, że Irga nie przyszedł. Może mnie już nie kocha?

— Hmm... A pisałaś mu o naszym przyjeździe? — zapytał Otto.

— Nie — zdziwiłam się — Nie pisałam.

— No to jak miał przyjść?

— Przecież on zawsze wszystko wie — zaczęłam się bronić. — No to pomyślałam...

Otto w odpowiedzi wzniosł oczy do nieba.

— Myślisz, że nie wie, że przyjechałam? — uściśliłam.

— Jestem tego pewny.

— Dobrze — postanowiłam. — Będzie w sam raz dużo czasu aby doprowadzić się do porządku. I zapytać się Liry co można zrobić z bliźnami

i śladami po zębach.

— I tak jesteś piękna — powiedział niepewnie Otto, rzucając moją torbę przed drzwiami mojego pokoju.

Liry w pokoju nie było i, poleżawszy trochę na łóżku, postanowiłam pójść na miasto, by porozmyślać nad życiem przy kuflu piwa.

Poszłam do nieznannej knajpki i usiadłam przy oknie, bezmyślnie suwając palcem po rozsypanej na stole soli. Trzeba było gdzieś wpompować porządną sumę pieniędzy i pójść do salonu kosmetycznego, żeby tam zrobili ze mnie ślicznotkę. A pieniądze można wziąć od rodziny Ottona, może nie zedrą ze mnie wielkich procentów, no i jakąś sumkę w banku mam.

Moje rozmyślenia przerwał spacerujący pod moim oknem Blondyn Lim. Ale nie spacerował sam! Razem z nim szedł... O Siły Niebiańskie! Nie mogę się mylić.... To był on! Ten przeklęty nekromanta, który poszczuł mnie swoimi zombie!

Poczułam się jakby wyciągnięto ze mnie wszystkie kości i opadłam na ławkę. Co robić, co robić? A może to nie on? A ja się tu namyślam. Szybciej, Ola, myśl co robić! Co robić? Co robić???

Spróbowawszy przybrać normalny wyraz twarzy wybiegłam z knajpy i krzyknęłam:

— Lim, czekaj!

— O, Olgierda! — powiedział zdziwiony Lim, odwracając się. — Zmizerniałaś od naszego ostatniego spotkania.

— Dziękuję, na wzajem — powiedziałam, starając się, aby mój

uśmiech nie był krwiożerczy. Tak, to on. A jeśli coś powie, to będę stuprocentowo pewna. — Blondyn, mam do ciebie pytanie. I do was także — zwróciłam się do nekromanty.

— Słucham uważnie — ironicznie powiedział Lim.

— Powiedz mi, chciałbyś mnie mieć? Jako kobietę?

Blondyn zakrztusił się i popatrzył na mnie oszołomiony:

— Że co? Rzucił cię ukochany nekromanta? Czy chcesz mu przyprawić rogów?

— Pytam poważnie — powiedziałam. — Widzisz, mój wygląd zewnętrzny uległ pewnej zmianie...

— Dobrze — pomyślawszy trochę, powiedział Blondyn. — Tylko w podziękowaniu za to, że z krasnoludem uratowaliście mi życie, odpowiem. Jeśli twój kobiecy przydatek — rozumiesz o czym mówię — nie zmieniła się nieodwracalnie, to nie widzę przyczyny, dzięki której bym cię nie zechciał.

— A blizny? — spytałam niecierpliwie, zapominając, po co w ogóle zaczęłam tą rozmowę.

— Co, blizny? Ty, Olu, prawdę mówiąc, nigdy nie przypominałaś kobiety z okładki czasopisma, więc blizny bardzo cię nie szpecą.

— Naprawdę? — uściśliłam.

— Chcesz sprawdzić? Chodź ze mną.

— Nie, wielkie dzięki. A jak wy uważacie? — zapytałam nekromantę.

— Jesteście całkiem ładną kobietą — powiedział.

Tak, to on! On! Nie mogę się mylić!

— Lewan jest koneserem kobiet — roześmiał się Lim, po przyjacielsku obejmując maga za ramię. — Ale nadal szuka swojej jedynej.

— Już znalazłem— sprzeciwił się Lewan. — Tylko niedawno zmarła.

— Jaka smutna historia — wycedziłam, czując, jak od nienawiści tężeje mi twarz.

— Tak — zgodził się mag. — Sam ją zabiłem, ale bardzo nie chciałem tego robić.

Blondyn popatrzył na swego przyjaciela z nieskrywanym przerażeniem.

— Naprawdę? — zapytał.

Choć jedna dobra wiadomość — Lim o niczym nie wiedział!

Lewan kiwnął.

— Mój przyjaciel ma trochę dziwactw — nerwowo powiedział do mnie Blondyn. — Pójdziemy, dobra?

— Dzięki za konsultację — powiedziałam i jak tylko znikli za rogiem pobiełam na Uniwersytet.

— Widziałam go — krzyknęłam wpadając do gabinetu Befa.

— Spokojnie, Olgierdo — powiedział Nauczyciel.

Obejrzałam się. Chyba przerwałam obrady profesorów, którzy patrzyli

teraz na mnie zaskoczeni.

— Widziałam go — powtórzyłam ciszej. — Widziałam nekromantę, który zniszczył Sosnino.

Do moich ust podleciał dzbanek wody.

— Usiądź, odetchnij i opowiesz wszystko — zaproponował Bef nie tracąc samokontroli.

Usiadłam, napiłam się wody, mając nadzieję, że dźwięk dzwoniących o krawędź dzbanka zębów nie będzie słyszalny, i powiedziałam:

— Widziałam nekromantę, kiedy siedziałam w knajpie i patrzyłam na ulicę przez okno. Żeby potwierdzić swoje przypuszczenia porozmawiałam z nim. Nie mam już żadnych wątpliwości.

— Tak po prostu wyszłaś i porozmawiałaś z nim? — uściślił Profesor Swingard.

— Nie, miałam powód — on był z Limem nia Monterem i postanowiłam się przywitać.

— To po prostu śmieszne! — powiedział jeden z profesorów. — Wszyscy wiedzą o stosunkach nia Montera i tej dziewczyny, ją nawet o jego zabójstwo podejrzewali. I nagle ona widzi jak idzie nia Monter i postanowiła go okłamać!

— To nie jest śmieszne! — krzyknęłam. — Myślicie, że mogłabym zapomnieć twarz człowieka, który mnie zabił?

— Wydaje mi się, że stoisz tu całkiem żywa.



— Uratowali mnie i ożywili — ponuro powiedziałam.

Wykładowcy roześmiali się.

— W każdym razie, — powiedział profesor Swingard, próbując mnie pocieszyć — jeżeli wasz nekromanta nie jest durny to już dawno jest za granicami miasta.

— Nie poznał mnie — stwierdziłam pewnie.

— Ty go rozpoznałaś, a on ciebie nie?

— Nie wierzycie mi? — z ociąganiem zapytałam, patrząc na twarze wokół. Ktoś patrzył współczująco, ktoś naśmieszliwie, ale chęci do radykalnych działań nie widziałam u nikogo. — Nie wierzycie mi?!

Oczy wypełniły się łzami i nawet nie próbowałam tego ukrywać.

— Więc śmierć mieszkańców Sośnino i Gniedina nic dla was nie znaczą?

— Masz dowody, że to właśnie on? — zapytał ktoś wprost.

Pokręciłam głową i wyszłam na korytarz. Dotykając czołem szyby, płakałam. A dobra! Przeszanę teraz płakać i sama pójde zabić dziada.

Znalazł swój ideał!

— Nawet o tym nie myśl — powiedział nad moim ramieniem Bef.

Odwróciłam się. Nauczyciel stał obok, patrząc w zamyśleniu w okno jakby mnie nie zauważając.

— Nie rób głupstw — uściślił Bef. — Czasami trzeba w życiu załatwiać problemu nie sposobem oko za oko. Pomyśl dobrze. Przecież

masz dowód, że to właśnie o niego nam chodzi.

— Szpilka — wyszeptałam. Od samego pojawienia się nauczyciela mózg zaczął pracować. — Zraniłam go szpilką! Na jego ciele powinien zostać ślad! Jestem pewna, że artefakt zostawił ślad na jego boku!

— Może nawet nie tylko oparzenie — powiedział Bef. — Rany zadane przez magiczną broń są nieprzewidywalne. Tym bardziej naniesione przez mocny ochronny artefakt.

— I co robić?

— Musisz tylko znaleźć dowody swojej racji — spokojnie powiedział Bef.

— Jak? Zmusić go, żeby się rozebrał przy świadkach.

— Tak by było najlepiej.

— Nauczycielu! Jak miałabym go do tego zmusić? — zapytałam głupio.

— A jak inaczej dziewczyna ma rozebrać chłopaka? — zapytał znudzony Bef.

— Co wy insynuujecie? — oburzyłam się. — Cała się trzęsę przy wspomnianiu jego, chcę go zabijać wolno i okrutnie, a wy proponujecie pójść z nim do łóżka?!

— Nic takiego nie mówiłem — zauważył nauczyciel i pierwszy raz podczas tej rozmowy spojrział mi w oczy. — Nazywajmy rzeczy po imieniu, Olgierdo. Ani straż miejska, ani władze magiczne nie mogą aresztować arystokraty bez dowodów winy — a nie ma żadnych wątpliwości, że nie jest

arystokratą. A co jeśli się pomyliłaś? Tak, wierzę ci, ale zawsze można się pomylić. Musisz działać sama. Mogę ci pomóc dając ci pięciu mocnych bojowych magów. Po prostu na spacer z ładną dziewczyną.

— Lepiej dajcie dziesięciu i żeby się zombie nie bali —  
powiedziałam. — A za skutki, jeśli to będzie on, nie odpowiadam.

— Mimo wszystko proszę cię byś dostawiła do sądu choć cząstkę nekromanty — rzekł Bef.

— Niczego nie obiecuję — nie mogłam wymyślić żadnego dobrego planu i postanowiłam pójść do ołtarza Bogini Szczęścia. Wszystko wskazywało na to, że dzisiaj jest mi niesłuchanie przychylna. — Niech wasi chłopcy czekają na mnie przed wejściem do akademika.

Jak wicher wpadłam do pokoju i podbiegłam do szafy. Najważniejsze – wywabić Lima do jakiegoś ustronnego miasjca, a potem będzie się myśleć, co robić dalej. Gdzie są moje najlepsze wdzianka? Powinnam mieć choć jedną ładną spódnicę! I fryzurę trzeba zrobić, przecież idę na bój. Wyciągnęłam z najciemniejszego miejsca w szafie woreczek z nie otwieraną jeszcze skrytką — to był jej dzień.

Bef mnie nie zawiódł. Naprawdę przysłał mi drużynę praktyków, co prawda nie dziesiątkę, ale piątka była też niczego sobie.

— Taa — powiedziałam, wybierając z nich największego — Jak się nazywasz?

— Matwiej.

— Świetnie, będziesz dowódcą. Teraz idziemy do świątyni Bogini

Szczęścia, a potem do domu Blondyna. Znasz takiego?

Matwiej w milczeniu kiwnął. Za to cenię takich mężczyzn — że nie wypowiadają niepotrzebnych słów, pozostawiając gadanie mi.

Po gorącej modlitwie w świątyni Bogini Szczęścia skierowałam się od razu do domu Blondyna. Nie miałam pewności, że jest w domu, ale od czegoś trzeba było zacząć, prawda? Mieszkanie Lima znajdowało się oczywiście w arystokratycznej dzielnicy i wyglądało jak tradycyjny bogaty domek, w którym mieszkali synalkowie nadzianych tatusiów, którzy wysłali ich jak najdalej od siebie, ale jeszcze nie założyli rodzin by dostać w prezencie cały dom. Kiedy jeszcze mieliśmy z Blondynem na pieńku Otto zorientował się, gdzie Lim mieszkał, a ja zapamiętałam. Na wszelki wypadek.

— Czekajcie tutaj na mnie — rozkazałam chłopakom, zostawiwszy ich w zaułku i, poprosiwszy przed podjazdem wszystkich znanych mi bogów, włączając Młota i Kowadło, podeszłam do drzwi mieszkania Lima i zastukałam. Potem postukałam nogą, zbliżyłam się do dziurki od klucza, i wykrzyczałam:

— Hej, hej! Otwieraj!

Drzwi otworzyły się i na progu pojawił się Lim w samych spodniach. Oceniałam jego nagi tors póki patrzył się na mnie z rozdziawioną gębą.

— Mogłem założyć się o wszystko, co mam, — powiedział w końcu — że nigdy tu nie przyjdiesz.

— Dobrze, że się nie założyłeś — uśmiechnęłam się. — Ale nie przyszedł do ciebie. Jest twój przyjaciel?

— Lewan? Przyszedł w samą porę, bo właśnie zamierzał wyjechać.  
Ach tak, ładnie wyglądasz.

— Dziękuję — powiedziałam z wdziękiem. — Muszę porozmawiać z Lewanem.

Zdziwiony Blondyn wzruszył ramionami, ale zawołał nekromantę i odsunął się, lecz ja nadal stałam na progu miło uśmiechając się. Mag pojawił się na korytarzu i pytająco patrzył to na mnie, to na Blondyna

— Witaj — powiedziałam udając zakłopotanie. — Rozmawialiśmy tam na ulicy i wydawało mi się, że jesteś bardzo przybity faktem utraty ukochanej. Pomyślałam sobie, czy nie mogłabym cię pocieszyć?

— Konkretnie jak? — doszedł do siebie Lewan.

— Zobaczysz — odpowiedziałam tajemniczo, rozpinając palto. — Ale nie mogę patrzeć jaki taki facet się smuci.

— Ola — wmieszał się Blondyn. — Masz chwilowe zaćmienie umysłu?

— Nie — oburzyłam się. — To już niczego nie mogę chcieć?

— I czego ode mnie chcecie? — zapytał Lewan.

Jak ja nienawidzę tego głosu, tego spojrzenie niebieskich oczu! Parę razy głęboko westchnęłam, uspokoiłam się i poprosiłam:

— Chodźcie ze mną, będzie nam tak dobrze we dwoje!

Mag pytająco popatrzył na Blondyna. Lim patrzył na mnie, jak na rzecz nie z tego świata.

— Wszystko z tobą w porządku? — zapytał.

— Nigdzie nie pójde — powiedział twardo Lewan.

— Dobrze — stwierdziłam, modląc się przy tym do wszystkich bogów. — Powiem wam, co się stało, ale nikomu nie mówcie, dobrze? Mam w sobie biesa Ibusika.

— Nigdy o takim nie słyszałem — nasrożył się Blondyn.

Długie nudne wieczory w Gniedino, bez braku rozrywek, zaowocowały — przeczytałam książki, które przywiózł nam Irga.

— „Przewodnik po demonologii”, strona siedemdziesiąta druga — smutno odpowiedziałam. — Możecie sprawdzić.

— I czego od nas chcesz? — zapytał Blondyn. — Zwróć się do kogoś, żeby go wygnali.

— Nie mogę — powiedziałam, wyduszając z siebie łzy. — Na egzorcystę nie mam pieniędzy, Befowi nie mogę powiedzieć, bo od razu ogniem przywali, Dziekan czeka tylko na powód do wyrzucenia, a Irga sami wiecie. Jemu obojętne czy jestem żywa, czy martwa.

Blondyn roześmiał się.

— I czego chce bies? — zapytał Lewan.

— Ciebie — odpowiedziałam zaczerwieniona. — Od kiedy cię zobaczył krzyczy w mojej głowie. Ja tego nie chcę, ale on już posiadał moją wolę! Proszę!

Nieoczekiwanie przyszedł mi z pomocą Blondyn.

— Choć i ma zryty beret, to jednak bym nie odmówił — powiedział do Lewana. — Naprawdę jej nie chcesz?

— Nie mam teraz władzy nad swoimi pragnieniami — odpowiedziałam, patrząc na Lewana i starając się oddychać tak, aby jak najbardziej wypiąć biust.

— Nie podoba mi się to — rzekł Lewan. — Nigdzie nie pójde. Nie chcę cię.

Zajęczałam w myślach i zwróciłam się do Bogini Szczęścia oraz Sukin Kota.

— No i głupi jesteś — wtrącił Blondyn. — Dziewczyna chce ci się oddać za darmo, a ty odmawiasz! A może wykastrowałeś się?

Lim zaśmiał się zadowolony, a Lewan zbladł.

— Wszystkim opowiem! — nabijał się Blondyn. — Przez swoje czarne księgi straciłeś całą męską siłę.

„Dobra nasza — zauważyłam. — Świetnie, Blondyn! Ciebie też za kraty wsadzę”.

— Ja nie... — zaczął mag, to blednąc, to czerwieniąc się.

— Przecież to po twoim profilu! — stwierdził Lim, pocierając ręce. Popatrzyłam na niego i zrozumiałam, że marzy o romansie moim i Lewana, żeby powiedzieć o tym wrogowi i patrzeć jak Irga będzie cierpieć.—  
Dziewczyna z biesem w środku!

— Jestem nekromantą! — dumnie powiedział Lewan. — Moją działką są umarli.

— Jeden chuj — powiedział Blondyn, popychając go. — Idź.

— Dlaczego nie chcesz ze mną pójść? — zapytałam, zaczynając rozpinać suknię. — Obiecuję, że będzie bardzo dobrze!

— A po co gdzieś iść? — krwiożerczo uśmiechnął się właściciel mieszkania. — Zostańcie tutaj.

— O nie! — powiedziałam, nie dając dojść do słowa Lewanowi. — To wy macie arystokratyczne zwyczaje urządzać tutaj orgie, ale ja jestem skromną dziewczyną i wolę to robić w ciszy i na swoim terytorium.

— Nadążysz za mną? — złowieszczo zapytał nekromanta.

— Mojemu biesowi na twój widok, aż ślinka cieknie— rzekłam, zaczynając ciągnąć go za rękaw.

— Idź, idź — poradził Blondyn, rzucając Lewanowi kurtkę. — Ola ma nosa do nekromantów.

— Szczególnie do niebieskookich — prowokowałam, z ostatnich sił powstrzymując się od niepohamowanej złości.

Lewan pokornie wyszedł za mną.

— Lubię ludziom sprawiać ból — powiedział nagle, przyciągając mnie do siebie i zaczynając całować.

To bolało, bardzo bolało, ale wytrzymałam, odpowiadając mu tak samo, wkładając w pocałunek całą złość. Odskoczyłam, wytarłam krew i poprowadziłam Lewana do zaułku

— Widzę, że trafił swój na swego — wymamrotał, śpiesząc za mną.



— Jeszcze jak — okrutnie odpowiedziałam. — Łapcie go.

Chłopaki rzuciły się na nic nie rozumiejącego maga, zrywając z niego kurtkę. Jednym ruchem zadarłam mu koszulę i popatrzyłam na plecy, czując, jak przestaje bić mi serce. Na lewym boku widniało duże oparzenie, od którego promieniowało moją magią. Świadomość znikła.

— ... Przestań! — usłyszałam głos Matwieja.

Co przestać? Oj, boli!

Okazało się, że Matwiej unieruchomił mi ręce i trzymał przy sobie z całej siły, a jeszcze jeden chłopak trzymał mnie za nogi. Co się stało? Popatrzyłam na Lewana. Koszulę miał doszczętnie porwaną, a po twarzy ciekła krew. Trzymany przez bojowych magów z przerażeniem patrzył na mnie.

— Nie dotykaj mnie! — wrzasnął, zauważając moje spojrzenie.

— Co? Co się stało? — zapytałam.

— Doszłaś do siebie? — zapytał Matwiej.

— Tak, ale co się stało?

— To było jakby w ciebie sam Sukin Kot wstąpił — relacjonował mag. — Rzuciłaś się na tego maga, jak szalona, gryzłaś go, drapałaś, biłaś i, najważniejsze, wyłaś! Tak byliśmy zaskoczeni, że nie od razu was rozdzieliliśmy.

— Zaprowadźcie go do straży miejskiej — powiedziałam zła.

— Poznałem cię — powiedział nagle Lewan. — Jesteś tą magiczką z

Gniedino, tak? Właśnie taką ciebie zapamiętałem. Moja jedyna...

— A żebyś zdechł w strasznych męczarniach, durniu —  
powiedziałam. — Żeby cię zombie żywcem zżarli jak mnie! Żeby cię na  
tamnym świecie sam Sukin Kot torturował!

— Szkoda mi było cię zabijać — krzyknął wleczony do straży  
Lewan. — Tylko taka kobieta jak ty jest godna być ze mną, tak wielkim!

Chlipnęłam i powiedziałam do Matwieja:

— Wszystkie dowody są u Befa. W swoim raporcie napisałam, że  
nekromanta został zraniony moją szpilką i ślad ten został naniesiony jeszcze  
miesiąc wcześniej. Każdy niegłupi mag zobaczy, że w ranie została energia,  
która należy do mnie. I nikt nie oszukał jeszcze zaklęcia prawdy.

— A ty? — łagodnie zapytał Matwiej, wycierając swoją chusteczką  
krew z mojej twarzy.

— Pójdę się napić — tępo powiedziałam, czując, jak energia życiowa  
wypływa poprzez wszystkie blizny po zombie. — Jest mi źle. Tylko proszę  
cię, zapytasz go, dlaczego zabił tylu ludzi?

Matwiej potaknął, a ja poszłam do domu, prawie nic przed sobą nie  
widząc. Napiję się, napiję się w dosłownym znaczeniu tego słowa!

Otto wsadził mi łeb do zimnej wody, a ja wrzeszczałam i opędzałam  
się od niego.

— Pić mniej trzeba, mniej pić! — gadał przyjaciel, nie przerywając  
czynności.

— No, puść mnie! — wybulgotałam.

— Oczy, pokaż oczy. A, rozumne! Dobrze, ale ten ostatni raz jest dla profilaktyki — powiedział Otto wsadzając mi głowę ostatni raz pod wodę i puścił.

Oskoczyłam od bali znajdującej się w naszej akademickiej łazience, postawionej specjalnie dla takich przypadków, wytarłam się i popatrzyłam. Obok Ottona stała przerażona Lira i trzymała kubek z jakąś dymiącą zawartością.

— Witamy z powrotem w naszym świecie — złośliwie powiedział półkrasnolud, biorąc od Liry kubek i wciskając mi go do rąk. — Pij.

— Dlaczego nie pozwalacie człowiekowi się rozluźnić? — oburzyłam się, z rezerwą wachając zawartość. Było mi tak niedobrze, że raczej gorzej już być nie mogło...

— Rozluźnić się? — powtórzył Otto. — Słyszysz, Lira, że to coś nazywa trzy dni nieustannego pijaństwa "rozluźnianiem się"? Prawie nóg nie wyciągnęłaś.

— Trzy dni? — zapytałam.

Nieźle! Teraz rozumiem, dlaczego tak się źle czuję.

— A gdzie byliście w tym czasie? — postanowiłam obwinić także i przyjaciół.

— Byłam z Aksentijem — zawstydzila się Lira.

— A ja myślałem, że leczysz u Irgi rany na duszy — stwierdził Otto. — Ale kiedy spotkałem na ulicy twojego narzeczonego, który mnie

zapytał, gdzie jesteś, to zrozumiałem, że coś tu nie gra.

— Musieliśmy wywarzyć drzwi — wyjawiała Lira, póki ja przytrzymując się ściany wlokłam się do łóżka. — Zabarykadowałaś się i nie odpowiadałaś na wołania.

— Zobaczyłabyś w jaki burdel zamieniłaś pokój! — powiedział Otto.

— W większy niż zwykle? — zapytałam.

— Zaraz sama zobaczysz.

Matko jedyna!!! Sukin Kot!!! Zamarłam przed pomnikiem swojego niechlujstwa.

— Pracoterapia — powiedział półkrasnolud, wręczając mi ścierkę — jest najlepszym lekarstwem. No, pij i bierz się do roboty.

— Irga — wyszeptałam suchymi ustami — To widział?

— Nie — odpowiedział Otto. — Oszczędziłem cię. Powiedziałem mu, że masz sprawy do załatwienia i będziesz później.

— Dziękuję — powiedziałam, biorąc się za sprzątanie i myśląc, jak szybko umrę. Lira raz po raz stukała mnie w głowę i zaglądała w oczy, każąc wypić jakiś wywar i proponując odpocząć, ale ja nieustannie oczyszczałam plac boju.

Jak tylko pokój zaczął wyglądać jako-tako, padłam na łóżko i wyłączyłam się.

Obudziło mnie ciamkanie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam krasnoluda, żarłocznie pochłaniając mięso z garnka.

— To było dla Oli dietetyczne mięso z królika! — oburzyła się wchodząca Lira. Ach, póki spałam naprawili drzwi.

— Obejdzie się twoja Ola — stwierdził Otto. — Wiesz ile nerwów straciłem przez jej występki? Ja bardziej tego potrzebuję.

— Ola — ucieszyła się Lira. — Jak się czujesz? Nie wstawaj...

— Póki będę tu leżeć to ten żarłok wsunie całego mojego królika — powiedziałam i popęzłam do stołu.

— Ot, jak mówi o swym najlepszym przyjacielu — pożalił się Otto.

— Też cię kocham — wiązko opadłam na krzesło wyciągając z garnka kawałek mięsa.

— Bef przesyła ci pozdrowienia i wyrazy wdzięczności od magicznych władz — przekazał Otto. — Powiedziałem mu, że masz załamanie nerwowe i na razie nie wychodzisz.

— A Lewan?

— Sądzą go. Od razu bym mu przywalił karą śmierci, ale jest z wysoko postawionych. Rodzinka się wmieszała — powiedział pochmurnie Otto. — Ale Bef przy świadkach poddał go zaklęciu prawdy. Teraz facet nie zwieje. A, właśnie, masz u mnie dług. Uratowałem Irgę od ciupy.

— Jak to?

— Kiedy się dowiedział, że złapali gniedińskiego nekromantę, to chciał pójść i sam urwać mu łeb ze szczególnym okrucieństwem. Z jakiegoś dziwnego powodu twój ukochany nie za bardzo go lubi...

— I co ty zrobiłeś? — zapytałam przerażona.

— Wypiliśmy razem — przyznał Otto. — Nie tylko ty musiałaś podleczyć nerwy

— Dobrze popiliście?

— Dobrze — rozmarzył się krasnolud. — Jeśli doszłaś do siebie, to musimy iść do Bef.

Popatrzyłam w lustrze na swoją bladą twarz z cieniami pod oczami, poprawiłam włosy, przebrałam się i byłam gotowa do wyjścia.

Bef czekał na nas w gabinecie czytając listy z grubego pakieciku.

— To — wskazał na pakiecik. — Twoja robota, Olgierdo. Cieszę się, że w końcu są tu pochwały, a nie same skargi.

— A, jak mi przyjemnie — powiedziałam.

— Oficjalnie nagrodzą was władze miasta — powiedział Bef. — Sama głowa miasta zawiesi wam na szyi order. Nie muszę mówić, że macie być w oficjalnych szatach Uniwersytetu?

Zajęczałam, ponieważ słowa Nauczyciela rozbiły w drobny mak wizję mojego pięknego wystąpienia w prześlicznej sukience w głównej sali, którą przed chwilą wyobraziłam sobie.

— A będzie coś jeszcze oprócz orderu? — zaciekał się Otto.

— Oczywiście, wszyscy nagrodzeni dostają stypendium — pocieszył go Bef.

Półkrasnolud poweselał, a ja zrozumiałam, że i tak trzeba pójść do

salonu piękności.

— Chciałabym dowiedzieć się szczegółów o Lewanie — poprosiłam.

— Oczywiście — kiwnął Bef. — Miałaś rację — Lewan nie uczył się na żadnym uniwersytecie, dlatego miał bardzo okrojona wiedzę. Jego nauczycielem był wam dobrze znany Sorton Dorni.

— Kto to? — zdziwił się Otto.

— Pamiętacie jak półtora roku temu napadły was zombie półszalonego nekromanty?

— Aha, kolekcjoner! — przypomniałam sobie. — Kolekcjonował zombie.

— Tak — potwierdził Bef. — Sorton dokonał rewolucyjnych odkryć w dziedzinie nekromancji. A ściślej w podnoszeniu martwaków i pracą z magiczną energią. Lewan niszczył wioski tylko dla energii śmierci, która w ogromnej ilości uwalnia się przy nagłej śmierci. Właśnie to pozwoliło mu na utrzymanie tak ogromnej armii zombie.

— Ale po co? — zapytał Otto.

— Dlatego, że lubi ludziom sprawiać ból — wyszeptałam, porażona własną myślą. — Sam mi powiedział. Plus żądza władzy. I mamy rezultat...

— Tak — kiwnął Bef. — Lewan już w dzieciństwie lubił męczyć zwierzęta, dlatego rodzice nie posłali go na uniwersytet, a uczyli w domu. I prawo do dziedziczenia oddali młodszemu bratu, a nie jemu, czym na pewno zdenerwowali pierworodzonego.

— Koszmar — powiedziałam. — Zawsze wiedziałam, że arystokraci

są świrnięci.

— Częste śluby między sobą nie pomagają — stwierdził ze znanstwem Otto.

Bef przytaknął.

— A Lim? — zapytałam.

— Nia Monter tym razem o niczym nie wiedział. Znał go po prostu od dziecka — wyjaśnił Nauczyciel. — I kiedy nekromanta poprosił go o nocleg i pieniądze, ten nie widział przyczyny by mu odmówić.

— Jesteście pewni? — spytałam.

— Musieliśmy poddać Lima zakłęciu prawdy — chytrze uśmiechnął się Bef. — Oczywiście bardzo się oburzył i napisał na mnie skargę. Ale nie mogłem zostawić wątpliwości w duszy mojej studentki

— Dziękuję — zaczerwieniłam się.

— Teraz przejdźmy do innych spraw — rzekł Nauczyciel. — Elfy złożyły zamówienie na dwadzieścia artefaktów dwa w jednym. Część teoretyczną możecie przygotować tutaj, ale same artefakty będziecie robić w Gniedino. Wasza praktyka się jeszcze nie skończyła.

— O, nie!!! — wyjęczałam. — Znowu wracać do dziczy! Za co?

Bef machnął rękami.

— Nieprzyjemności za nieprzyjemnościami — jęczałam, wychodząc z gabinetu. — Myślałam, że już na zawsze wróciliśmy do miasta!

— To nic — pocieszył mnie Otto. — W Gniedino będziesz miała



więcej możliwości by zostać bohaterem i dostać kolejny order.

— Na kij mi order — powiedziałam prosto z serca. — Chcę spokojnego życia.

— Wyjdź za Irgę — poradził półkrasnolud. — Zamknie cię w piwnicy, żeby ci się nic nie stało i będziesz miała najspokojniejsze życie z możliwych.

— Zrobię podkop i zwieję — sprzeciwiłam się.

— Z twoim szczęściem podkop się zawali i będziemy musieli cię odkopywać — zauważył Otto.

Westchnęłam ciężko. Czy naprawdę nigdy nie będę miała upragnionego spokojnego życia?

## *Rozdział 15*

### *Nie mój dzień*

— Dziś będziesz miała zły dzień — oszołomił mnie tą wieścią Warsonia.

— Dzięki wielkie — wyburczałam. — Aleś mnie ucieszył z rana.

— Myli się — stwierdził Otto, złośliwie przewiercając spojrzeniem uzdrowiciela. — Też mi wróżbita się znalazł.

— To nie ja — usprawiedliwiał się Warsonia. — To gwiazdy!

Osiągnąwszy w zimę tuszę strasznych rozmiarów, uzdrowiciel zdecydował się przejść na dietę. Ale mu się to nie udało – nie starczyło siły woli. Półkrasnolud poradził mu zatem metodę „klin klinem” — znaleźć sobie inną pasję, oprócz gotowania. Warsonia pomyślał, odszukał gdzieś książkę "Astrologia dla początkujących" i teraz każdego ranka oznajmiał nam prognozę na dany dzień. Proroctwa spełniały się bardzo rzadko – według mojej pamięci tylko raz, kiedy grubas przepowiedział mi nieprzyjemny cios i pod wieczór Otto się zagapił i o mało co nie walnął mnie drzwiami, kiedy na czworakach starannie myłam podłogę. Nie zważając na naszego sceptycyzmu, uzdrowiciel obiecywał się doskonalić i nie porzucać swojego pomysłu. Przygotowywanie posiłków stało się teraz obowiązkiem Ottona i moim, w związku z czym przeszliśmy na zdrowe żywienie - kaszę i piwo.

Akurat dzisiaj rano w roli kucharza występował półkrasnolud, ponieważ ja zabierałam się za indywidualne zamówienie, które miało przynieść dużo korzyści. Po tym, jak skończyliśmy realizację dużego elfiego zamówienia na artefakty "dwa-w-jednym" i czekaliśmy na ocenę ostrouchych, zajmowaliśmy się dorabianiem na boku. W tym szczególnie ja się udzielałam, gdyż doprowadzenie się do porządku w salonach piękności kosztowało mnie taką sumę, że byłoby prościej żyć z bliznami.

Moja klientka żyła w lesie, na samotnym siedlisku. Nie tak dawno straciła męża, który bez śladu zniknął udawszy się na polowanie, ale wyjechać do miasta nie miała zamiaru. Piri — tak nazywali włościankę — poprosiła mnie, żeby naładować artefakty, które ułatwiają życie w jej

gospodarstwie. Z radością się zgodziłam, dlatego że chętnie chodziłam po lesie, mając nadzieję na spotkanie się w tajemniczej i nappełniającej grozą okolicy ze zjuka. Znaleźć w materiałach tą tajemniczą istotę i tak mi się nie udało, a rozpytywanie na Uniwersytecie wykładowcy tylko rozkładali ręce i radzili nie zwracać uwagi na ludowe wierzenia. Ale ja wierzyłam, że zjuka istnieje - nie można było jej po prostu wymyślić, wszystkie wierzenia bazują na faktach.

— Szczęścia w poszukiwaniach — pożegnał mnie Otto.

Z zainteresowaniem odnosił się do mojej fascynacji miejscowym straszylem, szczególnie po tym jak przeczytał w "Zwiastunie regionalnego kierowania", że za znalezienie nowego rodzaju martwiaka przyznana jest przyzwoita nagroda.

Przewiesiłam przez głowę przestronną torbę z podróznym kompletem narzędzi i z westchnieniem włożyłam wysokie kalosze — przemieszczać się po nieprzebytych wiosennych błotach było bardzo ciężko.

Las przywitał mnie oszałamiającym ptasim szczebiotem i delikatnie zielonymi liśćmi. Pachniało przegniłymi przez zimę liśćmi, pierwszymi kwiatami i jedliną. Głęboko wdychałam powietrze, starając się nie myśleć o tym, że wkrótce przyjdzie porzucić to piękno i jechać do dusznego i brudnego miasta. Zresztą, wszystkie niedostatki miasta rekompensowała kanalizacja i gorąca woda w kranie.

Ostrożnie przestępując kałuże, brnęłam do siedliska Piri, marząc o otrzymaniu dyplomu i perspektywach, które się przede mną otworzą. Ojciec Ottona obiecywał nam pomoc wynająć niewielką pracownię, gdzie będziemy pracować tylko na siebie i robić tylko to, co chcemy.

Nawiasem mówiąc, nikt nie przeszkadzał nam powrócić do alkoholowego biznesu, przecież można się oddawać ulubionemu zajęciu w wolnym czasie.

Właśnie, nikt nie zabronił nam powrócić do alkoholowego biznesu, wszak trzeba od czasu do czasu zająć się przyjemnymi rzeczami.

Ciekawe kiedy Irga zdecyduje się oficjalnie poprosić mnie o rękę i serce, wyznaczyć datę ślubu, zapoznać się z moimi rodzicami? Do tego wydarzenia należy przygotować się godnie, tym bardziej, pamiętając, że obiecał mi cudną elfią suknię!

— Witaj Olgierdo! — rozległo się nad moim uchem, aż się wzdrygnęłam.

Byłam tak głęboko zamyślona, że nawet nie zauważyłam, że ktoś mnie podszedł! Odwróciwszy się na ten głos, spochmurniałam. Ten, co mnie pozdrowił nie był mi znajomy. Brodaty, chudy, ubrany w odzież, nie pasującą do jego wzrostu. Nie słyszałam, żeby w lesie załęgnęli się włóczykije!

— Nie poznajesz? — bezczelnie uśmiechnął się nieznajomy. — No pewnie, przecież żyjesz cicho i pokojowo, rozkoszując się urokami cywilizacji, a ktoś dzięki tobie musi gnić w łagrze.

— Lojd! — westnęłam. — Ale co Ty tutaj robisz? Ty przecież ... Byłeś w łagrze?

— Zgadza się, byłem — odrzekł Lojd, tak ściskając moje ręce, że aż kości zatrzeszczały. — Lecz dobrzy ludzie wszędzie są i oni orzekli, że czas mi wyjść na wolność.

— I co ty chcesz ode mnie? — spytałam, starając się nie jęczeć od bólu. Biedne kości, dopiero co się zrosły.

— Porozmawiać — uśmiechnął się Lojd. – Delikatnie i długo.

Uderzenie w splot słoneczny zmusiło mnie do zwinięcia się z bólu, łykając napływające do oczu łzy. Kiedy próbowałam złapać oddech, zbiegły więzień mocno związał mi ręce i wydobył zza pasa ogromny nóż.

— Mam coś dla ciebie. I to coś pożąda twojej krwi.

— Za co? – spytałam gorączkowo, starając się wymyślić jakiś plan ratunku dla siebie

— Za to, że ja zdychałem w łagrze, a ty cieszyłaś się życiem.

"Może, jeśli opowiem mu o tym, jak mi było ostatnio ciężko, to się nade mną zlituje?" – pomyślałam. Nie jest tak najgorzej – stąd nie tak daleko do miasteczka, a jeśli Pani Sukcesu się ode mnie nie odwróci, to mogą obok przejść drwale czy jeszcze ktoś inny.

— Lojd, wypuść mnie — bez szczególnej nadziei poprosiłam. – Przykro mi, że trafiłeś na katorgę, lecz, z innej strony, nie trzeba było starać się nas zamordować.

— Ja po prostu dokończę to, czego nie dokończyłem — powiedział Lojd, ciągnąc mnie za rękę w głąb lasu.

— No, dobrze, przypuścimy że mnie teraz zarzniesz — rozmyślałam na głos, odczuwając dziwne otępienie. — Lecz do Irgi się łatwo nie dobierzesz.

— Jego zabije sama myśl, że TY jesteś martwa — uśmiechnął się

złoczyńca.

— Jak pokazuje praktyka, nie zabije — nie zgodziłam się.

Lojd zatrzymał się ze zdziwienia.

— A skąd ty to wiesz?

— Ostatnio mnie zabito — powiedziałam.

— Nie tylko mi podpadłaś? — spytał chłopak.

— Po prostu jestem popularna — skromnie odpowiedziałam.

— Nie mąć mi w głowie — nagle Lojd drastycznie szarpnął za sznurek i zagłębił się w krzaki.

— Dokąd ty mnie ciągniesz? — spytałam.

— Dokądkolwiek, byle dalej — powiedział mag. — W ogóle planowałem zastać cię u wdowy, lecz u niej, jak na złość, goście się zjawili. A inna szansa wyciągnięcia cię do lasu może się nie nadarzyć. Tak że nie przeszkadzaj, improwizuję.

To źle, bardzo źle. Potulnie szłam za Lojdem, modląc się do Pani Sukcesu i postanowiwszy działać odpowiednio do okoliczności.

— A kiedy to zdążyłeś zwąchać się z Piri? — obojętnie spytałam, starając się nie pokazywać swego strachu.

— A czego trzeba samotnej kobiecie? — zadowolony z siebie spytał Lojd i odpowiedział: — Tego, kto osłodzi jej samotność!

— I rozumiem, że z ciebie zrobił się dobry osłodziciel? —

domyśliłam się.

Lojd roześmiał się.

— I co zamierzasz z mną zrobić? – ciągnęłam rozmowę.

— Zamordować.

— Jakie to mało oryginalne — zauważyłam. — Myślałam, że potrafisz wymyślić coś innego!

— A jakże, a jakże!! — zaprotestował Lojd. — Potnę cię na kawałki, zgwałcę, powyrywam paznokcie...

— To nie logiczne! — przerwałam. — Najpierw należy gwałcić, potem wyrywać paznokcie, a dopiero potem krajać na kawałeczki!

Lojd zatrzymał się patrząc na mnie ze złością.

— Tak długo przygotowywałeś się do zemsty, a nawet nie wymyśliłeś, co ze mną zrobić i w jakiej kolejności? — kontynuowałam szydzenie. — Ubogą masz wyobraźnię!

— Ja cię po prostu teraz zabiję — więzień podbiegł, wymachując kindzałem.

Lecz mnie nie na próżno ostatnio prześladowały nieszczęścia pod postacią krwiożerczo nastawionych magów. Czegoś tam się nauczyłam.

Machnąwszy rękami podstawiałam sznurek, którym miałam związane ręce, pod ostrze i jednocześnie otoczyłam się tarczą. Lojda odrzuciło w tył, a ja nawiałam w krzaki, nie zwracając uwagi na głębokie skaleczenie na nadgarstku od noża. Za to teraz nie byłam związana!

Lojd, głośno przeklinając, pobiegł za mną. Ja, podciągając spódnicę, uciekałam, milcząc i oszczędzając oddech. Tylko żeby wydostać się do ludzi! Torba z narzędziami boleśnie uderzała mnie po boku, ciężkie kalosze przeszkadzały w biegu, ale nie poddawałam się. Znowu umierać nie miałam ochoty.

Buch! Ziemia zawirowała mi przed oczami. Oczywiście, bez tego nie mogłoby się obejść! Pierwsza zasada uciekającego – nie odwracać się, żeby sprawdzić gdzie prześladowca. A tu pod nogami pojawia się niezauważony korzeń i skręcenie kostki gotowe.

Jęcząc z bólu, pokuśtykałam do drzewa przed którym było nieco przestrzeni. Przyłgnęłam do niego plecami i przygotowałam się do walki.

Lojd wypadł z krzaków cały w pajęczynach i z gałęziami w splątanych włosach. Liczyłam, że wyglądam lepiej i wysłałam w jego kierunku kilka atakujących zaklęć. I tu pokazała się zasadnicza różnica pomiędzy samokształceniem a systemową nauką uniwersytecką. Mag opędził się od moich zaklęć, jak od much, i skoczył do mnie przypominając atakującego drapieżnika. Zmrużyłam oczy, patrząc na nóż u mojego gardła i mruknęłam w zamyśleniu:

— Wstyd. Wychodzi, że niepotrzebnie toaletę połamałam.

— Co? — zakrztusił się przygotowaną frazą Lojd. — Co ma do tego toaleta?

— Poprzedni miesiąc szkoliłam się z bojowych zaklęć – wytłumaczyłam. — A ponieważ ofiar.... Obiektem do prób nikt nie chciał zostać, to przyszło opracowywać je w wychodku na dworze. No, i on trochę



przekrzywił się. Otto teraz w ogóle to do sąsiadów chodzi, bo boi się, że zawali się podczas używania.

Lojd zaśmiał się i wypadł z roli zbiegłego łagrownika i złoczyńcy. Liczyłam, że szczęście się do mnie obróciło, lecz okazało się, na próżno.

— A teraz cię zabiję — prosto i zwyczajnie powiedział Lojd.

Westchnęłam i podniosłam do góry wzrok, żeby nie widzieć, jak on to będzie robić. I oszołomiona zamarłam.

— Stój — wyszeptałam, utkwivszy wzrok w cudzie za plecami Lojda

— Co jeszcze? — spytał z irytacją. —Przeszkadzasz mi się skupić.

— Tylko popatrz! — cicho odrzekłam. — Odwróć się...

— Jeśli to jakaś sztuczka, to niezbyt dobra.

— To nie sztuczka, to zjuka! — radośnie zaśpiewałam. — Zjuka! Zobaczyłam ją! Ona istnieje! Teraz można i umierać, dawaj, zarzynaj.

Lojd nie wytrzymał i odwrócił się. Potwór patrzył na nas czarnymi i smutnymi oczyma. Zjuka była mieszanicem dużego niedźwiedzia i bardzo dużego demona. Ogromne, kudłate, na czterech łapach, z malutkimi skórzastymi skrzydełkami, z ogonem bez sierści i ostrym rogowym zakończeniem. W rozewartej się paszczy - trzy rzędy zębów. Lecz najbardziej mnie poraziły oczy - duże, ogromne, jak dwa malutkie bezdenne jeziorka.

— Co to? — zaćwierkał Lojd

— Zjuka. Miejscowa folklorystyczna osobliwość.

— Niczego sobie ona folklorystyczna — mój przeciwnik odrzucił nóż i przygotował się do walki.

— Ciiii — powiedziałam, szarpnąwszy go za rękę.

Podszedłszy do spokojnie stojącej zjuce, dotknęłam jej puszystej sierści.

— Ona cię zeżre! — zaniepokoił się Lojd.

— A kto by się martwił — odpowiedziałam.

— Ja chcę zabić cię sam — zaproponował złoczyńca. — A jeśli cię zeżre ta zjuka, to się bardzo rozstroję.

— Przeżyjesz — powiedziałam, wyciągając do potwora już obie ręce.

Zjuka nie uchyliła się i nadal z żalem patrzyła na mnie swoimi oczami. Zaczekałam i dotknęłam jej mordy, pogładziwszy pochyłe czoło. Potwór wzdrygnął się i warknął. Zapachniało spalenizną. Zjuka zawyła i rzuciła się w bok, obnażywszy w ryku zębiska. Odwróciwszy się, zobaczyłam, jak z palców Lojda wyrrywają się czerwone iskry.

— Co ty wyprawiasz! — krzyknęłam, stawiając Tarczę.

— Ona warknęła — odpowiedział Lojd. — Odejdź!

— Ona zamruczała z zadowolenia! — z obawą odsunęłam się od stwora, który stanął na tylne łapy i wydał straszliwy ryk. — A teraz dopiero warczy.

Odbiegłam od potwora i schowałam się za Lojda.

— Ty ją rozzłościłeś! — krzyknął, waląc go po plecach. — I ona nas teraz zeżre! Po co było rzucać w nią ognikami!

— Zareagowałem automatycznie... — usprawiedliwił się chłopak. — A gdyby ona chciała nas zeżreć, już dawno by zeżarła!

Rzeczywiście, zjuka z całej siły demonstrowała nam potęgę swoich płuc w ryku i rozłożystość łap, lecz do aktywnych działań nie przechodziła.

— Zaraz się odwróci i z nami koniec — przepowiedziałam.

— Związać się z tobą .... — burknął Lojd, powoli wycofując się w krzaki.

— A nie trzeba było chcieć mnie zamordować — powiedziałam, starając trzymać się bliżej niego. Jednak, jakby nie patrzeć, to bojowy mag.

— Winny ci byłem zemstą — bez przekonania powiedział Lojd.

— Niczego mi nie jesteś winny — uspokoiłam go. — Mogę już sobie pójść?

— A dokąd? — złapał mnie za rękę.

Ach tak!

— Ratujcie, pomóżcie! — wrzasnęłam, wierzgając z całej siły. Zrozumiałam, że magii dla mojego zabójstwa mściciel wykorzystywać nie będzie, przecież magia pozostawia ślady, a on, sądząc po wszystkim, niezbyt pragnął pozostawiać ślady. Znaczy, mam szansę się wykręcić!

— Silna suka — zasyczał Loyd, potrząsając ugryzioną ręką.

Zjuka przestała wyć i z zainteresowaniem zwróciła się na nas.

Wyrwawszy się z rąk chłopaka, zaczęłam z całej siły bić go torbą z narzędziami. Przysłaniając głowę rękami, Lojd skoczył na mnie i upadłam na plecy, poczuwszy wszystkie kępki, szyszki i sęki.

— Nie zrozumiałem — powiedział złośliwie, starając dosięgnąć noża.  
— Kto tu kogo zabija?

Cienko piszcząc na jednej nucie, uczepiłam się paznokciami jego twarzy, starając się zrzucić ciężkie ciało.

— Co tu się dzieje? — rozległ się znajomy głos.

Wstrzymaliśmy walkę i przedstawialiśmy sobą obrazek leśnej rozpusty.

— Baron! — ucieszyłam się — Jak nic, w samą porę!

— My tu z dziewczyną się bawimy — wymamrotał Lojd, ostrożnie oddychając — do jego gardła był przyciśnięty miecz barona.

— A, sio stąd! — ryknął Ron.

Chłopak podskoczył, zasyczał coś nieprzyjemnego, machnął ręką i schował się za zasłoną z białego i śmierdzącego dymu.

— Nie trzeba go było wypuszczać — powiedziałam. — On mnie chciał zamordować.

— Zamordować? I ten także? — zdziwił się baron, który nasłuchiwał się o moich przygodach.

— Jestem popularna — pochwaliłam się, przychylnie pozwalając podnieść mnie z ziemi i otrzepać.

— Dziwna jakaś popularność... — zauważył Ron.

— Ale jakaś jest.

Cierpliwie czekałam, aż baron obierze z mojej spódnicy gałązki i ubiegłoroczne liście, a swoją chustą wytrze brud. Miła była mi ta uwaga.

— A gdzie zjuka?

— Poszła — spokojnie odpowiedział baron — za twoim niedoszłym mordercą.

— Ty ją widziałeś?

— Pewnie. I to nie jeden raz. Zjuka jest spokojna, jeśli jej nie zaczepiać i nigdy pierwsza nie napada.

— No tak, a poprzedniego uzdrowiciela kto zeżarł?

Baron wzruszył ramionami.

— Nikt nie wie, zwłok nie znaleziono. Po prostu z przyzwyczajenia wszyscy na zjukę zwalili.

— Mam nadzieję, że Lojdowi też się nie powiedzie — krwiożerczo zasyczałam. — Nie chciało by się żyć, stale rozglądając się i bojąc.

— Pojedziesz razem ze mną? — z niepokojem zapytał baron. — Mogę cię chronić.

Z obawą zezowałam na konia.

— Nie, wolę piechotę. Konie mi odpowiadają albo pod postacią zaprzęgniętych do karet, albo pod postacią kielbasy.

Baron milcząco, szedł obok, prowadząc zwierzę za uzdę. Przebierałam w torbie z narzędziami, oceniając straty, jak raptem raptem się zorientowałam, że Ron się do mnie zwraca.

— Chciałem z tobą poważnie rozmawiać — powtórzył w odpowiedzi na moje pytające spojrzenie. — Nie wiem, czy mam prawo to zrobić teraz, wszak doznałaś szoku.

— Jakiego?

— Chciano cię zabić... — przypomniał ze zdziwieniem.

— Ach, tak, dokładnie. Po prostu ja teraz myślę o czymś innym. Mów.

Doszliśmy do przesieki i spojrzałam na barona, zadziwiona jego milczeniem.

— Ron, co z tobą? Zachorowałeś? Masz takie rumieńce!

— Ja nie ... To jest tak ... Chociaż to i okropnie brzmi, ale ja jestem chory na ciebie. Kocham cię, Olu.

— Dlaczego okropnie brzmi? — powiedziałam, zaszczyciona. — Bardzo nawet dobrze brzmi.

Baron upadł przede mną na kolana i chwycił mnie za rękę.

— Zostań moją żoną, Olu, proszę cię! Kocham cię ponad życie! Będziesz ze mną szczęśliwa.

Obojętnie pomyślałam, że dekoracje dla czegoś takiego są całkiem nieodpowiednie — brudny las, brudna ja z brudną torbą, pełną połamanych

narzędzi.

— Ron — powiedziała ostrożnie wyjmując z jego dłoni swoją rękę.  
— Ja mam narzeczonego.

— A nie za długo jesteś narzeczoną? — spytał baron ze złością. — Ja jestem gotów żenić się choćby teraz, jak tylko dojdziemy do ołtarza Bogini Rodu. A twój nekromanta się nie spieszy. Być może, on cię nie kocha? Albo nie jesteś mu już potrzebna?

— Bzdura — odpowiedziałam odganiając własne wątpliwości, co do tego powodu, i poszłam w kierunku miasta.

Baron szedł w ślad za mną i milczał, a potem zaczął mówić:

— Będę dla ciebie wspaniałym mężem. Mam wszystko dla godnego życia dla mojej żony — dom, majątek ziemski, pieniądze, a i tytuł na sam koniec.

— Czemu ja? — spytałam, nie obracając się.

— Ponieważ cię kocham — naiwnie powiedział Ron.

— Nie — powiedziała poważnie. — Dlatego, że ty nigdzie nie wyjeżdżasz i nie bywasz wśród ludzi. Ja po prostu jestem jedynym właściwym rozwiązaniem dla Ciebie, to wszystko. Pojedź na kilka miesięcy do Czystiakowa, pokręć się tam, a znajdziesz o wiele bardziej godną kandydatkę i do tego wolną.

— Byłem w Czystiakowie — spokojnie rzekł baron. — I nie tylko w Czystiakowie. Ja od dawna nie jestem chłopcem, Olu. Walczyłem w Zmierzchowych Górach i bywałem na arystokratycznych przyjęciach, w

najlepszych domach stolicy. Wiem, kto mi potrzebny. Mi potrzebna jest śmiała, praktyczna małżonka, z którą mielibyśmy wiele wspólnego i która zgodziłaby się żyć ze mną w gospodarstwie. I którą kochałbym. Chcę szczęśliwego i spokojnego życia. Chcę pracować na rozkwit majątku ziemskiego i bronić żyjących w nim ludzi. Chcę dzieci — pięć albo sześć, chłopców i dziewczynek...

— Jeżeli nie byłbyś mężczyzną, — przerwałam jego mowę — powiedziałabym, że naczytałeś się romansów. W życiu tak nie bywa.

— W życiu bywa nawet lepiej. Pomyśl dobrze, Ola.

— Mam już narzeczonego! — powiedziałam gwałtownie.

Baron milcząc, odprowadził mnie do domu.

Z pracowni wyszedł Otto i wytrzeszczył na mnie oczy:

— Ola, co się stało? Wilki cię goniły?

— Lojd gonił za mną, ale to nie ma znaczenia. Otto, widziałem zjukę! Wyobraź sobie! Baron był świadkiem.

— Fiu, fiu! — zagwizdał półkrasnolud, ale nie zrozumiałam do czego odnosi się jego komentarz.

— Połamałam swoje narzędzia — pożaliłam się, pokazując torbę półkrasnoludowi.

— To nic, zaraz popatrzymy, co można z tym zrobić — rzeško odpowiedział dobry przyjaciel. — Ron, dlaczegoś taki ponury?

Baron wzruszył ramionami.



— Odmówiłam mu — wyjaśniłam.

— Eee...? W jakiej kwestii?

— On mi rękę i serce proponował.

— Biedak — okazał współczucie Otto. — To w tym mu odmówiłaś?

— Tak, a ty o czym pomyślałeś?

Półkrasnolud w nieokreślony sposób pomachał ręką w powietrzu, a potem powiedział poufnym tonem:

— Ron, bardzo ci się poszczęściło.

— Ja bym z tego nie żartował — mruknął ponuro baron.

— I ja nie żartuję! Uwierz mi, z tą panną może wytrzymać tylko Irga, ze swoimi stalowymi nerwami amatora zombiaków-trupiaków. Tym bardziej, że ma wiele lat praktyki.

— Zdrajca! — wpadłam w złość. — Mógłbyś mnie pochwalić.

— Sama siebie pochwalisz — powiedział Otton. — Z boku mogę obiektywnie ocenić twoje braki i dyplomatycznie o nich opowiedzieć.

— Też znam swoje braki!

— Tak? A dokładniej?

Mówić o sobie w negatywnym tonie i to jeszcze w obecności zainteresowanego mną Rona okazało się bardzo trudne. Zgięłam się pod drwiącym spojrzeniem Otta i wybąkałam:

— U mnie jest wiele braków.

— No, no — zachęcał półkrasnolud.

— A nie powiem! Kobieta powinna być tajemnicza!

Najlepszy przyjaciel zaśmiał się, Ron grzecznie się uśmiechnął. Potem obaj zwrócili wzrok gdzieś za moje plecy. Odwróciłam się. Na podwórze wszedł Żywko, trzymając w rękach bukiet jakby jadowitego węża. Zamiast zwykłej futrzanej kamizelki i skórzanych spodni został ubrany w jasną koszulę i spodnie, które zadziwiającym obrazem łączyły się z jego włosami, zebranymi w wysoki ogon i srebrnymi kólkami w uszach.

— Witaj! — powiedział Otto radośnie i pociągnął barona za rękaw do ławki przy ganku. — Teraz będzie przedstawienie, trzeba popatrzeć.

— Dzień dobry — przywitał się ork, odwrócił się do mnie, otworzył usta i nic nie powiedział.

— Co? — nie wytrzymałam.

— Emmm...

— Poczekaj, pójdę do domu żeby przebierać się odpowiednio do uroczystego momentu — zaproponowałam.

— Nie trzeba — odparł Żywko, nabrał powietrza, jak gdyby miał nurkować w wir.

— Ola, wyjdź za mnie za mąż — i wręczył mi bukiet.

— Nie — powiedziałam uprzejmie. Doświadczenie zaczęło robić swoje. — Mam już narzeczonego.

— Nie wiesz, co tracisz — rzekł ork. — Dzieci półkrwi są bardzo

silne i utalentowane.

— W ogóle nie chcę mieć dzieci — powiedziałam. — Wystarczy w moim życiu pieluch i krzyków.

Odwróciwszy się, żeby odejść, zobaczyłam jak Otto sadza na ławkę Rona, próbującego dorwać się do Żywka.

— Nie wiesz co tracisz — przymilnie powiedział ork, wyprzedzając mnie i zagrażając drogę do drzwi.

— Odejdź.

— Jesteś mi coś winna, Ola, pamiętasz? Jeden pocałunek. Jeden pocałunek — i jeśli ci się nie spodoba to odejdę.

— Nie spodoba mi się. Odejdź, Żywko, kocham Irgę i zamierzam go poślubić. Czego ty ode mnie chcesz?

— Żebyś została moją żoną — powiedział ork.

— Co, więcej dziewczyn nie ma na świecie? — oburzyłam się. — Dlaczego wszyscy się do mnie przyczepiliście?

— Co znaczy "wszyscy"? — Żiwko wyteńczył uwagę.

— A to znaczy!

— Na pewno, ci "wszyscy" pomyśleli: "Cóż w tej dziewczynie znalazł powszechnie uznany kobieciarz Irga? Może i mnie uda się to dostać?"...

— Nie uda się — odcięłam się.

— Jeden pocałunek — odszepnął ork. — Jesteś mi winna jeden

pocałunek. Jeśli chcesz, będę się trzymał potem z dala od ciebie na zawsze.

Zamyśliłam się. Propozycja brzmiała bardzo uwodzicielsko.

— Dobra — postanowiłam w końcu.

Zamknawszy oczy, nadstawiłam wargi do pocałunku. Ork dotknął ich i za parę mgnień już mnie zalewała fala gorąca z zadowolenia. Jakże on całował! Od jego pocałunku całkiem traciłam całe swoje ucywilizowanie i na wierzch wyłaziła najprymitywna samica z silnym pragnieniem. Prawie wbrew woli położyłam mu ręce na ramionach i przywarłam ciasno do jego gorącego i mocnego ciała.

Nagle usłyszałam pełne grozy „Oj!” Ottona. Z wysiłkiem oderwałam się od Żywka i spojrzałam za jego plecy. We wrotach stał Irga — biały jak kreda, z zagryzionymi wargami i ze zwężonymi oczami.

Na mgnienie oka wydało mi się, że ogłuchłam. Jak gdybym stała przed dużym, lecz statycznym i milczącym obrazem — półkrasnolud wstający z ławki, chwytający się za brodę, patrzący na mnie z gniewem, baron i —w centrum — szczupła, wysoka postać w czerni.

— Wszystko jasne — chłodno powiedział Irga, odwrócił się i odszedł.

— Irga! — zajęczałam, jakimś cudem utrzymując się na uginających się nogach, i spróbowałam pospieszyć za nim.

— Stój! — powiedział ork, łapiąc mnie za rękę.

Popatrzyłam w jego pełne triumfu oczy i wydyszałam:

— Ty...

— Ja — zgodził się.

— Za co? — spytałam, ledwie poruszając ścierpłymi wargami.

— Nie trzeba było mu mnie bić — odparł ork.

Z niewiarogodną siłą wyrwałam się od niego i pobiegłam na ulicę. Otto coś za mną krzyczał, lecz nie usłyszałam. Przede wszystkim — dogonić ukochanego, póki on nie zrobi czegoś nie do naprawienia.

— Irga — zajęczałam w nienaturalnie proste plecy nekromanty.

Zatrzymał się, ale nie obrócił.

— Irga... Irga, to nie to, co pomyślałeś.

— A co pomyślałem?

Od jego lodowego głosu zachciało mi się pójść i utopić. Boleśnie uszczypnąwszy się w rękę, żeby odpędzić strach, ostrożnie obeszłam stojącego narzeczonego i spojrzałam mu w twarz. Poraziły mnie gorycz i ból, zaciemniające błękitne oczy.

— Obojętnie, co pomyślałeś, to nie prawda.

— Aaa — przeciągnął Irga i powiedział z goryczą:

— A ja, dureń, nie wierzyłem kiedy mi powiedzieli, że widzieli cię na ulicy całującą się z innym.

— Ja się z nikim na ulicy nie całow... — powiedziałam i zaciełam się. Lewan! Sukin Kot!!! Lewan, którego wabiłam w ręce bojowych magów! I czemu nie pomyślałam, że może nas ktoś zobaczyć?

— Tak — powiedział nekromanta, uważnie mnie obserwując. — I teraz też się z nikim nie całowałaś?

— To nie to, co myślisz — tępo powtórzyłam, próbując wymyślić coś mądrzejszego. — Otto może potwierdzić...

— Ola — cicho powiedział Irga. — Zmęczyłem się. Chciałem się z tobą żenić. Chciałem stworzyć z tobą rodzinę dwóch równoprawnych osobowości dla wzajemnego szczęścia...

Nie wytrzymałam i histerycznie zachichotałam. Nekromanta pokiwał głową i powiedział:

— Lecz ty nie wiesz, czego chcesz. Nie mogę przeżyć życia za ciebie.

— Nawiasem mówiąc, ze względu na ciebie — powiedziałam drżącym głosem — odmówiłam dzisiaj dwóm wielbicielom !

Spojrzawszy na chłopaka, rozumiałam, że powiedziałam to na próżno.

— Irga...

— Świetny u ciebie sposób odmawiania — gorzko powiedział nekromanta.

— Zrozum — próbowałam usprawiedliwić się chociaż jakoś, byle nie patrzył na mnie tak ... Z takim obrzydzeniem, jak na zdechłego karalucha w herbacie. — Byłam mu winna ten pocałunek.

— Aach, wiinnaaa! — przeciągnął Irga pogardliwie. — A komu ty jeszcze jesteś coś winna?

Uczciwie spróbowałam sobie przypomnieć.

— Radź sobie ze swoimi długami i ze swoim życiem sama. Ja znikam.

— Irga — wyszeptałam, wyciągając do niego rękę.

— Nie płacz. Pomyśl, zorientuj się i wtedy decyduj.

Nekromanta stanowczo odrzucił grzywkę, obszedł mnie — nie mogłam się poruszyć — i odszedł.

Opadłam w błoto, patrząc jak znikają jego ślady na drodze.

Obok kręcił się i coś mówił Otto, baron Ron, nie doczekawszy się odpowiedzi, troskliwie wziął mnie na ręce i poniósł do domu.

Ocknęłam się z odrętwienia, popatrzałam na druhów i spytałam::

— Moje życie się skończyło?

— Coś ty! — głośno powiedział półkrasnolud. — Ono właśnie się zaczyna!

## *Epilog*

Miesiąc trawnik upiększył wszystko wokół jaskrawą zielenią, a mój widok z okna upiększony był wysokimi i rozłożystymi krzaczorami. Siedziałam za stołem i w zamyśleniu gryzłam rączkę, starając się nie patrzeć

na pusty pokój, który przerażał swoją czystością i górami worków, zwalonych przy drzwiach. Praktyka się skończyła. Musimy wracać z powrotem do Czystiakowa.

— Złotko — do pokoju wszedł Otto i zastygł na progu. — Dlaczego masz dwa razy więcej rzeczy, niż wtedy gdy przyjechaliśmy?

— Rozmnożyły się — wyjaśniłam.

— Jak?

— A jak się rozmnaża? Skąd możesz wiedzieć co rzeczy wyrabiają po nocach w szafie, kiedy się nudzą?

Otto z trudem przeszedł przez walizki, torby i worki i potarł mi czoło.

— Co ty? — zdziwiłam się.

— Sprawdzalem czy może nie bredzisz.

— Nie, jest wszystko w porządku, po prostu nie wiem jak inaczej wyjaśnić ilość tego wszystkiego. Prawie nic nie kupowałam i dlatego rozmnożenie to jedyne, co mi przychodzi do głowy.

— Aha — powiedział półkrasnolud, padając na łóżko. — Co zamierzasz robić po powrocie?

— To samo, co ty — dostać dyplom i pracować — rzekłam.

— Nie, nie o to mi chodziło.

Otto po raz pierwszy naruszył niepisaną umowę milczenia, zakazującą rozmów o moim życiu. Z westchnieniem potarłam nadgarstki, na których widniały siniaki, zostawione przez ręce orka.



Po tym jak Irga odszedł (nie chciałam myśleć, że z mojego życia, dlatego mówiłam sobie, że po prostu „odszedł”), baron wniósł mnie na rękach do domu, a po jakimś czasie pojawił się Żiwko. Nie zwracając uwagi na chłopaków, którzy przybrali bojowe pozy, powiedział:

— Lubię dziewczyny, które nie wpadają w histerię.

— Jak i dlaczego to zrobiłeś? — zapytałam tylko.

— Musiałem tylko pojawić się na twoim podwórku ciut wcześniej, niż Irga — wyjął zadowolony Żiwko.

— Nie chciałeś się ze mną ożenić, prawda?

— Dlaczego nie chciałem? Teraz też chcę. Moje oświadczenia pozostają w sile. Po prostu miałem okazję wkurzyć tego nekromantę i nie przepuściłem jej.

Powoli wstałam z ławki:

— Zniszczyłeś moje życie!

— Coś ty, maleńka — roześmiał się ork. — Zniszczyć sobie życie może tylko jego właściciel...

— Zniszczyłeś moje życie!!! — krzyknęłam, rzucając się na niego.

Żiwko chwycił mnie za nadgarstki swoimi rękoma, dosłownie jak stalowymi obręczami.

— Puść ją — warknął z tyłu baron.

— Nie wtykaj nosa do cudzych spraw — powiedział do niego ork i zapytał mnie:

— O co mnie obwiniasz?

— O to, że przez twój pocałunek Irga mnie rzucił.

— Przez mój pocałunek? — roześmiał się Żiwko. — Czy naprawdę twój nekromanta jest taki głupi, że gotów jest rzucić swoją narzeczoną przez jeden pocałunek?

— Nie śmieję wymawiać jego imienia!

— To dobry argument — uśmiechnął się ork.

— I tak jesteś winny! — nie dawałam za wygraną.

— O nie, maleńka! Gdybyś nie chciała, to bym cię nigdy nie pocałował!

W poszukiwaniu pomocy zwróciłam się do Ottona, ale ten nawet nie patrzył na mnie. Baron także milczał. Naprawdę wszyscy mężczyźni tak myślą? Przecież musiałam oddać dług, nie?

— Wszystko jedno — dobitnie, lecz ciszej, stwierdziłam. — Wszystko jedno. Znikaj z mojego życia.

— Jeśli znudzi ci się samotność — powiedział Żiwko, puszczał moje ręce i podnosząc lekko palcami mój podbródek, żebym popatrzyła mu w oczy. — Pamiętaj o mnie.

— A idź ty do Sukin Kota — wycedziałam.

— My ze stepów — roześmiał się. — Lubimy narowiste. Inne po prostu nie przeżywają.

Mrugnął do chłopaków i wyszedł, idealnie zamykając za sobą drzwi.

— Pobić go? — zapytał Ron.

— Po co? — zdziwiłam się. — Zemścić się na tym poganinie mogę sama. Tym bardziej, że miał w czymś rację.

— Złotko — kaszlnął Otto. — Choć się nie wmieszałem to wiedz, że jestem po twojej stronie.

— Dziękuję — powiedziałam w zamyśleniu. — A teraz wybaczcie. Muszę pomyśleć.

Pocierając bolące ręce, ostrożnie poszłam do swego pokoju, jakbym bała się niechcący rozwiać myśli.

Milczałam i myślałam tydzień, kreśląc schematy, oznaczające etapy mojego życia, pisząc na karteczkach plusy i minusy oraz jedząc w ogromnych ilościach jabłka — Warsonia powiedział, że mają w sobie dużo witamin i pomagają myśleć. Od czasu do czasu w moim oknie pojawiał się smutny Ron, to z bukietem kwiatów, to z tabliczką czekolady, to ze swoimi wierszami typu „Kiedy przyszła do mnie miłość, wczoraj na polach posiali marchew”\*. Przez jakiś czas stłumiłam swoją pazerność i nie dawałam się przekupić. Jeszcze bardziej smutniejąc i przeczytawszy mi na głos kolejny wiersz baron zajrzał do Ottona, który nie miał nic przeciwko jego towarzystwu.

Nie przestając myśleć o życiu, zaczęłam pakować rzeczy. I tu mnie wzięło. Na widok jakiejś rzeczy od Irgi zalewałam się łzami i zaczynałam podwywać. Za pierwszym razem do pokoju wpadli przerażeni przyjaciele, ale usłyszawszy „Dlaczego cię nie doceniałam?!” i „Jak ja mogłam?!”, uspokajali się.

Teraz Otto leżał na moim łóżku, patrząc w sufit i oczekując mojej odpowiedzi. Nie doczekawszy się, zauważył:

— Kiedy przyjedziemy, to nie rozpakowuj się za bardzo. Wyproszą nas z akademika. Będziemy musieli poszukać nowego mieszkania.

Kiwnęłam. Sprawa była poważna, choć miałam nadzieję, że odzyskam Irgę i zamieszkam u niego.

— Więc o czym myślisz? — zapytał Otto. — Muszę wiedzieć, czy przygotować ci coś na uspokojenie?

— Myślę o odzyskaniu Irgi — powiedziałam.

— Gratuluję. A jak?

— Mam jakieś plany — uchyliłam się od odpowiedzi wprost. Nie powiem przecież, że zamierzam dobitnie pokazać Irdze, że potrzebuję tylko jego, wyjdę za niego za mąż, ale jak to zrobię, to jeszcze nie wiem. — Teraz wiem, czego chcę.

— Ciekawe.

Podniosłam ze stołu kartkę i przeczytałam:

1. Dostać dyplom
2. Zacząć pracować
3. Odwiedzić bliskich
4. Odzyskać Irgę

5. Wyjść za niego za mąż

6. Nigdy więcej nie walczyć z zwariowanymi bojowymi magami

— Dobrze — pochwalił Otto. — Czeka nas spokojne życie, co?

— Spokojne, szczęśliwe i barwne życie! — uściśliłam.

Nagle wydało mi się, że w oknie mignął mi uśmiezek Sukin Kota.  
Odwróciłam się, ale oczywiście nikogo nie zobaczyłam...

\*W języku rosyjskim miłość to 'ljubow', a marchew to 'markow'. Tak więc dobrze się rymują. Jeśli macie jakieś propozycje czym można to zastąpić, żeby w polskiej wersji ładnie się rymowało, to walcie do mnie jak w dym. ;) [przyp. Kuszumai]

***Koniec części drugiej ;)***